

Bunsch Karol

IMIENNIK tom 02

Miecz i pastoral

I. PIOTROWA STOLICA

Ciepły, wiosenny wiatr z południa zdał się roznosić wiadomość, która wstrząsnęła światem. Dnia dwudziestego drugiego kwietnia, roku pańskiego tysiąc siedemdziesiątego trzeciego złożono w Lateranie na wieczny spoczynek zwłoki papieża Aleksandra II. Teżoż dnia lud rzymski, wbrew prawu, okrzyknął jego następcą Hildebranda i to zdało się udzielać światu niepokoju i napięcia, jakie od dziecka tkwiło w drobnym, niepociągającej powierzchowności, ponad pięćdziesiąt lat już liczącym synu cieśli z Rodoacum.

Była w nim jakaś bezwzględna siła, która kazała się spodziewać, że urzeczywistni to, co poprzednicy wysuwali jeno jako wskazania, nie próbując ich nawet w czyn wprowadzać.

Gdzie jeno sięgało słowo Boże, brzmiały żałobne pienia, dzwony biły lub trzeszczały kołatki, a ludzie, w których ręku spoczywały sprawy Kościoła, zbierali się na narady. Biegały posłance od kurii do kurii, od klasztoru do klasztoru. Nikomu ze znaczniejszych tajne nie było, że ten chuderlawy człeczyna od **lat** dwudziestu trzęsie Kościołem; że jego to wolą obrano pięciu z rzędu poprzednich papieży, bo sam nim ostać nie chciał. Teraz przyjął wybór, nazajutrz zatwierdzony przez kurię. Widno uznał, że sprawy, które rozstrzygnąć zamierzył, dojrzały już do rozstrzygnięcia, dlatego ujął je we własne ręce żelazne, miast cudzy*¹ mi jeno kierować.

Nie mniejsze niż gdzie indziej poruszenie było w Krakowie. Stanisław wraz zwołał synod swej diecezji, obesłany tłumnie jak nigdy. Prócz bowiem duchowieństwa biskupowi podległego przybyli kapelani różnych możnowładców, a że granice diecezji ustalone nie były, także i ci kapłani, którzy zazwyczaj stawali na wezwanie innych biskupów. Sprężyste rządy Stanisława, biegłość jego w prawie kościelnym i rzymskim oraz niewygasła mimo nieudolności zmarłego Suły powaga krakowskiej stolicy, jaką Aaron jeszcze pozyskać umiał dla niej, sprawiały, że komu jeno sprawy Kościoła leżały na sercu, na Stanisława musiał się oglądać.

Poza tym obarczone przeważnie rodzinami duchowieństwo, które częstokroć z pokolenia w pokolenie dziedziczyło godność i beneficja z nią związane, niepokoiła wieść, że nowy papież surowy jest i bezwzględny; że przepisy o celibacie, będące dotychczas martwą literą, w życie wprowadzić zamierza, i to nie od jutra, lecz zaraz. Trzeba by cisnąć wszystko i na łąkę iść lub miłej rodziny poniechać skazując dzieci na nędzę. Wieść, która przyszła z Niemiec, wznieciła prawie popłoch. Jechał kto mógł, by się zbyć niepewności.

Po uroczystych egzekwiach za zmarłego papieża, którego żałowano szczerze, bo wiadomo było, czego się trzymać, w wielkim refektarzu kapituły tłoczno było, że ręką nie ruszyć. Głowa tkwiła przy głowie, a i to na dziedzińcu pozostać musiało wielu, dopytując się ciągiem niespokojnie, co dzieje się wewnątrz.

Tymczasem jednak nie działo się jeszcze nic. Odgrodzeni od tłumu siedzieli na swych krzesłach kanonicy: Piotr i Jakub Janiny, synowie Jana ze Zbylutowic, Stawisz i Bogusz Półkozice z Ziemblie, Mikołaj i Bogusz Bończe, synowie Mierzba z Wścieklic, Mszczuj i Jan Jastrzębce z Jakuszowic i inni pomniejsi, urzędów kapitulnych nie pełniący. Brakło jeno Wolkmara, ostatnio kanclerza kapituły; widno jak zazwyczaj uradzał z biskupem, który we wszystkich

ważniejszych sprawach zasięgał jego zdania. Bodło to uawet innych, a zwłaszcza dziekana kapituły Mikołaja, który w tym widział powagi swej umniejszenie, a samego Wolkmara nie znosił. I teraz, miast siedzieć, spokojnie, zrywał się co chwila, niecierpliwie chodząc w kółko po małej, wolnej przestrzeni między rzędem kanoników a podwyższeniem, na którym stał tron biskupi. Drażniło Mikołaja, że coraz to przez któregoś ze znajomków zapytywany, nad czym biskup uradza dając czekać na siebie, nie umiał dać odpowiedzi. Wreszcie zagniewany wybiegł przez drzwi za podwyższeniem, skąd wiodły schody do biskupich komnat. Biskup istotnie niemal zapomniał że czeka na niego zgromadzone duchowieństwo. Postanowienie, jakie miał powziąć, było wagi niezwyklej, a nie znajdował tym razem upewnienia w rozumie i wiedzy Wolkmara. I teraz nie brakło mu uzasadnienia zarówno z ksiąg, jak i znajomości ludzi zaczerpniętego, a jednak Stanisław miał wątpliwości, niejasne jakieś poczucie, że Wolkmar nie mówi wszystkiego, że inny cel mu przyświeca, niż podaje, że sprzeczności zachodzą między tym, co mówi teraz, a co mówił ongi.

— Samiście prawili, że pierwszą cnotą jest posłuszeństwo; że świecka władza jeno w duchownej czerpie swe usprawiedliwienie; że żaden to rycerz Kościoła, co się dziećmi obarczy, zależnym się czyniąc od pana, który ao żywi. Nie wyście to mówili, że by zdziałać coś, trzeba odwagę mieć przeciw wszystkim?

— Ale słyszeliście, co głosił sam wielki Aaron, że konieczności działania inne są niż myśli. Moją rzeczą myśleć, wy działać macie. Myśl można cofnąć, odmienić, działania — nigdy. Dlatego można być śmiałym w myśli, w działaniu trzeba być ostrożnym.

— Ostrożnym! Któż zdoła dostrzec granicę, co dzie-li ostrożność od lęklivosti? Kto zdoła powagę utrzymać, przecząc samemu sobie?

Wolkmar zachnął się nieznacznie, lecz odparł spokojnie:

— Zostawcie mnie rozmyślania. Nie zaprzeczycie,

że gdyby istotnie tak było, jak niosą wieści, a znając Hildebranda wierzę, że tak jest, ani ćwierci duchowieństwa nam nie ostanie. A mamy go i tak za mało. Ci, co odejdą, nie Hildebrandowi będą wrogami, bo go na oczy nie widzieli, jeno wam. Co zdziałacie, sił nie mając? Byście się nie przekonali, że tenże sam Hildebrand jeno z silnym liczyć się będzie, słabemu nie pomoże. Nie patrzcie w niebo, jeno na ziemię, a ujrzycie, że każdy szanuje silnego przeciwnika a nikb słabego sprzymierzeńca. Zresztą czegoż ja chcę od was? Byście się z ogłoszeniem i hołdem dla nowego papieża wstrzymali. Posłuszeństwo, mówicie? A ktoże nam zaręczy, że utrzyma się przy wyborze, co wbrew regule przez motłoch rzymski dokonany i pod jego naciskiem takż bezprawnie zatwierdzony przez kurię? Posłuszeństwo dla niego będzie nieposłuszeństwem dla prawego, gdyby inny obrany został. I cóże to za władza duchowna, co nawet nie z woli cesarskiej, uznanego pana chrześcijańskiego świata, ale z brudnych rąk motłochu czerpie swe uprawnienia? Miejcie wy jeno odwagę bliższym uroszczeniom do rządzenia w sprawach Kościoła się przeciwstawić. A na to sprzymierzeńców wam trzeba, nie wrogów. Kto sam rzuca się przeciw wszystkim, ten nie odważny, jeno szaleniec.

Ciemne, namiętne oczy biskupa zmętniały jakby wahaniem. To, co mówił Wolkmar, było rozsądne, ale wewnątrznie nie przekonało biskupa.

W tej chwili zapukano i wszedł Mikołaj:

— Wasza wielbność! Zgromadzeni czekają i niecierpliwą się.

— Zaraz nadejdę — rzeki Stanisław.

Powstali ku wyjściu.

Biskup chmurny był, widno nie odeszły go wątpliwości. Idący za nim Wolkmar zacierał nieznacznie ręce.

Umilkł szmer rozmów, gdy otwarły się wierzeje i biskup, wszedłszy na podwyższenie, krzyżem przeżegnał zgromadzonjch. Usiadł i donośnym głosem przemówił:

— Hołd i modły nasze złożyliśmy zmarłemu Pasterzowi, którego Bóg do siebie powołał. Ninie prosimy Ducha Świętego, by nas oświecił w obradach naszych. . Niech się każdy, wielki czy mały, sumienia jeno własnego zapyta, czy Piotrowa stolicę za osieroconą uważać mamy, czy też wybór Hildebranda uznać i siać do niego z zapewnieniem synowskiego posłuszeństwa, Niech żaden wzgląd nie kieruje zdaniem waszym, krom dobra Kościoła, dla którego niezliczonych szkód przyczyną stać by się mogło, gdyby rozdwojenie powstało. Mówcie!

Rozległy się szmery. Trzącał jeden drugiego, wzajem do zabrania głosu zachęcając, lecz drwiące spojrzanie zielonych oczu Wolkmara, którym obwodził zgromadzonych, odbierało im pewność siebie. Nikt nie chciał się wyrwać pierwszy, by nie zdradzić prostactwa i nieuctwa ni prawdziwej przyczyny, dla której woleliby mniej surowego pasterza, niż być nim obiecywał Hildebrand. Tu i ówdzie padało słowo, lecz nie występował nikt. Wreszcie, widząc, że nikt inny nie zacznie, powstał najstarszy wiekiem Piotr Janina i pokłonił się biskupowi, o głos prosząc. Biskup skinął przyzwalająco, a starzec wśród powszechnej ciszy zaczął:

— Nie mniemam się mądrzejszym być od drugich, jeno gdy nikt głosu nie zabiera, z wieku mi przystało mędrszych od siebie zapytać: jestli Hildebrand papieżem wedle prawa lubo nie? Bo jeśli jest, tedy radzić nie ma nad czym, a słać do niego z hołdem i posłuszeństwem, choćby i ciężkie było; a jeśli nie jest, tedy sprawę ostawić tym, co wedle prawa o niej mogą stanowić. Samże nasz biskup w prawie najbieglejszy. Co on postanowi, i nam tego słuchać. Któż bo się radzi głupszego od siebie albo i takiego, co winien ślepe posłuszeństwo?

Nim skończył, rozległy się szemrania, a miejscami głośnie sprzeciwy:

— Juści! Sam wdowiec i stary, syny dawno na swg* im siedzą i w rodzie ma oparcie!

— Sumienie nie w głowie, lecz w sercu!

— **Kto** pyta, sam widno nie wie!

Stanisław podniesieniem ręki uciszył rozruch mówiąc:

— Jeśli pytam, wiedzieć chcę, co myślą inni. Każdego wysłucham, a potem postanowię. Jeno rządnie, nie jako na targowicy. Kto się głosu domaga?

Znowu milczeli. Nielacno nieuczonemu ubrać w słowa to, co czuje w sercu. Wolkmar uśmiechnął się pogardliwie. Do niego zwrócił się biskup, widząc, że o głos nikt nie prosi:

— Mówcie wy, bracie, jako się rzecz wedle prawa przedstawia.

Wolkmar wstał i zaczął; głos miał zgrzytliwy:

— Bywało za apostołskich czasów, że gmin obierał rzymskiego biskupa, którego wszyscy głową uznawali Kościoła. Ale zepsuło się wiele. Miast pierwszych chrześcijan, co jeno zbawienie duszy mieli na myśli, gminę rzymską stanowi niotłoch, chwiejny jako witka na wietrze, wielmożom uległy i przekupny, ciemny i dla spraw Kościoła obojętny. Pamiętają najstarsi między nami, jako jednocześnie trzech było papieży wzajem się wyklinających, walczących z sobą i frymarczących godnością, którą sam Chrystus Pan ustanowił, by powszechność wiodła do zbawienia. Tedy za eichstadzkiego Gebharda, który pod imieniem Mikołaja II na tronie papieskim zasiadł, ustanowiono prawo, że nie lud, lecz kuria wybierać ma papieża. Że i ona jednak naciskowi wielmożów lub motłochu zwykła ulegać, tedy Henrykowi, trzeciemu tego imienia, Hildebrand poprzysiągł, że wyboru nie przyjmie bez zgody cesarza, od Boga ustanowionego *bracchium saeculare*¹ Świętego Kościoła. Jako słyszymy, Hildebrand lud okrzyknął papieżem. Nie przeczyć nam, że posiada on wielką powagę i że kuria wybór ten zatwierdziła. Lecz mogłaż uczynić inaczej, nie wprowadzając zamieszki i rozdwojenia? Jedna ma być głowa Kościoła, jako i jedno jest jego ramię, nie nam przeto

¹ *bracchium saeculare* — ramię świeckie

orzekać, prawli jest wybór czy nie. Dlatego stolicę Piotrowa osierocaną mniemam, póki cesarz nie zatwierdzi wyboru lub nie odmieni, bobyśmy przed czasem, antypapę uznając, w obrzydły grzech herezji padli.

Rozległy się zmieszane szepty rozmów, lecz na ogół widać było, że Wolkmar utrafił w myśl zebranych, choć słychać było i głosy sprzeciwu. Gdy jednak Stanisław uciszył zgromadzonych pytając, kto by jeszcze zechciał przemówić, nie zgłosił się nikt. Rzekł tedy:

— Nie przeciwi się naszemu posłuszeństwu pewności wyboru wyczekać. Modły jeno zalecam, by Matka nasza wrychle na Swej stolicy ujrzała prawego Pasterza, godnego następcę św. Piotra. Posłańców śłać do innych biskupów z wieścią, cośmy postanowili, by i u nas nie powstało rozdwojenie. Gdy tedy sprawa, dla którejśmy się zebrali, jednomyślnie, mniemam, ułdżona została, żegnam was, Bogu polecając.

Wstał, gotów do wyjścia, inni też ruch uczynili, gdy w powszechnym gwarze Mikołaj zaczął dopominać się głosu. Biskup zwrócił się ku niemu pytająco, inni umilkli, ciekawi, co powie.

— To jeno rzec chciałem — podjął — że jeśli to uchwałą synodu jest, wedle obyczaju podlega zatwierdzeniu książęcemu. Tedy do pana przódzi nam siać, by zasię i tu rozdwojenie nie powstało. Wiadomo zaś, że Bolesław z cesarskim zdaniem liczyć się nie zwykł i na nie czekać nie będzie.

Wolkmar aż pozieleniał ze złości, inni szemrać zaczęli, biskup zaś, spojrzawszy gniewnie na Mikołaja, odparł:

— Rzecz to sumienia naszego, które jeno Bożemu zatwierdzeniu podlega. A wiele tu jest obyczajów, które zmienić trzeba.

Odwrócił się i wyszedł. Inni takż rozchodzili się co prędzej, radzi, że jeszcze do rodzin swych wracają. Posiew niechęci do Hildebranda pozostał, umocniony biskupią powagą.

Niemaló też wzrosła powaga **Wolkmara. Choć** nie

był lubiany i unikano go zazwyczaj, ten i ów podchodził do niego z pożegnaniem, a nawet podziękowaniem, że tak bardzo serca i sumienia umiał uspokoić. Wolkmars uśmiechał się pobłaźliwie swą zmiętą twarzą, jeno oczy mu lśniły złośliwym zadowoleniem. Gdy re-fektarz opróżnił się już, spojrział jeszcze na pole od-niesionego zwycięstwa i zwrócił kroki do swej izdebki, gdzie go oczekiwał mnich z fuldajskiego klasztoru, Wolfgang, posłaniec cesarski. Przed wchodzącym Wolkmarem skłonił się pokornie mówiąc:

— Widzę po was, że sprawy poszły pomyślnie, ale powiadajcie: co mam donieść?

— Łacnie tę trzodę paść. Tylko z biskupem trudności miałem. Inni, których Otard postraszył, że będą musieli wraz odegnąć swe rodziny, boją się jako ognia Hildebrandowego panowania. A pewni jesteście, że cesarz wyboru nie uzna?

— Skąd mogę mieć pewność, skoro cesarz waha się jeszcze. Ale i Hildebrand niepewny, skoro z konsekracją zwleka, czekając cesarskiego zatwierdzenia, i Pewne to tylko, że kanclerz Vercelli usilnie cesarzowi zatwierdzenia odradza, bojąc się, że Hildebrand sprawę inwestytury ruszy, by biskupów od siebie zależnymi uczynić. A i wśród świeckiego kleru wielkie jest poruszenie, bo jako i u was trwożą się, że im w czystości żyć kaze. Zaś cesarz obawia się wojnę rozpocząć z Hildebrandem, gdyż na waszego księcia gotuje wyprawę, a Sasi niepewni i gdyby spór wybuchnął, mogliby Grzegorza przeciw cesarzowi poprzeć. Ważne to, by Polska nie zaejęła na Hildebrand owej szali.

— Nie troskajcie się. Bardzo się tu wszyscy liczą ze Stanisławem, a wraz wieści wysłać mam do innych biskupów, cośmy tu uchwalili. Ani chybi, pójda za nami. A książę wbrew całemu Kościołowi nie wystąpi, choć śmiały jest. Aże śmieszne, że ten jurny osiłek, Bolesław, i ten chuderlawy mnich Hildebrand podobni są, obaj liczyć się z niczym nieradzi, a rwący się do walki. Hildebranda toż własne słowa: „przeklęty, kto

miecz swój trzyma z dala od krwi". *Bellicosa anima!* *
Czyż tylko mieczem można zabijać!

Zaśmiał się skrzekliwie.

Wolfgang zdał się tego nie zauważyć, gdy odparł w zamyśleniu:

— Sam Chrystus rzekł, iż przyjdzie taki czas, że trzeba będzie sprzedać suknię, by kupić miecz.

— Ale nie każdy syn cieśli powołany jest, by zbawiać świat! — zakrzyknął Wolkmar ze złością. — Mało pychy znosić musim od tutejszego ksiązątka? Jeno, chwalić Boga, że sprawami cudzych królestw wieczyście zajęty, na własne czasu mu nie starczy, tedy łącniej coś zdziałać.

W tej chwili wpadł Otard. Podniecona jego twarz zdradzała, że z ważną przybieżał nowiną. Widząc jednak, że Wolkmar nie jest sam, powściągnął słowa, które paliły mu usta.

— Mów śmieie — rzucił Wolkmar. — Przed bratem Wolfgangiem nie mam tajemnic.

— Bolesław uznał wybór i poselstwo do Rzymu wysłał z dziesięciną i holdem.

— Skąd wiesz?

Wolkmar starał się mówić spokojnie, ale twarz mu pozieleniała.

— Przebimił się wywiedział. Skąd, nie mówił, jako on zwykle. Ale rzecz jest pewna.

Wolkmar splótł palce, aż mu pobiełały, i ręce w górę wyciągnął:

— Gdzie wyznaczysz kres, Panie, temu zuchwalcowi, co ponad głowę cesarza sięga już ku Piotrowej stolicy!

Wolfgang jednak sprowadził go na ziemię, mówiąc zimno:

— Wielce cesarz cenić to będzie, iż zelżywość mu uczynioną tak bierzecie do serca, choć nie taję, że więcej by cenił, gdybyście jej umieli zapobiec. Niepomyślna to nowina, ale tym prędzej zanieść ją trze-

¹ *Bellicosa anima!* — dusza wojownicza

ba, by cesarz wiedział, czego się trzymać. Niestety obawiam się, że w wyborze wolnym czuć się nie będzie. By nie pozwolić waszemu pankowi w łaski papieża się wkupić, sam uznać go będzie zmuszony.

Twarz Wolkmara skurczyła się złością, lecz rzekł pokornym głosem:

— Służę, jak umiem, choć nie cesarz mi płaci. Jenó wiem, że w Hildebrandowe łaski łacniej temu się wkupić, co złotem zrabowanym sypie, niż temu, co go sam ma za mało. Ale złota dokupi, rozumu nie dołoży — dodał drwiąco.

Wolfgang jakby nie zauważył złośliwych docinków. Poważnie odparł:

— Zda mi się, że i w tym nie docenicie Bolesława. Gorzej niż mieczem nas ugodził. Nie bez celu ta niewczesna uległość apostolskiej stolicy.

— Juści! Każdemu wiadomo, że koroną się ozdobić zamierza.

— Au nas wojna wre. Kto mu przeszkodzi?

Umilkli zasepieni.

II. CESARSKIE ZAMYSLY

Obawy cesarskich stronników aż nazbyt szybko okazały się słuszne. Henryk niechętnie i wbrew doradcom uznał dokonany sprzecznie z ordynacją wybór Hildebranda, który koronowany 30 czerwca 1073 r. w obecności cesarskiego kanclerza, ujął ster Piotrowej łodzi, by kierować nią ku wytkniętym przez siebie celom. Nie ciążył mu. Nie drżała też wychudła dłoń, w którą wziął wagi sędziego wszystkich spraw chrześcijaństwa.

Na Henrykowej zaś głowie jedyna dotąd srebrna korona niemieckiego królestwa zdała się chwiać jak słomiana pod uderzeniami wichru. Walka Sasów z Frankami przybrała rozmiary wojny, a fale buntu były już o tron. Grzegorz, miał stanąć po stronie cesarza przeciw buntownikom, wysłał legatów, którzy mieli sprawę rozsądzić.

Rozsądzić sprawę między cesarzem a buntownikami! Darmo Henryk wyteżał swe szare, nieufne oczy szukając oparcia. Jedyne pewne sprzymierzeniec, czeski Wratysław, z własnymi braćmi poradzić sobie nie może i o pomoc przeciw nim zwracać się musi do papieża. Zuchwały Jaromir, rozgniewany podziałem praskiej diecezji, naszedł ołomunieckiego biskupa Jana we własnej jego stolicy, zbił go po twarzy, skopał, ochłostać kazał i wygnał jak psa. Wratysław wysłał poselstwo ze skargą do papieża, lecz Jaromir je wymordował. On nie boi się niczego, zdałby się cesarzowi na sprzymierzeńca.

Salomon? Darmo dał zakładników i sześć najsilniejszych grodów za wprowadzenie na tron. Sam czeka pomocy dziewierza, z królestwa swego wbrew układowi wygnany przez polskiego księcia, i ledwo się trzyma na granicy w kilku zameczkach. Darmo siał do Bolesława z pokorą i okupem. Bolesław odrzekł mu, że od pieniędzy woli panowanie nad tymi, co je mają; Geję na tronie osadził, a siostrę jego Zofię wydał za najzaciętszego wroga cesarskiego, saskiego wielmożę, Magnusa Billunga.

Henryk, od dziecka nawykły do upokorzeń, nauczył się łamać samego siebie. Nie chcąc dopuścić do papieskiego rozjemstwa, kolońskiego Annona wyprawił do Sasów, by pogodzić się z buntownikami. Walki nieco przygasły i Henryk odetchnął, o wyprawie jednak na Węgry ni na Polskę nie mogło być mowy, choć Bolesław odszedł znowu na wschód, na tronie węgierskim po śmierci Gejzy zostawiając ulubieńca swego i zaprzysiężonego druha, Władysława.

Cesarz nie miał sił ni pieniędzy. Miał za to giętkość, chytrość i znajomość ludzi i spraw, wyrobione w nim przez ustawiczne niepowodzenia. Wiedząc, że dalekie wschodnie sprawy obce są Grzegorzowi, a nieobcą jest mu chęć zjednoczenia Kościoła, która troską była każdego z papieży wybiegającego myślą poza sprawy dnia, ani chwili nie wątpił, że uwagę Grzegorza ku temu zdoła zwrócić. Gdyby nie zwykł panować nad każdym swym ruchem, nawet w samotności, byłby zatarł ręce; ma w nich Izaśława, który do tego celu przydać się może jak nikt. Bolesław, jak zwykle lekko ważąc sprawę, wypuścił go z ręki; zagra nim cesarz.

Nie mieszkając pchnął gońców do Miśni, gdzie ruski książę siedział wraz z synem pod strażą, ni to więzień, ni gość. Cesarz czekał niecierpliwie jego przybycia, trawiając dni i noce na rozmyśleniach. Gdy jeno oznajmiono przyjazd Izaśława do Naumburga, przyjął go ze czcią, jak panującego, i po uroczystym powitaniu zaprosił na tajną rozmowę.

Zasiedli w małej komnacie. Przez wąskie okno pa-

ciał snop światła na postarzałą postać Izasława i brodate jego oblicze, na którym malowały się nieufność i zniechęcenie. Milczał umykając oczyma, nie spieszo mu było do rozmowy, po której nie spodziewał się nic dobrego. Henryk, zwrócony plecyma do okna, milczał również. Widząc jednak, że Izasław sam nie zaczyna, rozpoczął:

— Wielce mnie gnębi, iżem wam nie mógł udzielić przyrzeczonej pomocy; ale siedzicie u nas i sami widzicie, co się dzieje.

— Widzę — burknął Izasław.

Dobrze wiedział, jak stała sprawa z pomocą. Miał się na baczności wietrząc nowy podstęp.

— Nie brak mi innych trosk, ale ta nie najmniejsza, by zdzierzyć da-ne wam słowo. Sił mi nie dostaje, ale zda mi się, że obmyśliłem sposób, by was na kijowski tron wprowadzić z powrotem.

— Pieniądzy już nie mam — rzucił Izasław.

W głosie jego brzmiał wyraźny niepokój i podejrzenie, że Henryk wyłudzić zechce resztki olbrzymich bogactw wywiezionych z Kijowa, a stopniałych wskutek pobranej przez Bolesława daniny, zdzierstwa Jastrzębców, którzy jako przystawowie odwieźli go z Krakowa, a zwłaszcza zapłaty za pomoc cesarską. Ostatnio już niejednego musiał sobie odmawiać, pokładając jedyną nadzieję odmiany losu w resztkach mienia. Toteż podejrzenie, że cesarz chce te resztki wyłudzić, napełniło Izasława niepokojem. Kręcił się na siedzeniu, rad uciec jak najprędzej.

Henryk zrozumiał jednak myśli kniazia, gdyż rzekł uspokajająco:

— Nie chcę od was pieniędzy, choć przyznam, brak mi ich. W zamian za pomoc żądam jeno przyrzeczenia, że gdy zasiądziecie na tronie, sprzymierzeńca w was znajdzie przeciw wszystkim wrogom.

Izasław odetchnął, lecz zarazem długo przeżywana gorycz zawodów i upokorzeń potokiem słów rzuciła mu się do gardła.

— Gdy zasięde, tak ja wasz sojusznik na śmierć!

Jeno kto mnie posadzi? U was nie ma siły ni pieniędzy, u mie takż. Tak i my już sojusznik!. Jeno wam dzieło gdzie indziej, a ja tużę za Rusią i tam patrzę. A widzę co? W Kijowie brat mój niewierny siedzi, Świętosław. Jeśli przeklętnik Bolesław nie wygna teścia, to nikt! Inne moje grody sam pozajmował, Grzegorza łuckiego i innych zhołdował i ciągnie mnie należną daninę. Wszewoloda zbił, choć wojska nie miał ni ćwierci tego, co brat mój wiarołomny. A mnie, krewniaka swego, zhańbił i wygnał jak psa i kto by mi pomoc chciał, z nim przody musi się rozprawić. Któże to uczyni? Może wy, co się wciąż na niego zbieracie, jeno nie macie z kim! Drwi sobie z was, co chce, to robi. Pomożecie mi jako i Salomonowi! A może mnie na tronie archanioł Michał posadzi? To mu zaś papież nie pozwoli, który jako głosi, z Bożego polecenia daje trony i odbiera, a Bolesława miłuje, bo lestek * przebrzydły, pierwszy mu się ofiarował z hołdem i pomocą. Jeno patrzeć, jak wam na hańbę czapkę swą książęcą na koronę zmieni.

Izasław wybuchnął śmiechem gorzkim, drwiącym, nieopanowanym. Cesarz siedział milcząc. Na przemian to krew mu uderzała na lica, to bladł. Gdy Izasław uspokoił się, cesarz rzekł swym obojętnym, trochę sepleniącym głosem:

— Na tron wprowadzi was Bolesław.

Zdało się, że Izasław znów wybuchnie śmiechem, lecz nagle porwała go złość. Zapominając, do kogo mówi i że jest na łasce cesarskiej, krzyknął:

— Albo głupi to mówi, albo głupiemu!

Henryk zagryzł wargi, lecz odparł spokojnie, choć ostro:

— Iście głupiemu, bo nawet nie wysłuchacie, co wam chcę rzec. Mam ci ja ważniejsze sprawy niż próżną gadaninę. Ale nie chcecie słuchać, nie skarżcie się na los ni na mnie, że wam pomoc nie chciałem.

Izasław sapał, rozdrażniony, pomyślał jednak, że

a l e s t e k — człowiek chytry, przebiegły

niewiele ma już do stracenia, opanował się i rzekł ponuro:

— Iście głupi ja, bom wam za to zapłacił, żeście mnie Świętosławowi sprzedał. Jeno, jako rzekłem, pieniędzy już nie mam, a mnie nie kupi nikt. Ale słucham, jakoście to obmyślili, by mnie Bolesław wprowadzał na kijowski stolec?

Cesarzowi ręce drżały; musi znosić, że ten nędzny wygnaniec, od niego zależny, zarzuca mu szalbierstwo. Ale nie takie upokorzenie znieść potrafi, by cel swój osiągnąć. Odparł, jakby nie słysząc zniewagi:

— Kupi was papież. Ofiarujcie mu Ruś, proście, by wam ją dał jako lenno Piotrowe. Wielce Grzegorzowi na sercu leży, by schizmę usunąć.

Zaświtało w chytrym łbie Izaśława. Spojrzał na Henryka prawie z podziwem, lecz zaraz ogarnęły go wątpliwości:

— Ja by i biesu Ruś ofiarował, byle mnie na tron wprowadził. Ale Grzegorz nie durny, upewnienia żądać będzie, że na tronie zasiadłszy łacinników wprowadzę. A jakoż mogę je dać, kiedy każdemu wiadome, że i lud, i kniazie, i sam druh mój Teodozy, igumen peczerski i metropolita Jerzy biesa radziej ujrzą niż niekresta-łacinnika.

Tu Izaśław zaciął się i splunął nieznacznie, lecz widząc, że cesarz obelgi nie zauważył czy zauważyć nie chciał, ciągnął dalej:

— A już to nie do wiary, by mnie Bolesław siły użył, bez której nic z całej sprawy.

— Grzegorz się na wschodnich sprawach nie zna, tedy przyzwoli. Zaszkozić mu to nie może, a przyzwoli, tedy Bolesławowi nijak będzie nie posłuchać, skoro przymilić się chce Grzegorzowi, bo go potrzebuje w zabiegach o koronę. A zasiądziecie raz na tronie, zrobicie, co wam wypadnie.

— Jeno że Bolesław nie uwierzy! Jemu przyrzekałem Ruś ku Rzymowi nakłonić i wie on, że ani chcę, ani mogę to uczynić.

— Ale pycha jego większa niż rozum. Dla korony

uczyni wszystko. Macie lepszy sposób, by swego dojść, tedy go próbujcie. Bym jeno nie słyisał więcej, że pomóc wam nie chciałem.

— Juści nie mam. Świętopelka, synaczka, wyśle do papieża, niech bije czołem i o łaskę prosi. Chytreńki on. Dla niego to ja, serca mojego, o tron zabiegam. Może pobłogosławi mi święty cudotwórca.

— Tedy orszak każę synowi waszemu przygotować przystojny, a wy dary dla Ojca Świętego gotujcie. Na tyle wam jeszcze chyba ostało?

— Gdy trzeba koniecznie, najdzie się, choćby głodem przymierać. A z was też chytra gadzina. Dojdziecie i wy swego.

Cesarz nic nie odrzekł i odetchnął z ulgą, gdy Izaśław ożywiony wyszedł.

III. W NAWOJOWYM DWORCU

Dworzec Nawoja na Podgórzu obegnały wichry zimowymi zamieciami, przygniotły budynki czapami śniegu, wdusiły je w puszyste podłoże, że jeno dym sączący się z komina zdradzał ludzkie osiedle. Potem wiatr niósł dżdże wiosenne, od których zimowe puchy zmieniły się w maź przepadlistą. Pod nią zimne jeszcze wody milionami strużek mknęły po zboczach do strumienia. Coraz wyraźniej słychać było ich mruczenie, wreszcie w ciepłych już promieniach słońca załśniły swobodne, podzwoniły kamykami i zbiegły w dół, by razem, wezbraną falą popłynąć ku Wiśle, wraz z nią rozlać się po nizinym kraju i wreszcie spłynąć statecznie już do dalekiego morza.

Potem jeno wiatry przynosiły dalekie odgłosy z gródka w widłach rzecznych lub czasami pył z odległego gościńca ciągnącego się między wzgórzami ku Żmigrodowi, Widno kupcy jechali lub poselstwo.

Nie przynosił jeno wiatr Domana ni wieści o nim. A trzeba było. By największy ogień, wypali się wreszcie, gdy doń drew nie dorzucić. Przeniesiony na domowe palenisko płonąć będzie spokojnie jako znicz, lecz wystawiony na burzę i zlewy zgasnąć może z bolesnym sykiem lub tysiącami złotych iskier odlecieć w ciemność i nicość, wichrem rozgoniony. Może gdzieś ktoś obcy iskrę podniesie nim zgaśnie i płomień rozdmucha, jeno że grzać będzie innego i świecić innemu.

W pierwszym okresie po uwolnieniu Bietka żyła jak zwierzę, które wyrwawszy się z niewoli ulgnie w jakiejś komyszy i drzy przytające, nie wierząc jeszcze, że uszło prześladowcy. Nie myślała wówczas o Domanie. W pamięci jej stała jeno wrząca nienawiścią surowość ojca. Może by ją ubił, gdyby nie Ostasz Odrowąż. On jedyny ujął się za nią; gdy Gosław zakrzyknął, by ją brał, skoro mu za nic jej hańba, powiedział:

— Wziąłbym i zhańbioną, jeno nie wezmę takiej, co miłuje innego.

Innego miłuje?! Coś się tam jeszcze kołatało w uciśnionym sercu, jak echo piosenki lub wspomnienie bajek dziecinnych o królewiczu, który z pazurów smoka wyzwala dziewczynkę. Królewicz wciąż jeszcze oblicze miał Domana, ale nie on ją wyzwolił: szorstkie i grube, choć dobre wojaki, Jastrzębce. Od nich dowiedziała się, że Doman przy księciu wojuje, do przybocznych jego należąc. Strzeże księcia; jej nie miał kto chronić od wyzwisk i razów ojca. Coś załamało się w Bietce.

Mijały miesiące i udzielać się jej zaczął panujący na dworcu spokój. Zrazu, gdy budziła się po nocach na każdy najłabszy odgłos, zapominała się w strachu, myśląc, że jest jeszcze więziona w gródku nad Bzurą. Teraz już nie zrywała się ze snu. z przerażeniem, wiedziała, że jest w dworcu Nawoja.

W dworcu Nawoja? Nikt nie widział tu jeszcze gospodarza. Widno ci, co są przy księciu, nie mają życia własnego, Darma czekać na Domana.

A jednak czekała. Gdy wiosna zmyła pleśń z gór i czarny bór zazłocił się w słońcu pąkowiec, zaezęła wspominać. To zachód słońca był taki sam, jak wtedy... to mgielka wlokła się nad strumieniem, jak tam... Za wspomnieniami nieodstępnie snuła się tęsknota.

A najgorzej, gdy nad górami ukazał się pełny, złoty księżyc. Już nie wspomnienia dzieciństwa, lecz tej nocy jedynej, wraz z falą gorącej krwi mroczyły jej niemal zmysły. Po latach tęsknoty jedna chwila, krót-

ka jak motyla szczęście lub ćmy nocnej, bo umarła o świetle.

Nad głową Bietki kręcą się nietoperze. Suną czarne ich cienie nierównym, porywistym lotem po ciemnym granacie nieba. One to pożerają ćmy, nikomu nic nie winne. Bo przecie nie jest winą wypić kielich kwietnej słodyczy. Po to jest wiosna i kwiaty. Raz nietoperz wpadł do izby, widno za ćmami, zwabionymi przez światło. Usiadł na stole, przy niej. Widziała wyraźnie jego spiczasty pysk, ogromne uszy i złożone błoniaste skrzydła, z jakimi przedstawiają szatanów. Zerwała się i uciekła z krzykiem. Z krzykiem też obudziła się w nocy. Śniło jej się, że w taką jak wówczas noc nadchodzi Doman. Schowała się przed nim dla żartu, jak za dziecinnych lat, lecz serce jej biło tak głośno, że usłyszał i idzie ku niej. Nagle cień ogromny o pazurzystych skrzydłach przysłonił księżyc. Chwila zupełnej ciemności i zniknął, a wraz z nim Doman.

Przeplakała do świtu, potem usnęła i spała twardo, aż obudziło ją jaskrawe światło słoneczne. Dzień był świetlisty, świeży powiew ciągnął od gór, po niebie szybowały wysoko lekkie, białe obłoczki. Nocna zmora w pełnym świetle dnia zdała się Bietce czymś odległym i nieważnym. Natomiast opanowało ją jakieś podniecenie. Zebrała się i wybiegła w las.

Zielonkawy półmrok, miejscami przesiany złotem słonecznych promieni, upajał ją. Rodziło się w niej przecucie, że stanie się coś, że nastąpi jakaś odmiana. A skąd mogła przyjść, jeśli nie od drogi. Może sam Dornan przyjedzie...

Gnana tym przecuciem przedarła się przez gęstwinę ku ścieżce schodzącej do strumienia. Śmigąła w dół lekko, jakby jej skrzydła przybyły. Zdyszana dopadła potoku; bełkotał wesoło, tocząc się po kamieniach, przeskakując prożki. Chodziły nad nim pliszki i kiwały ogonkami poszukując robaków po brzegach. Z lasu dochodziło miarowe kucie dzieciątów, czasem zaskrzeczały sójki. Od drogi nie dochodził żaden głos. Bietka jednak czekała; coś stać się musi.

W miarę jednak jak czas płynął, pewność jej zaczęła przygasać. Może nie sam Doman przyjedzie, jeno wieści przyśle. Przecie nie po to ją ojcu odebrano, by do śmierci samotnie siedziała na tym odludziu. Książę gdzieś wojuje, na Węgrzech czy Rusi, ale i on też kiedyś wróci, a z nim Doman.

Wreszcie wstała z westchnieniem i piąć się jęła pod górę. Słońce przechyliło się już ku zachodowi i żaden promyk jego nie rozświetlał drożyny. Las ucichł, gdy jednak zbliżyła się do dworca, doszło ją ujadanie psów. Przyspieszyła kroku i wpadła zdyszana na obejście. Z dala już dostrzegła, jak parobek wiódł ku stajniom dwa obce konie, do których doskakiwały psy. Żaden z koni nie był Domanowym siwkiem.

Serce jej zabiło. Nie myliło ją chyba przecucie. Siwek może okaleczał lub zginął, a Doman na innym przyjechał. Pomyślała jednak, że Doman mógł też zginąć, i wihrem wpadła do dworca.

Na widok Bietki dźwignął się Nawój siedzący za stołem. Małe jego oczka spojrzały na nią życzliwie i jakby ze współczuciem. Stała nie mogąc się zdobyć na zapytanie o Domana. Jeśli żyw, on po nią winien był przyjechać.

Nawój, dojrawszy widocznie jej niepokój, ozwał się:

— Tylko co wróciliśmy i wraz po was przyjechałem. Doman sam byłby pospieszył, ale nieprędko jeszcze konia dosiądzie.

Odzyskała głos; uchwyciła za rękę Nawoja i drżąc zapytała: Co z nim?

— Matce go odwozłem ranionego, spokojni bądźcie. Starunku mu nie braknie, a już najmniej, gdy wy będziecie przy nim. Zbierajcie się rychło, bo książę wraz kazał mi wracać.—

Dziękuję wam — szepnęła.

Potem, widząc jego zmienioną, wychudłą twarz i szaty zapyłone, zapytała:

— To nawet nocy w swoim domu nie prześpicie?

— Taki to i mój dom — zaśmiał się nieszczerze. — Żeby nie to, iżem sam przywieźć was Domanowi przyrzekł, który się tu jechać upierał, choć na nogach nie ustoi, nawet bym domu nie widział. Szczęście, że nie czeka tu na mnie nikt.

Serce Bietki nabrzmiało wdzięcznością dla Nawoja, a zarazem żał się go jej uczyniło; chciałyby jakoś mu to okazać, lecz wspomniała, co Doman prawił, iż Nawój nie lubi, by mu serce okazywać. Szepnęła jeno:

— Dobry z was człek.

— Pożywiliśmy się już i konie pewno naobroczone. Czas się zbierać.

Albo nie słyszał, albo nie chciał słyszeć jej odezwania.

IV. POWRÓT TRIUMFALNY

Wstawał świetlisty, wiosenny dzień bez chmurki. Ciszę przedświtu pierwsze zakłóciło ptactwo gęsto gnieźdzące się w zagajnikach i zaroślach, wśród których wiódł gościniec do krakowskiego grodu. Wrychle jednak ptasi gwar zginął wśród głosów ludu napływającego z dalszych i bliższych osad, poruszonego wieścią o powrocie księcia po zwycięskich wyprawach na Ruś i Węgry. Coraz to nowe gromady przyłączały się do już stojących, wyrostki obsiadały drzewa jak stada wron, jeno bardziej od nich gwarliwie, niewiasty wiodły dziatki, chcąc im rzadki widok okazać, a nawet niosły niemowlęta, których odbiec nie mogły samych, gdyż kto żył, ruszał, by wjazd księcia obaczyć. Nieczęsto go widywano, ale każdemu jego powrotowi towarzyszyła radość.

Niewiasty i dziatwę cieszyło samo widowisko, wyrostkom serca skakały na widok mocarnych wojów, którym nikt na całym świecie oprzeć się nie zdołał. Z mężów zaś ten sprawę miał, w której sprawiedliwość łacniej u księcia uzyskać się spodziewał, ów — prośbę, inny z łupów zakupić zamyślał potrzebne przedmioty, wszyscy zaś razem cieszyli się, że gdy pan w kraju, komesi, żupani i wielmoże wraz poskromnieją, że łamacz nie będą obyczajowi ni nowych praw wprowadzać, których nikt z maluczkich nie chciał i nie rozumiał.

Ninie spodziewano się, że pan już na dobre powró-

cił. Pobił wszystkich, o łupach, które kraj wzbogacą, dziwy opowiadano, starczy ich na długo. Wraz i daniny lżejsze będą, i towarów kupcy nawiozą, i powinności mniej, gdy jeńców poobsadza przy grodach. A sam książę nie młodzik już, nie z żelaza ni z kamienia. I on wypocząć przecie musi po tylu latach wojowania, i drugim oddech dać. Znali go mało, ale spodziewali się po nim najlepszego i najlepszego życzyli, Piast przecie jest, Piasty zawsze trzymali z ludem, pamiętali, że z kmieci pochodzą. Dobry był i zmarły Kazimierz, choć gdzie mu do syna! Z Chrobrym go chyba równać, nie darmo jest imiennikiem Chrobrego. Jenó że pradziad stary już był, gdy miecz odłożył, i krótko było spokoju i pomyślności. A przed prawnukiem ściele się jeszcze wiek długi, daj Boże, szczęśliwy. Witajże nam, gospodynie!

Krzyk szedł już, zrazu jak daleki szum boru, gdy go wiatr przygina, zbliżał się jak huk fali, aż burzą wybuchnął, że głosu własnego nikt usłyszeć nie zdołał, zanim jeszcze za idącą w przedzie setnią jezdnych, którzy drogę torowali wśród tłumów, ukazał się sam książę.

Jechał na mlecznej klaczy, przybranej w złoto i purpurę. Za pozłocistym siodłem z wysokimi łękami kołysał się szczyt ze srebrnym orłem; wahał się, jakby zrywając do lotu, od niespokojnych ruchów klaczy, która płoszona rykiem gawiedzi biła kopytami, wytrzeszczając czarne, ogniste oczy. Bez widocznego wysiłku ściągało ją ramię księcia, dzierzącego purpurowe, szerokie na dłoń, perłami szyte wodze.

Stojący bliżej, mimo krzyków powitalnych, które same zdały się rwać z piersi, pilnie patrzyli w twarz pana, czy nie znać na nim lat i trudów przebytych. Wychudł, lecz jakby jeszcze w ramionach poszerzał. Wichry węgierskich i ruskich stepów przyzłociły nieco oblicze, uwydatniając jenó młodzieńczą jasność promiennych oczu pod czarnym łukiem cienkiej brwi. Patrzył spokojnie, chwilami zdał się uśmiechać oczyma. W srebrzystej zbroi lśnił w słońcu jak jasność sama.

Promieniowało od niego dostojeństwa, poczucie siły i pewność siebie.

Burza okrzyków szła z księciem, a niezbyt się uciśszała i po jego przejeździe, jeno że okrzyki mieszały się, rozbite już. Witano nimi sławniejszych wojów, znajomków i krewniaków w długim wężu jezdnych, który pełznął za księciem. Potem szli tarczownicy, łucznicy, wreszcie nie kończący się szereg wozów, koło których strażą jechała, odganiając ciekawych, co łupy chcieli obejrzeć. Skończył się wreszcie pochód i tłumy jęły się rozpraszać, gwarząc zawzięcie, a większość ciągnęła ku grodowi, choć mało było nadziei raz jeszcze obaczyć księcia, zgotowane na grodzie wspaniałości i dopchać się do uczyty i darów. Stoki wzgórza oblepione były ludem głowa przy głowie, a idący w przedzie oddział z trudem przedzierał się wśród tłumów falujących lasem rąk wyciągniętych, powiewających chustami, zielonymi gałęziami i równianami. Kami kwiatów, które jak śnieg sypały się pod stopy książęce, iż zdać się mogło, że kamienne wzgórze ożyło na powitanie pana.

Na zewnętrznym podwórku za bramą luźniej było, gdyż jeno co dostojniejszych puszczono, lecz i tu tłumy były niemałe. Zjechało bowiem wielmożów co niemiara, nawet z dalekich stron, gdyż powrót księcia z dawna był spodziewany. Stali tedy dworscy urzędnicy ze złocistymi łańcuchami na szyjach i oznakami swych godności, wojewodowie i komesi przybrani jak do boju, półkole tworząc przed bramą. Na wysypanej jasnym żwirem przestrzeni widniała potężna postać Sieciecha w pełnej zbroi, kutym ze złotych klamer pasie i srebrzystym hełmie z wymalowanym na nim znakiem rodu — toporem. Spod hełmu wymykały się krucze kędziory. Surowe i twarde oczy wpijał w złotą główkę stojącego przed nim chłopczyny. To mały Mieszko uprosił, by mu wolno było pierwszemu ojca przy bramie powitać. W duszy chłopca utkwiała żalność, że ojciec wyruszając na wyprawę ani nie spojrzął na niego; teraz jego pierwszego musi obaczyć.

Znacząca pochód (księcia burza oklasków dotarła do bramy i jakby odbita od niej, rozsypała się w gwar zmieszany. Idący przodem jezdni ustawili się dwoma szeregami po obu stronach wjazdu. Zawrzasnęły rogi stojących na wyżce strażników, zahuczały kotły i w bramie ukazał się książę. Jasnymi oczyma powiódł po zgromadzonych i wzrok zatrzymał na chłopcu, który ruch zrobił, jakby się rzucić chciał ku ojcu, i powstrzymał się, czymś onieśmielony. Bolesław pchnął konia, podjechał do malca, lecz nie zsiadł, jeno się pochylił. Chłopczyna wzniosł ku ojcu zarumienione liczko, ręce wyciągając nieśmiało, lecz widno nie zmieniły się ojcowe oczy, gdyż usiłując się wspiąć . stanowczym ruchem uchwycił się pozłocistego strzemięcia. Książę lekko dźwignął synka. Z radością i dumą spoglądając na dziecko, powiedział cicho:

— Przyjdę ku tobie, jeno powitanie się skończy, a teraz idź do macierzy. Nie czas ci jeszcze między mężami przebywać.

Mieszko zachmurzył się na to, lecz nie rzekł nic, a książę na komornika Zyrę skinął i podając mu , chłopca polecił zanieść Mieszka do księżny, zapowiadając swoje nadejście.

Mieszko wywinął się z rąk *Żf\$%* parsknąwszy . gniewnie:

— Nie czędo ja już, nosić mnie nie trzeba.

i

I ruszył, a komornik za nim. Książę zaś zwrócił się do Sieciecha, który stojąc w milczeniu, wyprostowany, z uśmiechem z lekka drwiącym i niecierpliwym, dopiero teraz skłonił się i zaczął:

— Witajcie nam, gospodynie! Gdy jedni z nas w obcych krajach miecz wasz zwycięski wspierali, my czekali z utęsknieniem na dzień waszego powrotu, by radą was wspierać, skoro wewnętrzne sprawy uładzić przyjdzie. Książę oczyma po zebranych wodził, jakby kogoś kając, i przerwał Sieciechowi:

— Zali nie biskupowi pierwszemu witać mnie przystało?

— Stanisław ze Szczepanowa czeka na was przy drzwiach swej katedry, mniemając, że Bogu zechcecie i podziękować za zwycięstwo.

Wyrażna zmarszczka przecięła czoło Bolesława, lecz odparł spokojnie:

— Tedy zacznijmy od podziękowania Bogu. Gdy zaś wozy dociągną, przygotować stoły i ławy. Podziękować chcemy i nagrody rozdać tym, którzy nasz trud dzielili.

Ruszył koniem, a Sieciech kroczył przy nim z nie-, odgadnionym wyrazem twarzy. Niektórym z obecnych zdało się, jakby w uśmiechu błysnęły mu zęby spod kruczego wąsa.

Pod kościółkiem Św. Michała, stanowiącym tymczasową katedrę, stał milczący tłum duchowieństwa w ciemnych szatach, z zapalonymi świecami, których płomyki równie mdło odbijały od blasku słonecznego, jak milczący tłum ten od wspaniałego orszaku księcia, wielmożów i dostojników oraz gromady pomniejszych dworzan i służby. Jakby świat jakiś osobny, kierowany jedną wolą. Spośród ciżby biskup Stanisław z dala był widoczny w swych pozłocistych szatach pontyfikacyjnych, z pastorałem w dłoni. Umlaś w niej dzierżyć i podwładne duchowieństwo, karząc niesfornych, usuwając bez litości opornych. Stał teraz! nieruchomy u szczytu schodów wiodących ku wejściu do świątyni, górując wzrostem nad otaczającymi go kanonikami, podwyższony jeszcze infułą, jak wieża pnąca się ku niebu nad przysadzistym dachem kościoła, a nad nią już jeno świetliste niebo.

Panujące tu milczenie gasiło gwar nadciągających i gdy Bolesław zatrzymał konia przed wejściem, zaległo cały dziedziniec, jakby oczekiwano na przemówienie biskupa. Książę też zdał się czekać i przez chwilo patrzyli na siebie wzajem. Potem błysk jakiś przeleciał przez twarz Bolesława, jednym ruchem zeskoczył z konia, niemal wbiegł na schody i nie zatrzymując się wszedł do świątyni, w przejściu mówiąc do Stanisława:

— Bogu jeno chcieliśmy podziękować, iż wspierał
nas w naszych poczynaniach.

Szybkim krokiem, dźwięcząc pancierzem, przeszedł nawę i uklęknawszy na klęczniku przed ołtarzem zdał się zatapiać w modlitwie. Stanisław wyszedł po chwili z nabożeństwem w asyście liczego kleru. Gdy skończył, ujął znów w rękę pastorał i stanawszy na stopniach ołtarza widocznie chciał rozpocząć przemówienie. Bolesław jednak, który podczas nabożeństwa twarz ukrył w dłoniach, piersi krzyżem naznaczył i jakby nie widząc stojącego przed nim Stanisława, zwrócił się ku wyjściu.

Zabrzniały za nim zmieszane szepty, lecz zgłuszył je zaraz wrzask, gdy jeno księżę ukazał się na stopniach kościoła. Witał lud pana, witał zwycięzcę i witał bogactwa, jakie właśnie z wozów zwałać poczęto przed ustawionym dla księcia pod zachodnią ścianą zamku podwyższeniem, okrytym purpurowym sukniem.

Tym, którzy nie bywali na Węgrzech i Rusi, zdawało się, że księżę świat chyba cały odarł z bogactw i wspaniałości. Składano na tarcicach stopy całe złotych sztab i pieniędzy, naczyń pozłocistych, złotem tkanych pawłoków, sukien kwiatnych, szat wspaniałych, pasów, łańcuchów i ozdób, broni świetnej kamieniami zdobionej. Tylko dziady w opowieściach o Chrobrym wspominali takie bogactwa, które już bajką wymyśloną przez starych zdały się niejednemu. Jaskrawe słońce grało na skarbach, aż oczy mrużyły się od blasku. Niejedne lica przybladły na ten widok, a może to żółty odblask barwę nadawał im swoją. Bolesław z pogardliwym uśmiechem patrzył na wrażenie, jakie wywierały skarby. Lepiej one niż czyny i słowa przekonywały o księżęj potędze i znaczeniu.

Nagle twarz księcia zmarszczyła się gniewnie. Z szeregów stojącego w milczącym osłupieniu tłumu rozległ się na poły krzyk, na poły jęk przeciągły. Księżę ostrym głosem zapytał:

Kto śmiał w naszej obecności ukrzywdzić człeka? Nikt nie odpowiedział, lecz rozległy się szepty i przez tłum wypchnięto przed księcia kanonika Wolkmara. W zrudziałym, ciemnym płaszczu, mizerny, zgarbiony i trzęsący się ze strachu i pożądania, zdaj się żywym przeciwieństwem wspaniałości, od których oderwać nie mógł swych zielonych oczu.

— Tyżeś krzyknął? Dlaczego? — zapytał Bolesław.

— *Ja*, panie! Bo widok twego bogactwa na oczy mi przywódlł nędzę własną, gdy nie zawsze mam co na grzbiet i do brzucha włożyć, i niesprawiedliwość, iż bogactw tych dostąpią woje twoi, by je roztrwonić na rozpustę bodaj i pijaństwo, a ja księgi moje kupować muszę za to, co brzuchowi odejmę. Nie płuży ci człeku cnota. Księżę zachnął się, lecz rzekł lekko

Pocieszę cię w twym niedostatku. Bierz, ile naraz dźwignąć zdołasz.

Z uśmiechem patrzył, jak kanonik rzucił się na kolana przed stosem złota i rozpostarłszy płaszcz garnął jął kościstymi palcami żółty metal. Kupa przed nim rosła i rosła, dla wszystkich widocznym już było, że ni części dźwignąć nie zdoła, lecz drapieżne ręce zdały się nie móc zaprzestać tego ruchu. Księżę spoglądając drwiąco rzekł:

— Zda mi się, że nad siły bierzecie, jeśli nie nad potrzebę. Złoto ciężkie jest. Baccie, by was nie zgniotło.

Wolkmar opamiętał się. Zgarnął rogi płaszcza i ujawszy je, podnieść usiłował. Zatoczył się jeno i puścił. Bezradnym okiem patrzył po obecnych, jakby pomocy wzywając. Ale twarze ich wyrażały wszystko inne prócz współczucia i gotowości do pomocy. W pierwszym rzędzie stał Przebimił; patrzył na Wolkmara z kpina.

Wolkmar opanował się. Ukłąkł ponownie i jakby siłą przemagając opór swych rąk, odrzucać jął złoto z powrotem na stertę. Pot lał mu się z czoła, oczy przymykał, jakby widzieć nie chciał straconego bo-

gactwa, które już było jego. Z ciężkim sercem rozstawał się z nim, jak gdyby je ciężkim trudem zdobył. Znowu zebrał rogi płaszcza i usiłował dźwignąć tobół, również bez skutku. Tym razem wysiłek jego powitany został głośnym śmiechem; śmiech trwał, wzmagał się. Wolkmar, jak pod pręgierzem, to czerwienil się, to bladł. Szybko odrzucał garść za garścią. Oczy jego świeciły już nie blaskiem złota, lecz śmiertelnym, zimnym gniewem gada. Raz jeszcze zebrał brzemie; zatoczył się, zdało się, że upadnie, lecz najwyższym wysiłkiem utrzymał się na nogach i szedł chwiejnym, ślaniającym się krokiem ku budynkowi kapitulnemu. Rozstępowano się przed nim, dogadując z drwiną, a śmiech nie opanowany już niczym leciał za nim, smagał go, potraçał. Za Wolkmarem kroczył Przebimił.

Gdy weszli za węgiew budynku, uwaga już odwróciła się od Wolkmara. Jenó znalazł się sam, zrzucił ciężar, i przysiadł na ziemi. Spojrzał na stojącego nad nim. Przebimiia i rzekł zdyszczanym głosem:

— Bierz brzemie i pójdźmy.

— Wezmę, czego sami ponieść nie wydolicie. Gdzieżbym śmiał woli księcia się przeciwieć, który tyle jeno dać wam chciał, ile udźwigniecie. Żeby tak na mnie, dwakroć tyle bym wziął. Ale ja nie mam szczęścia jako wy.

Zarzucał sobie tobół bez wysiłku na plecy, złożył go z powrotem i rzekł:

— Sprawiedliwie mówię; dwakroć tyle bym udźwigał. Ale zadowolę się choćby tym, co ponad wasze siły.

Wolkmar syknął ze złością:

— Osieł czterokroć tyle by uniósł, alebym się z nim nie pomieniał.

— A jaszczurka ani tyle, co wy; szczęście wasze, że nią nie jesteście.

Wolkmar zęby zacisnął i usiłował dźwignąć brzemie. Nogi się pod nim zatrzęsły, siły go opuściły i usiadł znowu. Przebimił rzekł drwiąco:

— Nie wydliecie naraz, noście se po trosze. Złoto wam samo nie ucieknie, chyba że pomogą mu inni.

Wściekłość i rozpacz zaświeciły w oczach WolkmarTa.

— Jeśli nie poniesiesz — krzyknął — wydalę ciel

— Wydalicie?! — zapytał zimno Przebimił. — A. co będzie, gdy się dowiedzą, jaką to pełniłem u was służbę? Macie mi płacić, bym zapomniał, taniej odniosę wam złoto, gdzie każecie.

— Bierz! — rzekł Wolkmar z bezradną złością. — Zapłacę.

— Co dźwigniecie, wasze, reszta — moja?

— Dobrze — burknął Wolkmar, widząc, że zbliża się kilku gapiów, rad by już ze swym skarbem zniknąć z ludzkich oczu. Wzburzony był do największej głębi, na powierzchni jego uczuć jednak pieśniła się wściekłość na Przebimiła. Gdyby Przebimił wiedział, co mu Wolkmar poprzysiągł w duszy, może by nie kroczył tak beztrosko. Gdy weszli do izby Wolkmara, cisnął brzemię z rozmachem na dennicę, na której Wolkmar miał swe legowisko. Nie wytrzymała i zwała się z łoskotem. Przebimił zaśmiał się mówiąc:

— Na złocie mnie sypiać będziecie. Jeno że jednym okiem.

W tej chwili do izby wpadł młody kleryk i zawołał:

— Biskup widzieć was żąda, co ducha. Spieszcie, bo zły jako nigdy.

Wolkmar rozejrzał się bezradnie. Przebimił zrozumiał jego wzrok, gdyż rzekł:

— Idźcie śmiecie. Ile dźwigniecie, tyle wasze, tedy liczyć nie trzeba.

Stanisław chodził wzburzony po swej komnacie. Duma jego i poczucie wagi stanowiska silnie zostały dotknięte zachowaniem się Bolesława przy powitaniu. Łacniej zniósłby otwarte wyrzuty lub gniew, którego przyczyna była mu zrozumiała, niż objawy lekcewa-

żenią, aż nazbyt dokładnie okazujące, iż Bolesław uważa się za króla żadnej władzy ni prawu nie podległego. Nie dość, że na koniu siedząc, oczekiwał powitania biskupa jak zwykłego komesa; jeszcze konia przed kościołem ostawił, jakby pieszo nie mógł przejść z Domu Bożego do zamku; białego konia, do dziś czczonego przez pogańskich Słowian północnych. Cóż dziwnego, że lud pogańskich obyczajów się trzyma i praw, które w nich biorą swój początek. Stanisław wypowiedział im walkę. Dużo wskórał pod nieobecność księcia, przykład jego działał na kraj cały. Wielu wielmożów, radych odciąć się od ludu, by wzorem Zachodu stan swój utworzyć i wpływ w państwie uzyskać, na jego przechylało się strone. Stanisław liczył się z oporem, nawet z walką, nigdy z lekceważeniem. Gdy zaś *doniesiono mu o* zajściu okrywającym śmiesznością najbliższego doradcę biskupa, wpadł w gniew przeciwko samemu Wolkmarowi i polecił natychmiast wezwać kanonika.

— Więcej się od mądrości waszej mogłem spodziewać, niż że przez chciwość na pośmiewisko podacie siebie, a także i nas, teraz, gdy nam całej powagi potrzeba! — wybuchnął biskup.

— Więcej się od sprawiedliwości waszej mogłem spodziewać, niż wyrzutów za to, iżem dla dobra Kościoła zelżywość odniósł. I wielce by się pyszałek ten uradował, iż za marną garść złota, którego nawiózł jak liści, nie tylko nas poniżył, ale i poróżnił teraz, gdy jedności nam trzeba. Zali to na jadło czy napój, szaty czy broń, sprzęty bogate czy niewiasty pieniędzy mi trzeba? Księgi kupuję i ludzi dla sprawy.

— Wszelako nie trzeba było garnać nad siły — rzekł chmurnie biskup. — Stąd pośmiewisko.

Wolkmar skulił się pokornie: i — Za grzechy moje przyjmuję. Wszak ci jednak [motłoch ze wszystkiego naigrawać się skłonny. Samże i Chrystus Pan nasz na pośmiewisko gawiedzi był wy-Istawiony. I z was śmiano się, choć po cichu, jże najprzód z konia, jakby już królem był, powitania wasze-

go chciał słuchać, a gdy wasze męstwo dumie jego ten żer odebrało, do katedry waszej wszedł i wyszedł, jakby was nie było.

Ciemny rumieniec ubarwił twarz biskupa:

— Jeszcze się sam o swoją godność i prawo upomnieć potrafię. Ale nie będą nam pomocne ni prześmiejchy, ni zarzut chciwości.

Wolkmar głową kiwał, jakby ze zrozumieniem i smutkiem:

— Ja mały człowiek; o mnie pogadają i zapomną. Gorzej, że wam samym chciwość, ba, bezprawie zarzucają.¹

— Kto śmie? — zapytał Stanisław przez zaciśnięto zęby.

— Leliwy. O Piotrawin.

Biskup usiadł. Po chwili rzekł zmienionym głosem:

— Wazą się?

— Zjechali tu i doniesiono mi, że o tym gadają. A teraz, gdy pewni będą książęcego poparcia, ani chybi, pozwą was.

— Kupiłem, zapłaciłem. Słuszność po mojej stronie.

— Ale nie prawo. A gorzej, że pieniądze zniknęły. Nie chciałem wam donosić, ale o śmierci Pietrka różnie gadano.

Biskup twarz dłonią zasłonił. Długo panowało milczenie; wreszcie rzekł przytłumionym głosem:

— Nigdy bym majętności nie wziął, gdybym o tym wiedział. A ninie niech bracia i krewni biorą; nie będę się o nią pieniał.

— Po to, by gadali, żeście ustąpili, bo sprawa boi się słońca? Wiele wygracie, jeśli zaczniecie ustępować!

Nie takie walki staczać wam przyjdzie by ugruntować swą władzę.

— Sami mówicie, że prawo przeciw mnie, a książę nie będzie mi teraz zyczliwy.

— Nie on sam sądzić będzie, lecz *convocato totius regni consilio* Przyda się moje złoto. A sprawa słusz-

¹ c o n v o c a t o... — zwoławszy radą całego królestwa

na, Bóg sam pomóc wam musi. Nie znamyż i cudów? Pomnijcie, jak św. Aja, grafini Hannegau, z grobu zaświadczyła, jako darowała swe dobra klasztorowi św. Walterudy.

— Słusznie mówicie, bracie — odparł biskup w zadumie. — Ustąpić nie mogę. Módlcie się i myślcie o sprawie. Niegodzien jestem, by Bóg dla mnie cuda czynił.

— Nie dla was, jeno dla Kościoła. Wiara wywołuje cuda.

Wolkmar pokłonił się w milczeniu. Wychodząc pomyślał, że łącznie cuda wywołują wiarę.

Przyspieszył kroku, pomny, że Przebimił pilnuje złota. Bezcny chciwiec. Pozbyć się go jak najprędzej, jeno tak, żeby milczał.

V. BOGUMIŁ

Krystyna ubrana po męsku siedziała na koniu; odskakiwały ją psy, niecierpliwące się, by ruszyć na iwyczajną włóczęgę po lasach i bagnach, gdy na drodze wiodącej do krakowskiego gościńca ukazał się jezdnym. Po ciemnej, długiej szacie i gołym łbie z dala już poznać można było mnicha.

Zachodziły czasem do Bużenina i wędrownie kleryki 30 proszonym, i mnichy, ale zazwyczaj pieszo lub wozami; jedyni zresztą goście od czasu śmierci Wszebora powrotu Krystyny. Poza tym droga zarastała trawą; dyż i z majątności, o które nie dbał nikt, nie było; czym i po co jeździć. Dlatego widok zbliżającego się; dziwił Krystynę. Ściągnąwszy niecierpliwącego się conia, czekała.

Mnich tymczasem opowiedział się przy bramie, zlął podjezdka i skierował się wprost ku Krystynie.

Stanął przed nią i pochwaliwszy Chrystusa skłonił się z oznajmieniem:

— Jego wielebność opat Bogumił przejazdem ciągnąc przybycie swe zapowiedzieć wam polecił i o gościnę; prosić.

— Wdzięcznym sercem czekamy — odrzekła niekazując zaskoczenia. — Tymczasem pozwólcie do wietlicy na posiłek, bo zdrożeni być musicie.

Mnich uśmiechnął się młodą twarzą i odparł:

— Z Mogilna ciągniem, ale odpoczęliśmy w Bogumiłowej osadzie nad Żegliną. I opata tylko co nie

widać, bo choć z wozami jedzie wolno, ale nie z daleka.

Krystyna zeskoczyła z konia oddając go pachołkowi. Poleciała zawołać Zastawę i weszła do swej izby.

Czekała długo, bo i Zastawa, dawniej zrywająca się przed świtem do gospodarstwa, widząc, że na nic to i dla nikogo, opuściła się i postarzała. Krystyna czekała, podniecona i wzburzona.

Z dziecinnych lat utkwiał jej we wspomnieniu poważny młodzian, którego widywała, gdy w odwiedziny przyjeżdżał do Bużenina z ojcem swym, gnieźnieńskim komesem, Mikołajem. Można to była gałąź rodu Porajów, przez matkę Katarzynę z Jaxamii spowinowacowana, władająca licznymi ziemiami nad Wartą i Nerem, choć skazana na dobrowolną zagładę, gdyż obaj synowie Mikołaja mnichami benedyktyńskimi ostali.

Już wtedy onieśmiał dziewczynę poważny krewniak, lecz i pociągał jakąś z oczu promieniującą dobrocią i zrozumieniem ludzkich spraw, wielkich i małych. Pamiętała go. Słyszała, że daleko na zachód jeździł na nauki. Potem, gdy Bolesław ufundował klasztor w Mogilnie, osiadł tam i po opacie Mengozjuszu sam godność tę otrzymał. Mimo to, a może właśnie dlatego, jego, ostatniego z krewnych, widzieć sobie życzyła. Tym bardziej że ani chybi z jakąś sprawą przyjeżdża, skoro we własnym dworcu o niecałe pół dnia drogi odległym wypoczywał, a Bużenin nie leży na jego szlaku.

Krystyna przebierała się w niewieście szaty, gdy wpadła Zastawa, poruszona. Widząc, co czyni Krystyna, piasnęła w dłonie.

— Chwalić Boga, że opat z nagłą nie nadjechał. W skorniach, z rozpuszczonymi włosami, za pachołka wziąłby ciebie. Wraz ci czepiec przyniosę, bo wstydz niewieście mężów, tym bardziej duchownych wysokiej godności, z rozpuszczonymi włosami przyjmować.

— Niechajcie! — odparła Krystyna niechętnie i stanowczo. — Mówiłam wam, co myślę, nie zmieniło się nic.

— Oszalałaś ty lub wstydu nie masz! A i opat za zelżywość poczytać to może.

— Niech poczyta! Wie, do kogo zjeżdża. Unikali mnie krewniaki dotychczas, niech unikają dalej, kiedy im wstyd no.

Zasława chciała jeszcze przekonywać, lecz w podwórcach gwar zapanował. Łamiąc ręce wypadła, by przyjęcie godne takiego gościa zgotować. Krystyna została sama.

Pancerzem niechęci i gniewu daremnie broniła się przed ogarniającym ją uczuciem niepewności. Czowała, że tego krewniaka nie potrafi zbyć pogardliwie, jak zbyłaby każdego innego, a zarazem przeczuwała, że mówić z nią będzie o sprawach, o których nie mówiła z nikim i mówić nie chciała. Sprzeczne uczucia rumieńcem biły jej na twarz, serce zakolało niespokojnie, gdy w sieniach rozległy się kroki i otwarły *niq* drzwi. Stała pokornie niemal, z opuszczonymi oczyma, gdy przed nią rozległ się męski i silny, lecz czymś za serce biorący głos.

— Tyżeś to, Krystyno! Lata mi włos przyprószyły, tyś z pączka w kwiat się rozwinęła, a poznałbym cię zaraz, choć oczy kryjesz, które pamiętam najlepiej.

Podniosła je. Ujrzała przed sobą męża pię-knej i rosłej postawy. Na skroniach i brodzie ciemny włos gdzieś niegdzie przeświecał już siwizną, ale oczy były młode, czyste i jasne, znane, podobne do jej własnych. Pochyliła się, dłoń jego całując, a on przygarnął ją ojcowskim ruchem i ucałował w głowę, jakby nie widział, że nie ma na niej ni czółka, ni czepca. Krystynę zapiekło pod powiekami; poczuła dawno zapomniany smak łez. Opat zaś ujął ją za ramiona i prowadząc ku wyścielanej lawie mówił:

— Usiądźmy! Niech ci się napatrzę, na długo pewnie znowu. Do Rzymu jadę z poselstwem, a czas mój nigdy nie należy do mnie.

Gdy milczała, ciągnął:

— Może urazę żywisz, Krystyno, iżem przy tobie

nie stanął, gdyś ostała sama i bez opieki, w nieszczęściu i żalu. Nie winuj mnie, nie byłem wczasy w kraju. Ale ni dnia nie było, bym cię w modlitwach swych nie wspomniał, o łaskę dla cię prosząc.

Rozczulenie, ale i gorycz ogarnęły Krystynę:

— Nie wysłuchał Bóg waszych modłów — szepnęła.

Umilkła zalekniona, że sama kieruje rozmowę ku sprawom, o których mówić nie chciała. Lecz opat odparł smutno:

— Może jeszcze wysłucha. A może by wysłuchał prędzej, gdybyś modliła się sama.

Skuliła się. Czuła, że jeśli mówić zacznie, wyrzuci z siebie wszystko: zawody, upokorzenia, nieszczęścia i bunt przeciw wszystkim i wszystkiemu. Opat chciał tego widocznie, lecz opierała się. Odwykła mówić o sobie. Z rozterki wybawiła ją Zasława, zapraszając na posiłek.

Przeszli do świetlicy, gdzie już czekali towarzysze Bogumiła; jeden siwy już mnich, z pierwszych magdeburskich, którzy w Mogilnie osiedli, mową zdradzający obce pochodzenie, trzech młodszy już swoi i poważny, starszy mąż, który się Naclawem Jaxą z Krytych oznajmił. Wdowiec bezdzietny, majątności na klasztor zapisał i pomagał krewniakowi w zarządzaniu ogromnymi włościami, jakie dzięki hojności księcia przypadły klasztorowi na Kujawach i Mazowszu. Ninie ciągnął z opatem, by dowództwo objąć nad orszakiem, który towarzyszyć miał Bogumiłowi do Rzymu. Przypominał Krystynie, że i on w Bużeniu bywał i towarzyszem wypraw był jej ojca, o których barwnie i zajmująco począł opowiadać. Krystyna zasluchała się i ożywiła. Obawa jej i niechęć do ludzi zniknęła gdzieś wypytywała starego wojaka i ani się spostrzegła, że słońce dobrze już się pochyliło, gdy wreszcie opat wstał mówiąc:

— Pewnie w gospodarstwie niejedno masz uładzić. Ja chętnie po dworcu pochodzę, obejrzyć kąty, któryety nie widziałem dawno. Może ci i doradzę co nieco.

Krystyna zarumieniła się, ale odparła szczerzej.

— Chyba Zaslawę wam zawołam, bo ja ani wiem, gdzie co jest. Żyję jak nie u siebie,

— A gdzieżeś u siebie?

— W lesie, na bagnach, na łągach, gdzie poniosą oczy.

— Słyszałem ci ja, żeś się gdzieś wybierała, gdym nadjechał. Pojadę z tobą. I mnie ongiś koń nie był dziwny, bo rodzic sposobił mię na wojaka, nim Bóg do swego wojska powołał. Kai tedy okulbaczyć rumaka, a ja szaty stosowniejsze przywdzieję, bo w zakonnym nieporęcznie na siodle.

Krystyna skoczyła wydać zarządzenia i gdy konie sprowadzono, czekała na opata. Wyszedł po chwili; gdy dosiadł konia, zdał się młodszy. Piękny był mąż. Krystyna zastanawiała się, co mogło skłonić go, że wyrzekł się świata. Można był, wysokiego rodu, władca umiał ludźmi. Musiał przecie miłować i jego pewnie miłowano. Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Ruszyli.

Dzień z rana cokolwiek wietrzny, z przelotnymi chmurkami, wyczyścił się i uspokoił pod zachód. Blask słoneczny przybierał już barwy złote. Spokój i cisza były dokoła.

Jechali zrazu drogą wśród lasu. Opat pogodny był jak to popołudnie. Wspominać zaczął własne i Krystyny dzieciństwo, małe sprawy, dawne zdarzenia. Czuć było, że jest sercem z nimi związany. Krystyna aż się zdziwiła, że człowiek, który istotną władzę sprawuje w gnieźnieńskiej metropolii, a ninie jedzie do Rzymu, ani chybi w sprawach najważniejszych całego polskiego Kościoła, czas ma głowę sobie zaprztać drobiazgami... i nią. Ani się spostrzegła, jak do jego wspomnień zaczęła dorzucać własne. Opór przełamał się w niej, wspomnienia zaczęły przechodzić w zwierzenia. Bogumił słuchał, rzadko rzucając słowo, chwilami zapominała, że jest przy niej. Nagle umilkła tak, jakby ją ktoś za gardło uchwycił. Twarz jej pobladła, oczy zaszkliły się. Opat spojrział na nią. Mijali właśnie leśne wzniesienie, miejsce, gdzie Krystyna pierwszy raz

spotkała Bolesława. Wszystko inne zdało jej się przy tym tak nieważne, że niewarte wspomnienia. A o tym mówić nie może! Jednocześnie uświadomiła sobie, że Bogumił chciał z nią mówić o tym właśnie, że po to przyjechał. Nie nalegał, nie pytał, ani się spostrzegła, jak niemal bezwiednie sama by mu wszystko wyznała. Powstał w niej znowu opór, lecz zarazem graniczący niemal z przestachem podziw dla tego człowieka, który tak nieznacznie wtargnął do zamkniętej w sobie i najeżonej duszy. Przeraziła się naprawdę, gdy rzekł poważnie:

— W tym miejscu coś ci się przygodzie musiało, ważniejszego niż wszystko, o czym mówiłaś.

W głosie jego brzmiała tak serdeczna życzliwość, troska - i współczucie, że reszta oporu załamała się w Krystynie. Wybuchnęła płaczem, żalonym, bezradnym, niepohamowanym, płaczem skrzywdzonego dziecka. Głowę przytuliła do grzywy konia i trzęsła się od łkań. Nie przestała płakać, gdy silne ramiona zdjęły ją na ziemię. Bogumił usiadł na brzętku drógi, głowę Krystyny przytulił do piersi i gładził ją łagodnie.

Pląkała długo, jakby wylać chciała wszystkie łzy, od dawna już przez dumę wstrzymywane. Potem uci- chła i zdała się zasypiać jak dziecko na łonie ojca. Bogumił milczał. Słońce tymczasem konało za borem, zorza zachodu ukraśniała już pół nieba, a odblaski jej kładły się na piaszczystej drodze. Krystyna podniosła wreszcie głowę, lecz twarz ukryła w dłoniach, jakby zawstydzona. Gdy opat milczał nadal, szepnęła:

— Nie dziwcie się. Matkę ledwo pomnę, ojca widywa- wałam jako gościa, a gdy go najbardziej potrzebowa- łam, ostałam sama.

Zaśmiała się z przymusem:

— Wy tego nie możecie wiedzieć, jak człeku czasem braknie kogoś, by się oń oprzeć, schronić do niego, a bodaj wyzaliczyć jako dziecko przed matką.

— Wiem ci ja — odparł smutno.

Spojrzała na niego ze zdumieniem:

— Wy?

Twarz opata wyrażała spokój, powagę i siłę. Nie mogła pojąć, by ten człowiek kiedykolwiek potrzebowal oparcia, by jąc się go mogła słabość lub skalać grzech. Sam był na oparciu dla innych stworzony. Słuchała ze zdumieniem, gdy zaczął mówić:

— Nikt od słabości nie jest wolny; są burze, co dąb obalić wydolą, nie jeno kłos złamać. A oparcie, jakie Bóg dziecku daje w rodzicielach, by je chronić, gdy słabą jeszcze jest witką, zwykłym porządkiem W dojrzałych leciech odbiera. Ale sam jest Ojcem, u którego zawsze znaleźć można schronienie, radę i oparcie. Nie odmawia go nikomu.

— Mnie odmówił — szepnęła i umilkła przerażona, że za bluźnierstwo poczyta te słowa.

Odrzekł jednak spokojnie:

— Żal mówi przez ciebie i niecierpliwość. Za młodu często się zda, że to lub owo najważniejsze w życiu, a wszystko inne za nic. A gdy człeku włos posiwieje i obejrzy się za siebie, sam pozna, że jeno całość życia znaczenie jakoweś posiada, a ważne jeno to, co wpływ ma na ostateczny cel człowieka.

Zorze już gasły, droga zanurzała się w cień. Od lasu i bagien pociągnął chłodniejszy powiew, od którego zaszemrały liście. Krystynę przeszedł dreszcz; siedziała skulona, wyczerpana płaczem. Zdziwiła ją, jak Bogumił czytać umie jej myśli, A jednak jej nie rozumie. I nagle zapragnęła, by ją zrozumiał. On właśnie. Inni niech myślą o niej, co chcą.

Znowu, jakby czytając jej myśli, rzekł:

— Jeśli ci ulży, możesz wyznać mi wszystko jako na spowiedzi. Kapłanem jestem, nie dowie się nikt, co mi zwierzysz, czy o sobie mówić będziesz, czy o kim., o grzechach swoich czy cudzych czy jeno o nieszczęściu.

Milczeli, ale Bogumił już wiedział, że mówić znacznie, jeno jeszcze myśli i słowa zbiera.

— Odgadliście, że w tym miejscu przygodziło mi się coś, co odwróciło moje życie jako skała rzekę. Jego tu raz pierwszy ujrzałam.

Nie zapytał, kogo. Upewniło to Krystynę, że wie o niej wszystko. Ucieła:

Cóż więcej wam powiem? Co potem — powiedzieli wam inni. Cóż mogą wiedzieć inni?! Patrzą jako na powierzchni wody. Ani chcą, ani mogą wiedzieć, płytka jest czy głęboka, czysta czy brudna. A ja sama to — wiem?! — wybuchnęła. — Wiem że tak się w bajkach zaczyna szczęście; a mnie zaczęło się nieszczęście. Anim wiedziała, kto jest, anim go dobrze widziała. Ciemno było. A już wiedziałam, że to ten, którego się spotyka raz na całe życie... A on mnie oddał za Mścislawa; mógł chociaż na to nie zezwolić. Żyłabym tu... sama, a z nim. Nie przejdę koło tego miejsca, bym go nie widziała tak, że zda się, jeno rękę wyciągnąć. Aniby w tym krzywdy niczyjej nie było, ani grzechu. Na konanie mnie wydał, długie, powolne, haniebne. A gdy mi się zdało, że skamieniałam już aż do serca, że nie masz takiej rzeczy, która zdołałaby mnie poruszyć, przyszedł znowu. Czułam, że tą jako lód od słońca, że budzi się we mnie na nowo wszystko... nawet nadzieja... Zhańbił mnie jak pijany wojak niewolnicę... W tę noc zrodziłaby się nienawiść. Ale gdy odchodził, rzekł, że mnie miłuje. Czułam, że nie skłamał; nie umie. Od tej nocy wiem jeno to, że gdy mnie weźmie w ramiona, nie ostaje nic z tego, co było, że nic mi to, co będzie. A gdy odejdzie, wszystko znowu wstaje jak żywe: i krzywda moja, i hańba, i nienawiść, jakby to wszystko nie wczoraj było, lecz dziś. Uciekam przed ludźmi i sobą; jedna nadzieja na chwilę spokoju to ta, że wróci i da zapomnieć... Gdy odjeżdżał pierwszy raz po moim powrocie, rzekł mi, że krom mnie nie masz niewiast dla niego. Uwierzyłam. A ninie mija drugi już rok: ni jego, ni wieści. Wy go znacie, słyszycie, co ludzie mówią. Powiedzcie, że skłamał, że igraszką jeno byłam dla niego, ja wam uwierzę... Lżej będzie żyć, gdy ostanie już tylko nienawiść i pomsta.

Z bliska, bo mrok już zapadał, patrzyła w twarz

opata. I ona zmierzchła smutkiem. Milczał długo, jakby coś ważył w sobie:

— Nie wiem, czy dobrze uczynię, ale kłamał nie będę; grzechem grzechu nie zwalczy.

— Grzechu?! — niemal krzyknęła Krystyna. — Wolina byłam, gdy to na mnie padło. I on był wolny. Nie z mojej woli za Mściława mnie wydano, nie on chciał pojąć Wyszestawę. A ninie ja wolna jestem, a on jeno z miłości dla syna Wyszestawę ostawił przy sobie. Ni ja znam innego męża, ni on... On? Nie wiem. Drugi rok mija, życie mija, ja wciąż jeno czekam, a nawet nie wiem, czy czekać mam na co. Zmiłujcie się, powiedzcie! — Krystyna załamała ręce.

— Czego ty ode mnie żadasz, niewiasto?! Bym krzepił twe grzeszne miłowanie? Ale jako rzekłem, nk skłamię. Bolesław do małżonki nie wrócił. Nie słychać, by miał inne niewiasty. Ludzie mali a źli, co zrozumieć nie mogą, że tacy jak on, których Bóg do wielkości powołał, poświęcić potrafią wszystko, nawet miłowanie, by ją osiągnąć, oszczerstwa o nim szepcą plugawe. Może i tobie Bóg da, Krystyno, coś silniejszego niż miłowanie, a czas ci spokój przywróci.

— Silniejszego niż miłowanie? Chyba śmierć! Ale darmo się o nią modliłam. Drzewiej myślałam, że duma we mnie silniejsza. Umiałam odmówić, gdy mnie zawołał. Musiał on rzucić wszystko i przyjechać. Ninie i to się zwaliło. Niechby na mnie zawołał jak na sukę, pobiegnę za nim. Wstyd mi zabrano, dumę mi zabrano. cóż mi ostało? Mówicie, grzech! Niech mnie Bóg potępi za to, co uczyniono ze mną i z miłością moją: Rzeknę, że niesprawiedliwy!

— Błuznisz, Krystyno! — krzyknął Bogumił.

Umilkli. Ciemność już zapadła zupełna. Po dłuższej chwili opat wstał mówiąc:

— Czas wracać do dom, bo rankiem ciągnąć mi dalej-

Dosiedli koni i zrazu jechali pogrążeni w myślach. Bogumił zaczął jakimś stłumionym głosem:

— Może ci ulży, Krystyno, jeśli ja zwierzę się przed

tobą. I jam ongiś Boga o śmierć prosił, i ja bluźniłem,
A potem mi Bóg pozwolił zapomnieć o własnych spra-
wach, służyć bliźnim i Kościołowi. I wrócił mi spokój...
Rozumiem cię jako siebie samego i cierpię wraz z to-
bą. Będę się modlił, by ci Bóg spokój przywrócił.

— Nie odpowiedziała. Jechali w ciszy nocnej, jeno
chrzęścił piasek pod kopytami koni. Dopiero gdy ujrze-
li światła na gródku, opat przerwał milczenie:

— Są eremy benedyktyńskie dla niewiast. Może byś
tam spokój znalazła.

— Odparła sennym, cichym głosem:

— Tu jeszcze mam serce o co zaczepić wspomnie-
niem. Ostanę w Bużeninie. Chyba że mnie on zawoła.

VI. SPRAWA O PIOTRAWIN

Gorszące klótnie o następstwo po Janie Jastrzębcu, które od lat trzech trzymały w osieroceniu wrocławską stolicę, skończyły się wreszcie. Bolesław sam zjechał do Wrocławia i zagroziwszy, że za wroga swego uważać będzie każdego, kto wznieci dalszy spór i rozdwojenie, na pasterza wskazał sędziwego scholastyka Piotra Powalą Ogończyka, Coraz mniej było w Polsce chętnych, by się woli pana otwarcie przeciwstawić. Czuł to biskup Stanisław, gdy stronników jednać sobie usiłował dla sprawy o Piotrawin. Ośmieleni Leliwy pozew wnieśli, bracia Pietrkowi — o posiadanie, krewniacy — o prawa bliższości. Sędzia Zbylut zrok już wyznaczył na wiecu sądowym na wiślanej kępie w Solcu. Sprawa nabierała rozgłosu i nie o majątność już chodziło, lecz o powagę i dobre imię biskupa. Ja zwykle nieprzychylni, których surowemu pasterzowi nie brakło, korzystali z nadarzającej się sposobności i wznowili oszczerczą plotkę, jaka krążyła o śmierci, Pietrka. Ustąpić już nie było można. Obie strony gotowały się do rozgrywki ze wzrastającą niechęcią, biskup jednak zbyt biegły był w zakonie, by nie widzieć, że sprawa jego słabą była. Wiedział, że w ostateczności rozstrzygnięcie zawisło od woli księcia, lecz i to nie mogło dodać mu otuchy. Bolesław, dawniej mu życzliwy i pełen uznania dla wiedzy i gorliwości biskupa, ochłódł wyraźnie od chwili, gdy Stanisław wyboru Hildebranda nie uznał. Ni?

było tajemnicą dla Stanisława, że księżę odbudową Kościoła zamierza, lecz miast zbliżyć się do biskupa, który najlepiej służyć mógł radą i pomocą, odsunął się od niego. Z opatem Bogumiłem nad tymi sprawami uradzał.

Wolkmar wieści znosił, przypisując Krystynie, że księżę do krewniaka jej, Bogumiła się zbliżył. Zdat się jednak nie tracić pewności siebie. Nie chciał mówić, na czym ją opiera, jeno rzekł, że głupi z mądrym nie wygra. Nalegał tylko, by jak najprędzej wyruszyć do Solca, na miejscu się rozejrzeć i o ludzi otrzeć, Stanisław czując się bezradnym polegał we wszystkim na kanoniku. W pogodny wiosenny dzień orszak biskupi wyruszył z Krakowa. Biskup zawsze dbał o okazałość, wiedząc, że podnosi to powagę w ludzkich oczach, teraz zaś tym bardziej zależało mu, by znaczenie swe podkreślić, zwolenników zjednać, a onieśmielić przeciwników. Dwór też za nim ciągnął księżęcemu równy, przodem bieżeli posłance z zapowiedzią przejazdu pasterza. Choć zazwyczaj oszczędny i rządny, kościoły po drodze hojnie obdarzał, biednych, wspomagał, toteż wszędzie witano go uroczyście, żegnano z zapalem.

Ciągnął za to wolno, tak że za Sandomierzem dognał go Sieciech, który w przeciwieństwie do biskupa samopiet jeno na wiec jechał, jakby rozmyślnie chciał się uczynić mniej widocznym. Stanęli społem na nocleg w Zawichoście, gdzie ich podejmował na grodzie komes Pacząta Nagodzić z wielką czcią i godnością.

Pacząta sam wybierał się na wiec i słyszał już o sporze Stanisława. Nie taił swego oburzenia na Leliwów, że świątobliwego biskupa przed sąd ciągać śmieli. Sieciech natomiast milkliwy był. Dopiero pod koniec wieczery ozwał się:

— Jeśli wcześniej chcecie być w Solcu niż księżę, radzę pospieszyć z podróżą. Gdy wyjeżdżałem, właśnie posłaniec przybył przyjazd księcia z Wrocławia oznajmić. Wiecie, że szybko zwykł podróżować. Chyba tyle się zwlecze, że opat Bogumił Poraj w Krakowie

czeka na -niego, bo omówić mają poselstwo do Rzymu, które Bogumił poprowadzi.

Biskup milczał zaskoczony. Wolkmar natomiast dopytywać zaczął. Sieciech jednak odpowiadał niechętnie:

— Nie znam się na waszych kościelnych sprawach.

Ale tak myślę, że jeśli Bogumił paliusz przywiezie, a po to jedzie — to dla siebie. Potrzebna warn była jeszcze sprawa o Piotrawin?

— Nie ja ją wszcząłem — rzekł biskup. — A ninie wygrać muszę.

— Chyba cudem — odparł Sieciech.

Rozmowa się urwała. Sieciech zaczął się żegnać usprawiedliwiając, że o świcie musi jechać dalej, bo przed wiecem chciałby majątności swe odwiedzić kolo Czerska. Nie spał jednak jeszcze, gdy do drzwi jego izby zapukano i wszedł Wolkmar.

Sieciech nie zdziwił się, jakby czekał na niego. Widno domyślał się nawet, o czym Wolkmar mówić zamierza, gdyż uprzedzając odezwanie się kanonika, zaczął:

— Na mnie w tej sprawie nie liczcie.

— Dlaczego? Czyśmy sobie wzajem pomagać nie przyrzekli? Dotychczas wy jeno korzyść mieliście. Nie Stanisław wam to zgodę z księciem i godność krakowskiego palatyna wyjednał?

— Myślę, że Suła; a psiarków w naszym rodzie nie bywało. Ale nie w tym rzecz. Wam nie pomogę, sobie mogę zaszkodzić.

— Zbytńioście ostrożni. Gdy cała rada, a bodaj jej większość, za biskupem stanie, księżę liczyć się z tym musi. Nie o Piotrawin chodzi; to jeno pozór, by policyć, kto z nami.

— Dobryście pozór obrali i porę stosowną — rzekł

Sieciech drwiąco. — Teraz, gdy cesarz słaby, Wratysław z braćmi nie może sobie poradzić, a Bolesław przymierze zawarł z Grzegorzem i jeno patrzeć, .sięgnie po koronę, wasz biskup, miał jedyną sposobność wyzyskać, by stanąć na czele Kościoła, jawnie się z za-

miarami zdradza. Siły liczyć chce, kiedy ich nie ma, a za sposobność obiera sprawę, w której mu chciwość, a bodaj coś gorszego zarzucają.

—> Tym większe będzie zwycięstwo, jeśli ją wygramy. A owoce jeno z tymi dzielić będziemy, co nam pomogą.

— Mówiłem ja ze Zbylutem i innymi. Ani wedle obyczajowego, ani nawet wedle waszego rzymskiego prawa, które wprowadzać chcecie, zmowa z Pietrkiem nieważna. Ani pergaminu nie macie, ani powzdania ' nie było. Wszyscy wiedzą, że Pietrek sprzedać nie chciał ani prawo miał bez zgody swojaków, którym służyła bliższosc. Wreszcie pijany był, gdyście go zabadli, a pieniędzy, wypłaconych ponoć, nie znaleziono w ostatku. Jako rzekłem, cudem chyba wygracie. Jeno ja w to nie wierzę.

— Może cudem! A prawa ni postęku nikt mnie uczyć nie potrzebuje. Ale *et haec facienda et haec non omittenda*². Nie chcę, byście wierzyli, jeno byście pomogli.

— Cuda czynić? — drwiąco zapytał Sieciech.

Patrzyli na siebie. Po chwili Wolkmar, zniżając głos do szeptu, mówić zaczął. Sieciech słuchał zrazu lekceważąco, potem z zaciekawieniem. Wreszcie roześmiał się i klepnął szeroką dłonią Wolkmara po barku, aż kanonikiem zatoczyło:

— Łotr z was, ale może się udać. A tego obwiesia, Przebimila, czy macie jeszcze i czy wtajemniczyliście go?

— Jest, ale nie ufam mu. Jono ja wiem, Otard i wy.

— A biskup?

— On?! Gdyby się nawet zgodził, zepsułby wszystko. Sam musi pierwszy uwierzyć... i on uwierzy najłatwiej. Uwierzy we wszystko, co go upewnia, że Bóg

i p o w z d a n i a — oddania w posiadanie przy zachowaniu, zwyczajowych formalności

² *et haec facienda et haec non omi. Wien-*
da — i to trzeba uczynić, i tamtego nie

mu zlecił posłannictwo, by w tym kraju władzę kościelną ugruntować.

— Tedy gracie nim. Ale zuchwale. Niech się wyda sprawa, tedy nie godność już, aie bodaj czy życie ocala. A jeśli pomiarkuje i przeszkodzi, wasza skóra denara nie warta.

— Kto gra, może przegrać. Ale nie pomiarkuje niczego. Za wybrańca Bożego się ma. Umocnię w nim tę wiarę. A jak się ma wydać? Zresztą miałby Stanisław biskupem być, co jako drudzy jeno słucha księcia, niczym pies rogu, to nam (nie potrzebny).

— A grzechu wam nie strach?

— *Extrema necessitas extremis nittitur rationibus* ¹. Zresztą z korzyścią to będzie dla Kościoła. Mogę na was liczyć?

— Juści! Pierwszy uwierzę — zaśmiał się Sieciech.

Gdy jednak Wolkmar pokłoniwszy się wyszedł, komes splunął i przeżegnał się.

Na piaszczystej wysepce u wlotu odnogi wiślanej obejmującej od wschodu solecką kępę, grzało się do słońca kilku wyrostków. Nagie ich ciała lśniły jeszcze wilgocią, jasne czupryny ociekały wodą. tylko co bowiem przepłynęli na wysepkę wraz ze stadami gęsi, które wyprowadziły żółte jeszcze potomstwo na brzeg, a ninic dreptały pracowicie po wysepce w poszukiwaniu pożywienia, jakie naniósł świętojański przybór wody.

Po chwili, stadko za stadkiem, gęsi jęły opuszczać się na główne koryto i popłynęły z prądem. Gdy zagadani chłopcy zauważyli to, były już daleko. Jeden z nich zerwał się, by nagnać je z powrotem, lecz większy od innych wyrostek, który zdał się przywozić gromadce, zawołał:

Extrema necessitas extremis nittitur rationibus — ostateczna konieczność ostatecznymi posiłkuje się środkami

— Ostaw, Trzebko! Cosi ważnego mam rzec;

— Tak! A tymczasem gęsi kto pokradnie. Luda na kępie co niemiara, ze Skrupikowych gęsi nie wróciła wczoraj ni jedna.

I nie bacząc na towarzyszy skoczył do wody i iął płynąć, szybko bijąc nogami, że jeno widać było biały piany. Przez chwilę patrzyli za nim.

— Nie dogna — rzekł starszy chłopak zwany Gajkiem. — Zresztą gęsi za Wisłę idą, nie będzie im mc.,::

— Pono i do Solca zjechały takie same gromady, ludu.

— To może pomóc trzeba nagnać gęsi — rzekł niepokojnie jeden z chłopców. — Matusz przykazali pilnować.

— Przepłyniesz to rzekę, kiedy wezbrana jeszcze?

— Bo warto wam co rzec — ozwał się Gajek. Gęsi gęsiami, a cuda nie co dzień się dzieją.

— Cuda? Powiadaj!

Chłopcy zapomnieli o gęsiach i zwrócili zaciekawione oczy na mówiącego. Ale urażony był widocznie lub chciał podnieść wagę tego, co powie, gdy milczał.

— Mójeś ty! Gadaj już.

Gajek wskazał na rzekę:

— Widzicie?!

— No cóże? Rzeka jako rzeka. Płyne zawždy. Żaden cud.

— A na rzece nie widzisz nic?

— Nie widzę.

— Tedy ci powiem, żeś dziś zgrzeszył.

Chłopak zaczerwienił się po uszy i zapytał zmieszany:

— Skąd wiesz?

— Bobyś inaczej widział osładę świetlistą przez 'jtfzekę. Patrzcie!

— Juści widać — rzekł drugi. — Od czego to

— Biskup krakowski po wodzie przeszedł, jakoby;⁵ lód stał.

Oniemieli ze zdziwienia. Po chwili jeden zapytał nieśmiało:

— Przecie jeno Pan Jezus po wodzie chodzi!

— I święci mogą!

— To biskup święty?

— Sam widziałeś?

Posypały się pytania. Gajek nadał się w poczuciu swej ważności:

— Szedłem o świcie wiersze ⁱ przepatrzeć, bo jako wiecie, niczego teraz mie upilnuje, odkąd tyle luda zjechało, i bałem się, że mi kto ryby podbierze. Iście patrzę, na brzegu ktoś stoi. Podchodzę i widzę, że duchowny jakiś jakby olśnął i na rzekę spoziera, jakby nie słyszał, że idę. Myślę — nie złodziej chyba, tedy podchodzę i Boga pochwaliwszy do wody chcę leżeć. On się ocknął, za rękę mnie chwycił i powiada: „patrz!”

— Zrazu nic nie widziałem, a on pokazuje mi na rzekę. Widzę — jakby smuga świetlista, a daleko, po soleckim brzegu świeci coś. „Wiesz, kto to jest?” — zapyta, a gdym nic nie odrzekł, prawi: „Biskup krakowski po wodzie poszedł jako Chrystus Pan po jeziorze...” — nie pomnę, jako je nazwał. Aż się we mnie zatrzęśło, klęknąłem i modlić się poczynam, a on rzecze: „Musi, nie zgrzeszyłeś dziś, kiedy na ciebie ta łaska spadła i cud własnymi oglądasz oczyma. Ale Bóg w łasce swej ośladę na wodzie ostawi na świadectwo cudu, jeno że ją dojrzą tylko ci, którzy w tym dniu nie zgrzeszyli”.

— Tedy biskup święty być musi — rzucił jeden z chłopców.

— Jeśli święty, to promienie od niego bić winny.

— Jeno że przy słońcu nie widać.

— To czemu ośladę widzicie przy słońcu? — zapytał niedowiarek, który jej nie zauważył.

— Ty, Małuj, do spowiedzi byś poszedł. Kapłan

' w i e r s z e — pułapki na ryby

rzekł, że diabeł ośladę będzie chciał zatrzeć, a pomogą mu ci, co w grzechu będąc jej nie widzą.

Podnieceni gadali jeden przez drugiego, co każdy o cudach słyszał, i nie zauważyli nadbiegającego brzegim Trzebki. Dopiero gdy przebrnął koryto i stanął nad nimi, dostrzegli go.

— Gęsi zawróciłeś? — zapytał jeden.

— Co taro gęsi — odparł zagadnięty. — Księżę z orszakiem wali *przez* Wisłę na kępę. Mówią, że jutro sądy ma rozpocząć. Bracia pana Pietrkowj samego biskupa pono pozwalają.

— Świętego?! — szepnął Gajek.

VII. ROKI

Sądy szły od rana. Paru łotrzyków za zbójkę ręce postradało, jeden za swoim łbem Wisłą popłynął, dawnym obyczajem, co straconych grzebać nie zezwalał. Kilku zwaśnionych się pogodziło, grzywien też za różne wykroczenia spory już miech nasypano, ale prócz tych, którzy sprawy mieli, mało kto jawił się na sądzie.

Nie dziw to, że z największym zaciekawieniem oczekiwana była sprawa krakowskiego biskupa z Leliwami, niemniej wobec licznego zjazdu mały udział rzucał się w oczy.

Nawój późnym wieczorem nadjechał, by zasiąść w radzie, która miała sprawę sądzić. Od rana kręcił się po kępie i niebawem dowiedział się, że tłumy ludu gromadzą się nad Wisłą koło Piotrawina, gdzie cud jakowys pono się wydarzył. Ponieważ biskup przyjazd swój zapowiedział dopiero z południa, tłumacząc się nabożeństwem, Nawój wziął konia i sam ruszył sprawdzić, co się dzieje.

Z dała już dostrzegł stojące na obu brzegach gromady. Przejechałszy piotr a wińska odnogę jął wypatrywać, czy wśród kręcących się nie zauważy Przebimiła. Jakoż dojrzał go. Uwijał się między ludźmi, z których jedni szli nad brzeg, inni wracali rozmawiając w podnieceniu. Gdy upewnił się, że i Przebimił go zobaczył, zawrócił! i wolno jechał wzdłuż strugi, aż dotarł do olszowego gaju. Zanurzył się weń i ze-

skoczywszy z konia puścił go na paszę, a sam legł na trawie.

Czekał dość długo i niecierpliwił się, wracać bowiem już musiał na południe, gdy posłyszał nadchodzącego. Przebimił szedł ostrożnie, oglądając się na wszystkie strony.

— Spieszyć muszę z powrotem, bo biskup już się zbiera na sąd — powitał Nawoja. — O cudzie słysze-
liście?

— Słyszałem, jeno nie wiem, jaki cud. ;

— Stanisław rzekę przejść miał po wodzie.

— A ty co mydlisz o tym?

— Nie wiem. Bywają cuda — rzekł Przebimił nie-
pewnie.

— Kto go widział?

— Nie mogłem dojść. Ale ośladę, co pozostała, wi-
działo wielu. A ci, co nie widzą, spowiadają się bo
mówią, jeno ten ją widzi, co bez grzechu.

— A Wolkmar pewnikiem spowiada?

— Wolkmara nie ma. Nie wiem, gdzie się podział.

— Juści, bywają cuda — rzekł Nawój z namy-
słem. — Jeno żeby Bóg przyzwał cuda czyni-
dla majątności, nie widzi mi się. Tym ci bardziej,
gdy Wolkmar jest w grze, kręctwo jakieś się szy-
kuje.

— Cóż za kręctwo może w tym być?

— Jasne przecie. Gdy ludzie uwierzą, że biskup
cuda czyni, za nim stać będą.

— Prawda — odparł Przebimił. — Jednego z Leli-
wowych ludzi, co o biskupie wyraził się z przekąsem,
tłum do wody cisnął, mało nie utonął.

— Leliwy też, co na Sąd Boży pozwać chcieli bi-
skupa, pewnie odstąpią od tego. Bacz ty pilnie na
Wolkmara, w oczy sobie nie daj piaskiem sypać. Gdzie
on palce macza, diabeł chyba cuda czynić będzie.

— Myślicie? — zapytał Przebimił.

Głos mu drżał.

— Zgłupiałeś! — rzekł Nawój gniewnie. — Diabeł
też nie pozwoli, by mu, kto chce, ogonem kręcił. Wolk-

mar chytry jest i podstępny. Pilnuj go jeno, to żad-
riych cudów nie będzie. Bo wzięlibyście mnie z tej służby!

— Nie mam kogo ostawić na twoje miejsce. Teraz
już muszę jechać. Bacz pilnie, a czego sam nie wi-
dzisz, w to nie wierz.

Nawój dosiadł konia i przebrnąwszy strugę puścił
się pędem, gdyż z dala już dostrzegł, że sądy rozpo-
częto. Dopadł swego namiotu, konia oddał pachółkowi
i przeciskać się jał między tłumem ku sądowemu dę-
bowi, pod którym widna była na podwyższeniu po-
stać Bolesława. Cisza panowała wśród tłumów, w któ-
rej wyraźnie rozległ się głos Dzierżkrajja Leliwy:

— Miłościwy panie i wasze dostojności! Ile luda
słów moich słucha, tylu zdatnych świadków stawić
mogę, jako w Bogu spoczywający brat nasz, Pietrek
z Leliwów domu, osadę swego imienia tutaj założył,
zakupieńcami osadził i wraz z przewozem i wszelkimi
prawami aż do śmierci swej w prawowitym dzierżył
posiadaniu.

Stojący za Dzierżkrajem bracia i swojacy przy-
świadczali, a także wśród tłumów rozległy się liczne,
głosy potakiwania. Prowadzący przewód sądowy, Zby-
lut, uciszył gwar podniesieniem ręki i zwracając s%
do siedzącego na ławie w otoczeniu swego dworu bi-
skupa zapytał głośno:

— Mali powód świadków stawić, czy przyznajecie
co mówił?

— Niech całe powództwo wywiedzie, społem odpo-
wiem — odparł Stanisław ze Szczepanowa.

Nawój, który tymczasem dotarł do ławy sądowej,
rozglądał się po zgromadzonych. Między otoczeniem
biskupim zauważył Otarda, Wolkmara jednak nie by-
ło. Nawój ciekaw był, czy Dzierżkraj sprawę krzą-
cych o śmierci Pietrka pogłosek poruszy i Sądu Bo-
żego zażąda, bo się tym ostatnio odgrażał. Dzierżkraj
mówił dalej:

— Podobało się Bogu zabrać brata naszego, którer.
potomstwa z krwi swojej nie ostawił. Mienie jego tedy

puścizną jest, które^vz prawa mnie i bratu mojemu Dobrogostowi winno przyparć w posiadanie, a stryjecznym Odolanowi i Andrzejowi bliższosc służy, tedy z nami powództwo wnoszą do waszej sprawiedliwości, byście nam rzeczona majątnosc raczyli przysądzić. Że zaś Pietrek zszedł bezpotomnie i jednych ojców my syny, ilu luda słów tych słucha, tylu przysiężników¹ stawię.

Znowu rozległy się potakiwania, a sędzia Zbylut znowu ręką je uciszył. Nawój zwrócił się do siedzącego obok cześnika Drogomira Paluka z Szubina i szepnął:

— Dzierżykraj walnie odkazywał biskupowi, a ni nie miętko wywodzi.

— O cudzie słyszeliście? — zapytał Pałuk.

— Juści — odparł Nawój i urwał, by posłyszeć, co odrzeknie biskup, którego Zbylut wezwał do głosu:

— Tako Dzierżykraj prawi — zaczął biskup — jakby zgoła niewiadomym mu było, żem Piotrawin ućciwie zakupił, dobrym pieniądzem zapłacił i trzeci rok spokojnie posiadam. A może — tu głos biskupa zabrzmiał donośniej — Dzierżykraj bezecne oszczerstwo powtórzyć się waży, które o śmierci Pietrka puszczo no, by w wątpliwosc podać, iżem kupił i zapłacił?

— Biskup pewny siebie, kiedy naprzeciw wychodzi — szepnął Drogomir do Nawoja.

— Nie ino to — rzekł Nawój. — Na kupno i zapłatę wagę kładzie, by o dopełnienie obyczaju i powzdanie nikt nie pytał. Ciekawosc, czy się Dzierżek da na to złowić.

Brodą twarz Leliwy wyrażała gniew i zmieszanie. Cokolwiek ochryplym z podniecenia głosem odparł:

— Nikogo o śmierć brata mego nie wkiuję. Jeśli kto ręki do niej dołożył, Bogu pomstę ostawiam. Ale to wiem pewnie, że przedać nie chciał, chociażście nalegali na niego. A już bez rozumu musiałby być, gdyby

¹ p r z y s i ą ż n i k ó w — świadków zeznających pod przysięgą

za grzywien czterdzieści sprzedał, gdy przewóz sam dwakroć tyle w roku przyniesie. Tedy mówię: nie sprzedał Pietrek mienia, co się i tym potwierdza, że pieniędzy nijakich przy nim po śmierci nie znaleziono. i żeby nie suknia wasza i gdybym się nie bał miru książęcego naruszyć, tedy bym własną siłą osadę posiadł, a wam powództwo ostawił.

Ostatnie słowa niemal krzyknął i ręką sięgnął mimo woli do miecza.

W tłumie rozległy się skłócone szepty i szmery. Książę pochylił się do siedzącego obok Zbyłuta i coś uradzali po cichu. Po chwili Bolesław skinął na Nawoja, który zbliżył się i dłuższy czas księciu coś przedstawiał. Przeciwnicy stali tymczasem, wzajem sobie grożąc oczyma. Dzierżek jednak widno niespokojny był, a Stanisław dufny w siebie. Wierzył w słusność swej sprawy, a niezwykle oznaki czci, powszechnie mu okazywane, przekonywały go, że choć prawnym wymogom zadość nie uczyniono przy sprzedaży, sprawa na jego korzyść osądzona zostanie. Stanisław pobrał jednak, gdy Zbylut mówić zaczął:

— Choć rzymskie prawo nas nie wiąże, pan nasz miłościwy i rada takowy wydali urok: Stanisław ze Szczepanowa, biskup krakowski, dokument ma okazać, jako włość Piotrawin z dobrej woli Pietrek mu sprzedał i cenę otrzymał, którego my za mocny przyjmujemy, prawom bliższości miejsca nie damy i zważać nie będziemy, że obyczajom nie stało się zadość. Jeżeli zaś pozwany dokumentu nie okaże, tedy ma wskazać zachodzącę¹ lub zdatnych świadków, jako odbyło się wszystko wedle naszego prawa i obyczaju. Jeśli zaś nie, z włości ma ustąpić i pomocne księciu, a czesne sądowi zapłacić grzywien trzydzieści.

Szmery i szepty znowu rozległy się w tłumie. Brzmiało w nich zaskoczenie. Po rannej wieści o cudzie nikt nie spodziewał się, by biskupowi śmiano od-

¹ z a c h o d z ę c ę — wprowadzającego w posiadanie nabytego majątku

mówić. Nie brakło jednak i takich, co radowali się z wyroku. Leliwy bowiem byli spowinowaceni, a i wrogów nie brakło biskupowi. Kłótnie też i podniecone okrzyki rozległy się tu i ówdzie, lecz umilkło wszystko, gdy biskup, opanowany już, zabrał głos:

— Dostojny panie i wasza, przedni ej szych Polski sprawiedliwości! Dokumentu nie okażą, gdyż czasu --, spisać go nie stało, bowiem podobało się Bogu tejsze nocy, gdy zmowa zawartą została, do siebie Pietrka powołać. Może i przeczuwał to i zapis chciał zdziałać na rzecz Kościoła, by duszy swej ulgą przynieść. Dlatego widno tanio przedał, czego mu bracia w chciwości swej wybaczyć nie mogą. Ale świadków powołam, bo nie w cztery oczy zmowa była zawarta, jeno dajcie mi trzy dni odkładu.

Sędziowie między sobą szeptać poczęli. Jednak Dzierżek widząc, że sprawa przechyla się na jego korzyść, przeciwieć się jął gwałtownie. Wiedział Stanisław, kiedy zrok i o co sąd, świadków winien był sprowadzić. Ninie widno do przewłoki zmierza, by cuda czynić, miast sprawę wieść jak należy.

W tłumie pomruk się rozległ i rósł jak grzmot nadciągającej burzy, lecz Dzierżek, roznamiętniony, na nic już nie zważał. Mimo wrzawy słyhać było, **jak** krzyczał:

— Nikt mnie nie zastraszy, bym swego nie dochodził. Jeśli biskup prawych ręcycieli lub zdatnych, świadków iście stawić zamierza, niech złoży przysięgę, jako jest obyczaj, że odkładu nie dla przewłoki żąda. Nie, to niech stawi ich zaraz, a zachodzącę chyba na Sąd Ostateczny, tedy trzy dni mu za mało.

Koło niego rozległy się prześmiechy, ale tłum huczał. Panowie z rady skupili się koło księcia, coś rozważając. Potem usiedli na swych miejscach, a Zbylut wstał i czekał, aż się uciszy. Gdy już jeno na tyłach tłumowi niosły się szmery jak szum dalekiego lasu, ozwał się:

— Wedle obyczaju Dzierżek ma prawo przysięgi

żądać, iż odkład nie dla przewłoki. Ale straszna to rzecz Boga na świadka wzywać, tedy sąd zapytuje: Woda, zali od prawa swego nie odstąpi, zważywszy, że pozwany biskupem jest, a trzy dni nie wieczność.

W naprężonej ciszy, jaka po słowach Zbyluta zaległa zgromadzenie, do ostatnich szeregów słyhać było namiętny głos Leliwy:

— Choćby papieżem był, choćby jeno o starą cizmę szło, nie ustąpię. Bo nie o imię chodzi, jeno praw nie lza deptać. Trzy dni nie wieczność, mówicie, ale czasu dość na nowe szalbierstwo. Lecz choćby to słońce — ręką wskazał na pochylającą się gwiazdę dzienną — zgasić potrafił, mnie nie odstraszy, bo ja nie cudów ciekawy, jeno dowodu, że wedle prawa i obyczaju kupił i ućciwie zapłacił.

Dzierżek krzykiem skończył, bo tłum zafalował jak jezioro od uderzenia wichru i zahuczał jak grom. Dzierżek i swojacy za miecze chwycili. Lecz Zbylut, którego głos niknął w burzy, skinął na przystawów. Co głośniejszych krzykaczy razić jęli kijami. Boleślaw, który dotychczas spokojnie siedział na podwyższeniu, wychylił się, ręce wspierając na kolanach; na twarz występował mu gniew.

Rozruch nagle zgasi jak uciął. Biskup wstał i rękę wyciągnął. Twarz miał bladą, oczy mu gorzały wzburzeniem. Niektórzy myśleli, że iście słońce zgasi. Lecz on przystąpił do stołu sądowego i rzekł donośnie w ciszy takiej, że słyhać było ćwierkanie wróbli, które lekceważąc to, co się pod nimi dzieje, własny na dębie wiec odprawiały.

— Nijakich mi ustępstw ze strony Leliwów ni wstawiennictwa u nich nie trzeba; złożę przysięgę.

Rękę na leżącej na stole Ewangelii położył i wpijając wejrzenie w twarz księcia, dobitnym głosem powtarzał za Zbylutem obyczajowe słowa:

— 'Przysięgam na wiarę i sumienie, jako nie dla przewłoki żądam odkładu, lecz prawdziwie świadków zdatnych stawię **lub** wskażę zachodzcę; a jeślim nie po

prawdzie przysięgał, niech Bóg duszę moją odda na O;
wieczne zatracenie.

Zbyłut tedy ogłosił odroczenie sądu do zachodu trzeciego dnia i choć dalsze sprawy zaczął wywoływać, tłumy rozchodziły się już, gwarząc w podnieceniu. Jasne było dla wszystkich, że ksiązę sprawie biskupa nieprzychylny, natomiast dla obznajomionych z zakonem widoczne, że biskup przez dumę w kozi róg dał się zapędzić, z którego wyjścia nie znajdzie. Przysiężników wbrew ich woli nie dostawi, a zachodzącę cudem chyba, boby Pietrek, co od trzech lat gnije w grobie przed ołtarzem ufundowanego przez siebie kościoła, zmartwychwstać musiał.

Żółtawy płomyk małej lampki oliwnej wydobywał z mroku cyborium i mensę ołtarza piotrawińskiego kościoła. U stóp ołtarza cień zdał się głębszy jeszcze, tak że ledwo widoczne były zarysy ciemnej postaci, leżącej krzyżem. W gęstym mroku bieląła niepewnie bledsza plama twarzy. W martwej ciszy słychać było jeno płytki, choć równy oddech, przerywany chwilami westchnieniem.

Ciszę zakłócił jakiś odgłos od bocznej furty wychodzącej na Wisłę. Ktoś otwierał drzwi niezmiernie powoli i ostrożnie. Do wnętrza wpadł lekki powiew od rzeki i zachybotał płomykiem lampy. Potem rozległy się skradające się kroki i szept:

— Obaczmy, czy śpi.

— Za jedno. Co trzeba, zrobić musimy. Ale pewnikiem śpi. Trzeci dzień pości i krzyżem leży. Zmorzony być musi.

— A jeśli się zbudzi?

— Tedy rzekę mu wszystko.

— A jeśli się nie zgodzi?

— Musi. Innego wyjścia już nie masz. Z przysiężników nie stanie mu ni jeden. Już się Leliwy o to starali.

Szeptać podeszli do szarzejącego na środku nawy

grobowca Pietrkowego i zaczęli się krzątać. Zaszurało coś zgrzytliwie, jakby kamień otarł się o kamień, i nagle trupi zaduch owionął pracujących.

— Cuchnie jeszcze ścierwo.

— Gdzie zaś ścierwo. Jeno kości i smród jeszcze ostały. Właż!

Wezwany zawahał się, potem opuścił nogi w głąb jamy, jaka się otwarła, czarniejsza od otaczającego mroku.

— Kości iście i szmat trochę. Co z nimi zrobimy?

— Do Wisły pójdą. A szmaty zostaw dla tamtego.

— Grób ostatecznie pusty. Niechby kto zajrzał potem!

— Nie waży się nikt. Zresztą nie ostatecznie pusty.

— Straszny z was człek.

— Sprowadź go! — szepnął Wolkmar.

Przez chwilę pracowali w milczeniu.

Ptozległy się ostrożne kroki i zapanowała cisza, jeno powiew chybotający płomykiem wskazywał, że drzwi ponownie otwarto. Leżący przed ołtarzem westchnął głębiej i poruszył się niespokojnie.

Znowu słychać było zgrzyt zasuwanego kamienia. Potem Wolkmar rzekł prawie głośno:

— Cuchnie trędowate ścierwo, niczym Pietrkowe, Ale to nawet lepiej — splunął z obrzydzeniem.

Podszedł do leżącego krzyżem biskupa i trącać go począł.

— Pożywić się musicie; osłabiście ze szczętem — szepnął.

Stanisław usiadł i zdał się zbierać myśli, potem twarz ukrył w dłoniach.

— To straszne — mówił drżącym głosem. — Śniło mi się, że Pietrek zmartwychwstał. Zaduch szedł od niego aż mnie zemdlilo i tak przeraźliwie wyglądał. Do ust nic nie wezmę. Może to Bóg mnie przestrzega, by nie żądać cudu, jaki jeno na Sąd Ostateczny sam uczynić obiecał...

Wolkmar rzucił się na kolana i wzniosłszy ręce do góry zawołał:

— Hosanna! Bogu dziękować, że znak dał, iż mo-

dłów waszych wysłucha. Szatan niewiarą was kusi, by cudowi przeszkodzić.

Stanisław ukląkł obok i pochylił głowę. Po chwili rzekł znękany głosem:

— Ostawcie mnie! Jeszcze modlić się muszę. Mdle ciało sen morzy, a duszę ogarnia zwątpienie. Mówicie, żeście sami widzieli, jakom suchą nogą Wisłę przeszedł? Nic nie pamiętam.

— Nie ja jeden widziałem.

Wyszli i Stanisław pozostał sam. Chwiejnym krokiem zbliżył się do Pietrkowego grobu i przykleknąwszy, głowę oparł o zimny kamień. Z trudem zbierał myśli i słowa modlitwy. Nagle zadrzał; zdało mu się, że z wnętrza grobu dochodzi jakiś odgłos. Wytężył uszy i wyraźnie posłyszał szybki i nierówny oddech. Krzyknął i upadł na ziemię.

— Wstawajcie! Jeno patrzeć, jak księżę z całą radą tu zwali.

Wolkmar szarpał i trząsł biskupa, pogrążonego w śnie tak głębokim, iż myślał już, że się go nie dobudzi. Wreszcie Stanisław otworzył oczy. Zabłysło w nich zdumienie. Wstał i odruchowo pomagał Otardowi, który go przybierał. Spojrzenie miał już przytomne, ale jakieś dalekie. Po chwili dopiero ozwał się:

— Co się stało?

— Ocknijcie się! Zaraz tu będą. Szaty kościelne przybrać musicie. Słońce już zaszło. Świadkowie na zrok nie stanęli. Czas okazać zachodzącę.

— Wždy jutro zachodzącę stawić miałem.

W głosie jego nie było żadnego wątpienia, jakby mówił o żywym człowieku. Wyprostował się. W postaci miał majestat, w wychudłej twarzy poczucie pewności, w oczach uniesienie. Wolkmar ze zdziwieniem patrzył na przemianę, jaka zaszła w złamanym wczoraj człowieku.

— Nie jutro, jeno dziś. Przespalicie dzień cały.

Biskup pewnym już krokiem skierował się do otta-

rza i uklękawszy zatopił się w modlitwie. Nie słyszał szumu, jaki czynił wiatr w gałęziach lip ocieniających kościół i gromadzące się dokoła tłumy; nie widział blasku świec, które wydobyły z mroku jego w, y-niosłą postać, otaczając ją aureolą blasków grających w pozłocistych haftach kapy i infuły. Nie odwrócił się nawet, gdy ze skrzypieniem rozwarły się drzwi kościoła, a odgłosy licznych kroków i szepty rozległy się za nim i zatrzymały koło Pietrkowego grobu. Lecz gdy Wołkmar pochylił się nad biskupem, mówiąc: „już przyszli” — wstał bez pośpiechu. W rękę ujął podany mu przez Otarda pastorał, skłonił się przed ołtarzem i odwrócił się ku przybyłym.

Półkregiem dokoła Pietrkowego grobu stał książe Wraz z panami z rady. Gdy biskup spokojnie zszedł ze Etopni ołtarza, cofnęli się niektórzy. Jeno książe stał nieporuszony w nogach grobowca i patrzył na zbliżającego się biskupa, który zatrzymał się w głowach. Stanisław jakby nie dostrzegał księcia. Przez chwilę zdał się namyślać. Sądził, że przemówi, lecz on jenó ręką wskazał na grób. Wołkmar i Otard uchwycili za płytę z piaskowca i z wysiłkiem przesunęli ją ku księciu, tak że musiał się cofnąć. Zgrzyt kamienia o kamień dreszczem przeszedł obecnych. W śmiertelnej ciszy, która zapanowała, jak trąba na Sąd Ostateczny zabrzmiał donośny i przejmujący głos Stanisława:

— Wstań Piętrze i daj świadectwo prawdzie!

Nastała chwila tak strasznego napięcia, jakby Świat walił się na głowy stojących lub ziemia miała się rozstąpić i ukazać piekło gorejące. Ktoś nie wytrzymał i krzyknął przeraźliwie; lecz nim przebrzmiał okrzyk, wyrwało się dziesięć innych i skoła, zduszonych grozą.

Nad kamiennym obramowaniem grobu dźwignęła się jakaś głowa. W migotliwych blaskach świec błyszczały z ogniłych warg zęby wyszczerzone jakby w strasliwym uśmiechu. Pozbawiony nozdrzy nos sterczał nad nimi jak dziób. Bezwłosa twarz i okrągła czaszka ze strzępami pozlepianych włosów lśniły jak-

by złane potem. Przenikliwy, słodkawomdły zaduch gnijącego ciała uderzył powonienia. Tłum stał jak skamieniały.

Zjawa poruszyła ustami i głosem, w którym nie było nic ludzkiego, zaskrzeczała:

— Przedalem.

Krzyk targnął tłumem i tłoczyć się jęli wszyscy do wyjścia. Nikt nie zważał, kogo popycha i tratuje. Popłoch udzielił się stojącym na zewnątrz tłumom. Uciekali skacząc w mroku przez groby i łamiąc opłotki, Niemal w mgnieniu oka kościół i cmentarz opustoszały i po straszliwej wrzawie zaległa cisza. Jeno wzmagający się wiatr szumiał i świstał w gałęziach drzew.

Księżę cofał się, wzrok utkwivszy w Stanisławie, jakby się bał go z oczu stracić. Ostatni wyszedł Nawój, skrzyżowawszy z Wolkmarem spojrzenia. W zielonych oczach kanonika świeciła straszliwa nienawiść, małe oczki Nawoja były zimne, zacięte i wiedzące.

Nocna burza odświeżyła powietrze, a sen zatarł przerażenie i grozę wieczornych wypadków. Niemniej poruszenie było powszechne. Zjawę niewielu jeno na własne oczy widziało i gdy minął przestach, który jak stadu owiec udzielił się tłumom, wielu zaczęło już snuć legendę cudu, coraz to w nowe ubierając go szczegóły, lecz i byli tacy, co zgoła przeczyli, by się cokolwiek cudownego wydarzyło. Dochodziło raz w raz do gorących sporów i piotrawińska kępa brzęczała jak ul, roiła się jak poruszone mrowisko. Oczekiwali też na wynik sprawy, której zakończenie z powodu przerw wywołanej popłochem na południe zapowiedziano. Nikt prawie nie wątpił, że sprawa Leliwów przegrana. Księżę uciekł z kościoła na równi z innymi, widocznie i on przerażony, choć od najmłodszych lat nikt strachu u niego nie widział.

Wśród panów z rady, choć zdania poprzednio były podzielone, prawie jednomyślność panowała. Wszyscy

oni widzieli zjawisko, toteż przerażenie utkwilo w nich głębiej. Nawet ci, co biskupowi byli nieprzychylni; nie śmieli przeczyć cudowi, przychylni zaś gardłowali tym śmieiej za biskupem, oporu nie napo-
\$ykaiąc Jedyne Sieciech spokojny był i zamknięty w sobie jak zwykle. Zagadnięty odparł:

— Możecie radzić, jako chcecie, a biskup cuda czynić, jakie wydoli, ksiązę i tak zrobi, co zechce. Szkoda gębę strzępić.

Odwrócił się i odszedł na swą gospodę, pozostawiając podnieconych, a niektórych i odgrających się, że wobec jawnej woli Bozej nie pozwolą narzucić sobie ksiązęcej.

Ksiązę tymczasem siedział w dworcu soleckim. Przeżyte po raz pierwszy w życiu przerażenie pozostawiło w nim ślad, od którego wilo się w sobie. Również świadomość, że woli jego przeciwstawiono coś, - czemu nie zdoła się oprzeć, budziło w nim zarazem gniew i uczucie zaskoczenia. Poza tym od rana dręczył go nieznośny ból głowy i mdłości. Nie mógł się pozbyć z ust i nozdrzy słodkawego posmaku zgnilizny. Bolesław zżymał się, że w takiej chwili nie ma Nawoja pod ręką, lecz znając go, domyślał się, iż nieobecność ta związana być musi z wypadkami. Niemniej, gdy nadszedł wreszcie, powitał go wyrzutem:

— Na sąd zbierać się trzeba, a ty przepadasz, nie wiada gdzie.

— Dowody zbierałem — odparł Nawój spokojnie.

— Cóż może być mocniejszego jak Pietrkowe świadectwo? — zachnął się Bolesław.

— A cóże się zmieniło? Ale to druga rzecz. Świadectwo, mówicie! Jeno czyje?

Ksiązę zerwał się pobladły z wściekłości.

— Co prawisz? Śmiałżeby biskup...

— Nie wiem. Poznał kto Pietrka? Mówił z nim? Wszyscy jak owce uciekli.

Bolesław usiadł gryząc wstyd, że i on uszedł z innymi. Ściskając dłońmi skronie zapytał:

~ Czegoś się dowiedział? Praw!
— O cudzie niczego. Ale się dowiem.
— Nie wierzysz w cuda?
— Wierzę. Jeno że cud zmartwychwstania Bóg na swój Sąd obiecał, nie na wasz. I żeby jeszcze Pietrkowe świadectwo na waszym wyroku zaważyć mogło. Ale i to nie.

— Jak to? — zapytał ksiązę zdumiony. — Rada Piotrawin biskupowi przysądzi, bo wystraszeni wszyscy tym, co widzieli. Ich nie przekonasz, bo wszyscy wiedzą, żeś na udry z biskupem.

— Przekonywać nie myślę, bo i nie trzeba. Nic radzie do Piotrawina, bo to nie dziedzina Leliwów, jeno ksiązęca ziemia, którą rodzic wasz po zwycięstwie nad Masławem Leliwom za usługi nadał. Używaniem się podzielili, ale sprzedać bez waszego zezwolenia Pietrek nie miał prawa.

Książę patrzył na Nawoja z **tajonym** podziwem. Po tem wstając zapytał krótko:

— Dowód masz?
— Świadek jest. Na wiec go stawię
— — Tedy jedziemy.
Bolesław roześmiał się zgrzyźliwie

Biskup zasiadł już na swym miejscu, samotny, zamysłony. Gwarne tłumy umilkły na jego widok. Onieśmielał wszystkich. Nawet ludzie z otoczenia odsuwali się, jakby w jego obecności ani szeptać się nie wazyli. Tylko Wolkmar tkwił za nim i zielone oczy wpierał urągliwie w stojących naprzeciw Leliwów, którzy dawali sobie pozór pewności, ale zachowania się tłumów i dufność Wolkmara nie pozwalały wątpić, na czyją korzyść padnie rozstrzygnięcie. Niechby się już skończyła ta sprawa.

Tlum poruszył się i zaczął rozstępować. Od przewozu szedł ksiązę, a za nim orszak panów z rady. Usiedli i wśród powszechnego milczenia Zbylut za» pytał głośno:

— Mali kto w sprawie między Stanisławem Turzyna a Szczepanowa a Dzierzokrajem Leliwą i jego braćmi słowo jakie rzecz lub świadectwo złożyć?

Zbylut zdał się nawet nie czekać odpowiedzi na zadane jeno dla zwyczaju pytanie, gdy ku powszechnemu zdziwieniu z tłumu jął się przepychać jakiś stary człek. Siwą głowę niósł jednak prosto na potężnych barkach. Ubrany był jak kmieć i bez bronie ale z całej postawy i zachowania widoczne było, że nie tylko pługiem się parał i że nie onieśmiela go obecność tłumów ni rady. Stanąwszy przed księciem, pewnym głosem zaczął:

— Chrap jestem, opolny starosta. Co mówię, na to przysiąc mogę. A mówię, że ziemia nad Wisłą przez księcia Kazimierza, rodzica waszego, panie — tu skłonił się przed Bolesławem — Leliwom została nadana, a nie jest ich ziemią rodową. Ze się używaniem podzielili, ich rzecz, ale ni sprzedać, ni dziedziczyć bez waszego przyzwolenia, panie, prawa nie mają. Tak u nas od wieka bywało, nim nowości jakoweś wprowadzać wszczęto, z których zamieszanie tylko powstaje, a korzyść jeno tym, co siłę mają i chytróść.

Tu oczy śmiało wparł w biskupa, który siedział niepo ruszony.

Między radą zaczęły się szeptys, lecz ksiązę na Dzierzka skinał, a gdy Leliwa przystąpił, zapytał go:

— Prawdali to, co Chrap mówi?

—• Przyznaję, panie. Ale żeśmy społem ziemię z Pietriem za zasługi otrzymali, tedy mniemam, że puściznę po nim nam nadacie, a nie obcemu, nawet jeśli Pietrek sprzedał, jako twierdzi Stanisław ze Szczepanowa, a miast przeprowadzić dowody, cuda czyni.

Po Dzierzkowych słowach jakby wiatr w bór uderzył. Krzyki się rozległy i swary. W otoczeniu biskupa ktoś zawołał głośno:

— Ksiązę Włodzisław zezwolił na sprzedaż.

Lecz Bolesław wstał i uciszyło się wszystko w oczekiwaniu na jego słowa:

— Piotrawin mój jest i temu go nadam, komu moja

wola i łaska. Biskup z włości ma ustąpić, a włodarza komes zawichojski wyznaczy.

Po słowach księcia biskup wstał. Cisza zapanowała taka, że słyhać było szelest liści na dębie, które poruszał wietrzyk ciągnący od Wisty. Książę zdał się czekać na odezwanie Stanisława i patrzyli wzajem na siebie. W oczach księcia była wzdarda i gniew. Oczy biskupa płonęły oburzeniem.

Książę ramionami wrzucił i oznajmił głośno:

— Roki zamykam.

VIII. W ŻARNACH

Kraj spał w spiekocie lipcowego południa. Jedynym ruchem było drganie rozgrzanego powietrza przy ziemi spieczonej żarem, jedynym odgłosem brzęczenie pszczoł krzątających się w koronach wyniosłych lip, oblepionych kwieciem, którego zapach ciężki, niemal dotykalny, leżał na obejściu Cieszkowego dworca. Skąpy cień drzew malał i zsunął się wreszcie z leżącego pod drzewem Doman, a jaskrawe światło wpełzło na jego twarz i przedarło się widno przez sinawe, prawie przezroczyste powieki, gdyż leżący poruszył się i oczy dłonią zasłonił. Z cienia rozległ się głos Bietki.

— Duszno tu, nie schronić się przed słońcem. W lesie chłodniej być musi.

Doman otworzył oczy, ogromne w wychudłej i zmałej twarzy, i spojrzął na Bietkę. Zarumieniona była, nie wiadomo, z upału, czy może niebaczne słowa wywołały jakieś wspomnienie. By pokryć zmieszanie, wstała i macierzyńskim ruchem gładząc Doman po zlepionych od potu, jasnych włosach, pomogła mu powstać. Jakby usprawiedliwiając się rzekł:

— Zdrów jestem, jeno skwar mnie męczy. Nic mnie nawet w piersiach nie boli i nogi zaczynają służyć.

— Zdrów jesteś — przytaknęła.

Wsunęła mu się jednak pod ramię, tak że wsparł się na niej i wolno poszli pod górę. Leżący przy bramie pies nie otworzył nawet oczu, jeno ogonem lekko

ruszył na znak, że czuwa. Minęli go i przez poletko prosa szli ku ciemniejszej opodal ścianie lasu. Otworzyła się przed nimi życzliwie i wpuściła do wnętrza.

Chłodniej istotnie było. Prostopadłe promienie sł-ń: - ca przeszływały wprawdzie gęstwinę, lecz nie zdołały ' rozzarzyć podkładu mchów i gęszącego kroki igliwia. I tu cisza była taka, że zdało się, iż słyszeć można skapujące po pniach krople żywicy. Doman odetchnął głębiej, jakby z ulgą.

— W lesie najlepiej — rzekł.

— Zawszy nam w lesie dobrze bywało -*-< odparła i zarumieniła się znowu.

Nie odrzekł nic i legł, widno znużony, a gdy usiadła obok niego, głowę oparł na jej łonie i wyciągnął się na mchu. Zdał się zasypiać.

Niemal bezwiednym ruchem gładziła jego głowę, tak od miesięcy nawykła do tej pieśczoży macierzyńskiej, jedynej w ciągu długich nocy, jakie przesiedziała przy nim, gdy walczył ze śmiercią, a chorowita i zestarzała Czesława jeno płakać i ręce łamać umiała. Bietka wydarła go śmierci, jej jest, jeno nie tak jak dawniej. Ten ogromny, barczysty chłop, którego męstwo wystawiał Nawój, teraz jako szkielet wychudły, zda jej się dzieckiem bezbronny. Karmiła go jak dziecko, usypiała, cesała i przystrzygała gęste włosy, nieraz oprzeć się nie mogąc zdziwieniu, gdy twarz jego pokrywała się jasnym zarostem, który starannie i ostrożnie goliła, by nie skaleczyć zapadniętych policzków.

Ale ninie Doman już wstaje. Coś się odmieni. Krew jej uderzyła do głowy. Las! Od dzieciństwa aż do tamtej chwili wszystko, co ważne i tkwi w pamięci jak dzień wczorajszy, przydarzyło im się w lesie. Cisza, nie ma nikogo, tylko ich dwoje. Byle ich nie rozłączyli. Myśląc, że śpi, rzekła półgłosem:

— Może książę o nim zapomni...

Wzdrygnęła się, tak donośnym zdał się głos ^ej w powszechnej ciszy. Zwabić może Południcę, co krew z ludzi wysysa, lub zbudzić Licho.

Zbudził Domana, który otworzył oczy i patrzył gdzieś przez chwilę, po czym zamknął je znowu. Myślała już, że słów nie dosłyszał, gdy jakby za nią powtórzyl:

— Książę... zapomni...

W głosie jego był żal. Fala gorczy zalała Bietkę. Choć łagodna i trwożliwa, krzyknęła niemal:

— Niech zapomni! Cóż ci dał, żeś mu po trzykroć życie ratował? Żeś swoje życie stawiał za jego! Inni, co stokroć mniej zasłużyli, majątkości zbierają i dostojęństwa. A ty co? Jenó rany na skórze!

Umilkła, jakby przerażona własnym wybuchem. Doman odparł z przygnębieniem:

— Nie dla majątkości go miłuję ni urzędów. Cóż mi po tym? I cóż moje życie...

— A moje! — zawołała.

Długo nic nie odpowiadał. Usiadł i patrzył na swe wychudłe ręce. Gdy zaczął mówić, zaświeciły mu się zapadnięte oczy:

— Żebyś go znała! Żebyś go widziała w walce! Nie wiesz, czy płomień, czy święty. Jenó o *TMm myślisz, by go kto nie zgasił. A on walczy tak, jakby go się jąc nie mogło żelazo. A jedno wiesz, że gdyby on zginął, to żyć nie warto.

— A dla mnie? — zapytała cicho.

— Taka dola — odparł smutno. — Jestem przy nim, to mi się serce rwie do ciebie, a jestem z dala, to zda mi się, że żyć nie ma po co.

Myśli ich się rozeszły. Poczucie krzywdy i bezradności kamieniem przytłoczyło Bietkę. Cóż stąd, że wydarła śmierci tego jedyne go. Nie dla siebie. Jenó przyjdzie do sił, zostawi ją, co nie ma nic i nikogo, i pójdzie za tamtym, co ma wszystko. Mimo nieobecności ojca w domu, nawet matka własna odwiedzi jej się nie ważyła..Gdy ją znowu krzywda spotka, nie ujmie się za nią nikt. Może jeszcze Ostasz Odrowąż. Przez chwilę pomyślała, że lepiej byłoby, gdyby Doman wrócił kaleką. Nie byłby już księciu przydatny, a ona byłaby potrzebna jemu, tak jak potrzebna by-

ła, gdy pod jej opieką, bezwładny, leżał całymi miesiącami. I nagle zlekła się, by w złą godzinę nie wypowiedzieć życzenia, i spojrzała na ukochanego. Fala tkliwości znowu zalała jej serce. Czyż mało się nacierpiał? Cisza była, jeno gdzieś jastrząb obudzony z południowej drzemki kwilił żałośnie. Czują, że zbiera jej się na płacz, lecz nie chciała płakać przy nim. Wstała mówiąc:

— Pobiegnę do dom obaczyć, czy nie zgotowano jeszcze posiłku.

— Ostań! — rzekł ujmując ją za rękę. — Nie chce mi się jeść w taki upał.

Gdy usiadła znowu, przytulił ją do siebie ze słowami:

— Jakoś lepiej byłoby, gdybyśmy się pobrali. I księżę częściej by mnie zwolnił, i tobie by różniej czekać było między ludźmi.

— Jakoże? — spytała zaskoczona. — Przeciera ja żona twoja. Sędek mówili, że drzewiej niejeden dziewczkę porywał. Zapłacił potem okup i żyli jako małżonkowie.

Doman głową kiwał smutno:

— Drzewiej. Ale to pogański obyczaj. A Gosiaw na wesele z drużbami i miodem, i korowajem nigdy się nie zgodzi.

Zarumienioną twarz ukryła w dłoniach. Gładził ją po głowie i szeptał:

— Ale nie sumuj się. Jeno wydobreżę, pojedę do Nawoja. On i w piśmie uczony, i mądry. Jego to dzieło, że razem jesteśmy, musi i na tamto poradzić. A tak czy inaczej, tyś dla mnie jedyna i na zawsze.

Nie odrzekła nic, bo nie chciała mu powiedzieć w tej chwili, że to jeszcze nie wszystko. Że opieki jego potrzebuje i ochrony, że dom chce mieć jako inne i dzieci się dochować.

Od dworca rozległo się wołanie. Jakoś inaczej brzmiało niż zazwyczaj na posiłek. Mimo woli przyspieszyli kroku i po chwili ujrzeni, że na dziedzińcu

przy koniach stał wuj Domana, Sedek, witając kogoś.

— Nawój! — krzyknął Doman radośnie. — W dobrą godzinę, go wspomniałem — dodał zwracając się do Bietki.

I jej oczy świeciły radością. Podbiegła żywo i za ręce chwytając Nawoja zawołała:

— Jesteście! Wraz Doman całkiem pozdrowiejfu. Żeście to w upał taki jechali. Chodźcie do izby ochłodzić się piwem.

— Spieszno mi było, bo nie mieszkając wracać muszę. Po was jeno przyjechałem.

— Zabrać chcecie Domana? — zapytała błędna.

— Po was, mówię. Książę zgodził się na wasz związek. Przy Krystynie będziecie, którą książę ściągnął do Krakowa. A Doman, jeśli może, niech wraca też. Nie wydoli konno, to kolasą.

Przytuliła się do Domana:

— Słyszysz? Żeby nie Nawój, szczeznąć by nam przyszło.

• — Co tam! — Nawój machnął ręką. — Chodźmy do izby, bo kubrak mi przylgnął do grzbietu, a język do podniebienia. Na noc ruszmy, bo konie muszą ochłonać, a milej jechać o chłódzie.

— Ty ostaniesz czy jedziesz z nami? — zwrócił się do Domana, który stał milcząc, jakby jeszcze nie wierzył, że się zaraz spełniło, co parę chwil przedtem rzekł do Bietki.

Byłby uściskał druha z wezbranego serca, ale wiedział, że Nawój czułości nie lubi i jeno patrzeby jak drwić zacznie.

W cieniu książęcego przytuliło się spłoszone szczęście Domana. Wywijało się cicho i równo, jak nic z wrzeciona, przy którym Bietka spędzała przeważną część coraz dłuższych wieczorów. Dni śmigały jak czółenko w krosnach, na których tkła wzorzyste tkaniny, barwne jak jesień, złotem i purpurą kra-

Ezająca okolicą. Czasami księżę zawitał na dworek; wówczas Doman z Bietką siadywali sami, z rzadka słowem jakim potrącając wspomnienia. Gdy księcia nie było, przebywali z Krystyną we troje. Doman bez końca snuł opowieści o Bolesławie, a Krystyna słuchała jak bajek w dziecięcych latach, patrząc gdzieś przed siebie świetlistymi oczyma. Zdrow już prawie, Doman, choć niezupełnie jeszcze do sił przyszedł, uciekał z zamku, na którym wiecznie panujący gwar i skrzęt nużył go i mierzył. Gdy po Godach księżę z dworem wyjechał na czas dłuższy do Poznania i Wrocławia, zabierając z sobą Nawoja, Doman całkiem przylgnął do dworku na słonecznym stoku Sikornika, który pomału za dom swój począł uważać. Gospodarzyła w nim Bietka. Krystyna bowiem nie mieszła się do niczego, zamknięta w sobie i daleka od wszystkiego, co nie dotyczyło Bolesława. Gdy nieobecność księcia przeciągała się, przepadać jeła na całe dni, czy to konno, czy pieszo. Uciekała ze swą tęsknotą czy przed wspomnieniami, które jeno obecność Bolesława odsuwać mogła w cień.

Mijała już zima. W szary dzień marcowy Wisła puściła; sunęły zwały lodów, jakby ziemia ruszyła przed „siebie. Suchy, jednostajny ich chrzęst przez całą noc wybijał się ponad szum wiatru. Nad ranem zelżał, lecz przybliżył się. Gdy mglisty, późny świt rozjaśnił okolicę, kraj cały okazał się oczom jak olbrzymie, ruchome jezioro, stalowoszare, z rzadka usiane białymi plamkami kry. W odmet wód schodził klin wzgórza, z przytulonym na stoku kościółkiem Sw. Salwatora. Odcięty na równi z dworkiem od grodu i osad na Zwierzyńcu i Piaskach połączonymi falami Wisły i Rudawy, stał pusty i samotny. Staruszek kapelan, który siedział tu jeszcze za czasów drugiego Mieszka, rad był może nawet, że dzięki powodzi ominęła go praca duszpasterska w czasie Wielkanocy. Ale teraz życzliwie uśmiechał się do Krystyny, która po raz pierwszy od wyjazdu z Bużenina przestąpiła próg kościoła i uklękła, gdy Bietka i Doman przystępowali

do spowiedzi. Jakby i ją zachęcał, by oczyściła się przed świętem Odkupienia. Gdy jednak nie zbliżała się, wyszedł ku niej i wprost zagadnął:

— A ty, córo, nie masz się z czego oczyścić?

Nie przygana ni wyrzut, lecz łagodna zachęta brzmiała w jego głosie. Krystyna spuściła oczy i odparła:

— Nie mogę.

Patrzył na nią z życzliwym zrozumieniem, starczy mi, wyblakłymi oczyma, jakby wiedział, kim jest i co ją wstrzymuje. Jak wyrozumiały ojciec do krnąbrnego dziecka, powiedział:

— Lepiej żałować grzechu niż tęsknić za grzechem. Sama to zrozumiesz, gdy ci młodość minie. A minie, ani się obejrzysz. Jam prosty człek, ani wiem, czybym cię zrozumiał. Ale Bóg rozumie wszystko i może ci odpuścić to, czego ja bym nie mógł.

Ujął Krystynę za rękę i poprowadził ku ołtarzowi. Szare światło chmurnego popołudnia, skąpo przepuszczane przez niewielkie okienka, ledwo już wydobywało z mroku wnętrze niewielkiego kościółka. Majaczyła w nim rozpięta nad ołtarzem postać Ukrzyżowanego. Staruszek drżącymi rękoma krzesać zaczął iskry na hubkę i mówił półgłosem:

— Bez mała od wieka tu wisi. Wielki Mieszko darem go z Moraw otrzymał \ Widno sobie Chrystus to miejsce upodobał, gdzie drzewiej stał chram pogański. Może i dlatego nie ruszyły go tłumy pogańskie, gdy Kościół upadł po wygnaniu Ryksy. A gdy Brzetysław Kraków łupił, Wisła z Rudawą podały sobie ramiona jako ninie i obroniły świętość. Pobral grabieżca skarby, ale ten, największy, choć nie ze złota, jeno z drewna, ostał.

Coś tam jeszcze gadał staruch, od płomyka, który chwycił strzep lnianych paczesi, zapalając dwie świece w drewnianych świecznikach. Krystyna nie słu-

¹ Tzw. krucyfiks z Sirolo, obecnie znajdujący się w Numanie koło Ankony.

chała już, gdyż oczy jej pobiegły wraz z złotym światłem ku górze. Kapłan przyklęknął, piersi krzyżem zakreślił i wyszedł z kościoła. Została sama.

Patrzyła jak urzeczona. Przywykła do postaci Ukrzyżowanego skreślonej bólem, obwisłej bezwładem śmierci, z głową w cierniowej koronie, pochyloną bezsilnie. Jeny gwoździe wyjąć, którymi członki przybito, runie na ziemię.

Patrzący na nią Chrystus inny był. Czarny krzyż, na którym go rozpięto, zlewał się z mrokiem, tak że postać nadludzkiej wielkości jakby się unosiła w powietrzu. Wyprostowanych ramion nie obciążał w dół ciężar ciała. Zdało się, że raczej objąć nimi chce świat, jeno nie pozwalają gwoździe, którymi unieruchamia je złość ludzka. Młodzieńcze, piękne ciało nagie było, jeno z przepaską na biodrach i miast cierniowej, z ciężką, królewską koroną na głowie, której jednak nie przytłaczała swym brzemieniem. Twarz bez zarostu miała wyraz zamyślony, ni śladu bólu. To nie był Bóg cierpiący, lecz zwycięzca nad cierpieniem i śmiercią. Nie żal ni trwogę budził, lecz otuchę.

Miast po lasach i wzgórzach, Krystyna u niego jęła szukać spokoju i samotności, choć ciepła wiosna wszystkimi powabami nęciła do wędrowek po rozkwitłym barwami kraju. Wschody malowały go opalem, dni złotem i zielenią, zachody purpurą i fioletem. Wychodząc z kościółka Krystyna często stawała, oczarowana pięknem, aż rrok pogasił barwy i złotymi gwoździami ponabijał rozpięty nad nią mierzchnący błękit nieba. Zapominała o sobie, budziła się w niej natomiast tęsknota za Bużeninem. I tam jest wiosna, a nie rzucają się w oczy światła sterczącego na skale grodu, od którego szedł na Krystynę jakiś niepokój czy groźba, rosnące w miarę przedłużania się nieobecności Bolesława.

Nawój wrócił przed księciem; tylko się rozpatrzył w sprawach, udał się do biskupa. Czekał długo, lecz

nie pokazywał po sobie zniecierpliwienia, gdy wreszcie dopuszczono go przed oblicze Stanisława. Przeciwnie, skłonił się z wielkim szacunkiem i mówić zaczął niemal pokornie:

— Prośbę przedstawić mam waszej dostojności i choć na łaskę u was nie zasłużyłem, wysłuchania się spodziewam, bo nie o siebie prosić przychodzę. Ośmiela mnie, że spełnienie prośby mej dobrym będzie uczynkiem, a zgorzeniu może zapobiec.

Biskup słuchał nieufnie, hamując rozdrażnienie, jakim zawsze napawał go widok tego człowieka o drwiącej twarzy. Wiedział, że jest on najbliższym doradcą Bolesława; wiedział, że księżę za jego namową wrogięgo sobie kanonika Wolkmara do Tyńca odesłać kazał. Biskup uprzedzony był do Nawoja przez kanonika i przestrzeżony przed jego chytrąścią. Dlatego rzekł powściągliwie i niechętnie:

— Łaska moja wam niepotrzebna, skoro macie księżęcą. A czy uczynek dobry, ocenimy, gdy prośbę przedstawicie. Nie zawsze porto zgodniśmy w tym, co za dobre uważać należy. Słucham tedy waszej prośby.

Nawój głową skinął spuszczać oczy i odparł:

— Nie śmiałbym swego zdania w tej mierze wyjawiać, gdyby mnie wasze o jego słuszności nie upewniało. Nie myślę się, iżecie pod nieobecność pana wiernym jako prawo ogłosili, co synod w Rouen uchwalił, że małżeństwa *coram Ecclesia*¹ zawierane być mają i innych za prawe uważać nie będziecie. Przez co i sądownictwo w sprawach małżeńskich do was odtąd należeć winno i *iura stolae*² znacznie zyski powiększą.

— Dobrze słyszeliście — odparł biskup zimno, gdyż drwiną wyczuł w ostatnich słowach Nawoja — jeno zrozumieliście niedobrze. Synod w Rouen prawa takiego nie ustanowił, jeno przypomniał, że małżeń-

¹ *c o r a m E c c l e s i a* — wobec Kościoła

² *i u r a s t o l a e* — opłata za czynności **kościelne**

stwo jest sakramentem, a szafarstwo sakramentami należy do Kościoła. Ale rozumiem, że bodzie wa? jako podskarbiego i ksiąźęcego zauszniaka, że dochody z ksiąźęcego sądownictwa zmaleją, gdy Kościół sam wyrokować będzie w tych sprawach, które do niego należą. Zaś *iura stolae* słuszniejsze są niż statti i podwoda, którymi lud jest gnębiony. ■■■

Nawój jeno głową skinał i pomijając wyzwanie o&# parł spokojnie:

— Choć niezupełnie, ale widzę, że dobrze zrozumiałem, i dlatego prośbę swą wyłożyć się waże: byście plebanowi od Św. Salwatora polecić raczyli pobłogosławienie związku między Domanem Cieszkowicem a Bietką Gosławówną. Co się zaś Kościołowi świętemu należeć będzie, chętnie uiszczą.

Gniewne zaskoczenie sprawiło, że biskup zapomniał, że w rozmowie z tym podstępnyim człowiekiem spokój sobie zachować nakazał. Rzucił rozdrażniony:

— Wszetccznikom, co nie jeno sami w jawnym żyją zgorzeniu, ale pod jednym dachem z tą...

— Właśnie by zgorzeniu tamę położyć, prośbę swą ponowić się ośmielam — przerwał Nawój umyślnie, by nie usłyszeć tego, czego usłyszeć nie chciał w tej chwili. — Za grzech się pokajają, choć mniej winni niż wielu innych, co wolą własną, a nie nieszczęściem przywiedzeni zostali do grzechu.

Biskup znowu poczuł ukłucie i ogarnął go gniew, zarazem na siebie, że spokoju utrzymać nie potrafi, jak i na tego człeka, co go raz w raz własną jego bronią uderza, z niespodziewanej strony. Siłą woli uspokoił się i odparł:

— Nie zda mi się przystojnym rozprawiać z wami o rzeczach, których rozstrzyganie do Kościoła należy. Proście odmówić muszę, by jeno dlatego, że proszący stanu są nierównego, co *impedimentum* związku stanowi.

— Człek człeku nierówny jako drzewa w lesie, ale co małe, wyrósć, co wielkie, lec może. A wszystkie

razem lasem, są i żadnemu ani bliżej, ani dalej do słońca, co nad nami, jako nad ludem ksiązę, który sam jeden prawa stanowi. A takiego jeszcze nie ustanowił.

— Piękna to przypowieść. Jeno może prawdziwa była za pogańskich czasów. Kościół zaś nie uznaje barbarzyńskich praw. Zresztą, by skończyć, rzekę wam: gdyby i takiego prawa nie było, jeszcze bym na związek ten nie zezwolił bez zgody Gosława Lisa, której on nie udzielił.

— Mylicie się. Gosław sam Bietkę dla Domana wydał.

Nawój kątem oka patrzył na biskupa podejrzliwie.

— Wy to zgodą nazywacie — Stanisław podniósł głos, znowu się zapominając — coście ją na nim wymusili, nóż do piersi jego syna przykładając!

Nawój milczał przez chwilę, otwarcie już utkwiszony badawczy wzrok w biskupie.

— Nie nóż do piersi, jeno powróż do szyi — odrzekł. — Dziwne mi jeno, że się Gosław pochwalił tym przed wami. Gdyby się ksiązę dowiedział, że stary Lis przez synów znosi się z Czechami, i jego głowa kruszyny soli niewarta. Nie daruje ksiązę zdrady nikomu.

Ostatnie słowa podkreślił znacząco.

Biskup odczuł groźbę, lecz to podrażniło go jeno.

Zimno odparł:

— Proście waszej, jako rzekłem, ucha dać nie mogę. Tedy myślę, że jeśliście jeno z nią przyszli, nie mamy więcej o czym mówić.

— Z prośbą — odparł Nawój. — Jeno że czasami człek do lasu na szaraka wyjdzie, a napotka niedźwiedzia, któremu czoło stawić musi.

— Przypowieści waszych dość będzie — rzekł biskup wyniosłe — i nie czas mi rozmyślać nad nimi, *Macie* co mówić, mówcie; jeszcze wysłucham cierpliwie.

— O drobną rzecz dla nieznacznego człeka prosić przyszedłem, a oto się dowiaduję o sprawach, które na wszystkich zaważyć mogą.

— Czasu szkoda — rzucił Stanisław oschle.

— Wždy mówią wprost, że się z Gosławem znosi-
cie, który o związki z Czechami podejrzany. A tak
się złożyło, żeśmy właśnie Czecha jednego złowili,
który się tu przebierał. Nie chciał wyjawić, od kogo
i do kogo wysłany. Posiedzi w lochu, to powie.

— Wam się sprawiał nie będę — rzucił biskup
wzburzony.

— Gniew pohamujcie. Od siebie mówię, ale nie sie-
bie mam na oku, jeno pospólne dobro, waszego nie
wyłączając.

— Możecie je wyłączyć! — dumnie odparł Stani-
sław.

— Nie da się. Do walki się zbieracie z księciem,
przeszkodzić chcecie w tym, co zamierza, by swo-
je przemoc. Ale jeno tak długo wam uchodzi, póki
lekce was książę waży. Gdy na prawdziwy opór na-
potka, zgniecie go. A was pierwszych, coście innym
pozwolili, że was na czoło wypchnięto.

Biskup wstał błądny z gniewu.

— Dość długo znoszę zuchwalstwo. Wiedźcie i po-
wiedźcie swemu panu, że żadna groźba mnie nie po-
wstrzyma, bym to, co mi nakazuje sumienie, czynił.

Nawój wsta! również. Małe oczki wbił w Stanisła-
wa. Drwiąco rzekł:

— Szczerością za szczerość odpłacę: widzę, że nie
cofniecie się przed niczym, jeno że pycha wam tak
każe, nie sumienie.

— Coś rzekł?!

Pobladle wargi Stanisława drżały, widno słów nie
mógł dobrać. Nawój jednak patrzył na niego śmiało.

— Com rzekł, powtórzę. Znosicie się z książęcymi
wrogami i nie gorszy was ten ciastoch * i ciemięga
Włodzisław, choć nałożnicę ² wziął, którą mu krew-
niacy wasi tiaraili, by wpływ mieć na niego. Nie mier-

¹ ciastoch — niedotęga

* Prawdzicówna z Radzanowa nad Wkrą, matka Zbig-
niewa

zi was, że wielmoże, z którymi trzymacie, lud ciemnić zaczął, ziemię siłą po zmarłych zabierając jako puściznę, choć potomstwo zostało, jeno że przez was za nieprawe uznane. Ale mierzi, że książę stanu i podwody żąda, jako od wieka bywało, że daniny ciągnie zgodnie z prawem i obyczajem, bo zasoby mu potrzebne przeciw wrogom. A sami nie wahacie się ich garnąć wszelkimi sposobami, cudów próbując, gdy prawo wasze za krótkie.

Biskup zbladł jak giezło i zerwał się, groźnie wyciągając rękę:

— Precz, bezbożniku! — krzyknął drżąc z oburzenia.

— Idę już — odparł Nawój spokojnie. — Jeno nie wiem, czy bezbożnikiem jest ten, kto nie wierzy szalbierstwu, czy ten, co je popełnia, Bożego imienia nadużywając.

Biskup był tak wstrząśnięty, że usiadł i zapytał cicho:

— Pietrkowe wskrzeszenie? Szalbierstwo?!

Nawój skłonił się urągliwie i wyszedł.

IX. LEGACI PAPIESCY

Opat Scescus właśnie siadać miał do kolasy, by na zjazd udać się do Krakowa, gdy znać mu dano, że biskup Stanisław nadciąga drogą od Skawiny. Jakoż z dala już widny był na drożynie, wiodącej skłonem kamienistego wzgórza, okazały orszak z krucyferera na czele. Opat postanowił zatrzymać się, pewny, że biskup pociągnie również do Krakowa; zgromadziwszy tedy przedniejszych braci, przed wjazdem w zabudowania klasztorne czekał na przełożonego, którego mądrość podziwiał, a wdzięczność dlań żywił za godność dzięki niemu uzyskaną. Mocno był jednak zdziwiony, gdy na zapytanie, kiedy do Krakowa ruszą, Stanisław odparł:

— Czas o tym mówić będzie, bo na kilka dni w gościnę zjechałem.

— Jakoże tak ważny zjazd i narady bez waszej się obecności odbędą?

— Łacno się tam obchodzą beze mnie — rzekł biskup gorzko — i za nic mają moje zdanie i moją osobę. Ja zaś, gdy słuszność i prawo za mną, ustępować nie zwykłem ni prosić, by rady mojej słuchano.

Opat umilkł i nie pytał więcej, gdy jednak po wieczery w refektarzu zostali sami, wrócił do sprawy;

— Księżę może krzyw będzie, żeśmy na zjazd nie stanęli. Mało znaczna moja osoba, ale każdemu, a szczególnie legatom dziwnym się, wyda, że *episcopus*

*loci*¹ nieobecny. Ninie zwłaszcza, gdy w Niemczech wielu biskupów przeciw cesarzowi powstało, inni zaś przeciw papieżowi się buntują, a niższy kler połączył się z nimi, niechętny celibatowi. Mogą i nam za bunt nieobecność poczytać.

— Macie jakowe wieści z Niemiec? — przerwał żywo biskup.

— Często u nas z bratnich zgromadzeń goście bywają. Zamęt u nich, jakiego jeszcze nie było. Cesarz zrazu za namową Hugona Mądrego uznał wybór Grzegorza. A ninie znowu go nie uznaje, bo Grzegorz sprawę inwestytury ruszył. Przeciw Grzegorzowi stanęli i Anno, i Zygfryd z Moguncji, i Gebhard z Salzburga, i praski Jaromir. Bamberski Herman, za symonję wydęty, jawnie posłuszeństwa odmówił i na biskupstwie się utrzymał. Henryk zaś, przy Wratysławowej pomocy, zbił buntowników pod Hohenburgicm. Kres będzie saskiego powstania, bo Sasi wdali się w układy.

— Wždy Wratysław Grzegorzowi świadczył i pomocy jego prosił przeciw Jaromirowi — rzucił Stanisław.

— A ninie z Grzegorzem zerwał i pogodził się z bratem. Giętkiej trzeba myśli, by na właściwą drogę w gąszczu tym utrafić, ale Wratysław giętką ma głowę i kark. Wie on, z kim trzymać.

— Czy się aby nie mylicie — powiedział biskup w zamyśleniu. — W rachunku tym brak Bolesława, który bez wątpienia saskich buntowników wspomozę. Schlebia Grzegorzowi, bo go to na pierwsze miejsce wysuwa w chrześcijaństwie. Ani chybi, Bogumił koronę przywiezie dla niego. Pycha jego żadnej już wiadać nie najdzie granicy.

— Nie wiem, czy koronę, bo Grzegorz liczy się jednak z cesarzem, a Henryk nigdy by nie wybaczył uwieńczenia jawnego wroga. Ale palusz dJa siebie przywiezie niezawodnie.

¹ e p i s c o p u s loci — biskup miejscowy

Sxanasław zachnął się, a opat spojrzął ze zrozumieniem, mówiąc:

— Kto wie, czy nie lepiej to dla was.

— Jak to lepiej?! — rzucił Stanisław gniewnie.

— Niech sobie Bogumił kler zrazi, Grzegorzowe nowości wprowadzając. Gdy cesarz wygra, godność jego za. nieważną musi zostać uznana.

— Ale ninie, jeśli dojdzie do koronacji, Bogumił jej dokona, nie ja. A jedyna to sposobność, by pyszałkowi warunki postawić i władzę jego ograniczyć. Wiedzieć zdałoby się pewnikiem, czy Bogumił przywiezie koronę, czy nie, bo siła od tego zależy.

— Pono brat Wolkmar ma jakoweś wieści. Jeśliście ciekawi, lepiej was objaśni.

Stanisław zachmurzył się, po chwili rzekł:

— Przywołajcie brata Wolkmara i... osławcie nas samych.

Opat stonił głowę i wyszedł, Stanisław zaś, głęboko zadumany, przechadzał się po refektarzu. Świeca na stole stojąca rozjaśniała jeno najbliższy krąg, reszta obszernej komnaty tonęła w cieniu. Zamyślony biskup nagle drgnął i zatrzymał się. Nie słyszał, kiedy Wolkmar stanął w swej ciemnej szacie przy drzwiach, ledwo widoczny, że jeno zdradzał go poblask światła odbijający się w źrenicach. Potem przygasił go opuszczając oczy i w pokornej postawie, z rękoma założonymi w obszerne rękawy, czekał w milczeniu na odezwanie się biskupa.

— Nie macie mi nic do powiedzenia? — zapytał biskup.

W głosie brzmiał zarazem gniew i zmieszanie.

— To jeno chyba — odparł Wolkmar cicho — że nie dotknęła mnie niełaska księcia, którą wiem, komu zawdzięczać. Dotknęła mnie wasza, bom się jej nie spodziewałem ani wiem, co przyczyną. Ale ja służyć nie przestałem; wieści zbieram, a może i co więcej niż wieści — dokończył szeptem.

Biskup przez chwilę z sobą się łamał, po czym usiadł i ręką wskazał Wolkmarowi miejsce. Zaczął ostro:

— Chcę wiedzieć wszystko, jak było w Piotrawinie, całą prawdę!

Wolkmar długo milczał, patrząc na biskupa nieodgadnionym wzrokiem. Odpowiedział zapytaniem: Wy mnie pytacie?

— Pytam! — rzekł Stanisław groźnie. — I czekam na odpowiedź.

— Cóż mogę odrzec?! Gdy bezbożnicy, gorsi od niewiernego Tomasza, przeczyć śmiać cudowi, który Bóg niegodnym ich oczom oglądać pozwolił, jeno politowanie miałem nad zaślepionymi przez szatana. Gdy nie wierzycie wy, których Bóg obrał za narzędzie swej łaski, tytko mi ręce załamać, w których dzierzę nowy jej dowód.

Biskup jednak zdał się nie słyszeć ostatnich słów Wolkmara. Na twarzy jego malowała się rozterka. Usiadł i głowę oparł na dłoniach. Mówił pół do siebie, pół do Wolkmara:

— Od początku żywiłem wątpliwości! Jenó w tej jednej chwili, gdym Pietrka wołał, zdało mi się, że Bóg mówi przeze mnie. A potem wątpliwości wstały znówu... gdym dojrzał, że Otard śmiał się, kiedy inni z kościoła uciekali. On nie wierzył w cud; ta niewiara utkwiała we mnie i rozrasta się w zwątpienie.

— Co wyprawicie! Otard płakał. Wstrząśnięty był do głębi, choć pijaczyna to i człek lekki. Nie on mógł wam zaszcześcić zwątpienie, ktoś inny, komu zależy, byście sami zwątpili o sobie. Mam wam rzec, kto? Nawój!

— Skąd wiecie? — zapytał biskup zdumiony.

— Posłuchajcie! Nigdy by książę nie śmiał odmówić wam Piotrawina, gdyby w nim ktoś nie posiał niewiary. A któż to mógł uczynić, jeśli nie ten sługa szatański, co jak zły duch stoi za księciem? Oo wam rzekł?'

Biskup powtórzył mu rozmowę z Nawojem; Gdy skończył, Wolkmar odetchnął z ulgą:

— I to w was wiarę zdołało obalić! — zawołał. — Słusznie was przed nim przestrzegałem. Ale przez

moje ręce Bóg zsyła wam nowy dowód, żeście wybrańcem Jego.

Z rękawa wyciągnął pergamin i rozwiniawszy podawał go Stanisławowi.

Biskup rzucił okiem i na obliczu jego odbiło się zdumienie. Czytał i twarz jego rozjaśniała się, przygnębienie ustępowało podnieceniu. Gdy skończył, zakrzyknął:

Bulla na paliusz dla Krakowa! Gdzieście to naszli?

— Wiedziałem, że była, tedy szukałem. Lata to trwało, ale ja się z drogi zbić nie dam. Choć mnie od was odsunięto, służyłem dalej... i służyć będę, póki-Wy mnie nie odsuniecie.

Biskup nie słuchał jednak słów Wolkmara. Twarz jego promieniała. Powstał z niezwykłą żywością.

— Teraz mi jeno jechać do Krakowa, bullę przedstawić.

Wolkmar uśmiechnął się szyderczo. Czuł, że ma biskupa w rękę, i rzekł stanowczo:

— Nie czas jeszcze bullę okazywać. Niech tymczasem starczy, że wy o niej wiecie. I Bogu dziękujcie, że się naszła. Znak to, że błogosławi waszym poczynaniom. A kiedy jej użyć, w sposobnej chwili doradzę.

Uгода między Sasami a cesarzem rozchwiała Sasi na Wielkanoc splądrowali kościół w Harzburg nie szczędząc i grobów rodziny królewskiej. Oburzeni książęta stanęli po stronie cesarza i na nowo wojna wybuchła, w której Sasi zmuszeni byli oglądać się na Bolesławową pomoc. Mimo zwolnienia cesarza z klify twy, stosunki z Grzegorzem nie układały się dobrze. Wyprawa cesarska na pomoc Salomonowi nie doszła do skutku z powodu saskich wypadków, na prośbę zaś o pośrednictwo papieskie u Bolesława Salomon otrzymał od Grzegorza gorzki list; pisał papież:

...tu in ceteris quoque a regia virtute et morihui longe descendens, ius et honorem sancti Petri quan-*

tum ad te imminuisti et alienasti, dum eius regnum a rege teutonico in beneficium sicut audivimus suscepisti K Jasno wynikało z tego, że Bogumił umiał sprawy należycie przedstawić, a Grzegorz nie uznaje koron przez cesarza nadanych, sobie wyłącznie to prawo przypisując. Nikt nie wątpił, że korona dla Bolesława jest tylko sprawą odnowienia kościelnego ustroju, by ozdobiony paliuszem, własny arcybiskup mógł aktu koronacji dokonać.

Bolesław tymczasem kraj zagospodarowywał, budował grody, odprawiał sądy, wyjeżdżając często i daleko, a wracając z pośpiechem do Krakowa, gdzie każdą wolną chwilę dzielił między syna, z którym coraz bardziej Ignęli do siebie, a prawie dla ludzi niewidoczną w swym dworku nad Wisłą Krystynę, której życie wypełniało jeno oczekiwanie na spędzane z nim chwile.

Zdało się wszystkim, że potędze księcia nic się już przeciwstawić nie zdoła, a sam mniemał, że spokój, który osiągnął wreszcie, żadnej już nie ulegnie burzy.

Mimo wyjazdu Stanisława i nieprzybycia licznych wielmożów, narady z papieskimi legatami, którzy wraz z księciem przybyli z Wrocławia, szły swoim porządkiem. Bolesław zdał się nie dostrzegać objawów ciękiego oporu i niechęci lub zwyczajem swym lekce je ważył, tym bardziej że nadchodzące zewsząd wieści były pomyślne.

Kraków nie widział jeszcze tak świetnych uroczystości, jak te, które wyprawił Bolesław ku czci papieskich legatów, kardynałów Geralda z Ostii i Huberta z Panstriny, którzy w ubiegłym roku do Czech posłowali w sprawie Jaromira. Porównać je można było chyba z żywym wciąż jeszcze wspomnieniem przyjęcia zgotowanego Ottonowi III przez Chrobre-

¹ ...ty i w innych także sprawach daleko odstępując od cnót i obyczajów królewskich, jakże prawu i czci św. Piotra ubliżyłeś i wyzbyłeś się, przyjmując, jak słyszeliśmy, to królestwo od niemieckiego króla w lenno.

go. Książę wysilił swą szczodrość i zasoby, by pradiadowi dorównać. Cel, który mu przyświecał, nie mniejszy był niż pradiadowy.

Legatów chciał Bolesław przekonać, że Grzegorz zawierając przymierze z polskim władcą znalazł dla swoich celów *bracchium saeculare*, którego potędze żadne inne w chrześcijańskim świecie nie sprostą, które sięga daleko poza granice państwa, własnej jeno woli i synowskim uczuciom dla papieża posłuszne. Pełnomocnictwa też, otrzymane przez legatów, szerokie były, obejmując również sprawy, o których Grzegorz nie wspominał w skierowanym do Bolesława liście.

List ten na uroczystym posłuchaniu, udzielonym legatom przez księcia, odczytał kardynał Gerald i wręczył pismo Bolesławowi, który oddał je stojącemu obok Nawojowi.

Nawój szybko przebiegł pergamin oczyma i tłumaczył biegle.

Zaczynał się list pozdrowieniem i błogosławieństwem:

„Wyciągam do ciebie moje ramiona w miłości Chrystusa” — pisał Grzegorz, po czym dziękował za przesłane za pośrednictwem Bogumiła skarby:

„Ponieważ dary czynione dla sług i szafarzy są w rzeczy samej uczczeniem dla ich panów, przeto bez wątpienia chętnie podejmują się pracy i trudów dla miłości służby ci zwłaszcza, którzy osoby i powagę przełożonych serdecznie miłują. Że wasza dostojność :>w. Piotra, księcia apostołów, szczerym sercem miłuje i gorącym duchem wznosi się do sławienia go, to poznajemy z tego, że uczciwszy Go swoimi darami, pragnąłeś — i jak Bogu ufamy — zasłużyłeś sobie uczynić go swoim dłużnikiem. Przeto i my, którzy się nazywamy i chcemy być Jego sługą, łączymy się z wami w Chrystusie i pragniemy udzielić opieki tego urzędu, do którego nas, chociaż niegodnych, woła Boska powołała, szczególnie w takich sprawach, o jakich sądzimy, że są dla was konieczne i chwalebne, i to

j. tym troskliwiej, im więcej poznajemy waszą wierność i miłość, gotową do posłuszeństwa i usług...

Twój kraj nie posiada związku metropolitalnego i stąd pochodzi, że twoi biskupi nie mając pewnego miejsca siedziby metropolitalnej i nie pozostając pod odpowiednim nadzorem przełożonego, tu i tam się włóczą, by otrzymać święcenia kościelne, i bardzo nie-/wiele dbają o przepisy Ojców Świętych i reguł kanonicznych. Po drugie, ilość biskupów twojego kraju w stosunku do wielkiej liczby ludzi jest o wiele za mała i diecezje mają rozmiary, które głowom Kościoła nie pozwalają ze starannością, jaka musi być zachowana, czuwać nad wiecznym dobrem powierzonych im gmin. Z tych przyczyn i innych, których nie chcemy w piśmie poruszać, oddawcę niniejszej bulli wysyłamy, aby łącznie z tobą poprawił, co powinno być uporządkowane, i w ważnych sprawach naszą wolę doniósł...

Z powodu tych spraw i innych, o których nie piszemy na tym miejscu, wyprawiliśmy do was legatów, aby omówiwszy z wami sprawy należne do zarządu Kościoła, a które trzeba poprawić, albo sami wedle praw Kościoła postanowili, albo takowe nam do orzeczenia przywieźli. Ich więc jakby nas samych słuchajcie.

Oby Bóg wszechmogący po złamaniu pychy waszych nieprzyjaciół przez Jezusa Chrystusa, naszego Pana, dał wam radość pokoju, abyście i z doczesnych darów poznali, jakim pragnieniem dążyć należy do przyszłych".

List kończył się wzmianką, na którą twarz Bolesława spochmurniała *na chwilę*:

„Jak słyszę, odebrałeś ruskiemu królowi pieniądze i przez to naruszyłeś wskazania miłości chrześcijańskiej. Zaklinam cię przez miłość Boga i św. Piotra* oddaj, co ty i twoi zrabowaliście Rusinowi, znasz bowiem powiedzenie Pana, wedle którego ci, co cudze dobro sobie przywłaszczą, nie będą mieli udziału w Królestwie Bożym, jeśli nie dopełnią pokuty. Przyj-

mij to moje upomnienie z taką miłością, z jaką my ci go udzielamy w trosce o zbawienie twej duszy".

Nawój skończył i pytająco patrzył na Bolesława, który wstał po krótkim namyśle i przemówił:

— Wielkie to i ważne sprawy, jakie Ojciec Święty w piśmie swym porusza, nad którymi niech każdy z panów rady umysł swój wyteży, by dojrzałym zdaniem służyć, gdy zapytamy o nie. Wiedzieć jeno ma A każdy, duchowny czy świecki, żeśmy siły nasze na usługi Piotrowej Stolicy ofiarowali, gdy przyrodzone jej, cesarskie ramię, za szatańskim podszeptem przeciw niej się zwróciło. Tedy radzić będziem nie nad tym, czy posłuszeństwo i pomoc Ojcu Świętemu winiśmy, jeno jak najlepiej je okazać i chwałę Bożą z korzyścią naszego królestwa połączyć.

Po słowach księcia rozległy się szepty, lecz umilkły, gdy Bolesław zwrócił się do Bogumiła:

— Wam zaś, dostojny opacie, synod powszechny wszystkich diecezji zlecam zwołać do Gniezna, gdzie za szczególną łaską Ojca Świętego legaci jego ozdobią was najwyższą godnością w polskim Kościele i z wami społem radzić będą, jak wytkniętym nam brakom zapobiec, przy czym wszelką pomoc i ochronę wam przyrzekamy.

Szmer powstał znowu, lecz księżę już na biesiadę prosił, ku uczczeniu posłów papieskich wydaną. Nie z jednego pieca chleb jedli i nieobce im były wspańiałości innych dworów, lecz przyszedłszy późnym już wieczorem na przygotowane dla siebie gospody, obdarowani skarbami ponad najśmielsze spodziewanie, olśnieni byli.

— Zda mi się, że nie mógł Ojciec Święty znaleźć potężniejszego i wierniejszego sługi i sprzymierzeńca — rzekł Gerald.

— Szkoda jeno, że siedzi tak daleko — odparł Hubert.

— Przez Węgry, gdzie jak u siebie poczyna, sięgnąć mu łatwo. Grafów niemieckich opłaca, by drogę do

Rzymu utrzymać bezpieczną. A u siebie, zda mi się,, z nikim nie potrzebuje się liczyć.

— Nie wiem — rzekł Hubert w zamyśleniu. — Zmiarkowaliście, że tutejszego biskupa ni na radzie, ni na uczcie nie było?

— Zmiarkowałem i nawet nie zdało mi się to przy- stojnym, jeno słyszałem, że spodziewał się, iż paliusz tutejszej stolicy przypadnie, jako było po odbudowie chrześcijaństwa w tym kraju. Człek ma być wielkiej wiedzy i uczoności, a nawet za świętego pono go mają, ale i o zawiść nietrudno, zwłaszcza gdy się godnym czuje.

— Zawidzić Bogumiłowi prędzej by mógł gnie- źniński biskup, którego tu dotychczas uważano za głowę Kościoła. Nawet biskupów wyświęcał, choć nie miał prawa po temu, jeno ksiązę mu kazał, by roz- czeniom magdeburskiego arcybiskupa tamę położyć. Ale, jako pomiarkowałem, rad jeszcze, że mu praca i odpowiedzialność spadła z siwej głowy, a księciu wcale nie krzyw, że go dostojęństwo minęło, do któ- rego nie dorósł.

— Zaś krakowski biskup, jak słyszę, dorósł i dla- tego krzyw być musi. A śmiały widno jest, skoro to w taki sposób, który księciu ubliża, objawił,

— Nie zda mi się, by się ksiązę tym przejął. Jakby nie widział, że go nie ma. Lekce go snadź waży i tak myślę, że wie, co robi, i sam poradzi, gdyby było po- trzeba. Tutaj biskupi nie są książętami jako w Niem- czech, jeno urzędnikami książęcymi, co posłuszeństwo przysięgali, a Bolesław nie patrzy na takiego, co by nieposłuszeństwo znosił.

— I mnie się tak zdaje, ale lepiej, by spokój był wewnątrz, gdy Ojciec Święty za granicami wyznaczył księciu zadanie — zakończył Hubert

X. O TRON KIJOWSKI

Spór cesarza Henryka z papieżem Grzegorzem zaostrzył się, a jednocześnie zamęt w Niemczech wzrastał. Saskie powstanie cesarz tłumił krwawo, przy pomocy Wratysława, który pozwalał sobie na wszystko jak w zdobytym kraju. Ale do spokoju było daleko. Sascy biskupi, przyciskani przez cesarza, bez sprzeciwu zgodzili się na odnowienie gnieźnieńskiej metropolii, byle pomoc uzyskać od Bolesława. Cesarz zajął Miśnię, Budziszyn i Łużyce, a oddawszy je w nagrodę Wratysławowi, sam pociągnął do Wormacji na zwołany po Godach synod, na którym wybór Grzegorza miał być za nieważny uznany. Miśnieński margraf Dedi gotował się jednak do odwetu i zbiegł do Lutyków, porozumiewając się z Bolesławem, by razem uderzyć.

Bolesław czekał jeno na ruskie posiłki. Gdy wreszcie nadeszły pod wodzą Włodzimierza Wszewołodowicza¹ i Olega Świętosławica, straszliwe uderzenie spadło na Wratysława. Bolesław przez Głogów runął na Czechy jak burza, przez cztery miesiące palił i łupił, docierając aż do Czeskiego Lasu. Jednocześnie Dedi z siedmioma tysiącami pogańskich Lutyków wyparł Wratysława z Łużyc. Zostawiony bez pomocy Wratysław musiał się ukorzyć i wypłaciwszy wro-

późniejszy Monomach

gom po tysiąc grzywien srebra za pokój, lizał się z **ran**, czekając, kiedy na niego przyjdzie kolej je zadawać. Tym razem jednak trzeba było cierpliwości. Rudolf szwabski, Welf bawarski i Bertold karyncki stanęli po stronie papieża. W Niemczech zanosilo się na rozłam, w Kościele — na schizmę. Bolesław zaś, rad z siebie, obładowany łupem, wracał, by porządek i ład wprowadzać, kościoły i grody budować, wojsko zbroić na nowe wyprawy, a przede wszystkim przygotowania poczynić do uroczystości, która miała być uwiecznieniem dzieła jego życia. Wziął już najwyższy lot, żadne przeszkody nie stały na drodze do szczytu, na którym stawał w kwiecie sił, w trzydziestym czwartym roku życia. Zdało mu się, że Chrobrego przewyższył, i przewyżzyć też chciał świetnością pradiadową koronację, zamierzając jej dokonać jak on w dzień wigilijny w katedrze gnieźnieńskiej,

Z Czech tedy ksiązę nie wrócił do Krakowa, lecz udał się wprost do Mogilna, by naradzić się z Bogumiłem. W Krakowie zaś z niepokojem oczekiwał niecierpliwie na jego powrót Izasław.

Przybył tym razem z mniejszym jeszcze orszakiem niż wyjechał, z niemal pustymi wozami. W trzosie miał jeno pergamin, który odczytywał po sto razy, choć po łacinie nie umiał, a znał jego treść na pamięć. Na tym kawałku oślejk skóry budował całą przyszłość swoją i syna oraz na przyrzeczeniu papieskim, wstawienia się za nim u Bolesława. To była sprawa, o której Grzegorz nie wspomniał w swym piśmie do polskiego księcia. Na pergaminie widniała pieczęć papieska, a treść jego krzepiła upadające serce Izasława. Brzmiała jak następuje:

„Twój syn przybył do mnie i oznajmił mi, że z twoją zgodą swe państwo oddać chce św. Piotrowi i z naszych rąk chce otrzymać jako lenno. Przychyliłem się do tej prośby, częściowo ze względu na twoje przyzwolenie, częściowo ze względu na twój syna, i w imieniu św. Piotra oddałem mu twoje państwo w lenno. Niech święty Ksiązę Apostołów weźmie

w opiekę was/ "waszych™ poddanych, wszelkie wasze dobro i do końca zachowa nienaruszone, abyście kiedyś, po upływie tego ziemskiego życia, dostąpili zbawienia wiecznego. Bądźcie pewni, że nasza stolica zawsze będzie gotowa oddać wam każdą przysługę, jaka będzie zgodna ze słusnością i prawem. Przesyłam to pismo przez posłańców, z których jeden jest ci znany i wiernie oddany. Oznajmią ci sprawy, o których nie ma nic w liście. Wysłuchaj ich cierpliwie i daj niezachwianą wiarę ich słowom; proszę cię także, byś się zatroszczył o to, by temu, co oni w imieniu Stolicy Apostolskiej zarządzają lub działają, nikt się nie mógł złośliwie przeciwstawić".

Ostatni ustęp listu mniejszą Izaśława napawał otuchą. Przyrzec musiał i przysięgą utwierdzić, że zerwie związek z Bizancjum, wprowadzi łacińskich duchownych i dziesięcinę Rzymowi wiernie płacić będzie. Miał nad czym łamać głowę. Gdy on przyrzeka schizmę usunąć, metropolita Jerzy cerkiew podporządkował bizantyńskiemu patriarsze i zabitych przez Świętopelka przed pięćdziesięciu laty braci Borysa i Gleba świętymi ogłosił. Było to zatwierdzeniem podziału na księstwa Rusi, która w rozbiciu łatwiej ulec mogła cerkiewnej władzy. Łatwiej też Bolesławowi, jeśli jeno zechce posłuchać papieskiego nakazu. Z teściem Bolesław sprawy uładził i pomoc od niego otrzymał przeciw cesarzowi. Izaśław czuł się niczym w tej grze. O wykonanie by się nie troszczył, gdyby z papieskim pergaminem w ręku wjechać mógł do Kijowa. Ale list bez Bolesławowej pomocy raniej był wart niż pergamin, na którym go napisano, a Bolesław wie, co myśleć o przysięgach Izaśława. Bolesław nie da się oszukać, a jeśli pomoże do zjednoczenia Rusi, to po to, by rządzić w niej samemu. Polski książę był już na niego zagniewany, a jeszcze ta sprawa o zwrot pobranych danin, w której Izaśław fałszywym przedstawieniem poparcie uzyskał od Grzegorza! Izaśław targał siwą brodę, modlił się i kłął. Wyboru nie miał, bez pieniędzy nic nie wskóra, ale gdy pomyślał, że sprawić się

przyjdzie przed Bolesławem, niewiele brakło, by zerwał się i uciekł, niechając wszystkiego. Jeno do*
kąd? "

Niechby już raz był wóz albo przewóz. Pobyt w Kro*
kowie też nie był miły. Komes Sieciech, do którego chciał się zbliżyć, gładki był i zimny jak lód. Biskup odmówił mu wręcz rozmowy i otwarcie przeciw wszystkim związkom z Rusinami powstał, twierdząc, że jeno ludzi od wiary prawdziwej odwodzą, choć przecie ksiązę sam żonaty był z Rusinka i niejeden z rycerstwa żonę przywiózł sobie z Rusi. Widno mieszaniu się w sprawy ruskie był przeciwny, bojąc się wzrostu potęgi Bolesława. Księżna unikała stryja, stroskana, że znowu knować przyjechał przeciw jej ojcu. Lekceważyli go wszyscy, na pachółkach skończywszy, wiedząc, że łaski u księcia nie ma, a widząc, że brak mu pieniędzy. Żeby nie Dobrogniewa, która litowała się nad krewniakiem, może by o kęs chleba trudno mu było pod nieprzyjaznym dachem. Toteż gdy wreszcie wieść przyszła, że ksiązę wraca, odechnął z pewną ują, choć kreślił się krzyżem więcej niż zazwyczaj i więcej też kłął. Niech już, co ma być, będzie.

Na dobitkę wieść przywiózł Jędrzej Jastrzębiec, poprzednio już wygrażający się Izasławowi o to, że jako zrabowanych żąda zwrotu pieniędzy, które Jastrzębcom zapłacił z dobrej woli za odstawienie do granicy. Z dobrej — nie z dobrej, ale sam dał, bo mogli wziąć wszystko, a nie wzięli. Jeno się zwiedziało Jastrzębiec, że Izasław jest na dworcu, jak stał, pobiegł do niego. Sługę, co przy drzwiach usiłował go zatrzymać, grzmotnął pięścią po karku i wpadł do komnaty, gdzie Izasław z Świętopelkiem siedząc przy kubku uradzali, jak im z Bolesławem należy poczynać. Na widok Jastrzębca stojącego z zaciśniętymi pięściami Izasław domyślił się zaraz, o co sprawa, i Świętopelka, który zerwał się wzburzony, gotów rzucić się na zuchwalca, za rękę uchwycił, sam zaś, z uśmiechem wymuszonym na twarzy zapytał:

— Cóż wam tak spiesznej"aa?! Sam z wami mówić chciałem. Siadajcież. Może miodu? Nam, wygnańcom, kwaśny on jako ocet, którym świętego Spasa poili, ale wam będzie smakował, a mówić lżej, gardło przepukawszy.

Uprzejmością pohamował rozpęd Jastrzębca, który usiadł chmurny i wychylił kubek. Izaśław ciągnął:

— Od pana waszego jedzicie? Kiedyż on sam oczy nasze ucieszy?

— Nie bardzo ucieszy oczy wasze i nie o tym prawić przyszedłem, jeno zapytać, coście nałgali, że aż papież do księcia pisał, by oddać wam zrabowane pieniądze?

— Ot, miłościwy papież źle zrozumiał i tak już wyszło. Gdzieżby ja! Wdzięczność chowam, żeście mnie od prawdziwego rabunku uchronili, choć nie darmo. Ale żeby nie wy, może bym i nigdy nie zasiadł na kijowskim tronie, co mi Ojciec Święty — tu Izaśław powstał i przeżegnał się — na pergaminie przyrzekł i potwierdził.

— Nie odparzycie se tyłka od siedzenia na tronie — szorstko odparł Jędrzej. — Ale skoro pieniędzy nie żądacie, nic mi do tego.

Wstał zmierzając do wyjścia, lecz Izaśław go powstrzymał:

— Wypijcie jeszcze. Pogadać rad bym. Może będzie wam co z tego, gdy na kijowskiej stolicy zasięde. Wielkie tam skarby, ach! Będzie przyjaciół czym nagrodzić.

Jędrzej, który swym obyczajem czeskie łupy zdołał już przepić, nastawił ucha. Na roli siedzieć odwykł, a bez pieniędzy na dworze nudno. Izaśław widząc, że przynęta chwyciła, rzekł:

— Wiem ci ja, że księżę wasz niezbyt mi życzliwy, choć Bóg widzi, że go miłuję. Ot, serce mam miętkie. Ale przecie papieżowi posłuch winien. Niei wojsko u was zebrać przyzwolił. Każdemu konnemu grzywien dziesięć srebra dobrego wypłacę, a piesze-

tnu grzywną, gdy jeno Kijowa doładziem. A zaś wam od każdego zmówionego woja srebra ćwierć grzywny Zbogacić się możecie.

— Takie pewne te grzywny, jako wasz tron mruknał Jędrzej. — Zaś ja tam zbogacę się kiedy gdy pieniądz mnie się nie trzyma. Mam, za wami gadać, o suchym gardle nie będę, bo i słuchać nikt **nie** zechce.

— Zodatek dam, choć święty Spaś wie, jako na chleb muszę sobie żałować.

Kniaź otarł rękawem rzekomą łzę, lecz nie wrzucił Jędrzeja, który po chwili wychodził, pobrzękując srebrem. Wojak uśmiechał się już do wspomnień pierwszej na Ruś wyprawy. Życie bo też było w Kijowie! Białki gładkie, miody słodkie, łoża miękkie. Zresztą i bitka nie jest zła. Zapalił się do swego zadania tak, że już tego wieczora niejednego w gospodarstwie przekonał do wyprawy, póki się z utrudzenia pod ławę nie zwałił. Od

Dobrogniewy dowiedział się, iż z Kijowa wieść przyszła o ciężkiej niemocy Świętosława. Bołaczka mu się na karku uczyniła, na którą nie pomogły ni smarowania, ni zamawiania. Gdyby kniaź zmarł, położenie Izaśława zmieniło się całkowicie, zarówno na tym dworze, jak i na Rusi. Toteż modlił się żarliwie o śmierć brata i śluby wielkie czynił, z góry już oplakując go tak szczerze, że zwiódł nawet Wyszesaławę, strwożoną zarazem widmem utraty rodzica, jak i posiadane w nim oparcia.

Szczyście uśmiechnęło się do Izaśława także z innej strony. Bolesław zjechał niespodzianie, lecz pochłonięty nawałem spraw zaległych nie miał czasu Izaśławem się zajmować i na prośbę Dobrogniewy o posłuchanie dla niego polecił Nawojowi sprawy kniazia załatwić. •

¹ Izaśław wołał nawet, iż stawać nie musi **przed** sa-

mym Bolesławem, na myśl o **czym** nogi się pod nim trzęsły trochę. Skrzywił się jeno na osobę wystańnika, którego znał i wiedział, że omamić się go nie da. Nie miał jednak wyboru i przyjął Nawoja niemal unizenie. Za rękę ścisnął, zapewniając o swej radości za stołem sadził i nie pytany tłumaczył się z nieszczęsnego nieporozumienia w sprawie skarbów: żalił się tylko przed papieżem na swe ubóstwo i na to, że daninę musiał płacić w czasie, gdy państwa swego został pozbawiony. Niech jeno z pomocą tych pieniędzy zdoła odzyskać tron należny mu i przez Ojca Świętego przyrzeczony, a zaległe sumy zwróci z naddatkiem i na przyszłość trybut wiernie płacić będzie.

Nawój wysłuchał spokojnie gadaniny, którą go Izasław zasypał, po czym ozwał się:

— Tylko oznajmić mam, że księżę zwrócić wam kazał pobrane od was pieniądze, co też jako podskarbi wraz wykonam. Byście zaś przyrzeczeń swych, danych Ojcu Świętemu i panu mojemu, dotrzyмали, księżę sam dopilnuje, gdy jeno sprawę koronacji uładzi. Nie wzbrania wam też zaciągnąć wojów. Wracajcie do siebie. Im prędzej, tym lepiej.

Odprawa była pogardliwa, ale Izasław pomyślał, że ostatecznie osiągnął, czego potrzebował na razie. Udał przeto, iż nie dostrzega, że zbyć się go chciano, i odparł dostojnie:

— Rad bym uczył krewniaka mego i pana, gdy poświęcaną koroną skronie zdobić będzie, ale tuszę, że mi nieobecność wybaczy, widzę bowiem, iż rozumie, że spieszyc mi się trzeba. Brat nasz, jako słyszę, chorzeje i żywota nie obiecuje długiego. Mięknie w człeku serce, gdy przed Bogiem i świętym Spasem stanąć się spodziewa. Może będzie grzech chciał zgładzić i duszy ulgę przynieść, na której ciąży krzywda moja. Jako dobry brat i chrześcijanin pospieszyć mu chcę naprzeciw, tyle jeno wojów biorąc, by bezpieczeństwo swej osoby zapewnić przed nieszczerymi knowaniami złych doradców. Dlatego zechciejcie pożegnać ode mnie pana swego, za gościnę i dobrodziejka

stwa mu dziękując, których ja wdzięcznie pamiętać
nie omieszkać.

— Przypomnimy, gdybyście zapomnieli -- odparł
Nawój i skłoniwszy się wyszedł.

Nie słyszał przekleństw, jakie za nim rzucił Iza-
sław.

XI. ROZDZIELENI

W ciepłe popołudnie Krystyna klęczała jak zwykle przed Ukrzyżowanym. W kościółku był chłód i mrok, który myśli pozwalał oderwać się i lecieć gdzieś w nieskończoność. Z zadumy obudziły Krystynę, głosy u wejścia, a potem szelest szat i odgłos kroków. Ktoś ukląkł koło niej. Spojrzała niechętnie, w pierwszym odruchu chcąc powstać i wyjść. Powstrzymała ją dumą. Obok niej klęczała Wysesława.

Krystyna nigdy nie widziała księżny, lecz domyśliła się natychmiast. Serce jej zabiło szybko. Czy i księżna wie, kolo kogo klęczy? Ani chybi, choć nie spojrzała na nią, lecz zatopiła się w modlitwie, od czasu do czasu — ruskim obyczajem — bijąc czołem zdobnym w złote, kamieniami sadzone namitko o stopnie ołtarza. Jeśli Krystyna wstanie i odejdzie, księżna pomyśli, że uciekła przed nią.

Krystyna została, lecz nie zostało w niej ni śladu spokoju, jakiego tu zaznała. Pierzchnął jak garść suchych liści pod wiatrem, a na to miejsce wtargnęły i skłębiły się wszystkie uczucia, które nękały ją od chwili poznania Bolesława. Dołączyło się zaś do nich gdzieś najgłębiej ukryte, nigdy jeszcze nie uświadomione poczucie winy.

Nie zdawała sobie sprawy, jak długo klęczały. **Gdy** księżna wstała i skierowała się ku wyjściu, Krystyna wyszła za nią. Przy bramie kościółka zatrzymały się

i patrzyły wzajem na siebie w milczeniu. Przerwała je Wyszesaława:

— Piękna jesteś... — rzekła cichym głosem i zaraz dodała — nie patrzysz na złą... ni na... szczęśliwą.

Krystyna poczuła, jak łamie się w niej duma i chęć oporu. Przymknęła oczy, ostatnim wysiłkiem powstrzymując łzy. Księżna zaczęła mówić szybko, jakby się bała, że opuści ją śmiałość, która przywiodła ją tutaj, mimo świadomości, że naraża się na gniew męża:

— Szczęście albo jest całe, albo go nie ma wcale. Nie da się na pół przeciąć, jak i ono dziecię, które król Salomon dwom matkom przysądził. Każda by jeno krwawy strzep otrzymała, do życia niezdolny.

Krystyna podniosła oczy; nie ukrywała już stojących w nich łez. One widno ośmieliły Wyszesaławę, gdyż uchwyciła Krystynę za rękę i mówiła zdyszczanym, przerywanym głosem:

— Wiem, że mi serca męża mego nie odprzedasz; jako ptak drapieżny krąży ono, inne porywając, a przysiada, gdzie zechce. Ale boję się, boję się o nas wszystkich. I o ciebie się boję, Krystyno. Żal mi i ciebie. Wierzysz mi?

Krystyna jeno głową skinęła, a księżna ciągnęła dalej:

— Wszyscy widzą jeno, jak księżę tron swój wznosi coraz wyżej nad inne. A ja czuję, jak ryje ktoś pod tronem. Gdy go obali, to nam wszystkim na głowy.

Księżna zadrżała, jakby ją dreszcz przeszedł, i obejrzała się za oparciem. Widno ją siły opuściły. Krystyna, wskazując ławkę w cieniu pod ścianą kościoła, rzekła:

— Usiądźcie, pani.

Wyszesaława skinęła, by Krystyna siadła koło niej, i przez chwilę trwały w milczeniu. Zaczęła księżna, siłac się na spokój:

— Lżej mi mówić, gdy mi wierzysz. Ja matką jestem, Krystyno. Czego nie obejmę umysłem, serce mi powie. Jedno jeno dziecię mam i więcej mieć nie bę-

dę. Ty wiesz dlaczego, Krystyno — zarumieniła się i spuściła oczy. — Dlatego bardziej się o nie lękam niż o źrenicę oka. Dla niego ważyłam się przyjść tutaj, na gniew pana się wystawiając, gdyby się o tym dowiedział. Nie wyjawisz mu, że mówiłam z tobą, i nie powtórzysz, co ci rzekę? Na głowę dziecka przysięgam, że powiem jeno prawdę.

— Nie wyjawię, pani, spokojni bądźcie — odparła Krystyna.

Księżna odetchnęła głęboko.

— Biskupowi doniósł ktoś, że ty tutaj przychodzisz. Jutro kapelan rozkaz otrzyma, by cię wszem wobec... z kościoła wyświecił — księżna twarz odwróciła jako wszetecznicę...

Długo milczały ze spuszczonej oczyma.

Nie patrząc na pobladłą Krystynę księżna podjęła:

— W swoim prawie jest, ale wiesz, czym to grozi. Ja znam pana mojego i ty go znasz także.

Krystyna wiedziała. Jeszcze brzmi jej w uszach przyrzeczenie Bolesława po pamiętnej nocy w Kijowie.

— Przemogłam się — ciągnęła księżna — byłam u biskupa prosić, by wojny z księciem nie wszczynał, teraz, gdy spokój wewnętrzny najpotrzebniejszy; by nad samym sobą miał miłosierdzie. Jeno się sromu najadłam... za siebie... i... za ciebie.

— Mówcie, pani. Nie nowa rzecz dla mnie hańba i zniewagi.

— Błagałam go, by tej sprawy nie ruszał, skoro nie ruszam jej ja... com bardziej pokrzywdzona; żem sama panu tam szczęścia przyzwoliła szukać, gdzie je najść się spodziewa. Biskup odrzekł mi, że Kościół nie to prawa stanowi, by frymarczyć nimi. Ze zgoda moja tok samo haniebna, jak Bolesławowe przeniewierstwo. Gdym go jeszcze powstrzymać chciała, prosząc, by sprawę arcybiskupowi przedstawił, który sam jeden miałby prawo wytykać grzechy księciu, rzekł mi... rzekł mi... — księżna urwała.

— Mówcie, pani, wszystko — szepnęła Krystyna posmiałymi wargami — wżdy bez sromu jestem.

— Rzekł mi, że nie szukać sędziego wśród spółników zbrodni ni sprawiedliwości u tego, co palisz kupił za... giezło swej krewniaczki.

Krystyna zerwała się. Zdało jej się, że przygotowana jest na wszystko. Na to nie była. Coś musiało zaświecić w jej oczach, co przeraziło księżnę. Obejmując Krystynę zawołała:

— Ja wiem, że to oszczerstwo. Przyrzekłaś, że nie powtórzysz; zapomnij, com ci rzekła. Stanisław nie jest sam, jak wiem. Stoją za nim inni, co przeciw księciu go pchają, bo śmiały jest, wierzy w siebie i nie liczy się z niczym... Tak jak Bolesław. Boję się.

— Bądźcie spokojni — głos Krystyny opanowany był już i twardy. — Nie powtórzę... i nie zapomnę. Nie umiem. Oddałabym wam męża, ale nie mój ci on jest... jeno jam — jego.

— Dziękuję ci. Może Bóg jeszcze wszystko na dobre obróci. Pomódl się jeszcze do Ukrzyżowanego i nie przychodź tu więcej.

— Nie przyjdę.

— Żegnaj mi. Czas już na mnie. *U* przewozu sługa czeka. Lękam się, by się tu nie zjawił i nie zobaczył nas razem.

— Żegnajcie, pani — odparła Krystyna.

Patrzyła, jak księżna szybko szła ku brodowi na Rudawie. Gdy Wysesława zniknęła, odwróciła się i poszła ścieżką ku dworcowi. Nie obejrzała się nawet. Odepchnięto ją od jedyne go miejsca, gdzie znajdowała spokój, oplwano jedyne go czelaka, który był jej oparciem, dla którego żywiła cześć i przywiązanie. Czuli, jak serce, pod którym poruszyło się już nowe życie, twardnieje i ziębnie w niej, a dusza zasnuwa się mrokiem. To nie cień przelotnej chmury, jeno ponura noc, bez nadziei świtu.

Przyszedłszy do dworca udała się wprost do stajen i konia poczęła siodłać. Stary koniarz Dziuran patrzył i coś go zaniepokoiło w jej twarzy.

— Wżdy wieczór już skoro. Do wodopaju konie powiodą.
Gdy nic nie odrzekła, przywołał Doman, który nadbiegłszy zastał już Krystynę dociągającą popregi.
— Wróćcie przed nocą? — zapytał.
•— Nie wróćę nigdy — odparła dosiadając konia.
Uchwycił za wodze i zagadnął niespokojnie:
— Do Bużenina jedzicie? Co rzeknie ksiązę?
— Mnie już nic nie rzeknie.
— Droga długa, jakoże samej jechać niewieście i w takim stanie... Zwierza napotkać można i ludzi złych.
— Życie dłuższe, a sama je przebyć muszę. Zwierz mi nie straszny, a ludzi gorszych ni w lesie nie spotkam, niż tu spotkałam. Puszczaj!
— Z wami jadę, jeno Bietce rzekę — zawołał Doman. — Konia mi siodłaj! — krzyknął na Dziurana.
— Ostań — rzekła Krystyna. Głos jej był miększy. — Bietce potrzebnyś, mnieś na nic.
— Pojadę — rzekł Doman.
Za chwilę kopyta koni chlupotały na brodzie Rudawy, potem zatętniły głucho po miękkiej łące, na której leżał już cień.

Przygotowania do koronacji przeciągała nieobecność księcia w miesiące. Wrócił wreszcie niespodziewanie, ale jeno, by zabrać ze skarbcza krakowskiego klejnoty i relikwie koronacyjne oraz zgromadzić zasoby na przyjęcie znakomitych gości, jacy się na uroczystość zapowiedzieli. Samych biskupów krajowych, saskich, węgierskich i ruskich zjechać miało piętnastu, nie licząc poselstw i świeckich dostojników.

Spieszył się ksiązę i Nawój ledwo o posłuchanie doprosić się zdołał.

Wiadomość o zapowiedzi nieposłuszeństwa ze strony biskupa przyjął Bolesław nadspodziewanie spokojnie, a co dziwniejsze, bez zwykłego lekceważenia. Obawiając się wybuchu, który przed samą koronacją nie-

obliczalne mógł sprowadzić następstwa, Nawój nie powtórzył mu wprawdzie tego, co by go szczególnie podrażniło. Bał się jednak z drugiej strony, że książę nie doceni sprawy. Bolesław zasępił się, lecz rzekł spokojnie:

— Do Gniezna pociągniem. Tam się wrogów policzy. A rozrachunek z nimi trzeba odłożyć, aż uładzimy się z Rusią. Izaśław już wojska zbiera, popierać go przyrzekłem, a i mnie to pilniejsze, póki od Niemców i Czechów spokój zapewniony.

— Ale mąciwody nieobecność waszą wykorzystać mogą, by przeprowadzić swoje zmiany, jako już nieraz wykorzystali. A lud, co z wami trzyma, widząc, że ochrony mu nie dajecie, gdzie indziej jej szukać będzie zmuszony.

Bolesław zadumał się głęboko.

— Widzisz jakową radę? — zapytał.

— Dozwólcie mi pomówić z Chrapem. Myślę, że wydoli on ściągając zewsząd lud na koronację. Jak *ordo coronationis* przewiduje, prawa przestrzeganie zaprzysiąc musicie. A ludowi Chrap wyjaśni, że pod waszą przysięgą dawne mają być zachowane prawa, a kto by ich nie przestrzegał lub nowe chciał wprowadzić, temu z waszego upoważnienia stawić mają opór.

Bolesław roześmiał się i Nawoja po ramieniu uderzył:

— Głowę masz! Ja zaś tym z wielmożów i rycerstwa, o których zmiarkujemy, że są nam niechętni, każę stanąć na wyprawę. Opór pozbawimy siły.

Nawój zdał się mieć jakieś wątpliwości, lecz Bolesław już ku czemu innemu myśl odwrócił, gdyż rzekł:

— Pójdę do Krystyny.

— Krystyna wyjechała — rzucił krótko Nawój.

Na twarzy Bolesława zjawił się gniew i zaskoczenie.

— Kiedy? Dlaczego?

— Najlepiej objaśni was Doman, który ją odwo-

> *ordo coronationis* — porządek koronacji

ził— odparł Nawój wymijająco **i by dać** ochłonąć księciu, dodał: — Wraz go zawołam.

Wracał po chwili z Domanem:

— Jeśli wiesz lub domyślasz się, dlaczego wyjechała, zachowaj to dla siebie — mówił do druha — obawiam się, że srogie zamieszanie powstać może z tego. A tak sprawa się odstoi, książę koronacją Zająty myśli odwróci, jako on zawdy, a potem nawyknie. Zresztą z Gniezna może sobie do Bużenina jechać.

— Zda mi się, że nie będzie po co — rzekł Doman smutno.

— I tego mu nie gadaj. Nie czas teraz o białkach myśleć.

— Tobie dobrze tak mówić, kiedy żadnej nie masz.

— Nie mędrkuj — odparł Nawój ostro, gdyż wchodzili już do komnaty Bolesława.

Książę stał odwrócony plecami do wejścia **i** zdał się patrzeć przez szklane gomółki w oknie na wirujące płatki śnieżne. Zbierało się widno na zamieć, gdyż czarne chmury przygasiły resztki dnia **i** półmrok panował w komnacie, tak że gdy odwrócił się, twarzy jego nie było widać, jeno głos zdradzał wzburzenie.

— Tyś Krystynę odwoził? Dokąd?

— Do Bużenina.

— Kto ci kazał? — zapytał książę groźnie.

— Nikt. Nawet ona zakazywała, alem nie posłuchał. Sama się jechać zbierała, na noc. A ciężarna była.

Książę milczał przez chwilę.

— Co najsilniejsze konie siodłać! Jedziesz ze mną! — rzucił przez ramię Domanowi **i** szybkim krokiem skierował się ku wyjściu.

Nawój zastąpił mu drogę:

— Na zjazd **i** koronację nam ruszać do Gniezna.

— Odstąp! Do biesa ze zjazdem **i** koronacją! — krzyknął książę **i** wypadł z komnaty.

Nawój wrzucił ramionami **i** poszedł za księciem, by przynajmniej otrzymać jakoweś rozkazy.

Za chwilę w noc **i** grudniową zawieję **gnał** już **książę**

do Bużenina, a za nim z trudem nadążał Doman. Nawet pożegnać Bietki nie stałe czasu, znów czekać będzie, kto wie jak długo. Porywisty wichur północny ciał w oczy śniegiem, który tając na twarzy Domana spływał jak łzy; może wraz z nimi, sam nie wiedział. Oczy go piekły, uderzenia burzy tamowały oddech w piersi, aż serce trzepotało się. niespokojnie. W przerwach między uderzeniami mrugał oczyma, by dostrzec sunące przed nim zarysy jeźdźca i konia. Szczęściem niebo z czarnego uczyniło się szare, a przyprószony śniegiem świat pobiełał. Ciemne pnice bezlistnych drzew zaznaczyły się białą pleśnią od północnej strony. W chwilach ciszy płatki śnieżne wirowały, by osiąść w spokojniejszym miejscu, jakby znużone zawrotnym lotem. Doman myślał, czy i dla niego przyjdzie znowu kiedyś chwila ciszy, która pozwoli mu spocząć. Chrapanie konia zwróciło jednak myśl ku bliższej trosce. Jeszcze godzina, dwie takiej jazdy, a konie padną. Zostać przyjdzie w lesie, bez ognia, w nie kończącej się, zimową, burzliwą noc.

Szczęściem widocznie i Bolesławowy koń przestregł pana, że takiej jazdy nie wytrzyma dłużej, gdyż po chwili Doman w gęstym już mroku dojrzał, że zbliża się do księcia. Gdy dojechał, powściągnął konia i bez słowa powlekli się stępa. Wichur nacichał, lecz brał niróz. Konie długo dymity wlokąc się z pochylonymi łbami. Nad ranem oszronione i zmordowane osławili w gródku Mstowie i wypocząwszy tyle jeno, ile czekać trzeba było na nowe, pociągnęli dalej. Szczęściem pocieplalo, a księżę nie gnał już tak jak ubiegłego wieczoru. Gdy konie przechodziły w stępa, Doman zasypiał. Znużenie wyparło troskę i żal, uczucie głodu przemagać zaczynało nad innymi. Ilekroć mijali osadę, miał nadzieję, że księżę zatrzyma się na posiłek i wypoczynek, i za każdym razem czekał go zawód. Potem krótki dzień zimowy zmierzchnął, tym wcześniej, że znowu nadciągała śnieżyca. Doman wiedział już, że posiłek i spoczynek czeka go aż w Bużeninie, i marzyć zaczął o chwili, kiedy z la-

sów wychyla się zarysy Wszeborowego **gródka**, a przez otwory okiennic zabłysną światła zwiastujące, że wewnątrz jest ciepło i życie. Usiąść przed ogniem i posiliwszy się patrzeć, jak skaczą języki płomieni, zdało mu się w tej chwili szczęściem; nie mógł myśleć o czym innym. Wreszcie las uciał się, przez zaslonę śnieżycy zamigotało niepewne światełko, jak samotna gwiazda na nieboskłonie. Bużenin!

Bolesław wyjeżdżał z Krakowa bliski szału. Nieustanna szarpanina i wysiłki, choć nie mogły wyczerpać niepożytych sił, wytworzyły w nim stan wewnętrznego wrzenia i nie dającego się zluźnić napięcia. Czuł zaś, że musi je zluźnić choć na chwilę, pod groźbą, że zerwie się w nim coś, co wiąże wszystkie jego władze i pozwala nimi kierować. Jedno tylko znał miejsce, gdzie czeka go zapomnienie i wypoczynek: przy boku Krystyny.

Poczuł się jak człowiek, który dobija ostatnim tchem do łodzi i nagle spostrzeże, że łódź odpływa. Pognał za Krystyną z wściekłością i rozpaczą; świadomy był, że w tej chwili czynić tego nie powinien, że czekają sprawy najważniejsze, żniwo wysiłków i zamierzeń całego życia; wiedział, że zbierają się siły zdolne podciąć wyniki jego przedsięwzięć, którym wraz czoło stawić należy; czuł jednak, że jeno chwila oddechu przy Krystynie, a zdoła je opanować. Ale Krystyna uciekła.

Ogarniał go nieprzytomny gniew: na siebie, że się powściągnąć nie potrafi, na Krystynę — że zmusza go, by w takiej chwili rzucał sprawy, którym życie całe poświęcił, i na rumaka swego nawet — że miast 'lecieć powietrzem, młóci kopytami drogę, jakby stał w miejscu.

Z nawyku, niemal nieświadomie, ściągnął konia, gdy ten począł stękać chrapliwie. Przebłysk rozsądku powiedział mu, że nie w ludzkiej ni końskiej mocy znaleźć się w Bużeniu tak szybko, jak by chciał: za-

raz. Poczł chłód i zbudził się w nim jakby wyrzut sumienia.

Krystyna uciekła! Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że ujsć musiała przed czymś, co nie pozwalało jej zostać. Inaczej nie wyruszyłaby na noc, sama, z dziećciem w łonie. Nie wiedział też o jej macierzyń--stwie.

Nie wiedział, nie pytał się, nie zatroszczył się o to, a przecie nie cud to żaden. Dziwne, że dawno do tego nie przyszło. Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że nigdy jeszcze nie pomyślał o tym, bo miał inne sprawy, które wciągały go całkowicie. A ona nie miała żadnych innych spraw; zostawała sama.

Powstała w Bolesławie rozterka; nie zdoła i nie powinien rzucać celu swego życia. A nie potrafi wyrzec się Krystyny, dla której w życiu jego nie ma miejsca. Wzrastało w nim poczucie winy, ale wyjścia nie znajdował. Chyba to, że jak zawsze dotychczas zapomni przy niej o wszystkim. I ona zapomni.

Ale gdy zgnębiony i wyczerpany kołatał do bramy buzenińskiego gródka, coś mu szeptało, że między nimi nastąpiły zmiany, które się odwrócić nie dadzą. Gdy Doman konie powiódł do stajni, dopilnować, by napojono i nakarmiono zdrożone, Bolesław powlókł się znużonym krokiem ku dworcowi. Już mu nie było spieszno; nie był pewien, czy Krystyna czeka na niego.

Przyspieszony wstrząsem wewnętrznym i trudami nieopatrnej podróży, przedwczesny poród wytrącił Krystynę poza wszystkie sprawy, na samą granicę istnienia. Trzy dni męki, z zaciśniętymi ustami, zostały w niej pustką całkowitą, jakby wraz z płodem wyrzuciła z siebie całe życie własne. Przez długie tygodnie kołatała się ono między niespokojnym snem a półprzytomną jawą, jakby zawieszona na ledwo doślyszalnym oddechu dziecka, gotowe w każdej chwili wraz z nim odlecieć.

Potem już świadomie Krystyna dniem i nocą nasłuchiwała oddechu, który się pogłębił i ustalił. Słyszała go wśród najgłośniejszego wycia listopadowych wichrów i grudniowych zamieci, od których skrzyślały ściany dworca, a gałęzie drzew tłukły po gontach dachu, jakby dopraszając się ochrony przed nieprzyjaznym żywiołem.

Gdy Zaslawa orzekła wreszcie, że chłopak zebrał się i żyć będzie, Krystyna wiedziała, że jest to wyrok także i dla niej. I po raz pierwszy pomyślała o swojej i jego przyszłości. Nie mówiła jednak o tym. Gdy Zaslawa napomknęła, że trzeba by księcia zawiadomić, odparła:

— Syn nie potrzebny jemu, a on — mnie.

Zaslawa czuła jednak, że w powiedzeniu tym jest więcej żalu i gorczy niż przemyślanego postanowienia. Wiedziała, że Krystyna, od dziecka stanowcza i samowolna, nieodparcie ulegała Bolesławowi, ilekroć zetknęła się z nim, buntując się, gdy był nieobecny. Pewną była, że i teraz tak będzie, i niecierpliwie wyglądała przyjazdu księcia. Ale i do Bużenina dotarła już wieść o zwołanym na Gody zjeździe do Gniezna i zamierzonej koronacji. Toteż Zaslawa prędzej gromu by się spodziewała wśród grudniowej zamieci, niż przyjazdu Bolesława na kilka dni przed gnieźnieńskimi uroczystościami.

Gdy pacholek nadbiegł z wieścią o przybyciu księcia, zerwała się ze snu półprzytomna z zaskoczenia i podniecenia, wydając rozkazy przygotowania wieczery i noclegu, jak gdyby dwór cały zjechał, po czym pobiegła, co tchu, do świetlicy.

Księżę siedział sam. Gdy weszła kłaniając się i witając, drgnął jakby przebudzony. Niecierpliwym ruchem ręki przerwał potok jej wymowy i zapytał:

— Krystyna śpi?

— Spi pewnikiem. Słaba jeszcze.

— Jeszcze?

— Prawda, że nie wiecie, panie. Syna wam UWH dziła. Przedwcześnie, ale chować się będzie, a i ojia,

da Bóg, pozdrowieje już rychło, choć źle z nią było.

— Czemuście mnie nie zawiadomili? — ksiązę zmarszczył się groźnie.

— Zakazała.

Umilkli. Zastawa rada by się pożalić i pochwalić, ale wyraz twarzy księcia wstrzymywał jej wrodzoną gadatliwość. Bała się, a nie wiedziała, co począć z sobą. Toteż gdy służebne wniosły polewkę, kołacze i mięso, ozwała się:

— Pożywcie się z podróży, a ja tymczasem do Krystyny zajrzę obaczyć, czy się nie rozbudziła.

I nie czekając na odezwanie się księcia, który jakby nie wiedząc o tym, jeść począł — wyszła. Ksiązę skończył jednak rychło, wstał i chodził po świetlicy. Chwilami przystawał przed kominem, zacierając ręce, widno jeszcze zgrabiące, wreszcie nagłym postanowieniem ruszył ku drzwiom. Natknął się w nich na Zaslawę:

— Krystyna kazała was powitać — rzekła — i prosić, byście spoczęli i odwiedzili ją jutro.

— Jutro jadę dalej — mruknął i odsunawszy Zaslawę jak przedmiot, stanowczym krokiem skierował się do sypialni Krystyny. Wszedł bez kołatania; zbędne było. Krystyna wiedziała, że nadchodzi.

Siedziała na łożu, wpatrzona w płomień na kominie, do którego widocznie świeżo przyrzucono szczap. Nie odwróciła się, gdy skrzypnęły drzwi; dopiero gdy Bolesław podszedł, zwróciła na niego spojrzenie. Zdało mu się, że jeno oczy zostały w zmalalej, wychudłej twarzy, otoczonej puszystą falą rozrzuconych, ciemnych włosów. Długo patrzyli na siebie. Między nim a łożem stała kołyska.

Gniew, żal, zawiedziona namiętność i przygnębienie zabrzmiały w głosie Bolesława, gdy rzekł:

— Krystyno! Dlaczego uciekaś przede mną?

Odpowiedziała spokojnie, niemal obojętnie:

— Nie uciekałam przed wami... ale nie wrócę do was.

Nie chciał zrozumieć. Drażniła go stojąca między

nimi kolebka, która nie pozwalała ująć Krystyny za rękę, jak to zwykł czynić. Znikało wtedy wszystko, co ich dzieliło. Nie śmiał jednak odsunąć kołyski. Zmusił się, by mówić spokojnie.

— Rzuciłem sprawę, by ciebie obaczyć, choć nie czas po temu. Czeka wszystko na mnie, tobie jednej^A nie mogłem dać czekać.

— Już na was nie czekałam — odparła.

Łamał się z sobą, opanowując rozdrażnienie. Starał się ją zrozumieć, liczył własne przewinienia i jej krzywdy; jednej myśli nie potrafił dopuścić: by się jej wyrzec. Zaczął w podnieceniu:

— Złe jest między nami, ale lepiej być nie może. Nie żyć mi bez ciebie... ni beze mnie tobie... wszak wiesz. Rozumiem, że teraz... ale później, niech wiem, że czekasz, że wracać mam do kogo.

Usiadł ciężko na ławie, twarz ukrywszy w dłoniach. Patrzyła nań ze współczuciem i szklity jej się oczy, lecz gdy Bolesław podniósł twarz, znowu były nieodgadnione.

— Lata minęły od czasu, jak my... — urwała i podjęła — dla mnie dni jeno były, zresztą pustka. Ja bez was żyć nie mogłam, wy... możecie beze mnie. A dziś i ja mogę... niełatwo się wyrzec, a trzeba. Zgódźcie się, tak będzie lepiej. Bóg nam nie błogosławi, bo w tym krzywda cudza i grzech.

Zerwał się jak oparzony:

— Zgodzić się?! Nigdy! Żebym cię siłą miał... Ale wiem, kto w sprawie. To Wyszesała myśli, że jeśli mnie z tobą rozdzieli, wrócę do niej. Mało jej, zem ją ostawił... inni żony wyganiają, nałożnic mają, ile zdzierzą... Grzech?! Krzywda?! Kłamiesz, wiesz, że żyć bez ciebie nie mogę i nie będę. A dojdę ja, kto przeciw mnie knowa, łby polecą!

Krystyna patrzyła na wybuch zrazu ze współczuciem, lecz w miarę jak podnosił głos, i w jej oczach rozpałał się gniew.

— Siłą możecie mnie wziąć, choćby zaraz, jak w Kijowie. Słabam tak, że się bronić nie zdołam. Jeno tam

przysięgliście od zniewag mnie uchronić. Nie skarżyłam się na cudze, waszych nie zniosę, choćbym się zabić miała. Wyszesała wam winna, co was miłuje, w zamian nie mając nic, jeno to, że przy synu ostała, któremu jest potrzebna! Umiecie wy płacić za miłość! Stał, wyczerpany wybuchem i zgnębiony jej słowami. Nie patrząc na nią powiedział:

— Wybacz! Żal i gniew mówią przeze mnie. Powiedz, kto cię znieważył, a dotrzymam przysięgi. Jeno wierz mi, żeś mi ponad wszystko i nie ma dla mnie życia bez ciebie.

— Nie żądam pomsty, ale znosić więcej zniewag nie będę. Może bym zniosła, ale jeszcze tylko dla niego — wskazała na kołyskę. — Dla nikogo więcej.

Bolesław teraz dopiero uprzytomnił sobie, że jeszcze nie spojrzał ni zapytał o dziecko. Zbliżył się do kołyski i uchylając zasłony patrzył z bliska w twarzyczkę nie większą od pięści, czerwoną i pomarszczoną. Ogarnęło go uczucie zbliżone do obrzydzenia. By coś powiedzieć, zapytał:

—> Jakie imię nosić będzie?

— Krystyn! — odparła twardo.

r Zrozumiał, dlaczego. Syn należy tylko do niej.

Przez chwilę panowało milczenie. Krystyna pozie-rała przenikliwie w twarz Bolesława. Pojęła, co się w nim dzieje. Ze smutnym uśmiechem zaczęła:

— Rzekliście, że kłamię mówiąc, iż żyć beze mnie możecie, że są ważniejsze dla was sprawy niż moja miłość. Wróć do was, jeno pod jednym warunkiem: uznacie dziecko wszem wobec za waszego syna i zapewnicie prawa równe pierworodnemu.

Bolesław cofnął się o krok, jak uderzony w pierś. Milczenie jego było wymowniejsze niż wszelkie słowa. Po chwili Krystyna podjęła:

— Tak i ja myślałam. Widzicie sami, że są dla was rzeczy droższe niż miłość moja. Wybaczcie, nakarmić muszę małego.

Sięgnęła po dziecko. Chciał dopomóc, lecz odsunęła łagodnie jego rękę. Zrozumiał.

— Wybaczcie — powtórzyła.

Z nieopisaną czułością przytuliła dziecię do piersi, nie patrząc już na Bolesława. Cicho wyszedł z komnaty.

— Jeno miłość może być silniejsza od miłości — szepnęła do siebie.

Po twarzy jej popłynęły łzy spokojnym strumieniem.

XII. KORONACJA

Dymy licznych ognisk, płonących dniem i nocą, układały się w mroźnym powietrzu czarniawą mgłą, z której wynurzały się jak wyspy wzgórza gnieźnieńskich osad. Rozrosły się one znacznie od czasu, gdy odnowienie zniszczonej katedry i budowa nowego dworu książęcego na wzgórzu nad Jelonkiem ściągając zaczęły do opustoszałego pogorzelska licznych rzemieślników, a w ślad za nimi kupców i inną ludność. Zjazd zwołany na koronację zgromadził jednak tak wielkie tłumy, że jeno najdostojniejsi znaleźli pod dachem pomieszczenie: duchowni w zabudowaniach przy katedrze na południowym stoku góry Lecha, świeccy — w książęcym dworcu. Ten i ów z pomniejszych przytulił się u znajomków i swojaków, po osadach i dworcach urzędników książęcych, ogromna większość jednak, mimo mroźnej pory, obozować musiała w namiotach i szałasach, których miasto całe powstało w nizinach Żuław i Słomianki, zasłoniętych wzgórzami od północnych wiatrów.

Szybko mijały krótkie dni grudniowe, podczas których tłumy przelewały się od katedry i kościoła Sw. Jerzego do Sw. Wawrzyńca, niedawno ufundowanego na podgrodzium przez dworzan książęcych. Nabożeństwa celebrowali niemal bez przerwy najwyżsi dostojnicy kościelni. Urządzano też nad przebiegiem uroczystości, aż do najdrobniejszych szczegółów, nic bo-

wiem z tego, co dotyczyło koronacji, nie było bez znaczenia. Objawiły się w obradach różnice zdań, nieraz niezrozumiałe dla niewtajemniczonych, ale będące odbiciem tego, nad czym rozprawiano od długich już tygodni w różnych skupiskach, które teraz zwały się w jedno, ale tylko pozornie. Przebimił dwoił się i troił, by wywęszyć, co i gdzie mówiono. Choć poglądy były różne, wśród wielmożów i duchowieństwa przeważało zdanie, że bez księcia niczego postanowić nie można. Opóźniający się przyjazd jego był wodą na młyn tych, co koronację chcieli wyzyskać, by nieograniczoną władzę księcia ująć w karby, poza którymi znalazłoby się miejsce na ich własny wpływ i znaczenie.

Rozdwojenie wśród dostojników duchownych i świeckich było widoczne i wiadomi już byli przywódcy. Ich spory i kłótnie usuwały w cień głębszą szczelinę, która rysowała się między możnymi a tłumem drobnych dziedziców, kmieci, łazęgów, zakupieńców, jaki z najdalszych stron ściągał na uroczystości. Nie zwracano na nich uwagi, ten i ów dziwił się jeno, że mimo pory zimowej zważyło się ich takie mnóstwo; ale wiadomo, lud chciwy widowiska, rad i oczy nasycić, i brzuch napchać z książęcej komory, lym bardziej że rok ubiegły chudy był i na przednówku niejednego bieda przycisnie. Dawniej w łowach był ratunek, gdy zbiory nie dopisały, teraz łowy jeno za książęcym przyzwoleniem; zagęszczone ziemie rodowe nie chowały już grubszego zwierza, zresztą broni nie ma odpowiedniej; niewiele można zdziałać gołymi rękoma.

Kłós ich jednak zwołać musiał i ktoś siał wiadomości, które powodowały podniecenie wśród ludu; tu i ówdzie wymieniano imię Witosza; ci z wielmożów, o których uszy to imię się obilo, wruszali jeno ramionami. Od dziesiątków lat nie było o nim słyhać, młodzi nie wiedzieli już nawet, co znaczyło, u starszych budziło tylko wspomnienia. Niezbyt miłe, ale już niegroźne. Sto lat z okładem musiałby mieć, a kraj ninie na wskroś już chrześcijański. Kościół powaga

się cieszy i mirem książęcym. Witoszowe czasy **nie** wróca.

Czegoś jednak lud spodziewał się od księcia i niecierpliwie, na równi z innymi, wyczekiwał jego przyjazdu. Nawój z okazałym orszakiem nadciągnął już z Krakowa, przywożąc w zastępstwie sędziwego skarbnika klejnoty koronacyjne: Bolesławową koronę, miecz i włócznię św. Maurycego. Aż do dnia koronacji spoczęły one na głównym ołtarzu w odnowionej katedrze, pod nieustającą strażą mnichów z Mogilna, gnieźnieńską kapitułą stanowiących.

Przyjazd Nawoja wywołał dziwne poruszenie wśród tłumów. Nie zwrócono jednak na to większej uwagi, tym bardziej że nazajutrz na radzie zwołanej przez arcybiskupa Bogumiła i wojewodę Michała zaszły sprawy, które skierowały umysły w inną stronę.

- Czas naglił, gdyż jeno trzy dni dzieliły radę od koronacyjnych uroczystości. Bogumił, który ją zagaił, a on głównie przeciwny był powzięciu ostatecznych postanowień bez zgody księcia, nie umiał ukryć zmieszania z powodu przedłużającej się nieobecności Bolesława.

— Bóg widzi — mówił arcybiskup — że nie chcieliśmy sami rozstrzygać o sprawach, w których słowo ostatecznie do pana należy, ale nie czas nam czekać dłużej. Myślę, że tego nie weźmie za nieposłuszeństwo.

Nawój powstał, by coś rzec, lecz uprzedził go Stanisław ze Szczepanowa:

— Niepotrzebnie tedy zwlekaliśmy ze sprawą, która i tak do kościelnych władz należy, a nie tych spraw dotyczy nasze posłuszeństwo. Radzić też długo nad czym nie ma, skoro *ordo coronationis* jedno jest, jakie przy koronacji frankońskich królów stosowano. Tedy jeno oznaczyć, który z kościelnych i świeckich dostojników jaką czynność ma spełnić, od najważniejszej poczynając, od pomazania, czyniącego z księcia **na** równi z biskupami poświęconą osobę.

Niechęć i podanie w wątpliwość stanowiska Bogu-

miła były tak wyraźne, że zrozumiał je nawet starszek Pietrek, który drzemkę spędzał z powiek zmartwieniem, iż stawy wysychają w Gnieźnie. Ze Świętego Jeziora bagno już się zrobiło. Przerwał jednak te rozmyślenia, pięścią palnął w ławę i nie wstając rzekł:

— Kiedy ja mówię, że Bogumił księcia namaści, gadać więcej o czym nie ma. Palusz ma on jedynie, a o mnie niech się nikt nie zastawia, kiedy nie proszę.

Stanisław jednak stał, jakby jeszcze zamierzał mówić. Spoglądał w zaciemiony kąt świetlicy. Nawój pobiegł za jego wzrokiem i ze zdumieniem dojrzał Wolkmara, który głową potrząsał przecząco. Biskup zabrał kanonika z Tyńca wbrew rozkazowi księcia. Stanisław usiadł, a Nawój rozpoczął:

— Oznajmić chciałem, że księżę lada godzina przybyć może, niemniej obrad wstrzymywać nie kazał; gdyby zaś wątpliwości jakie powstały, mnie polecił je rozstrzygnąć.

Rozległy się szmery; Stanisław nie tając oburzenia zakrzyknął:

— Gdy najdostojniejsi królestwa nad najważniejszymi sprawami radzić mają, niewielką cześć wyrządził nam księżę, wam sprawy rozsądzać polecając. Ale jeżeli i na to przystaniemy, myślę, że są też takie, o których anibyście mogli, ani chcieli za księcia odpowiadać. Stany ułożyć się chcą z księciem, jak będzie władzę sprawował. Jeśli chrześcijańskim ma ostać monarchą, nie może rządzić nadal jak w pogańskim kraju.

— I przypomnieć warto — dźwignął się z miejsca stary Fulko Lis z Wyszogrodu — że gdy po śmierci Kazimierzowej Aaron z księżną obejmowali władzę, przyrzekli nam, że nic bez zgody naszej stanowione nie będzie, co powszechności dotyczy. A nic z tego nie zostało dotrzymane. Pokój księżę czyni czy wojnę wypowiada, przymierza zawiera czy nakłada daniny, nie zapyta nikogo. A zapyta, szkoda gębę strzepić; zrobi i tak, co zechce.

— Za siebie mówcie, nie za nas — podniósł głos Michał Awdaniec. — Kto wiernie służy, krzywdy nie zaznaje. Komu wojna codzienną sprawą, ten wie, że jeden stanowić musi, co czynić. — A jak — doradzą ci, co doświadczeniem, bogaci, a w wierności niepodęrzani.

— Znaczy: Awdance! — krzyknął Miłosław Doliwa ode drzwi.

Rozległo się kilka prześmichów.

Doliwa wstał i zaczął:

— Dobrze wam mówić, coście z przybłędów innym nad głowy wyrosli. Ale są między nami, co z książąt

· pochodzą starszych niż Piastowie, jako Odrowążę czy SLarże. Nie nam się wysługiwać czy dosługiwać, jako tym, co jeno goły miecz przynieśli z sobą.

— Dobrze jeszcze, jeśli mieczem się dosłużyli, a nie jkiecką, jako Poraje! — zawołał ktoś.

i Bogumił, który wstał, chcąc uspokoić rozruch, zbladł i usiadł z powrotem. Twarze dokoła były rozpalone namiętnością, *rwali* się już jedni do drugich. Nawój dźwignął się. Na brzydkiej jego twarzy zjawił się spokojny uśmiech, który przez samo przeciwieństwo sprawił, że wzburzeni uspokajali się, zaciekawieni, co chce powiedzieć. Gdy zaczął mówić cichym głosem, zamilkli wszyscy.

— Kto rzekł o kiece, radę mu dam: niech nie czeka przyjazdu księcia, bo będzie za późno. A że każdej chwili przyjechać może, niech uchodzi nie mieszka-
jąc.

Nikt się nie odezwał. Nawój po chwili milczenia Ciągnął:

— Niech wyjdzie! Zapomnę, kto zacz. Ale niech wychodzi zaraz. Gdy wymienię jego przezwisko, za późno będzie.

Wśród powszechnego milczenia młody Mikołaj Łabędź wyszedł ze świetlicy. Stanisław ze Szczepanowa zerwał się. Oczy płonęły mu gniewem.

— Groźbami nas straszyć myślicie! Ten młodziak jeno rzekł, co każdy wie; zaprzeczycie może, że książę

obecnością swą rady zaszczycić nie raczył, bo do miłośnicy swej pojechał?!

— Źle czynicie, dostojny panie, nie wierząc mi, iż z dobrej woli już po raz drugi proszę, byście się do spraw nie mieszała, które nie do was należą. Wszyscy, jako rzekliście, wiedzą, a nikt nie mówi. Jenó ten głupi młokos...

— Mnie groźbą ust nie zamkniecie. Księciu to w oczy powtórzę.

— Wola wasza. — Nawój skłonił się i ciągnął: — O koronacji radzić mamy. Nijakim sposobem wedle frankońskiej modły odbyć się nie może, bo tam starszyzna króla obierała, zaś u nas przez poprzednika bywa wyznaczany. Dlatego i pytać nie ma kogo, czy się na koronację godzi lub nie, bo kto by się nie godził, za buntownika musiałby być uznany.

Nawój uśmiechnął się znowu i powiódł małymi oczkami po zgromadzonych, jakby sprawdzając, kto się sprzeciwia. Z ławy pod ścianą powstał Sieciech i rzekł obojętnym głosem:

— Praw był Fulko mówiąc, że radzić mogę, a książkę zrobi, co zechce. Niech radzą duchowni, jak ową koronację odprawić, nie nasza to rzecz.

Nie oglądając się na nikogo, Sieciech wyszedł. Inni jeszcze stali niepewni. Nawój dokończył:

— Pytał mnie czcigodny Stanisław, czy mogę we wszystkim za księcia odpowiedzieć. Tedy odrzekę, że mogę; układać się nie ma o co. Państwo książkę po przodkach odziedziczył, koronę otrzymał z łaski Piotrowej Stolicy i jeno z nią w kościelnych sprawach" liczyć się będzie. Przestrzeganie prawa i obyczaju oraz posłuszeństwo papieżowi zaprzysięże. Ponadto nic.

Zwarty i milczący w napięciu oczekiwania tłum zaległ od rana niewielką przestrzeń między wzgórzem zamkowym a Górą Lecha, oblepiając stoki obu wyniosłości. Od czasu do czasu szmerem podobnym do odgłosu fali przechodziła z ust do ust podawana

wiadomość o tym, co się na zamku dzieje i w katedrze.

— Klacz już panu przywiedli, jeno patrzeć, wyruszą.

— Bogać tam! Gdy będą ruszać, woje z załogi drogę obstawia, boby się pochód nie przepchał.

— Po głowach przejechać by mogli.

— O waszą koń by się potknął, bo sterczycie jakoby tyka nad grochem.

— Ale za to widzę wszystko.

— Co widzicie, prawcie!

— Cizba się porusza pod zamkiem. Widno jadą już.

Ale tymczasem szedł jeno oddział jezdnych, by drogę otworzyć, a za nim tarczownicy, którzy ją mieli obstawić, by tłum na orszak nie napierał. Posuwali się z wolna, gdyż stojący na drodze nie mieli gdzie ustąpić. Pomału jednak tłum rozdarł się na dwie części; między nimi zabielał pas drogi, który zamek połączył z katedrą. Nieśmiały promień grudniowego słońca zaświecił przez chwilę, po czym zgasł, i pomrocniało. Niskie, śniegowe chmury jęły wytrzępywać biały puch i półprzezroczysta zasłona śniegowa zakryła katedrę i zamek. Lecz u bramy zamkowej krzyk powstał i leciał przez tłumy zwiastując zbliżenie się orszaku.

Śnieżyca, jak nagle przysła, tak nagle ustała, jeno nieliczne płatki wirowały jeszcze w słońcu. Jakby promyk jego zstąpił na drogę wiodącą z zamku do katedry i posuwał się drogą po zboczu, górując nad tłumem.

— Co zaś tak świeci, jakby gwiazda najjaśniejsza?

— Krzyż, nie krzyż?

— Krzyże jeno przed biskupami noszą, a biskupi wszyscy w kościele.

— Świętość widno jakowaś, bo klękają ludzie.

— Juści, świętość, że większej nie ma — odparł stary człek, stojący w pierwszym szeregu. — Widziałem ją już pół wieku temu z górą, gdy Wielki Bolko

się koronował. Włócznia to jest, którą bok Pana naszego przebodziono. A w niej wprawiony jest gwóźdź z Krzyża Świętego.

— Juści! *Clavus de cruce Domini*¹ — przytwierdzi! kleryk-lazęga, który zmieszał się z tłumem; jeno pcj podgolonym łbie i uczonej mowie poznać go było, bo gębę miał zabijaki, a bary szerokie, że widok nimi zasłaniał.

— Że też u nas są tak wielkie relikwie! Cała ci **jest** ze złota?

— Jeno złocona. Ale nie to jej cena. Kto ją ma, pokonany być nie może. Cesarz Otto darował ją Chrobremu. Niemałą też relikwię w zamian otrzymał: ramię świętego Wojciecha!

— A zaś reszta świętych zwłok gdzie się ninie znajduje? Jedni mówią, że zabrał BrzeLysław, inni, że nie.

Ale odpowiedzi pytający nie dosłyszał, bo znów krzyk się porwał i szedł jak wicher. W blankach złota, od którego lśnił posuwający się z wolna orszak, jak rubin w pierścieniu zagrała czerwona plama purpurowej kapy, którą niemal do pęcin okryta była mleczno-biała klacz, jedyny koń w całym orszaku, reszta bowiem posuwała się pieszo. Nie trzeba było w jeźdźcu odgadywać Bolesława. Na jego to widok zerwała się burza okrzyków:

— Książę!

— Nie książę, jeno król.

— Ba! Królem będzie dopiero, **gdy** go arcybiskup namaści i poświęconą koronę włoży.

— Moiścicwy! Tak prawicie, jakby mógł go nie namaścić.

— Co ta mówić — odparł stary człek. — Wielmoże burzą się przeciw panu, że ich do władzy dopuścić nie chce. Dopieroż by nas przycisnęli, gdyby im prawo dał. Biskupi pono też, wyjąwszy Pietrka i Bogumiła. Może jeszcze i Awdańce, bo oni zawdy z Piastami

¹ C lavu» de... gwóźdź z krzyża Pańskiego

trzymali, ale kler się buntuje, że mu ksiązę, w bez-
żenności żyć każe. A wždy jeno oni sami w katedrze
z nim będą. Patrzenie! Bolko markotny jakowyś. I on...

Ale reszta słów zaginęła w nowej fali okrzyków,
jaką lud witał nadciągającego pana. Był tuż. Siedział
na koniu swobodnie, wyprostowany, z głową dumnie
podniesioną, bez nakrycia, jeno z przepaską purpu-
rową na jasnych włosach o złocistym połysku. Ale
twarz, choć przysmaglona wichrami, blada była i oczy
przygasłe. Ni śladu radości w dniu, który był spełnie-
niem młodzieńczych marzeń i męskich porywów. Nie
odwzajemniane uśmiechy ludzi gasły. Zapalały się do-
piero znowu, gdy w odległości kilkunastu kroków za
Bolesławem spostrzeżono małego Mieszka.

Szedł w towarzystwie piastuna Skarbimira Awdań-
ca, krzywińskiego komesa. Postrzyżony już był, mie-
czyk miał przy boku na pozłocistym pasie, na szubce
z ciemnego sukna obszytej kunim futrem; w zaru-
mienionej od mrozu twarzycze ciemne oczy świeciły
podnieceniem. Gdy podnosiły się okrzyki na cześć
ojca, uśmiechał się radośnie, choć powagę starał się
widno zachować; uśmiechem dziękował za ojca tak
wyraźnie, że krzyki podnosiły się znowu, by radość
sprawić pacholęciu. Chwytał za serce wszystkich.
Niech jeno rośnie zdrowo, nie zbraknie mu u ludu
miłości.

Zdziwienie wywoływała tylko nieobecność księżny
..w orszaku. Jedni przypuszczali, że choruje, i żało-
wali jej. Świadomi spraw milczeli. Trudno było po-
wiedzieć, że ksiązę nie miłuje matki tego ślicznego
pacholęcia. Kto by uwierzył! Zresztą uwagę odwracał
dalszy ciąg wspaniałego pochodu. Szło, co było świet-
nego w królestwie, kapiąc od złota i klejnotów. Zaraz
za Mieszkiem kroczył Włodzisław, przygarbiony,
z twarzą zmarszczoną przedwcześnie, przyżółkłą i po-
starzałą. Pokrzykiwano i jemu, lecz niesporo, gdyż
, jeno ciemne, podejrzliwe oczy zwracał, jakby niepew-
ny, czy nie drwią z niego. Potem szli dworscy i grodo-
wi urzędnicy z łańcuchami na szyjach, wreszcie starsi

z co ważniejszych rodów. Gdy koniec orszaku dopiero ' schodził ze wzgórza, czoło dotarło już do świątyni.

Na podmurowaniu z granitu dźwigały się w górę ściany z cegieł olbrzymiej wielkości, krwawiąc od skośnych promieni zimowego słońca. Spadzisty dach, który okrywał wszystkie trzy nawy, przyprószony świeżym opadem, odbijał niepokalaną bielą. Nad nim wystrzelała w niebo od północno-zachodniej strony kamienna wieża. Gnieźdzące się na niej ptactwo, zaniepokojone niezwykle ruchem i gwarem, krążyło w przejrzystym powietrzu.

Orszak zatrzymał się przed głównym wejściem od zachodniej strony. Bolesław zeskokczył lekko z konia i oddając wodze koniuszemu Rinardusowi z Krzyżanowic ruszył po stopniach pod górę. Stali na nich po obu stronach biskupi w szatach pontyfikalnych i opaci: Św. Michała z Krakowa, Św. Romualda z Kazimierza biskupiego, Św. Wojciecha z Płocka, Św. Marcina z Wrocławia, Św. Marka z Łęczycy, ze Żmigrodu sandomierskiego ¹, z Tyńca, Czerwińska, Lublina, Trzemeszna, Międzyrzecza i Gniezna, z oznakami piastowanych godności.

Na ciemnym tle otwartej na ścieżaj bramy kościoła . widna była z dala wyniosła postać Bogumiła. Przybrany w paliusz, z niską infulą na głowie i pastorałem w prawej dłoni, gdy Bolesław zbliżył się, lewą ręką ujął jego prawicę i odwróciwszy się wszedł do świątyni, prowadząc pana za sobą. Za nimi wlewać się zaczęły naprzód szeregi duchownych dostojników, którzy zasiedli na podwyższonym o dwa stopnie prezbiterium, potem świeccy ustawili się po obu stronach głównej nawy, oddzielonej od bocznych sklepieniami górą półfilarami. Gdy się już ustawili, zamknięte główne wejście i otworzono północne i południowe, przez które wdarł się tłum, kto się jeno docisnąć zdołał. Pojaśniało mroczne wnętrze, a wpuszczony snop światła spoczął na stojących pośrodku kościoła Bole-

¹ dzisiejszy Opatów

sławie i Bogumile; arcybiskup pastorałem o kamienną posadzkę zastukał, a gdy się uciszyło, zawołał donośnym, dźwięcznym głosem;

— Oto przywiodłem wam króla Bolesława, od Boga wybranego.

Okrzyk targnął powietrzem, wybiegł na pole i wrócił burzą, jakby kraj cały krzyknął na cześć i pomysłność swemu panu. Wśród nie milknącej wrzawy Bogumił powiódł króla przed ołtarz, gdzie Bolesław klęknął na pokrytych purpurą stopniach. Po prawej i lewej stronie ukłękli syn i brat, za nimi w przystojnej odległości stanęli wojewoda Michał i komes Sieciech.

Bogumił w asyście czterech krajowych biskupów rozpoczął mszę, podczas której korona, miecz, włócznia św. Maurycego i purpurowy płaszcz królewski leżały na ołtarzu. Gdy skończył, pobłogosławił regalia i przystąpiwszy do króla udzielił mu Sakramentu Ołtarza, po czym dźwignął za ramiona i powiódł do zakrystii, koło północnej kaplicy, zwanej królewską, gdzie spoczywały zwłoki królewskiej prababki, Emnildy, a na piętrze znajdowało się lektorium. Wśród modłów, po przybraniu Bolesława w białą szatę, wrócili przed ołtarz. Biskupi stali już dzierżąc poświęcone oznaki władzy królewskiej. Arcybiskup obnażył piersi i bark Bolesława i szepcząc modły namaścił je olejem świętym. Potem pomazał mu skronie i biorąc miecz od Pietrka podał go królowi, mówiąc:

— Przyjm ten miecz, którym na mocy powagi boskiej i władzy przekazanej tobie, winienesz tępić wrogów Chrystusa i złych chrześcijan, a strzec pokoju dobrych.

Wręczając włócznię powiedział:

— Tym będziesz karał po ojcowsku poddanych. Niech nigdy nie braknie twjej głowie oleju miłosierdzia.

Potem płaszczem purpurowym okrył ramiona królewskie:

— Niech wiara twa goreje **jako** purpura na tym

płaszczu, niech ochronę pod nim znajdą słudzy Boga, wdowy i sieroty.

Wreszcie poświęconą obręcz z czterema złotymi liliami włożył na głowę pana i ujawszy go za rękę poprowadził ku wejściu do bocznej kaplicy, przy którym stało podwyższenie z pozłocistym tronem na szczycie. Na nim usiadł Bolesław, poniżej zaś Mieszko i Włodzisław. Przy nich stanęli Michał z włócznią i Sieciech z mieczem w dłoni.

Krzyk wszczął się znowu radosny, lecz na stopnie ołtarza wstąpił Awdaniec, biskup poznański, z pastorałem w rękę; lewą dłoń podniósł na znak, że chce przemówić; uciszyło się w kościele, jeno z dworu dołatywał gwar tłumu. Biskup Michał zwrócił się do króla:

— ...Czystą i nieskalaną jest krynica, z której płynie wszelka władza: Bóg!...

— ...Czystą i niewinną jest władza, gdy ją Wszechmogący Król Królów przelewa na książąt ziemi, by Jego wolę tutaj wypełniali...

— ...Lecz niedoskonałe ręce ludzkie niejednym twórcy Boga zepsuły. Zdrój, który źródło swe bierze w Łasce, zamącić może pycha, żarłoczność, żądza, skąpstwo, gniew i okrucieństwo, czyniąc z Bożego powiernictwa napitek niesprawiedliwości...

— ...Tedy niech nie ustaje Kościół i wszyscy wierni w modłach swych, by dostojęństwo, które dziś Bóg oddaje czyste, w oczyszczone Sakramentem i umocnione pomazaniem ręce króla, zachował nadal czyste i wolne od skazy, aż je wedle woli Swej sam odbierze i przekaże w ręce godnego następcy...

— ...A dopóki to się nie stanie, nikomu ręki ściągnąć nie Iza, by uświęconą władzę króla zniszczyć lub się jej przeciwstawić, chociażby mniemał, że skalana została. Albowiem jeno za odstępstwo od wiary król może być sądzony, i jeno przez tego, który dawcą jest koron na ziemi: Namiestnika Piotrowego...

— ...Do ciebie zaś zwracam się, królu mój i panie, byś jako żrenicy oka swego strzegł czystości tej wła-

dzy, która została ci dana. Wielkie to bowiem szczęście ziemską koronę, ale większe niebieską. My, dostojnicy tego królestwa, ślubujemy ci posłuszeństwo i wierną pomoc w dźwiganie ciężaru, a że większą jeszcze rzeczą niż sprawiedliwość — jest miłosierdzie, tedy wraz z całym narodem błagamy cię o łaskę dla tych, którzy wobec ciebie zawinili...

Gdy biskup skończył, Bolesław wstał. W powłóczytym płaszczu zdał się wyższym jeszcze, w twarzy miał niezwykłą powagę. Kościół zaległa cisza, która zdała się rozlewać przez otwarte bramy, gdyż umilkł nawet szmer tłumów. W ciszy tej dobitnie i donośnie rozległy się słowa królewskie:

— Władzy, którą mi Bóg przez ręce Piotrowego namiestnika zlecił, używać będę dla dobra tego królestwa i ludu. Praw i obyczajów przestrzegać przysięgam. Cokolwiek poleci mi papież, to na dowód istotnego posłuszeństwa wiernie, jako przystoi chrześcijaninowi, wykonam; na zbawienie duszy mojej...

— ...Cokolwiek by zaś kto przeciw mnie po dzień dzisiejszy przewinił, wybaczam, jako że król nie chce pamiętać, co przeciw księciu zawiniono.

Na te słowa krzyk zerwał się w katedrze i wichrem wyleciał na pole, gdzie przelewał się i wrzał jak odgłos burzy. Tymczasem jednak zaczęło się składanie hołdu i ślubowanie posłuszeństwa. Pierwszy przystąpił Bogumił i kolana chciał ugiąć przed panem, ale król za ramiona go ujął i w twarz ucałował. Starego Pietrka za głowę ścisnął, wdzięczny, że osobę swą usunął w cień, choć podbechtywano go, by się przy prawach swych upierał. Pietrek z duszy miał ochotę oddać uścisk, jak ongi, lecz onieśmiałła go nowa godność pana. Potem z kolei przystępowali inni biskupi i opaci, gdy zaś skończyli, Skarbimir ujął za rękę małego Mieszka i po stopniach go ku ojcu przyprowadził, szepcząc coś po cichu.

Mieszko przyklęknął z powagą i podniósł dłoń ojcową do ust. Król jednak pochylił się, dźwignął chłopczynę i do piersi przycisnął. Poderwały się znowu

okrzyki, a król stał z zamkniętymi oczyma, tuląc do piersi syna, który oddawał mu uścisk serdecznie, jak jeno mógł najgoręcej. Jakby wyczuwał, że ojciec poniosł największą ofiarę, by dla niego całość dziedzictwa zabezpieczyć. Ale nie mógł wiedzieć, iż w potężnej piersi ojca, w godzinie triumfu, zakołatało nagle przeczucie, że poniosł ofiarę tę na próżno.

Gdy ceremonia hołdu dobiegła końca, król ruszył pierwszy przez główną nawę ku wyjściu, wiodąc syna za rękę. Rozwarły się przed nim wierzeje i stanął w słońcu, z dala widny w swym płaszczu purpurowym i złotej koronie. Na ten widok jeden wielki krzyk targnął tłumem, jakby zmartwychwstałego Chrobrego ujrzeli. Krzyk bił w niebo i niósł się z wieścią na cztery strony świata, po najdalsze krańce chrześcijaństwa. Znowu oczy wszystkich zwróciły się na kraj, który dopiero czterdzieści lat temu legł w poniżeniu, zda się, na zawsze. Król nie miał godnego przeciwnika. Cesarstwo, które samo jedno tamę jego dalszemu wzrostowi mogło położyć, rozdarte było i skalane; cesarz Henryk ruszał właśnie do Italii w podróż, która symbolem stać się miała upokorzenia: Kanossa!

Z pełnego goryczy serca pisał niemiecki kronikarz *:
„Gdy przez wiele lat Polska płaciła trybut królom niemieckim i od dawna przez dzielność Niemców zamienioną została w prowincję cesarstwa, popadł nagle pan tego kraju, książę Bolesław, w nieograniczoną pychę, ponieważ spostrzegł, że niemieccy książęta, tylko wewnętrznymi sprawami zajęci, nie myślą o tym więcej, by majestat Rzeszy na zewnątrz utrzymać. Bolesław przywłaszczył sobie królewski tytuł i godność, kazał sobie włożyć koronę i namaszczony został przez piętnastu biskupów. Wieść o tym wydarzeniu napęłniła najgłębszą niechęcią tych książąt, którym chwała ojczyzny jeszcze trochę leżała na sercu. Wzajem się-

¹ Lambert z Ascheffenburga

bie oskarżali: gdy my wzajemnie przeciw sobie szale-
jemy wściekłością, potęgą i dumą barbarzyńców tak się,
rozdęła, że Czech Wratysław już po raz trzeci mordem
i pożogą nawiedza całe prowincje naszego państwa,
a teraz ten nicpoń Polak ośmiela się, ku naszej naj-
większej hańbie, nałożyć królewską koronę na swoją
giowę".

XIII. GŁOS PRZESZŁOŚCI

Sposobność była jedyna dla państw słowiańskich, by zniszczyć Rzeszę niemiecką i raz na zawsze pozbawić cesarstwo powagi i znaczenia w chrześcijańskim świecie. Ale czeski Wratysław, jeden z ostatnich, podpierał upadającego cesarza, a Bolesław, wierny przyrzeczeniu i posłuszny woli papieskiej, szedł na Ruś, by pozyskać ją dla zachodniego Kościoła, pozbawić znaczenia wschodnie cesarstwo i schizmę usunąć.

Przyspieszyła sprawę śmierć Świętosława, o której wiadomość przysłała wkrótce po koronacji. Zmarł 27 grudnia 1076 po wycięciu bolączki i pochowano go w Czernihowie u Sw. Spasa, a na kijowskim stolcu zasiadł Wszewołod. Oplakiwał lud pogromcę Połowców i płakała Wyszestawa za ojcem. Choć daleki, stanowił dla niej oparcie. Utraciła je właśnie, gdy mąż, dawniej jeno obojętny, teraz stronił od niej z jawną niechęcią, a syna po postrzyżynach spod jej opieki odebrał. Domyślała się przyczyny, lecz rozżalało ją to tym bardziej; nie była winna, a właściwego winowajcy wskazać nie chciała, by niebezpiecznej burzy nie rozpętać, której przeczucie wraz z obawą o los syna dręczyło ją nawet w snach.

Bolesław zresztą po koronacji, jeno insygnia odwiózł do Krakowa, wraz zajął się przygotowaniami do potężnej wyprawy, w której od jednego zamachu całą Ruś opanować postanowił. Biskupstwa misyjne ufundował w Przemyślu i Zawichoście, gdzie też jakiś czas

w związku z tym bawił, i czekał tylko na wiosenną ruń, by paszy dla koni brać nie było trzeba, oraz by wody spływały, nim przez rzeki przeprować się przyjdzie. Po Wielkanocy wojska pociągnęły trzema szlakami, ku trzem przeprowom na Bugu. Bolesław własną osobą z Belza wyruszył, do Halicza przesyłając polecenie, by królewicz Władysław wyszedł mu na spotkanie. Wieść o pochodzie pobiegła też do Łucka, gdzie przebywał Izasław. Nie brakło takich, co ją ponieśli do Kijowa, ile pary w koniach. Wszewłod zbierał wojska, by ruszyć naprzeciw.

Z ciemnej głębi boru wybiegała na jasny, majowym słońcem wykraszony świat wąska drożyna, wyjeżdżona widno przez drwali i wydeptana przez woskobojów i bartników. Zsuwała się po stoku i schodziła w dolinę, którą płynęła rzeczulka. Jak dwoje figlarnych dzieci biegnących z lasu do domu, drożyna i rzeczulka to schodziły się razem, to rozbiegały, chowając się wzajemnie przed sobą za niewysokie strome pagórki, ciągnące się dwoma pasmami po obu stronach rzeczki, porośnię stojącą w kwieciu krzewiną lub z rzadka rozsianymi drzewami, okrytymi wiosennym listowiem.

Rzeczka świeciła złotem na płycznach o piaszczystym dnie lub błękitniała na spokojnym nurcie, odbijając pogodne niebo majowe, bez jednej chmurki, prześwietlone i przejrzyste. Schodzące z południa słońce wysuszyło drożynę, a wstający chwilami powiew wschodniego wiatru podrywał kłęby pyłu i niósł je na wzgórze. Rzeczka mrugała drobną falką na prądzie i znowu patrzyła jasnymi płaszczynami spokojnego nurtu na okwiecone brzegi, to nawisie nad nią, że zda się zeskoczyć gotowe w chłodną głąb, gdyby nie trzymały ich korzenie krzewów i pnączy, to rozstępujące się w płaskie łączki, błękitne od niezabudek i złote od jaskrów.

Świeżość i błogość były na ziemi i w powietrzu,

spokój odludzia, nie zmałony brzęczeniem owadów wśród kwiecia i rzadkimi głosami siedzącego na gniazdach ptactwa.

Przerwały ciszę głosy ludzkie i tętent kopyt, a podmuch wiatru, silniejszy od innych, poderwał nagle chmurę pyłu i sypnął nim na rzeczkę. Jakby zagniewana, skręciła na południe, gdy drożyna odbiegła na północ ku wzgórz, które zamykało pasmo, przechodząc ostrą stromizną w rozległą równinę, ciągnącą się aż do niedalekiego już Bugu.

Rzeczka jakby z żalem zawróciła jeszcze ku drożynie i podpłynawszy pod wzgórze zatrzymała się na chwilę, tworząc stawek obrosły rzesą i okolony trzcinami, w których buszowało stado białych i krasych kaczek. Na darmo jednak czekała; niewierna drożyna zginęła w gęstwinie sadu okrywającego białą pianą kwiecia południowy stok wzgórza i rzeczka z cichym łkaniem pobiegła dalej, by utopić się w Bugu.

Gromadka jezdnych dotarła do wzgórza i zwolniejszy na stromiźnie pięła się ku szczytowi. Wszystko chłopcy tęgie i pod bronią. Na czele jechał mąż wchodzący w południe lat, na mlecznobiałej klaczy, zegnanej widocznie, gdyż jasna sierść pokryta była ciemniejszymi plamami potu i kurzu. Pozostałe konie z widocznym trudem nadażały za jadącym w przedzie. Przez sad dotarli do budynków, zeskoczyli z koni, a gdy nikt nie wychodził, jeden z przybyłych wszedł do otwartego na ścieżaj dworca, lecz po chwili wrócił mówiąc:

— Nie ma nikogo. Co nam robić?

— Koniom trzeba dać oddech i obrok. Zawołaj, może jest kto na obejściu — rzekł król.

Wojak ręce złożył koło ust i potężnym głosem huknął:

— Jest tam kto?

— Czemu się drzesz, jakbyś był u siebie. W domu najdziesz wszystko, czego ci trzeba — ozwał się niespodziewanie jakiś niski, bezdźwięczny głos spod nie-

dalekiej jabłoni, której gałęzie oblepione kwiecień* zwisały niemal do ziemi.

Przybyli zwrócili się ku miejscu, skąd głos dochodził, i stanęli kręgiem wokół leżącego pod jabłonią człeka.

Stary być musiał jak świat. Leżał na rozścielonej pod drzewem, wylysiałej końskiej skórze, do pasa nakryty białym owczym kozuchem, od pasa zaś nagi, jeno tak zarośnięty siwym włosem, że tylko część policzków i wydatny nos ciemniejszą barwą odbijały się od srebrnej siwizny zarostu. Przez nawisie, strzępiaste brwi ledwo przeświecały wyblakłe, niemal białe oczy, którymi mrugał, widno obudzony ze snu, patrząc bystro i niezbyt życzliwie na przybyłych.

Złajany wojak zuchwale przystąpiwszy do starca rzekł:

— Gębę trzymaj, my wszędzie u siebie. Król zjechał do was.

— Bez twego gadania widzę; podobny nawet do Chrobrego Bolka — starzec bacznie i z ciekawością spoglądał na stojącego obok Bolesława.

Gdy wojak zbierał się odszczeknąć starcowi, Bolesław ręką wymownie skinął na towarzyszy, by odeszli, a gdy usunęli się ku domowi, szukając wody i jadła, obejrzał się wkoło, patrząc, na czym by usiąść, zdrożony widocznie. Stary rzekł z lekką drwiną, w której czuć jednak było uśmiech:

— Patrzysz, czy nie ma królewskiego stolca? Siadaj na trawie, nie powalasz się. Dziadowie twoi z naszymi nieraz na wiecach razem siadywali. Nie tylko, jeno głową przewyższali innych. Aleś też podobny do pradziada — ciągnął starzec, nie bacząc, że przez dumną twarz króla przebiegła zmarszczka -r* jeno cięższy był od ciebie... i czarny — dodał, patrząc na jasne kędziory wymykające się spod spiczastego helmu z orłem wymalowanym na przedzie.

Ciekawość widno przemogła w Bolesławie, gdyż zdjęwszy hełm usiadł obok starca. Jasne kędziory rozsypały się dokoła przysmagłonej słońcem twarzy

i promień zagrał w nich. Staruch patrzył na króla spod brwi, z mieszaniną zaciekawienia i zyczliwości.

— Pamiętasz mego pradziada? — zapytał król.

Starzec zachichotał:

— Nie wiem, czy dwa roki starszy był ode mnie. Samego wielkiego Mieszka pamiętam. Dobrze! — jakieś wzruszenie zabrzmiało w głosie mówiącego. — Lepiej niż to, co rok czy dwa temu było. Człek do młodości myślą wraca, jak do domu swego; i po ciemku odnajdzie wszystko, wszystko mu zrozumiałe i swoje. A potem świat się staje obcy — zamilkł i zamyślił się.

— Praw mi o Chrobrym — rzucił król w zadumie.

Ale stary, miast zacząć opowieść, zapytał:

— Na wyprawę ciągniesz? Na Ruś?

Bolesław głową jeno skinął, a stary zaczął:

— Pewnie myślisz, że tam pradziad znalazł swą wielkość. Ani tam, ani nad Łabą. Tutaj, w swoim kraju, u siebie. Wojennik był wielki, ale postronne zdobywcze niewiele go przeżyły; obcy wnet się spostrzegli i dziad i ojciec twój zapłacili za nie. A imię przeżyło i z ludu wielu do dziś wierzy, że nie umarł, jeno zasnął, a zbudzi się, gdy przyjdzie na lud nieszczęście. Chcesz go naśladować, z ludem trzymaj. Chętnie uwierzą, że im Chrobry zmartwychwstał.

— Z kmieciów jesteś? — zapytał Bolesław.

— Z kmieciów. I ty też z kmieciów, choć włos masz złoty po babce, cesarskiej krewniaczce. Ryksa mądra była niewiasta, ale nie nasza. A ty zaś Rusinkę pono wzięłeś. I mać twoja z Rusi. Ciągnie cię tam. I tyś Włodzimierzow wnuk, prawo masz.

Bolesław jeno głową skinął. Znosił poufalość bez zwykłej dumy. Zdało mu się, że nie człowiek, lecz przeszłość sama mówi do niego. Starzec ciągnął:

— Kto tam prawa nie ma! Rozrodzili się Rurykowie jako piasek, a biją się z sobą jak... bracia. Idź! Idź! Złota znajdziesz, powołów cudnych, naczyń greckich, ale wielkości nie szukaj. Pradziad twój i tam chadzał, ale przódzi pognębił cesarza. Byłem z nim

w Kołobrzegu i Budziszynie... i byłem w Kijowie. Tarczownikiem byłem, łby ścinałem. A wnuki i prawnuki już do broni nie nawykli. Dlatego ich twoi woje mają za nic.

— Cesarza ninie kto inny na kolana rzucił — rzekł król wymijająco.

— Ale ty nie. A klęczy, to obal go na ziem, kolek osikowy w piersi wbij, bo wstanie jako upiór i krów wyssie.

Bolesław zadumał się i zapanowało milczenie. Od zabudowań zbliżał się ku nim rosły i tęgi wojak, z daia już wołając:

— Hej, stary! A konie i skot gdzie podziałeś?

Bolesław drgnął i gniewnie ręką machnął. Starzec* zamruczał:

— Pyta jak o swoje. Nikt nie głupi czekać, aż mu dobytek pobiorą. Szukaj se ich w lesie.

— Nie chcesz dać stanu i pod wody? — zapytał kroi.

Nie było gniewu w jego głosie. Stary odparł:

— Ile na przednówku dać mogę, tyle ostawić poleciłem. Gdybym wiedział, że sam będziesz, nie kazałbym skotu wyganiać, bo wiem, że bez twej wiedzy lud krzywdzą. Żeby ino, gdy wojsko idzie; wiadomo, jeść musi, choć potem nie wiadomo, czym do nowego doczekać. Ale włóczą się twoje to psiarki, to sokolniki, kto ich tam nazwie. Konia weźmie, zmarnuje, bo nie jego, żreć i pić dawaj, ile strzyma, a jeno patrz, czy drugi nie jedzie.

— Wždy od wieka ten obyczaj. Nie tak-że za Chrobrego bywało?

— I tak, i nie tak. Grodów a żupanów ani pól tyle nie było. A brali, ile należało. Chciał który więcej, nie dostał. A spróbowalby siłą, to i myśmy broń mieli w garści, i do króla z żalem dostać się było można. A teraz? Krzywdzi lud, kto chce, a ty nawet nie wiesz o tym. Mało w kraju bywasz, a jesteś, to nie dopuszczą do królewskiego sądu. Tedy chronić się trzeba jak przed wrogiem.

— **Jeno wróćę, uladzę tę sprawę — rzekł Bolesław.**

— Tedy wracaj prędko. Niespokojny jakowys wiatr powiał. Niecierpliwi się lud. Chce wiedzieć: z nim jesteś, zali przeciw niemu?

— Żaden to król bez ludu — rzekł wstając Bolesław. — Powiedz swoim, że jeno sprawy na Rusi uładzę, wróca i uczynię sprawiedliwość.

— Nie wiem, czy tu sprawy nie pilniejsze niż na Rusi. Nie od dziś czekają na sprawiedliwość, a miast tego ucisk coraz większy, bo kto jeno siłę ma, pozwala sobie. Mówią, że takie nowe prawo. By jeno sami sobie sprawiedliwości brać nie zaczęli, jak za dziada twego było.

— Kto mego miecza pokosztować nie chce, niech się strzeże sam sobie czynić prawo! — rzucił Bolesław gniewnie.

— Widzisz — odparł stary z lekką drwiną. — Ci, co sami miecze mają, z dawna sobie sami prawo czynią.

— Więcej nie będą. Możesz to swoim oznajmić.

— Jużci, powiem. Niemała to rzecz od ciebie samego słyszeć, co prawili niektórzy, iżes na koronacji zaprzysiął stare prawo i obyczaj przywrócić. Nie daj czekać długo, nie czas.

XIV. NAD TETEEEWEM

W drodze doszła króla wieść z Halicza od Władysława o śmierci Gejzy i uzuchwaleniu się Salomona. Mimo że zostało po Gejzie potomstwo, Bolesław postanowił ulubieńca swego, Władysława, nie mieszkając na węgierskim tronie osadzić, zanim umocni się Salomon. Choć były już wieści, że Wszewołod idzie naprzeciw, Bolesław dufny w siebie, wbrew doradcom, udzielił znacznych sił Władysławowi, by od jednego zamachu skończyć sprawę węgierską. Miast przewidzianej węgierskiej pomocy otrzymał zapewnienie wdzięczności za udzieloną królewiczowi i choć spieszno było, ciągnął z przystankami, by doczekać nadejścia oddziałów, które dalej na północy przez Bug się przeprawiały. Gdy jeno doszły konne hufce, ruszył na Kijów, nie czekając już na piesze wojska ni na Izaśława, który doniósł o nieprzewidzianej zwłóce i obiecywał króla dognać nad Teterewem.

Przestrzegali jedni, a sarkali drudzy, że król ze słabymi siłami zapuszcza się w obcy kraj i gdyby porażkę poniósł w spotkaniu z Wszewołodem, który kilkakroć liczniejsze mógł wystawić, zdrady raczej niż pomocy od niepewnego sprzymierzeńca spodziewać się może i siebie wraz z wojskiem naraża na oczywistą zgubę. Niecierpliwy Bolesław nie zważał jednak na przestrogi i parł na wschód korzystając z pogody sprzyjającej pochodowi.

Szli znanym już szlakiem wzdłuż północnego stoku działu wód Dniestru i Prypeci. Duch w wojsku, zwłaszcza wśród młodzi, był ochoczy. Ci, którzy już bywali w Kijowie, cuda opowiadali o bogactwie tego grodu, wspaniałości uczt i urodzie Rusinek, a wszyscy obiecywali sobie łupy bogate i rozkoszny pobyt. Rozrzucony na wzgórzach, o szerokich ulicach, Kijów niezbyt był obronny, a spodziewanych sił Wszewołoda widać nie było. Bez przeszkód przepawiły się wojska przez opadłe już wody górnych biegów Styru i Horynia, a niewielka potyczka przy przeprawie przez Słucz wpoila w wojska przekonanie, że dojdą do Kijowa bez przeszkód. Śmieli się z nadmiernej ostrożności starszyny, pod niebo chwając śmiałość Bolesława, iż nie dał się zastraszyć. Radzi byli, że staną pierwsi w Kijowie i dla nich będą co' przedniejsze łupy i co piękniejsze niewiasty. Toteż gdy wśród świeżej zieleni stepu zalsniła w słońcu błękitna wstęga Teterewu, okrzyk radosny targnął wojskiem. Ostatnia większa przeprawa, potem już jeno mała, choć bagnista rzeczulka Ispień stoi na drodze do Kijowa, łupów i rozkoszy. Sarkano na króla, że obóz rozbić kazał na dłuższy postój, by poczekać na Izasława. Przypominali, jak za czasu pierwszej wyprawy Wszesław z wojskami też wyszedł naprzeciw, lecz choć zuchwały i dziki, uląkł się Bolesława i opuściwszy wojska zbiegł z Bielhorodu do Połocka. Pewni byli, iż Wszewołod to samo uczyni. Bolesława jeszcze nikt nie zwyciężył.

Obóz rozłożył się na obłym wzgórzu opodal rzeki. Pochód, choć pomyślny i bez przeszkód, znużył jednak ludzi; zwłaszcza piesze wojska, które z trudem jeździe nadażały, rade były z wypoczynku. Toteż prócz straży, które wystawiono, i konnych podjazdów wysyłanych za rzekę i do Izasława, reszta korzystała ze spokoju; jedni odzież naprawiali, inni czyścili i ostrzyli broń, tamci ryby łowili lub pławili konie. Obóz szumiał jak ul do późnego wieczora, zanim ogniska zaczęły przygasać i gwiazdzista, lecz bezksiężycowa noc nakryła kraj ciemną płachtą na krótki wypoczynek.

Ciepło było, więc nawet nie rozbijano namiotów. Jeno pośrodku obozu stanął namiot Bolesława. Król nie mógł zasnąć, jakkolwiek trudy pochodu i zajęcie się wyprawą ostatnio przywróciły mu sen, który długo omijał jego łożo. Czul się znowu rześki i silny, troski i zgryzota zdały się maleć w miarę jak oddalał się od miejsc, z którymi były związane. Myślał już jeno o przedsięwzięciu, które nie było małe, lecz nie przestało jego sił.

Nie w porę była mu ta wyprawa, ale że papieżowi przyrzekł, a prędzej czy później leżała w jego zamiarach, przygotował ją starannie. Tym razem szedł nie po sławę i łupy. Od pierwszej wyprawy dojrzał, doświadczenia i cierpienia zmieniły go. Całą Ruś musi zholdnować, by koniec uczynić ciągłym walkom wewnętrznym. A gdy stworzy z niej siłę, wówczas przyjdzie chwila, by na zachodzie raz na zawsze sprawę rozstrzygnąć. Tymczasem niech dojrze sama. Wewnętrzny zamęt w Niemczech, rozpoczęta klęska Henryka walka jego z papieżem przygotowują drogę tam, dokąd nawet Chrobry nie zaszedł. Gdy królowi kiedyś odejść przyjdzie, nie zostawi Mieszkowi czyhających wokół wrogów żadnych odwetu, by jak po śmierci Chrobrego odebrać ojcowskie zdobycze. I nie zostawi mu Bezpryma, by knował z wrogami. Mieszko sam będzie jedynym panem. Za jaką cenę: własnego syna z Krystyny Bolesław odepchnął!

Czuje jednak, że cena jest wyższa, niż mógł zapłacić. I czuje, że tkwi w sprawie coś nie wyjaśnionego. Krystyna mówiła, że nie zniesie więcej zniewag. Musiały ją spotkać. Od kogo? Podejrzywał Wyszlesławę, ale daleki był od pewności. Żona jego łagodna była i nieśmiała.

Patrzył szeroko otwartymi oczyma na skrawek gwałdzistego nieba, widoczny przez uchyloną zasłonę namiotu. Czy tędy przypelzła za nim jak zmora z ciemności troska i zgryzota? Sen znowu odbieżył od niego. W suchym powietrzu gwiazdy migocą jak oczy Krystyny. Gdy pierwszy raz szedł do Kijowa, szalała

w nim burza. Wiedział, że tam zetknie się z Krystyną, i czuł, że coś się stanie. Teraz Krystyny nie ma w Kijowie. Dla niego nie ma jej nigdzie. Sam odrzucił jej warunek, dla syna.

Nalatuje go przypomnienie pierwszej nocy z Krystyną. Pamięta, jakby to było wczoraj: wszystko! Przysiągł od niesławy ją ustrzec i nie dotrzymał; dlatego odeszła! Dumna jest!

Teraz ją lepiej rozumie. On przed miłością do niej miłością syna się zastawił, ona uczyniła to samo. I nie chce jego niepewnej ochrony; chce być matką księcia, której nikt zelżyć się nie waży. Albo nie chce niczego.

Rozterka króla przeszła w gniew na sprawcę odejścia Krystyny. Musi myśl odwrócić, skierować ją do spraw, którym poświęcił Krystynę.

I gniew jego zwraca się przeciw Izaśławowi. Przez jego zwłokę musi tu tkwić bezczynnie, gdy wszystko w nim wre. Gardził Izaśławem i nie ufał mu. Pewnie zwleka umyślnie, by doczekać bitwy króla z Wszewołodem i zależnie od jej wyniku przyłączyć się do zwycięzcy. Izaśław zresztą dobrze wie, że niczym jest dla Bolesława. Gdyby nie przyrzeczenie dane papieżowi, Bolesław nie mówiłby z nim nawet. A może Izaśław już knuje z Wszewołodem, który zagrożony przez Polaków, skłonniejszy będzie z bratem się układać!

Bolesława ogarnęła wściekłość. Zerwał się, przypasał miecz i wyszedł z namiotu.

Chłodniejszy powiew od rzeki i spokój nocny na stepie koily jego wzburzenie. Obóz spał. Ogniska strażnicze przygasły. Świat milczał czekając przedświt. Niebo już na wschodzie z lekka jaśniejszą barwą odcinać się zaczynało od ciemnej ziemi.

Król ruszył, by obejść straż. Czuwały, kołysząc się sennie. Za ich linią pusty i tajemniczy step wabił samotnością i ciszą. Bolesław dał się wciągnąć.

Szedł raźnie przed siebie. Ruch przynosił mu ulgę, myśli uspokajały się. Obfita rosa przemoczyła cizmy i chłodziła stopy. Ciemność stawała się mniej gębo-

ka, gwiazdy poblady i zaczynały sennie mrugać. Do świtu było niedaleko. Czas spocząć.

Bolesław przystanął i miał zamiar zawrócić, gdy uszu jego doleciał odgłos, jakby tupot stojących koni. Zdał się dochodzić z bliska, lecz choć wzrok leciał już na kilkadziesiąt kroków, nie było nic widać.

Bolesławowi przypominały się opowiadania o różnych dziwacznych zdarzeniach nocami na tych pustych, rozległych przestrzeniach. Włos zjeżył mu się z lekka, lecz ująwszy miecz ruszył ostrożnie w kierunku, z którego odgłosy zdały się dochodzić. Od piotrawińskiego cudu wszelkie dziwy budziły w nim podejrzenie i złość. Nie zapomni Stanisławowi jedynej w życiu chwili przerażenia. I teraz miast strachu ogarniała go zaciętość.

Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, dostrzegł przed sobą ciemniejszy pas. To zaczerniała głębia stepowej rozpadliny. Głosy szły stamtąd. Bolesław nie miał ni chwili wątpliwości, kto się tam przyczaił. Zawrócił i niemal pobiegł do obozu.

Szarzało. Od trzciny i oczeretów niedalekiego Teterewu dochodziły pierwsze odgłosy budzącego się ptactwa; zarazem z nagrzaną falą rzecznej, w chłodnym powietrzu przedświtu wznosiła się sińca mgielka i sunęła w step z lekkim powiewem ze wschodu; ogniska zbladły i przeświecały przez zaslonę gasnącym żarem, lecz zaraz zgasły, zdeptane; cichy, lecz wyraźny skrzęt dowodził, że obóz polski jest już na nogach. Szare gromady wypęły z obozu. Przed namiotem stał Bolesław w otoczeniu wodzów i niecierpliwych oczekiwaniu na konie, które na gwałt ściągano z pastwiska. Drużyna już była gotowa do boju. Obstawia wroga w rozpadlinie, jak zwierza w komyszy; ni noga ująć nie powinna. Łucznicy obstawia strome brzegi, tarczownicy bliższe wyjście, dalszym wleje się jazda.

Jasno już było, lecz mgła i wysokie burzany zakrywały widok. Bolesław, gdy jeno część koni sprawdzono, niecierpliwie skoczył na siodło i ruszyli z miejsca kłusem. Zaledwie ujechali pół stajania, ogromny

wrzask jednym uderzeniem zburzył ciszę przedświt. Wrzała bitwa.

Krzyk targał powietrzem, przewalał się z miejsca na miejsce, chwilami nacichał, by wybuchnąć na nowo, lecz nic widać nie było. Król wiedział już jednak, że chybił jego zamiar otoczenia wroga. Bez słowa zawrócił ku bliższemu wejściu do dąbrowy. Konie wzięły pęd, step zadudnił tysiącem kopyt.

Nagle jak stado szerszeni bzyknęła z boku ulewa strzał. Zadzwoiła, jak żwirem sypnął, po hełmach i pancerzach. Zakwiczały ranne konie, krzyknął niejeden z wojów lub bez głosu zwałił się pod kopyta. Zasadzka była. Bolesław skierował się ku niej bez wahania. Jeszcze raz zadzwoiły strzały, lecz nie szły już chmarą; potem tuż przed jazdą zaczerniały gromady pieszych. Widać było, jak zwierają się co duchu, by dać odpór jeździe. Lecz już siedziała na nich; bliższy wrzask zagłuszył dalsze.

Król pewny był, że jego przyboczna drużyna łatwo sobie poradzi z liczniejszym oddziałem przeciwnika. Po pierwszym uderzeniu Bolesław wycofał się ze skrzętu na taką odległość, by po głosach móc miarkować o przebiegu bitwy i doczekawszy reszty jazdy uderzyć w najgorętszym miejscu. Nie wątpił, że potyka się z całymimi siłami Wszewołoda, lecz ile ich było, nie mógł wynioskować. Snadź nieprzyjaciel nocą obóz podchodził, chcąc napaść go o świcie. Zaskoczenie było obustronne i bitwa rozwijała się sama wbrew zamierzeniom wodzów. Zwycięzy, kto prędzej prowadzenie ujmie w garść. Bolesław przemógł zaciętość, która gnała go do boju, i ruszył ku obozowi. Wzgórek stanowił jedyną wyniosłość okolicy. Słońce wszędzie już rychło i pozwoli ogarnąć okiem całość.

Szmaragdowe niebo na wschodzie jaśniało z każdą chwilą, lecz step dopiero zaczynał się barwić. Wzrok jednak leciał już daleko; od rozpadliny sunęła ku obozowi gęsta ciżba, z której wrzask nieustanny bił w niebo. To cofali się łucznicy i tarczownicy Bolesława, parci widno przeważającymi siłami. Nieco opodał od

głównego skrzętu, jak kępa krzów miotana wichurą kiębiła się konna drużyna, obskoczona ze wszystkich, stron, niezdolna nabrać rozpędu, który główną jej siłę stanowił. Jedno już było pewne, że Wszewołod liczbą przewyższał siły króla wielokrotnie.

Zmarszczka gniewu i troski przeorała gładkie czoło Bolesława, lecz powziął już postanowienie. Wszewołod nie wprowadził jeszcze konnych do bitwy; czekali w rozpadlinie, lecz w jakiej sile, nie wiadomo; trzeba wyzyskać chwilową przewagę, jaką król miał w reszcie jazdy.

Skoczył na koń i jeno ręką wskazawszy na piesze gromady otaczające oddział jezdnych, który wprowadził do bitwy, sam pognał na czele, z dala widoczny na swej białej klaczy. Za nim jazda ruszyła ławą; w mgieniu oka dopadli walczących. Środek trafiwszy na opór wstrzymał się, skrzydła zaś siłą rozpędu ogarnęły kolisko. Zgiełk wszczął się taki, że nikt głosu własnego słyseć nie wydolił; pierwsze promienie słońca zamigotały tysiącem błyskawic na mieczach, którymi jezdni cięli pieszych, zamkniętych żelaznym pierścieniem, z tkwiącym pośrodku małym, lecz najbitniejszym oddziałem Bolesławowej przybocznej drużyny. Z otoczonej piechoty żaden nie dożyje zachodu. Nie czas było brać jeńca. Każdej chwili zjawić się może jazda Wszewołoda. Cięto do utraty tchu, pot zlewał czoła. Czerwcowe słońce, oderwawszy się od nieboskłonu, wznosiło się szybko; dzień zapowiadał się upalny, lecz setki zdeptanych kopytami trupów stygły już na stepie. Wreszcie zetknęły się ze sobą dwie fale jezdnych i wrzask ustał nagle jak ucięty. Jeno chrapliwie dyszały utrudzone piersi i krew dudniła w uszach tych wojów, z których nie wyciekła na zdeptane trawy i roztratowaną w krwawe błoto ziemię. I

Król, który podczas bitwy szalał w pierwszym szeregu, rzucając się jak straceniec w największą ciżbę Inieprzyjaciół, jeno oddechu zachwycił, rozkaz wydawał do uszykowania. Przez szum krwi w uszach sły-S2ał niezbyt odległe wrzaski z głównego pola bitwyJI

Ręką gniewnie stłumił radosne okrzyki, jakie wznosić zaczęli uradowani powodzeniem woje. To dopiero początek bitwy. Gdy stanęli w szyku, wyjechał na czoło i ruszył ku obozowi. Z wyniosłości chciał dojrzeć, gdzie z kolei trzeba uderzyć. Nagły wrzask, w którym brzmiała rozpacz, poderwał go. Puścił konia w skok i minawszy mały fald wzniesienia ujrzał wszystko jak na dłoni. Znaczny oddział jezdnych zaskoczył cofającym się polskim łucznikom i tarczownikom drogę do obozu. Byli otoczeni.

Bolesław, bez słowa, pochylił się nad grzbietem konia i wbijając w jego boki ostrogi pognął ku bitwie. Za nim pędził Doman i Strzemieńczyki, potem reszta drużyny, ile czyj koń mógł wydolić. Rozciągnęli się w długi klin, którego ostrze świeciło w czerwcowym słońcu śnieżną bielą klaczy i pozłocistą zbroją królewską. Jak strzała celował w miejsce, gdzie tłum pieszych cofał się pod naporem koni pancerników Wszewołoda, stłoczony tak, że piersiom tchu, a rękoma miejsca do rozmachu brakować zaczynało.

Nadbiegający klin otarł się jeno o szeregi pieszych wojów, którzy z boków zamykali polską piechotę. Od tego otarcia posypali się na ziemię jak drzazgi i ściana zwątląła; z ogromnym rozmachem wbił się głęboko między własną piechotę a napierającą jazdę ruską. Było jej mniej niż polskiej i Bolesław odetchnął.

Parł przed siebie jak szaleniec, nie bacząc, że zostawia za sobą wrogów, dufny, że wierny Doman i jak smycz psów idący za nim Strzemieńczyki tyłów mu dopilnują. Gdy grot klinu zwolnić musiał, tylnymi szeregi jazdy powinny wysforować się samym pędem na skrzydło nieprzyjacielskiego oddziału. Jeżeli król sam zdąży się przebić i zamknąć z drugiego skrzydła ruską jazdę, wygniecie ją do nogi. Tymczasem piesi, wydobyli z potrasku, na wzgórzu opór mogą dać przewadze, dopóki z kolei zwolniona jazda nie skoczy im z pomocą i bitwy nie zakończy.

Wszewołod widno pomiarkował, jaki jest zamiar króla, gdyż w ruskich szeregach rozległy się gwizdy

i nagle tłum ludzi i koni zawichrzył się i pognął w skos ku rzece, nim kto drogę zdołał zastawić. Skoczyła zaraz za nimi pogoń jadąc przez chwilę na ostatnich szeregach, lecz Rusini konie jeszcze mając niestrudzone oderwali się zaraz. Bolesław tedy hamować zaczął pościg, by sprawić 'drużynę., pewny, że Wszewolod wrychle wróci do bitwy.

Jakoż kniaź jedynie osaczenia chciał uniknąć i groźną jazdę polską odciągnąć od głównego boju, wykorzystując przewagę, jaką miał w szybkości koni i liczbie pieszych wojsk. Nie odsądził się bowiem nawet na dwa strzelania z łuku, gdy zatrzymał swoich i stanąwszy w sprawie zawrócił.

Polacy szykowali się co prędzej, by przyjąć uderzenie, lecz Wszewolod, wzięwszy już największy pęd, nagle zboczył i przemknąwszy się tuż koło polskiego oddziału, pognął ku obozowi.

Los bitwy zawisł na włosie. Jeżeli Wszewolod dopadnie rozproszonych pieszych szyków, rozbije je samym ciężarem. Jedyna nadzieja, że odpór dadzą, przynajmniej na tę chwilę, by nadążyła konna drużyna. Gnała, ile sił w koniach, by chwila ta była jak najkrótsza. Na czele pędził Bolesław.

Mimo gniewu i roznamiętnienia, myśl jego była dziwnie jasna. Wiedział, że przegranie tej bitwy to koniec wyprawy, chybienie szerokich zamiarów na Rusi. Izaśław porozumie się ze zwycięzcą; na przepadłe wydane będą polskie oddziały piesze, które prowadzić z sobą. Królowi zostałyby tylko nadzieja szybkiego odwrotu z resztą konnej drużyny, bez łupów i wojsk. Nim wyruszył, czuł w kraju wrzenie. Gdy wróci pokonany, przeciwne mu siły jawnie powstaną. Przyłączą się zaraz postronni, z dawna zaczajeni na chwilę, w której odegrać się będą mogli za doznane klęski i upokorzenia. To koniec wielkich zamierzeń. Czekać może jedynie wątpliwa i długa walka, by się przy życiu i choć części ojcowizny utrzymać.

Śmiertelna, zimna zaciętość ogarnęła króla. Nie będzie **znosił upokorzeń**, by szczątki ocalić tego, co mu

się w całości zbyt małe wydawało. Rozstrzygnie się los, nim słońce zajdzie. A stoi już na południu.

Niebo poszarzało od skwaru. Gnane od rana bez obroku i napoju konie drżą i stękają chrapliwie. Ludziom zda się, że pot gotuje się pod skórzanymi ku-brakami i zbroją. Wyschnięte gardło nie wydaje już okrzyków. Pędzą do bitwy, bo król pędzi na przedzie. Hańba ostawić go samego.

Wzgórze zbliża się. Czernieje na nim uszykowana gromada. Jakby tysiąc iskier wznosi się z niej i opada na nadbiegającą już ruską jazdę. To błyskają w słońcu groty strzał. Łucznicy zdążyli się zewrzeć.

Bolesław odetchnął. Wstrzymując konia, skinął na Mirosława Odrowąża z Żarnowa.

— Czterystu konnych brać i na pieszych uderzyć! Ja z resztą na jazdę Wszewołoda wsiądę. Kto się z bitwy wycofa, łeb straci. Ruszaj!

Mirosław jeno głową skinął i konia wstrzymał. Oddzielił idące z tyłu cztery setnie i skręcił w prawo. Pozostali już zwarli się z Wszewołodem. Jeszcze raz krzyk uderzył w niebo i umilkł, jeno odgłosy ciosów i szczęk broni mieszały się z jękami rannych i szumem wstającego wiatru.

Chwilami cichły i te odgłosy. Zziajani do ostatka przeciwnicy patrzyli na siebie przekrwionymi oczyma, chwytając chrapliwie oddech, by znowu wzajem na się uderzyć. Niejeden omdlałej ręki już dźwignąć nie wydził, by się od ciosu zasłonić, i padał, ostatkiem tchu wydając śmiertelny okrzyk. Szum wiatru przechodzącego w wicher coraz bardziej głużył odgłosy bitwy. Gdy chwilami przycichał, z dala dochodził pomruk nadciągającej burzy. Niebo zmierzchno, płucom brakło powietrza. Zdało się, że bitwa wypali się sama, bo ludziom sił braknie, by broń dźwignąć do ciosu.

Nagle wrzask wzniosł się ponad szum wichury. W kotłowisku jazdy zakłębiło się. Rozległy się okrzyki:

— Król! Król!

Widna z dala **biała klacz** Bolesława zwała się. Kto

zył, rzucił się ku temu miejscu. Pchnięte tym ruchem ruskie szeregi zakołysały się nagle i pękły. Kto mógł, wydzierał się z zamieszania.

Na ten widok zawrzasnęła drużyna, jakby jej sił przybyło; znowu zadzwoniły miecze. Zaświeciła w nich błyskawica i zgasła, a tuż po niej huk gromu wstrząsnął stepem, jakby oznajmiając koniec bitwy. Resztki jazdy Wszewołoda wybiły się ze skrzętu i ostatkiem sił końskich pomykały na południe w potokach ulewy, która właśnie zasłoniła je przed pościgiem. Pie-sze wojska ruskie rozsypały się we wszystkich kierunkach. Jeźdźni ścigali je, póki nie rozbili większych gromad. Siły Wszewołoda starte były na proch, bitwa

XV. SPOTKANIE SPRZYMIERZEŃCÓW

Wiatr nacichał, ulewa przeszła w stateczny deszcz, szemrzący jednostajnie po kałużach. Na zachodzie błysnął pas złotomiedzianego światła, który rozszerzał się blednąc z każdą chwilą.

W odbłaskach zorzy wlokły się bezładnie ku obozowi gromady wojsk Bolesława. Spragnione gardła chłoneły spływającą po twarzach wodę, słoną od zaschłego potu. Nawet radość zwycięstwa nie mogła już wydobyć okrzyków ze śmiertelnie znużonych płuc. Jedynie odgłosy to jęki rannych i chlupot nóg po kałużach. Kto doszedł na wzgórze, walił się na ziemię i zasypiał; deszcz zgasił pragnienie, a znużenie — głód. Nikt nie zapalał ognia ni straży nie wystawiał. Nawet konie puszczono samopas. Jeny że nacichający wiatr niósł widno zapach wilczy, konie same zbiły się w stado, z ogierami na obwodzie, gotowymi do obrony. Lecz nie było przed czym; wilczej strawy pełen był step, jak okiem sięgnąć.

Gdy wydobyto króla spod konia, który zwałił się z wyczerpania, Bolesław poczuł, że kres mają i jego siły. Po nie przespanej nocy od świtu walczył bez przerwy, w najwyższym napięciu wszystkich władz ciała i duszy. Teraz nagle wszystko zdało mu się obojętnym. Prowadzony przez Domana, szedł na zeszywniałych nogach, ciężko wspierając się na mieczu. Gdy dowlókl się do namiotu obalonego w bitwie przez

przewalające się gromady, wpełznął pod płachtę i zasnął.

Spał kamiennym snem, a z nim cały obóz. Głuche milczenie zaległo miejsca, które od świtu do zmroku wrzały zgiełkiem bitwy. Umilkły nawet jęki rannych i charczenie konających. Posnęli jedni, doszli drudzy. Z mokrych łąk nad Teterewem czasem jeno żałośnie odezwała się czajka lub zahuczała przeciągle przelatująca bezszelestnie sowa.

Nad ranem ziąb i głód budzić zaczął wojów; wstawali przeciągając z wysiłkiem zdrętwiałe gnaty. Tu i ówdzie zadymiło ognisko z mokrego chrustu i zeszlonych traw, lecz gdy słońce wzeszło i ciepłymi promieniami suszyć jeło przemokłą odzież i zgrabiałe ciała, obóz zaszumił gwarem. Starszyzna poczęła wprowadzać ład, rozstawiono strażę, zbierano rannych i zabitych.

Znoszono ich do południa. Twarze starszyny zmierzchły. Tysiące ciał wczorajszych towarzyszy leżało długim szeregiem u stóp wzgórza, jak pokot jakichś olbrzymich łowów. Niektóre już cuchnąć zaczęły, trzeba je pogrześć szybko. Na zboczu pachółkowie kopali ogromny dół, w którym mieli spocząć polscy woje. Niemal każdy z pozostałych znalazł między i nimi to druha, to krewniaka, żałość brała górę nad radością ze zwycięstwa. Nie było sarkania jeno dlatego, że każdy wiedział, iż król najmniej oszczędzali samego siebie. Nawet najbardziej niechętni przyznać musieli, że nikt go męstwem, bitością i wytrwałością nie przewyższył. Teraz spał jak głaz.

Rankiem Doman, przy pomocy jednego ze służebnych pachółków, ściągnął ze śpiącego króla zbroję i przemokłe szaty i okrył go suchą derą. Gdy uwarzono polewkę, przyniósł misę i trącać począł Bolesława, lecz daremnie.

Postawił tedy obok króla naczynie i polecivszy pachółkowi pilnować, kiedy król się zbudzi, sam, by się orzeźwić, poszedł wykapać się do rzeki. Wielu wojów, uczyniwszy podobnie, wyłożyło do słońca nagie

ciała. Wypoczywali jedni drzemiąc, inni gwarząc między sobą. Doman wypłuskał się i położył na małej kępcie piaszczystej, otoczonej szuwarem; leżąc plecami do słońca słuchał dochodzących głosów.

Nieco poniżej rozlegał się co chwila plusk, jakby coś ciężkiego do wody miotano. Obok odezwał się głos:

— Pogrzeb robią ruskim wojom.

— Chrześcijany przecie są; pogrześć by ich należało przystojnie — odparł drugi.

— Jakie zaś chrześcijany; wżdy ich dopiero nawracać mają. Kto by tyle ścierwa pogrzebł i kiedy? Ze trzy tysiące ich wyrzeżalim. A cuchną już, że za dzień, dwa nikt by nie wydzierzył w obozie. Popłyną se Teterewem i Dnieprem aż do Kijowa. Tam ich swojaki pogrześć mogą, kiedy wola, a nie, to ryby będą mieli tłusciejsze.

Mówiący zaśmiał się:

— Dobrze, że nie oni nam taki pogrzeb robią. A niewiela brakło. Tak bitwa stała jak ścięty chojar, co się gałęźmi o drugie oprze. Gdzie wiatr powieje, tam się zwali.

— Prawda! Ale gdyby nie Bolko, zwaliłby się na nas. Dziwnie zawzięty.

— Co dziwnego! Przez niego ta wojna i dla niego. A dla nas co za łup? Skrwawione szaty, połamana broń i parę koni kulawych; i to je przyboczniki zabiorą, choć ich najmniej legło. Jednym wszystko, drugim nic. Karmi ich Bolko jako psy, które poszczuje, na kogo zechce, choćby i na nas.

— Pewnikiem teraz na gród ruszylim.

— Chyba nie zaraz. Wojska zmęczone, a tarczowników i łuczników ni polowa nie ostała, i to mało który cały. Musim poczekać, póki nie dociągną ci, co z Izaławem idą. Ciekawość, gdzie mogą być.

— Wrychle się pewnie dowiemy. Podjazd przecie wyszedł ku nim jeszcze przed bitwą.

— Niechby już przyszli i kończyć nam tę wyprawę, a do dom wracać. Mówili, że król umyślnie z kraju

wywiódł, co mu niechętnie, bo czuł, że gotuje się coś. Nie martwi się też, że tyłu legło. Śpi.

— Spałbym i ja, żeby mnie ziąb nie obudził. Ale ninie ciepło, kleją się czleku oczy. Kto wie, czy rychło znów ruszyć nie przyjdzie.

— Juści! Z królem nic nie wiadomo. Nikogo nie pyta, ni w pokoju, ni na wojnie.

— Co mi ta o to. Byle łup godny był i do dom rychło wrócić. A jak śpią, tom taki dobry, jako i król.

Głosy umilkły. Doman leżał jeszcze chwilę rozmyślając, po czym włożył podsuszony szaty i skierował się ku obozowi. Brak mu było Nawoja, który w domu pozostał, bo stary skarbnik, Przybysław z Koniuszy, na Bożą rolę się przeniósł i po nim Nawój klucze otrzymał od skarbcza. Gdyby był tutaj, zwierzyłby mu Doman, co posłyszał. Tak jeno markocił się, że inni nie miłują króla jako on sam, nie myśląc, co mu z tego przyjdzie.

Przypieszył kroku, gdy zauważył poruszenie w obozie. Z dala już widać było jezdnych, których otaczali ciekawi. Podeszedłszy bliżej Doman zmiarkował, że jezdnych było więcej, niż wyruszyło na podjazd. Dojrzał i brodatych ludzi w ruskich strojach. Poselstwo od Izasława. Doman pobiegł do królewskiego namiotu.

Król spał jeszcze, lecz gdy Doman szarpać go zaczął, usiadł nie otwierając oczu i rękoma koło siebie szukał, jakby miecza. Doman zawołał:

— Zbudźcie się, miłościwy panie. Podjazd wrócił z poselstwem Izasława.

Bolesław zamrugał oczyma półprzytomnie. Potem wstrząsnął się i zapytał:

— Bitwa skończona?

— Jeszcze wczora. Wszewołod z konnymi uszedł, pieszych rozproszyliśmy.

Król odetchnął głęboko i rzekł jak do siebie:

— Nic nie pamiętam.

Usiłował powstać i Doman podtrzymał go, Bolesław uśmiechnął się gorzko i usiadł znowu.

— Ostałem — szepnął.

— Pewnikiem z głodu.

Podawał mu osuchy i zimne mięswo.

— Wraz wam ciepłej stawy przyniosę — dodał.

Król ręką machnął i jeść zaczął chciwie, nad czymś zamyślony. Potem zapytał:

— Gdzie mój koń? Obalił się? Zabity?

— Zdrow. Ale wypocząć musi jako i wy.

Bolesław wstał o własnej sile, przeciągnął się i rzekł:

— Wypławić się idę. Szaty niech mi pachol przyniesie i konia przywiedzie. Poselstwo niech czeka.

W głosie króla był gniew.

Jeszcze nim z Wołynia wyszedł, przybyło do Izasława tajne poselstwo od Wszewołoda. Obiecywał, że ustąpi Izasławowi Kijowa, byle nie szedł z Lachami. Izasław nie wierzył bratu, zresztą nie miał możliwości powstrzymać Bolesława. Umyślnie jednak opóźnił pochód, by przed spotkaniem przeciwników nie nadążyć. Korzystając, że Wszewołod musiał siły pościagać, bez walki zajął Wyszhorod i inne grody pomniejsze, gromadził zasoby i siły i oczekiwał rozstrzygnięcia bitwy. W Wyszhorodzie doszła go wieść o gotującym się spotkaniu nad Teterewem. Wszewołod zaklinał go na prochy rodziciela, by szedł z nim razem przeciw Lachom, na krzyż przysięgając, że z dobrej woli ustąpi i więcej się na starszego brata nie porwie.

Izasław, choćby chciał, nie mógł tego uczynić, bowiem dowódca idących z nim polskich oddziałów, Miłosław Doliwa, jawnie mu nie ufał i Izasław cierpieć musiał zuchwalstwo Polaka, który pomawiał go w oczy o dwulicowość. Życie, dwukrotne wygnanie i przebyte upokorzenia nauczyły jednak Izasława cierpliwości.

Gdy nad Teterewem wrzała już bitwa, Izasław dobiegł do Bielhorodu, zostawiwszy w Wyszhorodzie syna Jaropełka z załogą, która odcinała Kijów od połączenia z północnymi grodami. Po krótkich targach,

które książę sam przewlekał, by wyniku bitwy doczekać, Biełogrodzianie otworzyli mu bramy. W nocy już od zbiegów dowiedział się o klęsce Wszewołoda i jego ucieczce do Czernihowa, do Olega Świętosławica. Natychmiast poselstwo wyprawił do Kijowa z żądaniem poddania, sam zaś wyruszył z wojskiem naprzeciw Bolesława, wysyłając przodem jarła Czudyna, by pomiarkował, co król myśli, a jeśli gniewny — złagodził go i zaprosił jako gościa do Kijowa.

Czudyn znał króla z pobytów swych w Polsce i poprzedniej jego bytności w Kijowie. Wiedział też, że niełatwe przypadło mu teraz zadanie. Ale że niejedno już w życiu poselstwo odprawiał, a chytrą mu nie brakło, dobrej był myśli i gdy mu stanąć przyszło przed królem, żadnego zmieszania nie okazał po sobie, choć wraz pomiarkował, że Bolesław nie spieszy się do rozmowy i poselstwa nie wita radośnie.

Czudyn powagę miał w brodatym obliczu i dostojność w całej postaci odzianej w długą szatę, bogato zdobioną. Surowym wyrazem twarzy króla nie zdał się zmieszany. Trzykroć w pas się skłonił i czekał na zapytanie.

— Z czym cię Izasław przysłał?

— Z wieścią, że spieszy tu, dzięki wam złożyć za pomoc w objęciu dziedzictwa ojcowego. Sama sława waszego imienia sprawiła, że liczne grody na kolana padły przed prawowitym władcą, którego się wyrzekły jeno z bojaźni przed siłą i okrucieństwem Wszewołoda. Na bitwę ciągnęliśmy z zuchwalcem, ale oto z radością posłyszeliśmy, że niesprawiedliwego poraził już Pan waszym niezwyciężonym ramieniem. Tedy rzekł mi Izasław: „Jedź do brata mego Bolesława, króla polskiego; powiedz mu, że dążę naprzeciw, w gości go prosić do Kijowa, grodu mojego, do którego już posłałem, by bramy otworzył”.

Czudyn chciał mówić dalej, lecz król przerwał potok jego wymowy:

— Nie spieszno wam było do bitwy, nie spieszno mi do Izasławowej podziękii. Do Kijowa nie w gości,

jeno z wojskiem pociągnę. A dobędę go, sam postanowię, co dalej.

Czudyn nieznacznie pot otarł z czoła, bo popołudniowe słońce prażyło jeszcze mocno, i odparł:

— Zrobicie, miłościwy panie, jak woła wasza. Ale czy nie żał krwi przelewać, gdy ten, co był przyczyną jej rozlewu, ukorzył się już i ani chybi, Kijanie gród zdadzą Izasławowi? Jak brata gościć was będzie, dań wiernie płacić i co przyrzekł, święcie dotrzyma. Wždy lepszy mir niż wojna. Nie słodszyż miód od krwi?!

Naprzód zmarszczka gniewu, a potem drwiący uśmiech zjawił się na twarzy króla, gdy odpowiadał:

— Panu twemu do miodu spieszno, krew mnie ostawii. Nie dlatego tu szedł, by mi Kijanie radzi byli, i nie dlatego Izasław Ojca Świętego o wstawiennictwo u mnie prosił. Naszej krwi jam podczaszy, a Kijanie sami niech pomyślą o własnej.

W otoczeniu Bolesława zaczęły się prześmiechy i potakiwania, a tu i ówdzie rozległy się drwiące lub nawet groźne okrzyki przeciw Izasławowi. Czudyn poznał, że król nie da się okpić. By choć z pozorami się wycofać, rzekł:

— Niegodzien jestem uradzać z wami, co czynić należy. Myślę, że z panem moim łąnie się domówicie, jako krewniacy i sprzymierzeńcy, O jedno prosić was jeno chciałem: byście jak równy równemu, wielkiemu kniaziowi, gdy nadciągnie, naprzeciw wyjechać raczyli i pocałunek dali, jak brat bratu. Niech widzą wszyscy, że jedność i zgoda między potężnymi władcami jedność i zgodę w kraju poręcza, a nikt przeciw nim nie waży się wystąpić.

Widząc gniewną zmarszczkę na czole króla, Czudyn dodał prędko:

— Jak zaś wysoko pan mój przyjaźń i braterstwo z wami ceni, niech poręką będzie, że za każdy krok konia, który mu naprzeciw uczynicie, grzywnę złota wam ofiaruje.

Pomruk znowu rozległ się w otoczeniu: dziwili się

ienie niezwyklej. Zdumieli się jeszcze bardziej, gdy
sról wstając rzekł:

— Powiedz swemu panu, że naprzeciw niego wy-
jadą i należną cześć mu wyrządę.

Odwrócił się i odszedł w kierunku namiotu. Czuy-
n zatarł ręce nieznacznie. Powitanie Izasława jak
równego, wobec obu wojsk, dawało mu silną rękę
w dalszym przebiegu spraw. Rad z siebie, Czudyn
konia doskoczył i na czele towarzyszy ruszył z po-
wrotem.

Gwar i podniecenie zapanowały w obozie. Bolesław
zasał szyki sprawić jak do bitwy. Na gwałt czysz-
:zono konie, broń i szaty, gwarząc zawzięcie. Dzi-
wiono się, że król chciwości pozwolił przemóc dumę
. gniew, jak wielkiego i zaprzyjaźnionego monarchę
obietując witać Izasława. Nieliczni jeno, którzy wi-
Izili zły uśmiech na twarzy królewskiej, a znali go
epiej, przypuszczali, że Bolesław gotuje powitanie,
ctóre miłym Izasławowi nie będzie. W głowę zachoz-
Izili jednak — jakie. Król nic nie dawał poznać po
sobie. Klacz kazał sprowadzić i gładząc ją pieszczotli-
wie, oglądał od grzywy do pęcín, czy nie poniosła
szwanku jakiego, a ona rżała radośnie, usiłując trącić
pana pyskiem. Na jej białej jak mleko sierści widne
jły ciemniejsze plamy, ślady krwi, które zmyć się
lie dały. Król przytulił twarz do szyi klaczy, gład-
kiej jak policzek kobiety, i szepnął:

— Dobrze, że to nie nasza krew. Jeszcze nie takie
ujrzysz zwycięstwa.

Gdy nadbiegł goniec z oznajmieniem, że widać już
nadciągające wojska Izasława, polecił ubrać klacz
w purpurowy kropież, hufcom zstąpić ze wzgórze
i uszykować się na równinie, sam zaś udał się do na-
miotu i przybierał jak do boju, słuchając gwaru wła-
snych oddziałów i odległych jeszcze, lecz zbliżających
nię okrzyków, wydawanych przez nadciągające z Iza-
sławem wojska. Wyszedł jednak dopiero, gdy nad-
aiegl Doman z wiadomością, że obydwa wojska stoją
już w sprawie i ruski ksiązę czeka na powitanie. BO-

lesław dosiadł podanego mu konia i wraz z oczekującą starszyzną zjechał ze wzgórza, widny z dala w promieniach zachodzącego słońca.

Ujrzano go snadź i w ruskich szeregach, gdyż od ściany zbrojnych mężów oderwało się kilku konnych, kłusem zdążając naprzeciw króla. Bolesław odwrócił się do swoich i rzekł ze złym uśmiechem:

— Izasław grzywien chce oszczędzić. Nie ma do czego się spieszyć. Ja kroków końskich nie liczę.

Ruski książę podjechał na cisawym ogierze, który lśnił w słońcu jak zioty. Złotem też świeciła szata, w którą Izasław był przybrany i przybraną radością świeciła jego brodata twarz. Gdy konie zeszły się bokami, ręce wyciągnął do króla z wylaniem.

Królowi jeno oczy błysnęły. Ręką sięgnął i uchwycwszy szpakowatą brodę Izasława targał nim w kółko, mówiąc tak, aby wszyscy słyszeli:

— Oto zaiste jest mąż godzien naszej czci.

Izasławowi kołpak spadł z głowy, sam zaś omal nie spadł z konia. Bolesław objął go potężnym ramieniem i śmiejąc się pocałował. Izasław siedział nieruchomo, ogłupiały. Bolesław zaś dodał:

— Pocałunek wam dałem jako przyrzekłem, grzywny swoje schować możecie. I myślę, że wam więcej na myśl nie przyjdzie przeciwko mnie knować ani byście mi równym być mieli. A teraz pojedziem do obozu. Jutro do Kijowa ruszamy.

Zawrócił konia, a Izasław ruszył za nim, jeszcze myśli nie mogąc pozbierać. W głębokim milczeniu jechali przez szeregi wojsk. Zdumienie odebrało głos Polakom, a wzburzenie — Rusinom.

Starszyzna ruszyła za nimi.

Mirosław Łabędź trącił po chwili Dzierżykraj Szaszora z Popina i szepnął:

— Drogo sobie król wrogów kupuje.

Dzierżykraj ramionami wzruszył i odparł:

— Nie potrzebuje kupować.

—

—

—

XVI KNOWANIA

Dla wszystkich, którym stary porządek nie był na rękę, koronacja stała się hasłem, że nadszedł czas, by się, umocnieniu władzy Bolesława przeciwstawić; wyjazd jego stwarzał po temu sposobność.

Wbrew doradzie Nawoja król zabrał z sobą znaczną liczbę wielmożów i rycerstwa z rodów mu niechętnych, co jednak doprowadziło tylko do przyspieszenia rozwoju wypadków w kraju, zachwiać mogło powodzeniem wyprawy, a w razie jej niepowodzenia samą osobę króla wystawić na niebezpieczeństwo.

Nawój nie potrzebował nawet doniesień Przebimiła, by pomiarkować, że siły przeciwne królowi dźwigają się, kupią i wyraźnie już przygotowują rozgrywkę, czekając sposobnej chwili. Nikomu też tajnym nie było, że na ich czele stoi biskup Stanisław. Ku niemu, zwracały się oczy wszystkich przeciwników królewskich, jawnie już niemal uradzających nad żądania, jakie zamierzali wobec króla wysunąć. Biskup tylko miał śmiałość przeciwstawić się władcy będącemu u szczytu potęgi; świętopietrza, które w miejsce dawnego trybutu Bolesław zobowiązał się na dziesięcinę zamienić w zamian za zezwolenie na koronację, biskup ściągać zakazał, zaś Bogumiłowi wprost odmówił posłuszeństwa, nie stawił się na synod przezeń zwołany i nakłonił do niestawiennictwa również wrocławskiego biskupa, oświadczając, że krakowska metropolia wraz z wrocławską diecezją stanowi pro-

wincję W Kościele zarysował* się wyrallie rozdwojenie, a Nawój, na którym w rzeczywistości spoczęła troska o sprawy w Krakowie, głowił się, jak rozwój wypadków zahamować przynajmniej do powrotu króla. Zaczynało być gorąco.

Nawojowi zaciężyla odpowiedzialność, której nie miał z kim podzielić. Toteż po powrocie z kilkudniowego wyjazdu, choć zazwyczaj unikał spotkania z królową, nie ociągał się, gdy wieczorem Wyszestawa wezwała go do siebie. Rad był choć pomówić o sprawach z kimś, czyjej życzliwości dla króla mógł zaufać. Chwilę stał pod drzwiami komnaty królowej, czekając, aż uciszy się niespokojnie bijące serce; zły był na siebie, że opanować go nie umie. Twarz wykrzywił uśmiechem, zapukał i wszedł na wezwanie.

Królowa siedziała sama; krosienka, na których ornat wyszywała perłami i złotem, leżały obok niej na ławie; smutną i zamyśloną twarz zwróciła ku wchodzącemu. Wskazała miejsce naprzeciw siebie. Nawój usiadł nie patrząc na królową. Zaczęła jakby z pewnym zakłopotaniem:

— Wybaczcie, że was trudzę; wiem, że trosk i tak wam nie brak. Chciałam się jeno wieściami z Rusi podzielić. Może wam zdadzą się na co.

— O bitwie nad Teterewem były już wiadomości. Wielkie i stanowcze odniósł król zwycięstwo.

— Wielkie zwycięstwo — szepnęła królowa — jeno drogo zapłacone. Szemrzą ci, co synów i braci potracili, że król ich lekkomyślnie, jeśli nie rozmyślnie wygubił, by w kraju siły przeciwne osłabić. A słyszeliśmy przecie, że siebie najmniej szczędził... jako zwykle. Boli taka niesprawiedliwość.

— Tym się nie trąpcie. Z męskiej piersi nie można żądać mleka, jeno krwi, i tę winniśmy panu.

— Nie tym się jeno trąpię. Król dobył Kijowa. Nie trwonil krwi polskiej ni ruskiej, która gdzie indziej może być potrzebna. Miasto otoczył, od żywności odciął, że poddało się bez krwi rozlewu. Jako Kijanom obiecał, surowo swawoli i łupienia wojom zakazał: że

na nic zdobycze orężne, jeśli idzie za nimi niesprawiedliwość. Nie posłuchnęli!

Królowa westchnęła. Nawój łatwo domyślił się, jakie były skutki nieposłuszeństwa, ale wtrącił lekko:

— Zawsze się na wojnie zdarza, że wojaki swawolą. Wystarczy jednego czy drugiego ukarać dla przykładu, a reszta do posłuszeństwa wróci.

— Tak zwykle bywa — rzekła jakby do siebie — ale nie zawsze. Pan nasz w gniewie srogi jest i na nic niebaczny; a może i nie wie, co się tu dzieje. Tam wojsko niepewne, tu wielmoże i duchowieństwo. A ja bezsilna jestem. Nawet doradzić panu nie mogę, jako wiecie. Dlatego was wezwałam.

Zarumieniła się, upokorzona, i spuściła oczy. Nawój, by myśli jej na co innego skierować, zapytał:

— Wieści o Kijowie od kogo macie?

— Wam mogę rzec — odparła nie podnosząc wzroku. — Wy mnie nie zdradzicie. Brat Oleg siał do mnie, którego z Wszewłodem w Czernihowie bawi. Prosi, bym się za nim wstawiła u męża. A wždy wiecie, co ja mogę! Jeszcze by mniemał, że się z wrogami znoszę, i wygnać gotowy.

Oczy królowej napelniły się łzami. Nawój zęby zacisnął. Wahał się przez chwilę:

— Wybaczcie, pani, otwartość. Pono źle się stało, żeśmy ukrywali przyczynę ucieczki Krystyny, Na wasz karb poszła.

Królowa skinęła głową milcząco, powiekami tłumiąc łzy. Gdy pewna już była, że głos się jej nie zalamie, odparła:

— Bałam się, że król coś straszego uczyni, gdy się dowie, kto mu zawinił.

Nawój z niezwykłym u niego podnieceniem zaczął:

— Wiem o tym. Ale biskup ninie jawnie prze do walki z królem. Kto wie, czy nie lepiej było, by się zaczęła, nim król na Ruś wyruszył. Co ma się stać, i tak się stanie. Nie ustąpi żaden z nich. Poświęciliście się na darmo.

— Wiem, że na darmo. Wszystko na darmo. I mi-

łość moja, i troska. I jeszcze przecucie mnie dręczy, że i miłość moja do syna też na darmo. Całe życie na darmo.

Przygryzła knykię, by nie wybuchnąć łkaniem. Ręce Nawo ja mimo woli wyciągnęły się do jej ręki, lecz pohamował się i wstał.

— Bądźcie dobrej myśli. Drużyny król pewny być może, a w kraju za nim stoi część duchowieństwa z Bogumiłem i wielmożów z Michałem na czele. Może być ciężko, nie może być źle. W ostatku lud stanie za nami. Dojedli mu wielmoże. I nawet nie myślę, by się na jawne nieposłuszeństwo lub przemoc porwali. A potem król wróci i sprawy uładzi. Nie wagą imienia, to wagą miecza.

— Boję się tego — szpnęła królowa. — A mówicie, że na jawne nieposłuszeństwo się nie*ważą?! Wždy już się ważą. Gosław Lis za Stanisławowym pozwoleniem Bietkę odebrał.

Nawój zerwał się jak oparzony.

— Kiedy? — zakrzyknął.

— Wczoraj. Sama byłam z przedstawieniem, że przecie król na związek zezwolił, a Gosław córę wydał. Jeszcze mnie biskup złażał. „Nie król, jeno Kościół w sprawach małżeńskich stanowi — rzece — a Gosława podstępem i przemocą zmuszono, by córę oddał. Za swoim się małżeństwem ujmujecie, w którym obyczaj i prawo są sponiewierane, a nie za nierządnyimi związkami”.

Nawój opanował się już, lecz ponure zmarszczki wystąpiły mu na drwiącą zazwyczaj twarz. Powiedział spokojnie:

— Tedy widzę, że szybko działać trzeba. Gosław się uzuchwalił, że mu syny wróciły, bo król przy koronacji wszystkim winy darował. Do wojewody Michała mi jechać, uradzić, co poczynać.

— Nie jedźcie! — niemal krzyknęła królowa. — Jeszcze gdy wy tu jesteście, pewniejsza się czuję. Gdy wyjeżdżacie, jakobym we wrogim kraju siedziała. Za nim wróćcie, kto wie, co zająć może.

Nawój stał z opuszczonymi oczyma. Odetchnął głęboko i rzekł:

— Tedy samemu działać przyjdzie. Ciężko jest coś postanowić, ale wezmę to na siebie,— Dziękuję wam. Zawždy ufałam waszemu przywiązaniu do pana. To jedno chociaż mnie nie zawiodło,

Rękę wyciągnęła do niego, którą on ucałował i wyszedł szybko.

Stanisław przyjechał do Tyńca z wizytacji pasterskiej wzburzony do głębi. Niemal u wszystkich kapelanów przy kościołach fundowanych przez wielmożów, którzy stali po stronie króla, spotkał się z odmową prokuracji i wypłaty dziesięcin z dochodów płynących ze sprawowania duchownych czynności, mimo że sprawowano je jedynie za zezwoleniem biskupa i w jego imieniu. I dawniej zdarzało się, że ten i ów 2 duchownych płacenia odmówił, czy to z chciwości, czy z powodu zakazu swego pana, który nie kochał biskupa, ale nie zdarzyło się, by ktokolwiek odmówił stawienia się na sąd synodalny lub mimo zakazu wazył się nadal urząd swój sprawować. Ninie rozpozszecniło się to tak, że jawnie zmowa jakowaś nastąpiła. Co więcej, obłożeni klątwą odwoływali się do Bogumiła i nadal pełnili duszpasterstwo, a lud korzystał z ich posług duchownych, za nic sobie mając biskupa, widocznie mu niechętny.

Przebrała się Stanisławowi miarka, gdy Jan Strze mię z Brzeźnicy nie dopuścił wcale do wizytacji swego kościoła i na urągowisko wyгнаł biskupa ze swego dworu, tak że w listopadową noc Stanisław na łące zmuszony był nocować. Przerwał wizytację i rozsławszy posłańców do przychylnych sobie duchownych i świeckich dostojników, by stawili się do Tyńca, sam ściągnął też do tynieckiego klasztoru. Gdy opat Scescus witał go uroczyście, z goryczą rzucił:

— Może i wy mnie wygnacie?! Wszak a r c y b i-

skup Bogumił klasztor wasz spod mojej jurysdykcji zwolnił!

Scescus zaprzeczył gorąco, zapewniając, że nawet przywilejów przyjąć nie chce od arcybiskupa, który paliusz otrzymał od samozwańczego przywłaszczyciela Piotrowej Stolicy. Stanisław rozjaśnił oblicze, lecz przeciął dalsze zwierzenia, mówiąc, że i o tej sprawie chce się z zaufanymi ludźmi naradzić, na których przyjazd oczekuje.

Gdy zwolani zebrali się w obszernym refektarzu klasztornym, biskup wezwał opata, by do wiadomości obecnych podał stan sprawy między Henrykiem a Hildebrandem. Jak bowiem mówił, może to na postanowieniu ich o dalszych poczynaniach w kraju zażyć.

— Nie nam sądzić — rozpoczął Scescus — o największych sprawach Kościoła, lecz każdy w sumieniu swym zaniepokojony być musi, gdy gorszące wypadki wprowadzają schizmę i zamieszanie szerzą wszelkich praw ludzkiej społeczności; gdy laicy dysputują *de sacris mysteriis*¹, gdy nikt pewny być nie może, czy pasterz jego, od najwyższego począwszy, do zbawienia go wiedzie, czy służyć każe jeno własnej pysze i korzyści, my, z dala i na uboczu siedząc, mniej niż inni mamy możności osądzić, kto praw w tym sporze, który potrząsa całym chrześcijaństwem, dwie najwyższe, od samego Boga ustanowione władze w wątpliwość podając. Dlatego drogę wskazać nam winno zdanie większości mężów sprawujących rządy w Kościele. Na synodach w Wormacji i Piacency biskupi niemieccy i longobardzcy, stanowiący większość Kościoła, wybór Hildebranda uznali za nieważny, jego zaś samego jako samozwańca wyklęli. Rozważmyż tedy, czy naszych niewielu pasterzy, uznając jego wybór, zamieszania nie powiększy, którego by można uniknąć, jeśli mniejszość przyłączy się do większości. Wyśłuchajmyż tedy, co komu mówi sumienie, a rozum

¹ *de sacris mysteriis* — o świętych tajemnicach

potwierdza, po czym wspólnie postanowimy, jak jedność Kościoła utrzymać.

Zebrani milczeli. Mało się znali na poruszonych sprawach, a nikt wyrwać się nie chciał ze zdaniem, zanim innych nie usłyszy. Wolkmar uśmiechał się drwiąco, lecz gdy Stanisław zwrócił się wprost do niego, jako męża w prawie i piśmie uczonego, powagę przybrał na twarz i zaczął:

— Rozpatrzyć nam wypadnie, czy słusznie wykleto Hildebranda i wybór jego za nieważny uznano. Bo choć nie nasza to rzecz, niemniej i nieobojętna dla nas. Przez samosłańca bowiem ustanowiony arcybiskup sam jest samosłańcem, któremu posłuszeństwa odmówić należy. A jeśli jemu posłuszeństwa odmówiony, tedy zastanowić się wypadnie, kogo uważać mamy za głowę polskiego Kościoła, tym bardziej gdy Piotrowa Stolica nie obsadzona i obawiać się można, że i u nas powstanie rozdwojenie, które zgorszeniu daje początek, jako już byliśmy świadkami.

— Dalekie to sprawy i obce dla nas — przerwał Sieciech. — Wierzmy wam, że co w sprawach Kościoła postanowicie, dobre będzie. Uradzajmyż tedy nad tym, co nas samych dotyczy. Jedno niech mi powiedzieć będzie wolno: nie ruszajmy Pietrkowego pierwszeństwa; z dawna ludzie do niego nawykli, a stary jest i mieszał się w wasze sprawy nie będzie. Zrobicie i tak, co wam się zda. Między sobą jesteśmy, szczerze mówić możemy. Rozdwojenie wyście wprowadzili, celibat odrzucając i zakazując ściągania świętopietrza. Juści niegłupim, bym nie widział, że jednym kler kupujecie, a drugim lud. Ale pytam, co zamierzacie uczynić dla nas, byśmy nie byli książęcymi włodarzami na tych ziemiach, którymi przodkowie nasi niegdyś sami władali? Chcecie naszego poparcia, pytam: co dajecie? Myślę, żeśmy się tu po to zjechali.

Wolkmar zbierał się, by odpowiedzieć, lecz wstał biskup. Widać było, że hamuje oburzenie, ale gdy zaczął mówić, podnosił głos:

— Gdy Bóg nas sternikami łodzi uczynił, którą pro-

wadzić mamy ku światłu i prawdzie; nie będziemy o korzyściach swych uradzać. Mówicie, żeśmy kler kupili, celibatu nie wprowadzając?! A ja wam rzeke, że zwolennicy celibatu są obłudnikami. Nie widzieliśmy to, jak król, co drugim w bezceństwie żyć każe, nie zawahał się cudzej żony uwodzić ni oddawać sprośnościom, którym właśnie święty Paweł chciał zapobiec przez dopuszczenie małżeństwa? Gwałt zadając ludzkiej naturze, sam puszcza wodze porubstwu i wszeteczeństwu. Sam wyuzdany, od drugich żąda, by żyli jako aniołowie. Kto się powołanym czuje, w klasztorze przed pokusami ciała schronić się może.

Sieciech uśmiechnął się pod bujnym wąsem, spoglądał porozumiewawczo na Wolkmara, mówiąc:

— Wybaczcie! Nie chciałem was urazić, jeno rzeo, że kler stoi za wami.

— Bo czuje, że ja sam tylko słusności bronić się waże, jako i z świętopietrzem. Lud, jakby nie dość uciśniony innymi daninami, płacić ma za to, że pyszałek koroną głowę ozdobił!

— Juści! — przytaknął Sieciech. — Ale każdy mile widzi, gdy płacić nie musi i rad takowych zakazów słucha. Słyszałem ja, że i Hildebrand takim sposobem Henrykowi zasoby odciął, że lichwiarzom longobardz- . kim, którzy trzymali z cesarzem, długów zwracać i lichwy płacić zakazał. — Sieciech zaśmiał się dodając: — Jeno że niebezpieczna to broń i zda mi się, że i z drugiej strony jej użyto, bo jako słyszałem i wam *iura stolae* i prokuracja znacznie mniej niosą, odkąd Nawój został skarbnikiem.

Mimo przyrzeczenia danego królowej Nawój wahał się, co czynić. Wrzenie wśród ludu nietrudno w burzę rozpętać przeciw wielmożom. Wiadomo, jak się znacznie, nie wiadomo, jak skończy. Lud, raz wyszedłszy z posłuszeństwa, niełatwo doń wróci ni przebierał nie będzie między tymi, co z królem trzymają, a tymi, co

są mu przeciwni. Nawój aż wysechł od rozmyślań i zgrzyzoty. Obecność króla stawała się palącą koniecznością. Tymczasem lato skończyło się, nadeszła wczesna i dżdżysta jesień, która rozmyła drogi, tak że nawet przesyłanie wieści stało się trudne, a widoczne już było, że król nie wróci przed wiosną.

Nawój z dnia na dzień odwlekał postanowienie. Na grodzie cisza była, bo i biskup z dworem wyjechał. Nawój oczekiwał powrotu Przebimiła, by wieści zasięgnąć. Wiatry niosące dżdże jesienne nacichły; szare niebo wisiało nad grodem, a nocami przymrozki ścinać zaczynały rozkisłą ziemię.

By królowej zejść z oczu, Nawój przeniósł się do dworku nad Wisłą, gdzie przedtem mieszkała Krysztyna z Bietką. Jeśli go sprawy na gród nie wzywały, krótki dzień spędzał na koniu, a wieczorami samotnie krążył po opustoszałych izbach, gdzie dawniej gnieździło się szczęście cudze. Teraz pozostała pustka. Jeno czarne ptactwo ciągnęło już z lasów przed nadchodzącą zimą i wieczorami sadowiło się na okolicznych drzewach, a na podstryszu, nie płoszone przez nikogo, zadomowiły się sowy, hukając wieczorami do wtóru ponurym myśłom Nawoja; jedyny to był głos, jaki przerywał głuchą ciszę jesiennych wieczorów.

Aż raz przerwało ją ostrożne pukanie. Nawojowi zdało się, że go słuch mami. Gdy jednak powtórzyło się, wstał niechętnie od komina, przed którym siedział patrząc w płomienie, i przez drzwi zapytał:

— Kto?

— Ja! — odparł z dworu głos.

Nawój poznał Przebimiła. Otworzył i rzekł gniewnie:

— Toć mówiłem ci, byś gdzie indziej jak nad Rudawe nie przychodził. Pacholek cię poznać może.

— Spi pewnie— odparł Przebimił lekko. — Zresztą posłuchajcie, nim się zagniewacie. Z Tyńca wracam. Wielkie narady tam się odbywają.

— Tedy właśnie wyjechać musiałeś, nim wiedzieć ' będziem, nad czym radzą.

— Posłuchajcie, nim się zagniewacie — powtórzył. — I tak wiedzieć będziem.

— Jakim sposobem?

— Otarda tam ostawiłem.

Widząc zdziwione i niechętne spojrzenie Nawoja, dodał:

Na swoje miejsce.

— Jak to?

Rzuciłem tamtą służbę.

— Twarz Nawoja zmarszczył gniew, lecz **Przebimił** po raz trzeci powiedział:

— Posłuchajcie, nim się zagniewacie.

Nawój usiadł i rzekł spokojnie:

— Gadaj rządnie. Potem ja ci powiem, co myślę.

Przebimił głową skinął, lecz wcale nie zdał się zmieszany, gdy zaczął:

— Z dawnaście mi przyrzekli, że mnie weźmiecie z tej służby. Zresztą z takim gadem jak Wolkmar za długo trwała gra.

— Moja rzecz — mruknął Nawój zimno. — **Teraz**, gdyż najpotrzebniejszy, uciekłeś. Strach cię **obleciał**?

Przebimił zarumienił się, lecz odparł żywo:

— Wolkmara bać się można, ale nie dlategoin go rzucił. Jenó, jak ninte wyszło, wie o tym, żein przez was nasłany. Z dawna to podejrzewałem; ostatnio miarkowałem, że mi piasek w oczy sypie, wieści podrzucając, które pokazały się nieprawdziwe. A wczoraj przekonałem się, że iście wiedzieć musi. Tedyin wodę zamącił za sobą i zwiąłem, Otarda na swoje miejsce zostawiając.

— Nie prosiłem cię o to. Zresztą, jako rzekłem, później wysłuchasz, co ci powiem. Teraz gadaj!

— Tedy inie przerywajcie.

Przebimił opowiedział, co wiadome mu było o naradach w Tyńcu.

Nawój mimo woli uśmiechnął się, gdy Przebimił słowa Sieciecha powtórzył, lecz zaraz spowaźniał i zapytał:

— Co uradzili?

— Póki króla nie ma, nowości swoje choćby siłą wprowadzić; gdy wróci, zmusić go, by je zatwierdził, a nie, to Włodzisławowi rządu ofiarować. Z nim łatwiejsza będzie sprawa.

Nawój siedział głęboko zadumany, po czym rzekł jak do siebie:

— Króla nie czas zawiadamiać, trzeba działać samemu. A teraz do ciebie: czemuś służbę rzucił ninie, gdy każde słowo ważne być może?

— Otarda ostawiłem, jako rzekłem. Od niego wiem to wszystko, bo juści mnie na radą nie prosili. I wszystko przyrzekł donosić, a więcej wymiarkuje niż ja, gdyż Wolkmar wie, zem od was był nasłany.

— Skąd wie on i skąd ty wiesz o tym?

— Spilem Otarda jak wieprza. Sam zaczął opowiadać to, co wam mówię. A potem rzecze: „donieś, komu naieży, a sam uchodź, pókiś cały. Nic to dla Wolkmara zgładzić człeka”. I opowiedział mi o piotra wińskim cudzie; wiernie jak było. Potem płakać jął i kłać Wolkmara: „Wiem — mówi — że i ja poty jeno życia pewny, pókim potrzebny. Nie daruje mi Wolkmar, że wiem o nim więcej, niżby chciał. Na łazęgę mi znowu iść, na poniewierką! Odwykłem. Powiedz Nawojowi, że służyć mu będę, jeno niech się wstawi za mną u króla, a Wolkmara niech zgładzi”. I kłać zaczął tak strasznie, aż mnie ciarki przeszły, chocim nie płochliwy: „To Antychryst, w ciemności tylko, siedzi i zielonymi oczyma świeci, z szatanem gadtjjjjj/ Biskupa opętał, do zguby wszystkich wiedzie: i jego, i króla, i ciebie, i mnie!” Znowu płakał i rzygał, wiecem go ostawił, póki nie wytrzeźwieje. Na drugi dzień rzekłem mu, że rzucam służbę i wyjeżdżam. Powiedział jeno: „Pomnij, com ci mówił”. Widno, prawda była.

— A Wolkmarowi rzekłeś co, czyś bez pożegnania wyjechał?

— Powiedziałem, że służbę rzucam, bo rni już niepotrzebna, a żenić się zamierzam, ziemię kupić i na niej osiąść.

— Po cóżeś tak mówił? Przecie pomiarkuje, że nieprawda.

— Nie ma co miarkować, bo prawda.

Nawój spojrział ze zdziwieniem, a Przebimił ciągnął:

— Nie żlijcie się; Wolkmara pilnowałem, póki mogłem. Ale z dawna sobie umyśliłem swój ród założyć, kiedy się mój mnie wyrzekł. Czas zacząć szukać pomsty za rodzica.

— Co ci po tym? — rzekł Nawój jakiś zadumany. — Ja takż z myślą o pomście nad ojczy mem i przyrodnimi służyć królowi zacząłem. A teraz ani mi to w myśli. Ojczym pomarł, mać takż, przyrodni na moim siedzą; niech im służy. Nawet może bym ich odwiedził, ale czasu brak. Większe ja rzeczy mam na głowie.

— Bo wzięlibyście niewiastę, jako ja. Każdą by za was dali.

— Ale żadna by mnie nie chciała. Ostaw!

Przebimił patrzył na Nawoja jakby ze współczuciem, potem zaczął:

— Czy przez to, że gębę macie szpetną? Wždy moja szpetniejsza. Ale w sobie jestem krzepki i urodny; dziewczkę też sobie zmówiłem, co na gębie dziobata, ale krągła i twarda jako rzepa, a ciało ma gładkie niczym rzemień. Na dzieciach ni dziobów, ni wilczych klów znać nie będzie. Jużeśmy uradzili, że dwunastu synów spłodzimy. Myślę, że mi od króla ujazd¹ uzyskacie, a na zagospodarowanie nazbierałem dość.

— Teraz mnie chcesz rzucić, gdy mi każdy człek potrzebny?

— Nigdy was nie rzucę. Nie mój obyczaj zapominać, com komu dłużeń. Jeno weselisko sprawię, stawię się wam, gdzie każecie. Was bym na nie prosił... — Patrzył pytająco i z prośbą na Nawoja.

— Nie będę mógł, choć rad bym. Wolkmar niech się domyśla, ale nie może mieć pewności, żeś był nastłany. Niechże dalej jej nie ma. Jeśli jeno Otard nie

¹ u j a z d — obszar nie zaludniony

zdradzi, bo nie ufam mu. Gdzieś mu wieści ostawiać kazał?

— Tam, gdzie ja nosiłem.

— Dobrze! Kiedy chcesz jechać i dokąd?

— Do kmiecia Malisza pod Mstowem, ojca **Ludmi-
ly**, bo tak dziewczkę wołają.

— Tedy niezbyt z drogi ci będzie. Za Wieluniem, koło Brzeźnicy, dopytasz się o opole Jedlna i tam najdziesz starostę Chrapa. Powiesz mu jeno, że czas. By zaś wiedział, czego się trzymać, tedy ci rzekę: musimy biskupowi i wielmożom kłodę rzucić pod nogi, by swego przemoc nie zdołali, zanim król wróci. Niech ; się kmiecie o swoje upomną, co im odjęto. Niech opór stawią nowościom, a duchownych, co z posłuszeństwa Bogumiłowi wyszli, przepędzą. Niech wyroków wedle ^ nowego prawa wydanych nie słuchają. Niech przemocą odpowiadają na siłę. Zrozumiałeś?

— Juści! Ale mał powstanie.

— Trudno. Wróci król, to sprawy uładzi. — Nawój namyślał się przez chwilę i dodał:

— Potem nad Bzurę pojedziesz. Opodal Wyszogrodu jest gródek Gosława Lisa. Nie wie on, że mnie służysz. Powiedz, że od Stanisława jedziesz do Płocka. Zresztą załgasz, jako wydolisz, byle zaufanie zyskać i dowiedzieć się, gdzie Bietkę Domanową ukrył. Bystry jesteś i obrotny, sprawisz się, to cię wynagrodzę.

Przebimił jeno głową skinał, a Nawój ciągnął:

— Potem zasię do wojewody Michała pojedziesz do Poznania i rzekniesz mu...

Przerwał z uśmiechem

— Prawda! Zabyłem, że dwunastu synów na ciebie czeka, a ja tobą rządę, jakbyś nic nie miał do roboty.

— Nie bójcie się — odparł Przebimił — Jużem za-
dbał o to

XVII. NA PŁOCKIM DWORZE

Zima nadeszła wczesna, ale zmienna i niestała. To mróz ścisnął ziemię, to zlewały ją deszcze, gołoledzią okrywając drogi, że ludzie ni konie na nogach utrzymać się nie mogli. Nie zdołała jednak skuć lodem rzek wezbranych od opadów, toteż Sieciech, dotarwszy po przydługiej podróży do Wyszogrodu, za namową Fulki ostawił konie u krewniaka, a z kilkoma jeno ludźmi wodą do niedalekiego Płocka postanowił się udać.

Wyruszyli o szarym brzasku. Wezbrana fala niosła łodzie, a że ziąb szedł od niej, wiosłowali gorliwie i o zmroku dostrzegli przebijające się przez mgłę światła na wyniosłym prawym brzegu Wisły.

— Płock! — rzekł Fulko. — Czas się rozgrzać, bom zdrętwiał do szpiku. Czy aby jeno księcia zastaniemy, bo gród buduje na kujawskim brzegu o dzień drogi poniżej.

— Nie zastaniemy, to obędziemy się bez niego — odparł Sieciech obojętnie. — Tymczasem się z Wójśławem rozmówimy i zawiadomić każem mazowieckich komesów.

— Czy nie lepiej naprzód z Włodzisławem się rozmówić? A nuż aiie zechce? Jako ognia brata się boi. Trwożliwy jest.

— Ma wóz albo przewóz. Albo go zmięciami razem z Bolkiem, albo na jego miejscu posadzim. Taki, jak jest, dobry będzie; potrzebny nam jeno **dlatego, że**

Wratysław córę chce za niego dać, a za mnie by nie dat. — Sieciech zaśmiał się cicho.

— Jakoże? Wždy niewiastę ma; samiśmy mu Prawdzcównę naraili i syna z nią spłodził.

— To i cóże?! Potrzebna była, by go przez nią osiodłać; ninie Judyta potrzebniejsza, bo przez nią zyskamy przyjaźń i poparcie Czechów.

— A ze Zbygniewą co będzie?

— Nie! — odparł Sieciech niecierpliwie. — Rodzicowi się ją do Radzanowa odeśle; Włodzisław niedaleko ma z Płocka, będzie mógł jeździć do niej, jako Bolesław do Krystyny.

— Będzie się duchowieństwo krzywić i Prawdżice wrogami ostaną.

— Nie oni jedni. A przewedziemy swoje, prawo takie będzie, jak Stanisław głosi, że małżeństwo nieważne, jeśli małżonkowie nierównego stanu.

Fulko głową kiwał, lecz rozmowa się urwała, bo łodzie zachrobotaly dziobami o żwir przybrzeżny, a strażnicy biegli popatrzeć, kto przyjechał. Od nich dowiedzieli się przybyli, że księcia nie ma na grodzie, ale już posłano po niego, bo przyszło poselstwo od cesarza w osobie opata Henryka i pilnie widzieć się z nim żada.

Sieciech bynajmniej nie zdał się zdziwiony wiadomością i kazał wieść się na gród oraz o swym przybyciu Wojsława powiadomić. Szli w milczeniu, bo droga stroma była, a wstający mroźny wiatr ze wschodu szum czynił i oddech zatykał w piersiach. Opowiedzieli się strażom na wałach i wszedłszy do dworca, w obszernej świetlicy czekali na nadejście Wojsława.

Wojsław nadszedł wkrótce. Człek był już w sile wieku, lecz krzepki, szeroki w barach i przysadzisty, z kędzierzawą, rudą czupryną barwy brzozowego lasu w jesieni i jak on przetykaną białymi nitkami. Głowa rodu Powałów-Ogończyków, krewniak wrocławskiego biskupa, spowinowacony z wielu możnymi rodami w królestwie, wsławiony za młodu w walkach z Pru-

sami i Jadźwieżą, witał jednak Sieciecha z pewną unizonością, jakby wyższość jego uznając. Gdy służba przyniosła poczęstunek, przypił do gości mówiąc:

— Na pomyślność waszych zamierzeń!

— Waszych?! — rzucił Sieciech, wychylając kubek. — Nie wasze też one?

— Cóż my! Sam księżę nie może nic; nawet gdy katedrę i klasztor na Mazowszu uposażyć przyszło, nie Włodzisław, jeno Bolko nadania czynił. Onże powinności nakłada i komesów naznacza, tedy się z Włodzisławem nie liczy nikt, choć lubią go, bo nie wyniosły i złego nikomu nie uczynił, a przez Prawdzicow z wieloma swojak.

— Zmieni się to, a pierwsze, że Zbygniewę Miłosławowi odesłać musi! — odparł Sieciech.

Wojsław przez chwilę milczał.

— Jakoże? — zapytał z widoczną przykrością. — Nie uczyni mu to przyjaciół; i sam chciał nie będzie. Wielce do niej przywiązany.

— Nikt go nie odwiązuje od niej. Jeno Wratisław córę swą po Adelajdzie węgierskiej mu chce zaswalać; tedy rozumiecie, że innej żony mieć nie może. I cesarz popiera ten związek, w tejże sprawie opat Henryk przyjechał.

Wojsław patrzył pytająco i z pewną nieufnością na Sieciecha, wyraźnie zaskoczony.

— Widzę, że ułożyliście już wszystko, Włodzisława nie pytając. Jeno co król powie, gdy wróci z Rusi, którą, słyszę, już całą zhołdował. Z imienia jego Izaśław na kijowskim stolcu siedzi.

— O Ruś właśnie chodzi — rzucił Fulko. — Gdyby się tam umocnił, pogneźbi nas do cna. Wielki już czas by pomyśleć o sobie.

— Pomówimy o wszystkim, niech jeno opat Henryk i kapelan Otto nadejdą. Szkoda dwa razy powtórzać — przerwał Sieciech.

Kazałem, by mię powiadomiono, gdy wrócą o świętego Wawrzyńca, gdzie odprawia się wieczorn

nabożeństwo. A na Włodzisława nie poczekacie? Lada-
dzień winien nadjechać.

— Dowie się na czas, co uradzimy.

— A jeśli się nie zgodzi?

— Nie po to pana zmieniać chcemy, by rządził nami, jeno byśmy nim rządzili. Tylko dla cesarza i Wratysława Włodzisław nam potrzebny. Gdyby nie to, pozbylibyśmy się i jego — rzekł Sieciech twardo.

— Bardzoście siebie pewni! — odparł Wojśław z lekkim przekąsem.

— Nie zwykłem na niepewne niczego poczynać. Umilkli. Wojśław napelnił kubki i przypił do Sieciecha:

— Na pomyślność naszych spraw. Jeno słyszę, że zamęt u was, Wiślan. Pospółstwo się burzy.

— Mówią, że im król przy koronacji dawne prawa zaprzysiągł i z nimi przeciwko nam trzyma. Na sądy nie stają, duchownych, którzy żon swych nie chcieli oddalić, wyganiają — dorzucił Fulko wzdychając. — A u was spokój na Mazowszu?

— Na kujawskim brzegu też ruch się zaczyna. Wiące zwołują, łązęgi, co za ratai służyli, pracę rzucają, a zakupieńce zbiegają do Prus lub do zbójów, co na kępach wiślanych mają swe schowki. Nie wiada, jak z wiesny będzie z uprawą. Burzy ich ktoś.

Rozmowę przerwał pachoł, który przybiegł z zawiadomieniem o nadejściu oczekiwanych duchownych. Poseł cesarski stanął gospodą w zabudowaniach kapituły, których ciemniejsze od nocnego nieba zarzysy majaczyły na skłonie wzgórza. Po drodze do katedry Wojśław rozmawiał z Sieciechem:

— Widzę, żeście się z cesarzem i czeskim królem już porozumieli. Ale daleko oni i własne mają troski.; A jeśli się u nas pospółstwo ruszy, jako przed pół wiekiem, nie obronimy się. Wiele dworców bez panów stoi, bo rycerstwo z królem na wyprawie, a już słychać, że się służebnicy panoszą, nierząd płodzą z niejgiriastami, co ostały bez mężów, ziemie zagarniają, co dawniej do dziedziców należały i nieprawemu potom-

stwu odebrane, a nie brak i zwykłej przemocy i łupiestwa, jako to w zamęcie.

— Tym lepiej — rzekł Sieciech. — Niech widzą ci z naszych, co z królem trzymają, ku czemu idzie, jeśli nie połączą się z nami.

— Zdałoby się, że na rękę wam to, co się dzieje — rzekł Wojsław po chwili milczenia. — Nie bardzo mogę pojąć, do czego zmierzacie; a wiedzieć przecie muszę, jeśli mam pomagać.

— Wraz się dowiecie — uciął Sieciech.

Już wchodzili do katedralnych zabudowań i przy wejściu czekał sam Otto witając przybyłych i powiodł ich do niewielkiej izby przyległej do refektarza, w którym goście zastali opata.

Na ich widok dźwignął się z godnością i skłoniwszy się w milczeniu zdał się oczekiwać powitania, należnego jego godności duchownej i stanowisku cesarskiego posła. Całowali kolejno jego rękę, a Sieciech patrzył przenikliwie na dostojnika, jakby chciał go na wskroś przejrzeć.

Opat był czelkiem w sile wieku, postawy wyniosłej, szatę miał ciemną, zakonnego kroju, choć z cienkiego, flamandzkiego sukna. Na białych, wypielęgowanych rękach błyszcząły pierścienie. Widno dbał o swoją powierzchowność; twarz o mięsistych wargach, z zaczynającym rósć podbródkiem, zdradzała, że nie są mu obce cielesne uciechy, zaś dumne, choć niezbyt bystre spojrzenie świadczyło, że niemałe ma o sobie mniemanie.

Sieciech uśmiechnął się mimowolnie, snadź zadowolony z takiej osoby posła, i z niezwykłą jak na siebie uniżonością zaczął:

— Zaszczyt to dla nas niemały, że cesarz raczył wysiać do nas tak dostojną osobę, o której rozumie jużew śmy słyszeli. W waszej też znajomości ludzi i sprai* nadzieję pokładamy, że zawilości i trudności nasz| zrozumiecie i do właściwego ich rozwiązania przyczynicie się światłą radą. Wybaczcie, że nie w waszej ramie was witamy, nie znając jej tak dobrze, jak by wy*

padało, lecz kapelan Otto pomocny nam będzie, byszmy, choć różnymi mówiąc językami, do wspólnego doszli porozumienia, jak najlepiej Kościołowi świętemu i cesarzowi usłużyć.

Posel uśmiechnął się z zadowoleniem i odparł, że długo w słowiańskich krajach przebywając, język rozumie. Rozmowa potoczyła się, niekiedy jeno Ottonowego wymagając pośrednictwa. Sieciech wyraził wielką radość, że usunięcie tej trudności pozwala mieć nadzieję, iż wszelkie inne równie łatwo będą usunięte; żał, że Polsce brak takich właśnie dostojników w Kościele. Nie dopuszczając opata do pytań, chytrze rozmowę skierował na sprawy rzymskie i niemieckie, widno chcąc kości przeciwników obejrzyć, nim rzuci własne. Opat łykał pochlebstwa i zapewnienia jedności i dał się za mięsisty nos wodzić Sieciechowi.

Z opowiadania opata wynikało, że cesarz wprowadzić zdołał przewagę uzyskać nad Rudolfem szwabskim, którego księżęta królem niemieckim za sprawą Grzegorza obwołali, lecz przed rozstrzygnięciem walki na orężną pomoc cesarską liczyć nie można, natomiast wszelką inną pomoc przyrzeka i gdyby Włodzisław zdołał władzę uchwycić, uznać go nie omieszka. Gorąco też zaleca związek z wypróbowanym sprzymierzeńcem swym Wratysławem, by w imię dobra wspólnego pokój przywrócić między spokrewnionymi krajami, od lat już zakłócony zuchwalstwem Bolesława.

Jeżeli chodzi o sprawy kościelne, to cesarz na podstawie uchwały powszechnego synodu niemieckiego episkopatu, mocą swą, jako rzymski patrycjusz, złożył Grzegorza z nieprawnie zajmowanej Stolicy Piotrowej i godności przez niego rozdane muszą być uznane za nieważne, a poplecznicy jego — za wrogów Kościoła i cesarza.

Gdy opat skończywszy z kolei jął wypytywać, Sieciech jeno pobieżnie go upewnił o oddaniu sprawie cesarskiej i żegnać począł posła, tłumacząc się zmęczeniem po podróży i konieczną ością wypoczynku przed

rannym wyjazdem. Opat, zdziwiony cokolwiek, zapytał:

— Jakoże tak ważne sprawy odbyć się mogą bez najpotężniejszego męża w kraju?

Sieciech uśmiechnął się dumnie i odparł:

— Juści, ród mój najdostojniejszy jest ze wszystkich w tym królestwie, Piastowego nie wyłączając. Lecz dlatego właśnie Bolesław w cień mnie zepchnął. Gdy ja tu останę pierwszym dostojnikiem świeckim, wy będziecie pierwszym duchownym. Wówczas, myślą, łatwo się porozumiemy, bo nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać Człeka bystrzejszego umysłu i większego serca.

Opat przelknął gładko pochlebstwo i obietnice otrzymane miast wyjaśnień i zobowiązań, a Sieciech wyszedł, zabierając towarzyszy. Gdy wrócili na gospodę, Wojśław zadumany był, jakby coś przeżuwał.

— Nad czym przemyśliwacie? — zagadnął Sieciech.

— Nad tym, że dalej nie wiem, do czego zmierzacie, i wyrozumieć was nie mogę. Bo żeście z cesarskiego posła wydobyli, co miał do dania, nic mu w zamian nie mówiąc, to i dobrze. Ale po cóż mu było gnieźnieńskie arcybiskupstwo przyrzekać?

— Bo najlepiej przed cesarzem będzie orędowną za nami, gdy i swoją sprawę będzie w tym widzieć. Przyda się mieć tam przyjaciół.

— Ale nie potrzeba wrogów; a wrogiem останie, gdy się przekona, żeście go w pole wywiedli.

— Ani mi to w myśli. Najlepiej się na tę godność nadaje, bo dufny w sobie a głupi.

Sieciech zaśmiał się. Wojśław patrzył na niego.

— Jeśli Bogumiła wygnamy, myślicie, że Stanisław, który już dzisiaj po pierwszeństwo w polskim Kościele sięga, pozwoli się odsunąć? Nie znacie go chyba. Nie brak mu śmiałości ni dumy. On pierwszy wzywał się walkę z królem rozpocząć. Jeśli wygra, nie da sobie owoców jej odebrać.

— Juści, że go znam. Ale śmiałości i dumy dość mamy u Bolesława. Jeno że u niego już się nasyciły,

a u Stanisława głodne jako wilk w lutym. Grzegorza nie uznaje, bo nie w smak mu posłuszeństwo, ale sam chciałby dla Polski nim zostać.

Twarz Wojsława spocbmurniała. Trzymał ze Stanisławem jako krewniak, do Włodzisława był przywiązany, Niemców nie lubił. Jasno widział już, ku czemu zmierza Sieciech. Jednocześnie zrozumiał, że za późno wycofać się ze sprawy. Bolesław dowie się o cesarskim poselstwie i nie daruje ni bratu, ni jemu, że się znoszą z wrogiem. Sieciech innych wysuwa, a siebie chowa w cieniu do czasu, gdy zbierać przyjdzie owoce zwycięstwa.

Wojsław westchnął ciężko. Czuł *Aiq* bezradny.

XVIII. ROZPRZEŻENIE

Bolesław nie wiedział o niczym. Czas i umysł jego pochłaniało całkowicie urządzenie zholdowanego kraju, rozjazdy po grodach, w których załogi swe poobsadzał, i dozorowanie rozrodzonych, a wieczyście z sobą skłóconych potomków Jarosława Mądrego; żaden z kniaziów nie wahał się postronnych wrogów, Połowców, Torków czy Pieczeniegów na ojczyste ziemie naprowadzić, by przy ich pomocy rzeczywistych czy urojonych praw dochodzić.

Pracę Bolesława utrudniał jakiś ledwo wyczuwalny opór, a dosyć widoczna niechęć własnych ludzi. Rozpoczęło się to od zajęcia Kijowa, gdzie surowymi karami król ukrocił łupiestwo i swawolę. Z wysokich danin, jakie ciągnął z kraju, wypłacił wprawdzie należne wojom za wyprawę wynagrodzenie i ze zwykłą szczodrością 'obdarzył tych, którzy szczególnym męstwem odznaczyli się w boju; nie zgasił jednak tym ludzkiej chciwości, rozdmuchanej opowiadaniem o skarbach, jakie z poprzednich ruskich wypraw zwożono, a rozbudził zazdrość. Sarkano bowiem, że przyboczna drużyna, która poniosła najmniejsze straty, największe otrzymała nagrody. Szemrano, że lennicy w państwach Zachodu jeno czterdzieści dni w roku panu swemu służyć obowiązani na wojennych wypra-

wach, tymczasem rok już dobiegał od czasu, jak wyruszono na Ruś, a o powrocie nie było nawet mowy. Nabrzmiwała niechęć, gotowa przerodzić się w bunt, gdy się jeno najdzie przyczyna, która strach przeważy, Król nie mógł wiedzieć, co się działo w kraju, kilku już bowiem posłańców Nawoja, schwytych w drodze, przez małe okienka lochów sandomierskiego grodu patrzyło z tęsknotą, jak na polu czyniła się ciepła i wczesna wiosna. Fulko poobsadzał wszystkie drogi i brody, by wieści nie przepuścić. Nawój, znając króla, wiedział, że sprawą jedną zajęty, nie zwykł innym myśli poświęcać. Zdziwiony był jednak, że Bolesław tak długo nie zaciekał się, co dzieje się w kraju, choćby nawet Nawojowi posłańcy nie dotarli do króla. Nie wiedział, że i królewskich kilku gońców przez Fulkę schwytych zostało, do Kijowa natomiast pobiegli inni, niosąc wojsku wieści przesadne i fałszywe o tym, co się w kraju dzieje.

Jednego ranka wpadł Doman do komnaty w dworcu na Berestowym, z twarzą zdradzającą pomieszanie. Król, przy pomocy szatnego, przybierał się, by wyruszyć na objazd grodów. Rozdrażniony był, spał bowiem źle tej nocy. Ostatnio często się to zdarzało, Brak wiadomości budził gniew na dostojników, którym w kraju rządy zlecił, a szczególnie na Nawoja. Trapiły go też złe przeczucia. Gdy ujrzał przeto wzburzoną twarz Domana, tknęło go coś i zapytał niecierpliwie:

— Wieści są z kraju?

— Są i z kraju — odparł Doman.

— Odpowiadaj, gdy pytam! — zakrzyknął król II gniewnie.

— Jest tu Jędrzej Jastrzębiec. Niech sam opowie — odparł Doman stroskany.

— Jędrzej? Wždy on w Wyszhorodzie załogą siedzi. Kto mu wyjeżdżać zezwolił teraz, gdy jakowys niepokój czuć się zdaje?

' — Nie wiem — powtórzył Doman. -

— Dawaj go! — rozkazał król.

Odprawił szatnego i podszedłszy do okna starał się uspokoić. Gdy jednak po krótkiej chwili rozległo się pukanie i wszedł Jędrzej w towarzystwie Doman, król odwrócił się jak zgnięty i zakrzyknął groźnie:

— Po coś przyjechał? Nie mogłeś wieści przesłać?!

— Wraz się sprawię — odparł Jędrzej. — Przyjechałem, bo samopięt w Wyszhorodzie siedzieć a obwieścić się to jedno.

— Samopięt?! — w głosie Bolesława walczył gniew ze zdumieniem. — Wždy setnie ludzi miałeś.

— Ostało nas pięciu. Pozwólcie, to i składnie opowiem.

— Gadaj!

Król usiadł na ławie i oczy utkwił w końcach ciżem. Ręka bezwiednie bawiła się głownią miecza.

— Wiecie — zaczął Jędrzej — jako od początku szemrano, że łupić nie pozwalacie; przycichło, gdyście kilku nieposłusznym gardłem pokarali. Z wiosny zasię zmiarkowałem, że coś się knuje, bo w oczy mi ludzie nie patrzyli, a kilka razy zastałem ich, jak się zbierali uradzając, a milkli, gdym nadszedł. Nie donosiłem, bo myślę, sam poradzę. Jakoż, będzie temu niedziel ze dwie, dniem i nocą dając baczenie nadszedłem, jak Marcin Toporczyk z Łętkowic burzył, że umyślnie ich tu trzymacie, gdy w kraju lud powstał przeciw wielmożom...

...Kazałem go wysmagać i zapowiedziałem, że następny, którego przyłapię, pójdzie na gałąź. Baczyłem dalej; juści ktoś z kraju musiał przyjechać, co przywiózł takowe wieści, bo nie zda mi się, by Marcin wszystko zmyślił. Swoi patrzyli na mnie wilkiem, a już Rusiny pomiarkowali, że coś się u nas dzieje. Pozawczoraj z wieczora doniósł mi pacholik jeden, że nieznanany jakiś człek przybył i z wojami uradza. Zebrałem się zaraz i idę na gospodę do bojara Mutora Ontinowa, gdzie mieli się zmwiać. Nie zastałem

już nikogo, jeno mi Mutor śmiejąc się oznajmił, bym prędko na koń siadał, to ich może dognam jeszcze...

...Przy bramie już widzę, źle jest. Rusiny na straży stoją. Drwią, żem się spóźnił, i puszczać nie chcą. Wyciąłem kilku, reszta zbiegła i wydostałem się w step. Gnałem, póki pary w koniach, ale dojdzie tam kogo o ćmie. Juści, nie drogą pojechali. Tedy do Kijowa; zawrócił i jestem.

Bolesław słuchał na pozór spokojnie. Gdy Jędrzej skończył, król wstał mówiąc:

— Jędzlem!

— Dokąd? Konie mam zegnane, ludzie dwie noce nie spali.

— Konia weź świeżego, ludzi ostaw. Do Wyszhorodu! |

— Wybaczcie, panie! Nie żałuję swoich kości. Ale, jeśli się to tylko w Wyszhorodzie przygodziło, można; poczekać. A jeśli wszędzie...

Król usiadł i potarł ręką czoło. Znowu chwycił goi? ból głowy, który chwilami obezwładnić go potrafił. Przez zaciśnięte zęby burknął:

— Tedy do Bielhorodu!

— Nie miejcie mi za złe, że radzić śmiem, nie pytany. Sami, z małym orszakiem, jeno podacie się na[^] niebezpieczeństwo. Wojsk z Kijowa bym nie ruszała bo wrócić może być trudno. Zaufanych ludzi wysiaó' do Bielhorodu, Perejasławia, Turowa i indziej. Za kilka dni wiedzieć będziem, jak sprawy stoją. Won czas postanowicie.

— Prawyś! — odparł król, ściskając głowę rękoma. — Ale jeśli przeniwierstwo wszędzie, tedy wracać nam przyjdzie. Tyle trudu i krwi na marnie.

— Bo trzeba było książąt, jarłów i bojarów wyciąć, metropolitę i czerńców wygnać, tedy by ludu nie miał kto podburzać.

— Pierwej w kraju to uczynić należy. Znosiłem zuchwalstwo, dąsy lekceważyłem. Teraz nie będę-j Wyślij ludzi, gdzie trzeba; wieści przyjdą, daj mi zna"

nie mieszkając, we dnie czy w nocy. *Kijowska załoga*.
pod bronią niech stoi, konie mieć pod ręką!

Gdy Jędrzej wyszedł, król, jak stał, nie odpasawszy nawet miecza, zwałił się na łożo. Na poblądle czoło wystąpiły kropelki potu. Oczy miał przymknięte i zaciskał szczęki. Doman, niespokojny, zbliżył się nieśmiało i zapytał:

— Nie potrzeba wam czego?

Król uśmiechnął się boleśnie i odparł nie otwierając oczu:

— Choć chwili spokoju, Ale pono dopiero w mogile. Kończyć muszę prędko, com zaczął. A ty ni słowa nikomu, że mnie napada słabość. Niechby jeno dostrzegli, nie opędzę się.

Słabość dostrzeżono wnet, a wieści otrzymał król prędzej, niż się ich można było spodziewać. W południe przysłał Izasław z prośbą o rozmowę. Bolesław, *choć* błady jeszcze i z podkrążonymi oczyma, przyzwać go kazał zaraz, spodziewając się, że z zachowania Izasława wywnioskować zdoła, co się święci. Łatwo mu to przyszło.

Izasław ubrał twarz w kłamany smutek, z oczu jednak świeciła mu nieklamana radość. Na zapytanie, co go sprowadza, odpowiedział uniżenie:

— Skoro żegnać się nam przychodzi, ucztę na waszą cześć wyprawić kazałem. Ale może nie w porę wam, bo widzę, że słabujecie.

Bolesław odparł oschle:

— Zdrow jestem, ale wyjadę, kiedy będzie moja wola. Rychło albo nierychło, jak mi wypadnie. Tedy za zaproszenie dziękuję.

— Myślałem, że rychło, bo z innych grodów już załogi wyszły, a i w Kijowie, widzę, zbieracie się.

W głosie jego było szyderstwo i złośliwa radość. Nie zapomniał upokorzenia i uważał, że czas przyszedł, by wziąć odwet. Przysuwając się poufnie, mówił przyciszonego głosem-

— Przede mną, krewniakiem i sprzymierzeńcem, taić nie trzeba, że rozruch u was w kraju. Pomny wa-

szych dobrodziejstw, sam bym was chętnie na tron wprowadził, gdyście wy mnie po dwakroć wprowadzili. Rad bym raz gościem być w Krakowie, jako ■wy w Kijowie, nie wygnańcem. I z serca żal mi was, bo wiem, jako gorzko prawemu panu, gdy go bezecni ludzie z ojcowizny wyzują.

Bolesław drżał z hamowanego rozdrażnienia, ale rzekł na pozór spokojnie:

— Pomocy niczyjej nie proszę, tedy i żal niewczesny. Sam załatwię w kraju, co potrzeba, i powrócę.

— Starym już, nie wiem, czy doczekam, choć rad bym za wszystko zapłacić, coście dla mnie uczynili. Dobrze, że i mnie waszej pomocy na Rusi już nie trzeba, tedy was wstrzymywać nie będę. Żegnajcie! Nie wiem, czy ujrzym się jeszcze.

XIX. OBRACHUNEK

Przebimiał siedział już na swym gospodarstwie, przychowawszy szczęśliwie tęgiego i zdrowego syna. Nie rad był ruszać z domu, w którym po raz pierwszy w życiu czuł się u siebie, gdy niespodzianie Nawój wezwai go do Krakowa. Zebrał się nie mieszkając, choć Ludmiła nie chciała puścić męża.

W pogodne i ciepłe kwietniowe popołudnie zjechał wprost do chaty nad Rudawą, nie pokazując się na grodzie, i posłał Nawojowi wiadomość o swym przybyciu. Wiedząc, że Nawój nie nadejdzie przed zmierzchem, gwizdnął na konia i poszedł na stok wzgórza, wyszukawszy nasłonecznioną polankę zarosłą obficie już wybujałą młodą trawą, siwka puścił na paszę, a sam wyłożył się do słońca i dał folę myślom o przyszłości, przemawiając od czasu do czasu, to sam do siebie, to do konia.

— Ani chybi, Nawój ważną sprawę musi mieć do mnie. Usłużę jeszcze, łącniej mi król ziemie wielkie nada, a potem wracamy do domu, gospodarzyć i budować. Gródek wystawię, z wałami i częstokołem, może i wieżę z kamienia, lochy pod nią. Rad bym w nich Wolkmara pierwszego posadził. Jenó by tymi zielonymi ślepiami świecił w ciemności.

Zaśmiał się do tej myśli, a koń na głos swego pana obejrzał się i wrócił do soczystej paszy.

— Ciebie to nie obchodzi, ale ja wiem, czego by się

tobie chciało. Żeby cię wilk nie starmosił, wytrzebiliby cię, a tak ród twój też nie zaginie.

Patrzył na widoczną w dole, na zielonym łągu pasącą się stadninę królewską. Świeciły w słońcu konie mleczną bielą, jak stado łabędzi.

— Co byś myślał, żebyś mi z królewskiego stada źróbkę kupił? Ani dwudziestu grzywien srebra bym nie żałował. Zasłużyłeś se i ty, miejże coś z tego! Takich łos/ąt, jak po was, nie byłoby drugich w królestwie. Będą na nich syny moje jeździły.

Siwek z dala klacz zwietrzył, bo wiatr powiał od łągu, a może zrozumiał słowa swego pana, zarżał bowiem rozgłośnie, szczerząc żółte zębiska. Przebimil zaśmiał się:

— Staryś, jucho, ale jeszcze ochotny. Będziesz i ty stado wodził; musi mi to Nawój u koniuszego Rinar-dusa wymóc, by przedali, a nie, to u samego króla. Zamęt się w kraju robi, sposobności nam nie braknie, by się przysłużyć.

Położył się na trawie, z rękami pod głową, i dalej snuł promienne myśli o przyszłości, tak że nawet nie zauważył, jak słońce zaszło i dopiero gdy ziało wiosennego wieczoru przejął go deszczem, niechętnie odepierał się od marzeń, skoczył oklep na konia i puścił się po stoku ku chacie.

Nawoja zastał już na miejscu i usprawiedliwiać się zaczął, lecz Nawój przerwał mu z uśmiechem:

— Lękałem się, że zgoła nie przyjdiesz, na po* i tomka czekając.

— Juzem doczekał — odparł Przebimil z dumą. — Jako mówiłem, ni moich blizn, ni matczynych dziobów na nim nie znać. Różowy i gładki niczym prosię, a tęgi się zapowiada jako rodzic mój, na którego się podał. Nie będzie biedy miał jako ja za młodu, kiedy sam ostał.

— Tedy cieszę się wraz z tobą. Nie wołałbym też ciebie, jeno żeś mi potrzebny teraz jako nigdy. Nikogo pewnego nie mam koło siebie, bo albo z biskupem i Sieciechem trzymają, albo się ich boją.

— Ja się tam nie boję — odparł Przebimił zarozumiale — choć niewiasta moja za *nic* puścić *mnie* nie chciała. Zawždy niestrachliwa jest i do beku nieskora, a tak ryczała, jakem wyjeżdżał, jako za cielakiem krowa.

Nawój wzdrygnął się nieznacznie, lecz spokojnie zapytał:

— Dlaczego?

— Bo prawi, śniło jej się, że na mnie smok wyszedł z wawelskiej jamy z zielonymi oczyma i jadem tchnął. Ażem na nią fuknąć musiał, choć, co tam taić, osiodłała mnie. Niewiasta, że hej! Syna za trzy pancerze urodziła, a już nazajutrz była przy robocie. Bez to jej się przyśnić musiało, że jej nieraz opowiadał, jako Wolkmar straszne ma te zielone ślepia. Ale ja niepłochliwy! — roześmiał się.

Nawojowi jednak widno nie do śmiechu było, gdyż się zasumował.

— Żebym miał kogo innego, odesłałbym cię do domu. Sen snem, ale z Wolkmarem nie przelewki; sam wiesz, że gotów na wszystko, tym bardziej teraz, gdy gra już rozpoczęta. Ale muszę wiedzieć, co knują. Dziwne mi *to*, że od króla nie ma żadnych wieści, jako też, Sieciech i biskup nie podejmą niczego nie tylko przeciw dziedzicom, co się upominają o swoje, ale i przeciw swawolnikom, a -nawet rozbójnikom, jakby chcieli, by zamęt się rozrósł.

— Dowiem się wam, czego trzeba — odparł Jekko Przebimił. — Małom to lat przy Wolkmarze tkwił a nie uczynił mi nic.

— Bo nie wiedział, żeś u mnie na służbie, a teraz wie.

— Może wiedzieć, że byłem, ale nie wie, że jestem. Zresztą pokazywać mu się nie będę. Otarda wypytam.

— A gdzież spotkasz Otarda?

— Zawždy był pijanica. A że mu w klasztorze wstydno, pewnikiem i teraz do karczmy zachodzić musi. Tam go przydybię.

— Bacz na siebie! Żadna przysługa, gdybyś dał się

ubić. I nic wtedy z twoich zamierzeń. Konia z sobą nie bierz, bo znany wszystkim z biskupiego dworu, a trudno go ukryć.

— Nie wezmę. A męstwa ni chytrności mi nie brak, nielacno mnie ubić.

— Nie myślę, by cię otwarcie napadnięto, ale Otardowi nie ufaj. Mętne to wszystko, co mi przynosił, a ostatnio dawno się już nie pokazał.

Przebimił zaśmiał się znowu.

— Jedno wiem, że on sam boi się Wolkmara.

Otard bał się Wolkmara jak ptak gadu. Bardziej nawet, niż Przebimił przypuszczał; nie tylko o stanowisko swe i życie. Od chwili, gdy zmówił się z Przebimiłem, żył w ustawicznym niepokoju i nawet nieraz ze snu budził się z wrażeniem, że Wolkmar nie tylko myśli jego przenika, ale rządzi snami, które zmorą gnębiły go niemal każdej nocy. Nie wytrzymał wreszcie i sam wyznał Wolkmarowi swój układ z Przebimiłem, tyle jeszcze mając rozsądku, że przedstawił go jako chęć lepszego służenia powierzonej sobie sprawie.

Wolkmar nie zdał się nawet zdziwiony ni zaskoczony. Zezwolił donosić Nawojowi wiadomości, jakie Otard uzna za potrzebne, a wzajem wyciągnąć, co się da.

Nawój wrychle podejrzewać zaczął tę podwójną grę, a Otard dość był bystry, by dostrzec, że mu nie ufają. Miał pozbyć się jednego wroga, czuł, że drugiego sobie napytał, toteż wkrótce unikać jął Nawoja pod każdym pozorem. Siedział w Tyńcu przy Wolkmarze, umyślnie wciąż mu na oczach stercząc, by od siebie podejrzenie o zdradę odsunąć.

Wolkmar zdał się nie zwracać na niego uwagi ani kryć przed nim spraw, które Otard winien był Nawojowi donieść, Otard nie wierzył jednak, by to oznaczać miało przywrócenie zaufania. Gdy zaś z drugiej strony bał się, że Nawój wieści skądinąd otrzyma

i pomści się na nim za przeniwierstwo, z rozpaczu rozpił się do reszty. Wieczorami wymykał się do karczmy i pił sam, ponurymi, przekrwionymi oczyma poglądając po "ciemnych kątach, bo wciąż zdało mu się, że skądś patrzą na niego zielone ślepie Wolkmara; noc zazwyczaj przespiał w gospodzie, gdyż do klasztoru po komplecie nie puszczano nikogo, i rankiem wracał, niechlujny i zmarnowany, by snuć się pod okiem Wolkmara. Byłby uciekł dawno, gdyby nie przesądna pewność, że wówczas Wolkmar bez zwłoki go zgubi.

Toteż gdy jednego wieczora przybiegł do Wolkmara prawie trzeźwy i widno czymś poruszony, Wolkmar zawołał drwiąco:

— Cóż ważnego się stało, skoro nie pijesz o tej porze!

Otard spojrzawszy na niego z pomieszaniem i złością odparł krótko:

— Przebimił przybył po wieści.

— Aha! Słusznie się domyślałem, że dla pozorów jeno służyć przestał. A składa się dobrze, bo chciałem właśnie wybadać, czy Nawój wie o cesarskim poselstwie i czy ma wieści od króla.

— Juści! Po to przybył Przebimił, aby mi powiedzieć! Sam pytał będzie, a nigdy nie wiada, co trzeba rzec, a co można ukryć, aby się nie zdradzić, że nie im, jeno wam służę — odrzekł Otard ponuro.

— Łatwa sprawa — odparł Wolkmar. — Możesz rzec mu wszystko, ale nie zrazu, jeno dobrze wprzód popiwszy. Temu, co rzekniesz po pijanemu, łatwiej dadzą wiarę.

— Wszystko? — aapytał Otard zdumiony. — O tym, że na życie króla czyhacie, że z cesarzem i Wratysławem się znosicie... ze...

— Wszystko, mówię. Nawet możesz rzec, kto i co radzi, bardziej godne wiary będzie.

— Wszystko? — powtórzył Otard. — Nawet to, żeście biskupowi radzili, jak wojska króla zbuntować, by go bez sił na Rusi na przepadle zostawić?

— Wszystko! — przytwierdził Wolkmar. — Jenó spoić masz go, by się sam z tym, co wie, wygadał.

— Ba! — odparł Otard. — Tym cienkuszem, który ja piję, Przebimiła nie spoi. Łeb ma jak ceber. A na lepsze wino mnie nie stać. Chuda służba u was. Dajcie parę denarów albo i pół grzywny, bo i ja przy nim lepsze wino pić muszę. Podejrzliwa jucha, do gęby nigdy nie weźmie, czego ja przedtem nie spróbuję.

— Taki ostrożny? — uśmiechnął się Wolkmar. — Nie szkodzi. Pieniądzy ci nie dam, bo sam nie mam, ale wina najlepszego, jakie w klasztornej piwnicy najdzie. Na kiedyś go zmówił?

— Rzekłem mu, że dziś ważna narada z Sieciechem i biskupem, bom się przódzi z wami chciał porozumieć. Ani mi to w myśli nie było, by Nawój tutaj po wieści Przebimiła przysyłał. Jutro z wieczora spotkać się mamy.

Dzień spędził Otard w jakiejś gorętwie oczekiwania, tak by rad sprawę mieć za sobą lub zgola się jej pozbyć. To myślał, by uciec, to znów, by ubić Przebimiła, w końcu przed czasem poszedł do karczmy, w bokówce przyległej do głównej izby kazał ognia naniecić i zapalił przyniesione świece, jakby bał się, by w ciemnych kątach nie majaczyły mu oczy Wolkmara. Usiadł i usiłował zebrać myśli, gdzieś rozgonione. Wzdrygnął się, gdy usłyszał świst lelka, umówione hasło Przebimiła. Nie mogli co innego umówić, jak głos tego złowróbnego ptaka?! Zerwał się i wybiegł na pole.

Po chwili wrócił tylnymi drzwiami, wiedząc Przebimiła. Usiadł przy stole i zarośnięty policzek oparł na rękę.

Przebimił obejrzał się bystro po izbie, ale nie było co oglądać. Puste nary pod oknem, stół i ława stanowiły całe urządzenie izby. Na stole zobaczył omszałą kamionkę i dwa kubki.

„Spieć mnie będzie chciał — pomyślał Przebimil. — Praw jest Nawój, by mu nie dowierzać. Zje licha, zanim mnie pozbadnie”.

Spojrzał na jasno oświetlone oblicze Otarda i aż się zadziwił zmianie. W nabrzmiałej od opilstwa twarzy niegdyś wesołego nicponia i obwiesia czaiła się rozpacz, w zaczerwienionych oczach szklily się łzy.

Mniemając, że Otard niespokojny, by się spotkanie ich przed Wolkmarem nie wydało, Przebimil rzekł:

— Gadaj prędko, co masz dla mnie. Mnie tu siedzieć niebezpiecznie; Wolkmar choć zbójów nasłać gotowy.

Bacznie nastawiał ucha, czy głosów jakich nie posłyszysz, ale na polu była cisza wiosennego, pogodnego wieczoru; do uszu dochodził jeno cichy i jednostajny, wabliwy szmer wiślanej fali, karczma bowiem stała u przewozu, na który wychodziła droga między klasztornym wzgórzem a osadą.

Niespodziewanie Otard zaczął mówić. Przebimil słuchał z coraz większym zdziwieniem. Mówił, jakby się spał, choć kubków nie tknęli jeszcze.

— Wracaj co prędzej do dom! Uciekaj! Ja tu ostać muszę, na zgubę duszy i ciała.

— Cóż się stało?

— On wszystko kazał ci powiedzieć. Że króla chcą zgubić, wojsko mu pobuntować, z cesarzem i Wratysławem przymierze uczynić, a Włodzisława osadzić na tronie. I mnie chce zgubić! Za co? Żem mu w łotrystwach jego pomagał?!

Nalał kubek i wypił. Wierzchem dłoni otarł oczy z łez:

— Jak żywot długi, jeno mną pomiatano. Cóż dziwnego, że chciałem czymś ostać?! Za to mam życiem zapłacić!

— Gadajże po ludzku. On ci to wszystko kazał rzec? Tedy nieprawda musi być. I skąd wiedział, że się spotkamy?

— Sam mu wyznałem.

— Ty?! — Przebimil dźwignął się groźnie. — Alboś

już pijany, albo nie rozumiesz, coś powiedział. Jeśli prawda, z mojej raki zguba cię spotka.

— Wolałbym z twojej ręki niż z jego. Nic, jeno ten strach, ciągły strach. Rzekłem mu, bo on i tak wie wszystko. Pijanica jestem, ale nie piłem dziś. Wiem, co mówię. Mój rodzic także pijanica, mnie bił, macierz bił, z domu uciekłem, nie widziałem jej więcej. Wędrowałem po świecie, wesoło było, choć głodno. Ni ludziom, ni Bogu nie byłem obrzydły, jako teraz.

Przebimił przerwał mu zimno zwierzenia:

— Kiedy indziej opowiesz, a teraz gadaj prędko, bo czekać nie mogę.

Ale Otard znowu głowę na rękę oparł i zamilkł. Przebimił nalał kubek mówiąc:

— Widno za mało wypileś. Posmaruj język i praw. Kto, jak i gdzie króla chce zgubić? Jakim sposobem wojsko pobuntować? A jeśli Wolkmar wie, że nam donosisz, to i tak nic tu po tobie. Uchodź ze mną, przysłużysz się, to ci Nawój beneficjum wyrobi i będziesz żył jako inni.

Wypili i Otard począł składniej opowiadać. Jakby się uspokoił.

— Wielmoże umyślnie pospólstwu swawoli nie bronią, a do wojska wieści przesadne wysłali o powstaniu. Pod samym bokiem Sieciecha, w Zębocinie, żona Mikołaja Strzemińczyka musiała wraz z siostrą schronić się w kościele przed pospólstwem, a Sieciech nic. Ale wojom królewskim na Ruś donieśli, że łązęgi i zakupieńce wszystkie niewiasty pobrali, dworce obsiedli i jako panowie się rządzą.

Przebimił słuchał, ponury, lecz Otard po chwili bałamucić zaczął; znowu kubek wina wychylił i głowę oparł na stole. Bełkotał coś niezrozumiale. Przebimił począł go trącać, lecz Otard jeno ręką machnął i jakimś zmienionym głosem wyjąkał:

— Za jedno już wszystko. Koniec z nami, nie ujdziem.

— E, do biesa! — krzyknął Przebimił. — Spileś się trzema kubkami!

W tej chwili jednak poczuł, jak jemu samemu zakłócało w głowie.

— Mocne wino — mruknął i usiadł.

Opanował siłą woli zamęt i spojrzał na Otarda. Zda*⁰ mu się, że widzi dwóch; który z nich jest prawdziwy? Sięgnął ręką, lecz macał jak po ciemku.

— Co u licha, spiłem się i ja, com jeszcze nigdy...

Oczy mu płały, że nie mógł ich na żadnym przedmiocie utrzymać. Zamknął je. Usłyszał łoskot, a gdy oczy znowu otworzył, ujrzał Otarda leżącego na ziemi, ze szklistymi źrenicami i martwą już twarzą.

Przebimił drgnął. Straszliwa pewność przywołała jeszcze raz wszystkie jego władze. Głowę oparł o stół i zamknawszy oczy czekał. Wolkmar musi przyjść sprawdzić swoje dzieło. Przebimił zaciskał zęby i śledził sam w sobie, jak płomień, który rodził się w brzuchu, podnosi się ku górze, ogarnia mu już piersi i dochodzi do głowy. Ostatnia myśl i ostatnie pragnienie, by ujrzeć Wolkmara, jasno jeszcze tkwiły w jego zmąconej świadomości. Latającą ręką wyciągnął nóż i ścisnął go w dłoniach, wiedząc, że jeśli ją wypuści, już noża nie dźwignie.

Przez szum w uszach posłyszał, jak otwarły się drzwi. Nie spojrzał, pewny był. Skupił resztkę gasnących sił i czekał.

Zaskrzeczał nad nim jadowity śmiech. Kościste ręce ujęły go za głowę i podniosły ją w górę. Przebimił otworzył oczy. Nad nim wisały zielone ślepie Wolkmara, reszta zamazywała się szarym mrokiem. Piers jest niżej niż oczy. Pchnął nożem i razem zwałili się na ziemię. Przebimił nie słyszał już jęków ni przedśmiertnego charczenia Wolkmara.

Nawój daremnie oczekiwał wieści. Zresztą były już spóźnione. Posiew buntu wszedł.

XX. KTO PRAW?

Od chwili, gdy lud wzburzył się przeciw wielmożom i komesom, niezbyt bezpiecznie było Nawojowi w Krakowie, a śmierć Przebimila przestrzegała, że wrogowie mają go na oku i nie cofną się przed niczym. Ostrożnym i odważnym będąc, nie lękał się o siebie, lecz siebie się lękał. Królowa w trwodze przed nadciągającą burzą, której groźne skutki przeczuwała matczynym sercem, niemal co dzień wzywała Nawoja, nie tając, że w nim widzi jedyną nadzieję ocalenia, i zwierając się ze swych obaw i trosk jak przed najbliższym. Ufność jej pozbawiała go poczucia pewności, a poufalskość — resztek spokoju. Darmo tłumaczył sobie, że go jeno za sługę najwierniejszego uważa, żadnej innej myśli nie dopuszczając; zgłodniałe serce podszeptywało co innego. Panował nad sobą zaciskając zęby, ale przepełniała go gorycz, dotąd nie zaznana. Zaczął nienawidzić własnej oszpeconej twarzy i długiej, przygarbionej postaci. Otworzyły się rany, o których, zdało mu się, dawno zapomniał. Czekał pozoru, by się wyrwać z położenia, którego już nie mógł wydzierżyć.

Nie brakło i innych trosk. Opór ludu, przez niego wywołany, udaremnił wprawdzie chwilowo knowania przeciw władzy królewskiej, ale powstały w następstwie bezrząd w kraju uzuchwalił swawolników i łotrzyków, którzy z zamieszania korzyści swe chcieli wyciągnąć. Gdy raz opadły więzy karności, nawet spo-

kojny i uległy dotąd lud chętnie dawał ucho podusz-
czeniu, by żadnej władzy nie słuchać, tym bardziej
że króla, który sam tylko miał u niego powagę, nie
było w kraju, a biskup krakowski jawnie zabronił
płacenia świętopietrza, stan zaś i podwodę ogłosił za
bezeceństwo, w żadnym innym chrześcijańskim kraju
nie spotykane. Słuchali radzi tego, co wychodziło im
na korzyść doraźną, i wielu uznawać zaczęło biskupa
za swego obrońcę. Przekonał się Nawój, że broń, któ-
rej się chwycił, obosieczna jest. Wpływy do skarbu
zmały przerażająco, nie było czym opłacać potrzeb-
nych ludzi, rozprzęgło się wszystko.

Wkrótce trafił się Nawojowi wobec królowej pozór
wyjazdu, którego wolałby nie mieć. Kraj z nagłą za-
roił się powracającymi w gromadach z Rusi wojami,
którzy zbrojnie, bez pomiarkowania jęli karać wy-
szłych z posłuszeństwa służebników, gnębiąc praw-
swych dochodzący lud. Wielmoże od razu dźwignęli
głowy, a na czele ich jawnie stanął Sieciech, który
dotychczas tkwił w bezczynności, jakby rozmyślnie,
by zamęt do największego nasilenia doprowadzić.
Z dawna widocznie powiadomiony, gdzie się głowa
i źródło oporu znajduje, Chrapa naszedł nocą we wła-
snym jego dworcu, opór zaskoczonych złamał okrut-
nie, a pojmanego i rannego starostę kazał obwiesić.
Nawój stracił zaufanego człeka, przez którego wpływ
mógł wywierać na bieg wydarzeń. Zerwał się i wyje-
chał do Zbywoja, by się z nim naradzić, co czynić
dalej. Zbywój lubiany był, bo z dziedzicami trzymał
przeciw wielmożom, choć komesem był w Wieluniu
i obszerne ziemie dzierżył koło Pajęczna, po obu stro-
nach Warty. Nie miał on wprawdzie tego posłuchu ni
miru, co Chrapa, ale wyboru nie było.

Zbywoja jednak Nawój nie zastał w dworcu nad
Wartą i powiedziano mu, że wyjechał obiecując wró-
cić za dwie lub trzy niedziele; dokąd — nie wiadomo,
może z oczu chciał zejść wielmożom, którzy za zdrajcę
go uważali, a może sam poradzić się kogoś lub opór
przysposobić.

Tak czy inaczej, czas stracić trzeba było. Nawój przeto postanowił załatwić inne, też z dawna ciążyące mu na sercu sprawy: Bietki Domanowej i rodziny Przebimiła. Za obu czuł się odpowiedzialny, a zajęty czym innym, nic dotychczas nie mógł dla nich uczynić. Nie namyślając się wiele ruszył ku Mazowszu, gdyż nie wątpił, że tam kędyś wywiózł Gosław Bietkę.

Nie całkiem bezpieczna była to wyprawa, wypadło bowiem jechać przez ziemie Odrowążów, którzy trzymali z Sieciechem, na równi z Toporczykami przewadze królewskiej przeciwni, a nie mniej od nich dumni, ród swój od samych Popielów wywodząc. Nawój jednak nie zważał na to, lubił i Domana, i Bietkę, i w miarę jak związek ich podważano, zaciął się, że na swoim postawi. Jechał z wolna i ostrożnie skrajem Radomskiej Puszczy, by każdej chwili w razie niebezpieczeństwa uskoczyć w bór, w którego bezdrożach niełatwo było kogo złowić. Nielicznych osad unikał, pierwszą noc, korzystając z ciepłej pogody, spędził pod gołym niebem, wieczorem zaś drugiego dnia stanął na nocleg w karczmie pod lasem, przy niezbyt uczęszczanej drożynie wiodącej z Końskiego do leśnych osad bartników i smolarzy, którzy tędy wozili owoce swej pracy na targ do grodu. Małe było niebezpieczeństwo, by spotkał kogoś z dworskich ludzi Odrowążów, zwłaszcza z tych, co go znali, Odrowążę bowiem, niechętni królowi, rzadko bywali w Krakowie.

Rozgościł się tedy. Wieczerek kazał podawać i obrok koniom, a sam wyszedł na podcień, by po dziennym trudzie odetchnąć świeżym powietrzem, jakie pociągało od boru, niosąc woń leśnego kwiecia. Z powiewem zaleciały do Nawoja po chwili odgłosy stąpania koni po miękkiej drodze leśnej. Z bliska już; za późno było się ukrywać, a jezdnych nie mogło być więcej niż dwóch lub trzech. W razie potrzeby obroni się. Zresztą najpewniej woskoboje ciągną z kupią do grodu. Nawój cofnął się do izby i usiadł za stołem.

Stąpania po chwili zatrzymały się przed podjazdem

i po szczękę broni Nawój poznał, że przybyli są zbrojni. Głos, który zawołał na karczmarza, nawykły widno do rozkazywania, nie był Nawojowi obcy. Okręcił pas, by miecz mieć pod ręką, i czekał spokojnie. Po chwili wszedł do izby Ostasz Odrowąż.

Poznali się od razu przy świetle kaganka. Ostasz przemówił pierwszy:

— Anibym się spodziewał spotkać was tutaj. Witajcie na mojej ziemi. Cóż was do nas sprowadza?

Nawój skłonił się w milczeniu. W głosie Odrowąza nie było wrogości. Myśl Nawoja pracowała szybko. Odparł spokojnie:

— Dzięki, że za gościa swego chcecie uważać, choć nie z jednej studni pijamy wodę. Łacniej mi będzie odrzec na to, o co pytacie.

— Juści, że za gościa was uważam, bo i karczma moja, choć nie dla takich dostojników przeznaczona. Rad bym was u siebie na gródku, w Konskiem podjął, jeśli wam nie z drogi. A pytam z nawyku, boć nie obyczaj gościa wypytywać, czego sam rzec nie zechce.

— Za czestnego człeka was mam, Chętnie odpowiem, bo i sam chciałbym was spytać.

— I ja was mam za czestnego człeka, choć tamsieście mi w drogę weszli, gdzie się niełacno wybacza. Ale to rzecz inna. Pytajcie!

— O tym właśnie z wami mówić chciałem.

Patrzyli na siebie. Twarz Ostasza spochmurniała.

Oczy Nawoja wpiły się w niego. Ostasz pierwszy swoje opuścił.

— O tym właśnie mówić z wami nie będę. Nie wazsa sprawa.

Nawój wpatrzył się w płomień.

— Bietki sprawa! Jako bydlę ją Gosław mężowi odjął i więzi. Dojdę ja, gdzie ona, choć sprawa nie moja. Hańba takiemu, co przykłada ręki do tego okrucieństwa nad słabą niewiastą. Wolej mi w oborze ze zwierzem nocować niż pod dachem takiego człeka. Żegnajcie!

Nawój wstał i skierował się ku drzwiom, udając, że

nie widzi, iż Ostasz za miecz ułapił. Ostasz, z twarzą czerwoną i żyłami nabrzmiałymi na skroniach, zastąpił mu drogę.. Patrzyli sobie w oczy; Ostasz groźnie, Nawój urągliwie. Do miecza nie sięgnął, jeno rzekł:

— W gościnie mnie zatrzymać myślicie jako Gosław Bietkę? Alem ja nie białka, co się bronić nie umie. Jeno pomnę, o czym wyście zapomnieli, że to dach wasz. Miecz wydobędę za progiem. Odstąpcie!

Twarz Ostasza pobladła, na czoło wystąpił mu pot, który lśnił przy świetle kaganka. Zasunął do pochew na poły wyciągnięty miecz i ręką potarł czoło.

— Zaczekajcie! — rzekł stłumionym głosem. — Nie lza człeka od czci odsądzać nie wysłuchawszy.

— Niewielu czestnych ludzi znam — odparł Nawój. — Rad będę, jeślibym się na was nie pomylił.

Zawrócił i usiadł za stołem. Odrowąż zajął miejsce naprzeciw niego i dłuższy czas panowało milczenie, jeno słyhać było głośny oddech Ostasza i hukanie nocnego ptaka z boru. Ostasz jakby zmagał się z sobą i myśli zbierał. Wreszcie zaczął:

— Byście zrozumieli, jak sprawy stoją, muszę wam powiedzieć, gdzie Bietka. Przyrzeczecie za siebie i Domana, że jej siłą nie odejmiecie?

— Za siebie mógłbym przyrzec. Za Domana jakoże? Wždy to małżonek jej!

— Małżonek! — zachnął się Ostasz. — Naprzód dziewczynę wziął jak niewolnicę, potem przemocą i podstępem ojcu wydarł. Ni Kościół, ni rodziciele nie pobłogosławili tego związku. Swaty to, co jak wilcy nocą pod dom przychodzą, bratu na wykupno powróż przywożą, ojcu, miast czci, zelżywość wyrządzają?! Wedle boskich i ludzkich praw nieważny to związek i biskup uznał go za taki.

— Biskup chciałby sądy w małżeńskich sprawach uchwycić, by się do spadkowych dobrać; nie jego prawo rozerwać, co król złączył i dobra wola obojga małżonków.

— Nie znam się na zakonie, nie będę się spierał. Biskup głosi, że ludzie nierównego stanu małżeństw

między sobą nie mogą zawierać. Niech to 'i królem uladzi, ich rzecz. Ale — rzekliście — dobra wola Bietki?! Co ją jako jagnię porywa, kto chce, byle siłę miał, nie bacząc na to, że czyni jej krzywdę!

Ostasz aż się zachłysnął z uniesienia. Nawój milczał przez chwilę.

— Od dziecka go umiłowała — wtrącił cicho, jak do siebie.

— Od dziecka ją umiłowałem! — wybuchnął Ostasz. — Wiecie wy, co to miłość?

— Nie wiem — odparł Nawój opryskliwie.

Ale Ostasz zdał się nie słyszeć. Aż z miejsca się zerwał i krzyknął niemal:

— Bóg świadkiem, zęby bym zacisnął, gdybym wiedział, że Doman dał jej dom, dzieci, zasobność, cześć. A dał jej co? Hańbę, poniewierkę, wstyd i czekanie. Miłuję króla, niechże mu to starczy.

— Powtarzacie Jaromirowe bezceństwa. Lżyć króla ni Domana nie zezwolę!

— Nie! Choć gorsze jeszcze rzeczy ludzie o królu gadają. Niech go Bóg sądzi. Ja rzec chciałem, że jednej miłości dość człeku.

— Czasem i za wiele — mruknął Nawój.

Ale Odrowąż nie słuchał. Roztrzęsiony był. Wargi mu latały, gdy mówił:

— Rękę do okrucieństwa przykładam? Na śmiech i niechęć swojaków się wystawiłem, gdy wysłałem do starego swaty, prosząc o rękę Bietki. Jako zmówiony wymogiem na nim, by nie trzymał jej w zamknięciu.

— I pojęlibyście ją wbrew jej woli i królewskiej?

— Posłuchajcie! Wbrew jej woli, za Boga, nigdy. A wbrew królewskiej? Co tu tać. Jeśli król wróci, to albo ustąpi, prawa Kościołowi i nam przyzna, jako jest w innych państwach chrześcijańskich, albo będzie walka. Przegnamy my, z kraju trzeba będzie uchodzić, jeśli głowy przed okrucieństwem Bolesława ocalimy; przegra król, wy na wygnanie pójdziecie. Tedy do czasu niech BLetka siedzi na uboczu. Mało się nacierpiała? Niedługo już!

Nawój patrzył przed siebie ponuro, zamyślony:
Wstał i ręką do Ostasza wyciągnął:

— Rad jestem, że się na was nie zawiódł. Choć się może jako wrogi spotkamy, poćwióści wam nie ujmę. Jeno po co Bietka czekać ma dłużej, niż musi? Gdzie jej szukać będziem, gdy was nie stanie? Rzeknijcie! Nie powtórzę nikomu ni siłą jej nie odbiorę.

Ostasz uściśnął rękę Nawoja i odparł:

— Wierzę wam. W leśnym dworcu Wojsława koło Wyszogrodu, przy żonie jego bawi, której córa jedyna zmarła przy położu. Miłuje Bietkę, źle jej nie jest. A was rad bym po naszej stronie widział. I wy, Śreniawici, ze szczepowych książąt idziecie, i was Piastowie między pachółków swych spychają.

Nawój zmarszczył się:

— Ostawcie! Nie namówicie mnie do przeniewierstwa. I lepszy jeden silny pan niż gromada panków, co się obcym muszą wysługiwać albo pójdą im na łup.

— Z wami nie będę się spierał. Niech Bóg osądzi, kto przeniewiercą; czy ten, co się o niezadawnione prawa upomina, czy ten, co przeciw bliższym z tyranem trzyma.

Umilkli. Nawój oczy opuścił. Ozwał się po chwili:

— Żegnajcie! Przeniewiercą jest ten, co sobie samemu wiary nie dochowa; a miejsca nie wybieramy, gdzie kogo los postawi.

— Nie ostaniecie na noc? Kurki już zeszyły. Gdzie wam tak spieszo?

— Mnie nigdzie — odparł Nawój uśmiechając się smutno — z wodą płynę; jeno sprawy muszę uładzić za tych, co im już woda zalała głowy lub piasek wyżarł oczy.

Pożegnali się życzliwie. Nie minęły i dwa pacierze, gdy Nawój człapał na koniu z powrotem na zachód. Nie do snu mu było, a samotność i rozmyślanie pod gołym niebem, ciemnogramatowym, wyiskrzonym, miłsze niż bezsenna noc w dusznej izbie pod niskim stropem, który zdał się go przygniatać.

Rozmowa z Ostaszem zachwiała w nim przekonanie, że słusność cała jest po królewskiej stronie. Są ludzie czestni, którzy stoją przeciw niemu. Na myśl przyszedł Nawojowi Stanisław, ale otrząsnął się. Pycha i żądza władzy nim kierują, nie mniejsze od Bolesławowych, a bezwzględność i nieliczenie się ze skutkami jeszcze większe niż u króla. Obydwóm namiętna żądza osiągnięcia swego celu rozum zaćmiewa. Choć tak różni, dziwnie podobni do siebie. Nawój nieraz już myślał z przyganą o postępowaniu króla. Po raz pierwszy przyłapał się na tym, że myśli o nim z niechęcią.

Jakiś wielki ptak zerwał się z łoskotem z nawisłych nad drożyną gałęzi i spłoszył konia i myśli Nawoja. Nawój ściągnął rumaka i uwaga jego zwróciła się na zewnątrz. Niebo już pobladło, z ziemi wstawała mgielka w chłodzie przedświt. Nawój poczuł znużenie i senność. Zaczekał na człapiących za nim, drzemających na koniach pachołków i zeskoczywszy na ziemię rzekł:

— Czas spocząć, do świtu niedaleko. Jeden niech czuwa i pilnuje koni.

XXI. SAMOTRZEĆ

Słońce jeszcze nie zaszło, ale wyniosłe wzgórze, na których szczycie świecił w jego promieniach sandomierski gród, rzucały już cień na Wisłę, wezbraną jeszcze po czerwcowej powodzi. Przy zewnętrznym wale, w bramie częstokołu wychodzącej na most, dwaj mężowie prowadzili przyciszoną rozmowę. Choć jeden z nich stary już był, cokolwiek otyły i pochylony, drugi zaś w kwiecie wieku, barczysty i postawny, podobieństwo rysów i ruchów zdradzało krewniaków.

— Tedy mówicie, że u mnie w Łętkowicach wszystko po staremu? Kamień mi spadł z piersi. Nam bo donieśli, że w kraju wielmożów rzną, niewiasty nasze sromocą, a mienie grabią.

Stary uśmiechnął się i odparł:

— I prawda, i nieprawda. Juści podburzył ktoś lud, by opór stawiał nowościom, które biskup pod nieobecność króla chciał wprowadzić; ani chybi Nawój. Jako zwykle w zamęcie, nie obeszło się i bez grabieży i przemocy. A niewiasty, jako to one, nie każda rada na małżonka czekać, co gdzieś tam wojuje, własnym chuciom dogadzając. Tedy i niejeden przychówku nie najdzie, który ostawił, a najdzie, którego nie ostawił. Ale naszych swojaków Sieciech dopilnował, by się im ujma nie stała ni strata. U ciebie wszystko jako było, spokojny bądź.

— Kamień mi spadł — powtórzył młodszy — ale

rad bym choć na noc ruszył, jeno konia mi dajcie, bo mój się na nic zmarnował.

— A na tobie nic nie znać! Tęgi z ciebie pachół. Jakobym brata swego a twego rodzica widział, gdyśmy z młodu wojowali. Ale jemu się legło, a ja zależałem pole. Ociężałem i skwaśniałem przez tego pyszałka. Nie darował mi król, żem się o nasze prawa przy zmianie panowania śmiało upomnieć; ni na wojnę, ni na dwór nie wezwał ani razu. Łaska jeszcze, że mnie tu komesem ostawił. Solą mu w oku nasz ród; ano obaczym, co dalej będzie. Jeszcze może miecza spróbuję, nim całkiem obrosnę w sadło.

— Myślicie?! Prawcie, co się gotuje, bo wiedzieć muszę, co czynić. Juści, nie daruje król tym, co mu zbiegli, a mnie między pierwszymi; nie siedzieć mi w Łętkowicach. Dlatego rad bym choć dni parę spokoju zażył, póki nie wróci.

— Myślisz, że wróci? Jako prawisz, bez mała jeno z przyboczną drużyną ostat. Drugi raz się Izasławowi taka gratka nie nawinie.

— Izasław boi się go jak ognia. Jeszcze by mu koni dodał, byle prędzej wyjechał. I po prawdzie, mało ktc* się go nie boi. Nie płochliwym, ale wolałbym go na oczy nie widzieć po tym, co zaszło.

— Spokojny bądź — powtórzył Lasota. — Nie tobie każą z nim gadać. Choćby wrócił, to nieprędko. I do Krakowa jechać musi. A tam mu biskup Stanisław postawi nasze żądania. Będzie miał wóz i przewóz. Albo się z nami uładzi, albo... — ręką machnął znacząco. — Czasu mu nie starczy mścić się na wszystkich, co zbiegli.

— Nie chciałbym być w cizmach biskupa — odparł Marcin i wzdrygnął się; widno go chłód przeszedł zacinający pociągając od rzeki, którą cień wzgórz już, przekroczył i pobiegł po równinie ciągnącej się po> prawym brzegu Wisły aż ku ciemnej granicy lasów.

— W czerwonych cizmach bezpieczniej — zaśmiał się Lasota. — Na biskupa Bolko nie waży się podnieść ręki, a gdyby się ważył..,

— Nie wiem, czy jest takowa rzecz, na którą by się nie ważył, zwłaszcza w gniewie — odparł Marcin w zadumie.

— Tedy niech się waży! — niemal krzyknął Lasota namiętnie. — Za nami stanie całe duchowieństwo, które nie kocha Bogumiła, bo surowy i bezceństwo wprowadza.

— A za królem prostactwo; ma też jeszcze drużyną, co się da za niego posiekać, i Awdańców z ich swojakami, którzy możni są i rozrodzeni. Niełatwa sprawa.

— Nie tobie każą ją wieść. Sieciecha rzecz. Jeden i drugi Michał Awdańce starzy już i nic tu u Wiślan nie mają do sprawy; zresztą daleko im. Lud teraz tak przyciśnięm, że mu się oporu odechce na wieki, a drużyna jako psy; rozleci się, gdy pana nie stanie.

— Jak to, gdy nie stanie? Wždy zdrów i w kwiecie lat.

— Nie twoja głowa.

Stary urwał niechętnie, jakby się z czymś wbrew, woli wygadał, i by odwrócić rozmowę rzekł:

— Czas na wieczerzę, a także na spoczynek. Chcesz zaś gadać, przy kubku pogwarzym. Spocząć możesz choćby i kilka dni. Król, jeśli nawet wróci, to nie wcześniej jak z końcem lata i wiedzieć będziem, bo na Wiśle i Bugu mamy na oku wszystkie przeprawy. W kilkaset koni nie przejdzie nie postrzeżony. A ty, choć nie żałowałeś konia, nie pierwszy tu jesteś. Załogi z bliższych grodów, z Przemyśla, Bełza i Łucka dawno już są doma i każdy porządek wprowadza. Nim król wróci, wszystko będziem mieli w garści. Chyba że na miotle powietrzem by jechał.

— Wy go jeszcze nie znacie! — odparł Marcin.

Powietrzem król nie leciał, ale żaden goniec nie przebył drogi z Kijowa do Krakowa w tak krótkim czasie. Gdy jeno król zmiarkował, co się kroi, Jędrzejowi Jastrzębcowi dowództwo nad drużyną powierzył,

polecając ciągnąć do kraju szybko, ale nie marnując koni. Ulubioną klacz ostawił, by jej nie zeskapić, wziął na wymianę kilka najlepszych, jakie były w wojsku koni, zabrał Domana i najtęższego a najzuchwalszego ze Strzemieńczyków, Mikołaja, i pognął jak szalony, zajeżdżając konie, wypoczywając jeno tyle, by nie padły.

Usiłowali niektórzy ze starszyny powstrzymać króla, że zuchwalstwem jest samotrzeć wracać, lecz król jeno ręką machnął. Wiedział, że jego powrót wraz się stanie w kraju wiadomy, zwolenników ośmieli, chwiejnych w jego stronę przeważy, a przeciwników zaskoczy. Nikt nie przypuści, że wrócił bez wojsk.

Do Krakowa dopadli nocą. Niedaleko przed miastem konie ustały, porzucili więc zmarnowane szkapy i pieszo powlekli się do grodu. Doman radził królowi przemocować, poznać się nie dając, co nie było trudne, bo i oni byli zmarnowani, w zakurzonych szatach, z obrośniętymi, skorupą potu i pyłu okrytymi twarzami. Sam ofiarował się wywiedzieć, co dzieje się w Krakowie, by w miarę położenia albo na gród jechać, albo chyłkiem ściągnąć co wierniejszych ludzi, lub zgoła doczekać powrotu drużyny. Król odparł jeno opryskliwie, że nie po to konie zmamił, by stać pod własną bramą.

Ruszyli tedy w milczeniu, które przerwał Mikołaj:

— Jeśli już mamy samotrzeć grodu dobywać, to lepiej zniecka naskoczyć. Po co mają wiedzieć, żeście wrócili, póki wy nie wiecie, co na grodzie?!

Bolesław zrazu nic nie odrzekł, jakby się zastanawiał. Po chwili zapytał:

— A jakże na gród się dostaniesz, by nas nikt nie widział?

Strzemieńczyk zaśmiał się z cicha:

— Małom to za młodych lat za dziewczkami się nałaził po zamknięciu bram, aż mi czcigodny biskup, niech go zła krew zaleje, wypominać to raczył?! Dziewek zabyłem, odkąd pojąłem Małgochę, ale przejścia dawne pamiętam. Trafię i po ćmie.

Tymczasem jednak srebrzysty poblask na wschodzie rozszerzył się tak, że pojaśniało i z ciemności wyłoniły się zarysy grodu. Przebrnęli strugą sącząca się pod północną ścianą skały i jęli za Strzemieńczykiem pięć się ku górze. Po chwili stanęli na niewielkim występie skalnym, skąd prostopadle wznosił się mur, otaczając wewnętrzny dziedziniec zamkowy.

W kącie cień leżał, księżyc jednak wytoczył się już na niebo. Pojaśniało, i w murze, w miejscach, gdzie brakło kamieni, zaznaczyły się ciemniejsze wnęki, stanowiące oparcie dla rąk i nóg. Mikołaj wspiał się pierwszy i stanawszy na blance muru pomógł wciągnąć się Bolesławowi. Ostatni wszedł Doman.

Zadyszani, czekali nasłuchując i wypatrując, czy ruchu jakowego nie dostrzegą. Spało jednak wszystko. Straże, jeżeli stoja, to na bramie i na południowej wieży. Trudność stanowiło zejście na podwórzec. Albo trzeba skakać z wysokości kilku sążni, albo murami przejść przez całą długość. Jeśli ktoś czuwa, musi zauważyć.

Po krótkiej naradzie postanowili, by Strzemieńczyk poszedł śmiało do wejścia. Jeśli go kto zagadnie, rzec ma, że idzie do łaźni, a gdyby go rozpoznano, powie, że zbiegł z Rusi jako drudzy. Od łaźiebników dowie się, jakie jest położenie na grodzie, i króla zawiadomi.

Poszedł i słyhać było jego kroki po kamiennym chodniku; za chwilę zaskrzypiały na żwirze podwórca i ucichły. Król położył się na murze i podłożywszy pięści pod głowę natychmiast usnął. Doman czuwał przy nim, patrząc jak księżyc wypłynął na niebo i miał samotne chmurki ciągnące z zachodu. Choć znudzony śmiertelnie, rad by lecieć do Bietki. Żywił nadzieję, że na grodzie wszystko znajdą w porządku i rankiem będzie mógł skoczyć do niej. Usiadł pod ścianą wieży i myśl zaczęła mu się mieszać z marzeniami, a głowa kiwała się sennie.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo siedział; ocknął się na odgłos kroków. Niebo na wschodzie już jaśnia-

ło. Z trudem wstał i poznając w nadchodzącym Mikołaja zapytał półgłosem;

— Co tam?

— W łaźni napalone.

Trącać zaczęli króla, który zerwał się natychmiast, choć oczy miał zamknięte.

— Miłościwy panie, idźcie się wyparzyć. Tymczasem, zda się, nic nie grozi.

Bolesław wzdrygnął się, lecz już oprzytomniał widocznie, gdyż mruknął:

— Gadałeś z kim?

— Z łaźniami. Jest na grodzie królowa z Mieszkiem. Jest Sieciech, a nie ma ni Nawoja, ni biskupa. Więcej się nie dopytywałem. Od wypadku rzekłem im, że z Kijowa uszedł, kazałem rozpalić i spać iść. Chodźmy się parzyć, a potem spać się kropnę i łeb rozbiję każdemu, kto mnie obudzi. Zasię, jak wstanę, jadę do Zębocina, choćbyście mi łeb uciąć kazali.

— Potem pójdziesz do Sieciecha i każesz mu, by się stawił niezwłocznie — rzucił król.

Mikołaj podrapał się w głowę frasobliwie, lecz nic nie odrzekł i udali się do łaźni.

Parzyli się w milczeniu, walcząc ze snem, gdy ktoś zapukał do drzwi. Król, bez słowa, wskazał Mikołajowi, by się odezwał.

— Czego, u licha? — krzyknął Strzemieńczyk.

— Sieciech was wzywa, byście nie mieszkając przyszli.

Mikołaj chciał zakląć, lecz pomiarkowawszy się odparł:

— Jeno się przebiorę i zjem co.

— Zjeść możecie u Sieciecha.

— Tedy niech dużo nagotuje. Głodnym jako wilk.

Posłyszeli oddalające się kroki. Mikołaj ubierał się, a król rzekł:

— Nie daj zrazu nic poznać po sobie. Obaczmy, co mówił będzie.

— Dobrze — odparł Strzemieńczyk i wyszedł.

Sieciechowi doniesiono od razu o powrocie Mikołaja. Sprawa wydała mu się niejasna. Strzemińczyki znani byli z psiego przywiązania do króla. Mikołaj wprawdzie wielce miłował swą Małgorzatą i posłuszawszy, że ją pospółstwo w Zębocinie jako w oblężeniu trzyma, mógł zbiec, ale w takim razie nie przyjeżdżałby do Krakowa. Sieciech podejrzewał raczej, że od króla na przespiegi przyjechał. Dlatego przybrał się zaraz, kazał wezwać Mikołaja i czekał posilając się w towarzystwie swego powiernika Fałka.

Nie czekał długo, gdy rozległo się pukanie i wszedł Strzemińczyk, czerwony jeszcze od pary, ze zmierzwionymi włosami, z szatą rozchełstaną na piersi, lecz z mieczem przy boku i nożem za pasem. Niefrasobliwie pozdrowił Sieciecha, którego nie lubił, i nie proszony siadł, zaraz zabierając się do jada.

Sieciech przez chwilę dał mu się pożywić, po czym zapytał:

— Uciekłeś?

— Hm! — mruknął Mikołaj pełną gębą.

— Sam?

— Nie — odparł przez nos i jadł dalej.

— Odpowiadaj składowie, kiedy pytam — rzekł Sieciech twardo.

— A cóż to? Wy mnie sądzić będziecie? — rzucił Mikołaj zuchwale.

— Sądzić — nie! Ale może o pomoc ty prosić mnie będziesz.

— O pomoc? A to przeciw komu? Sam sobie radzę, jako wydolę — zadrwił Mikołaj.

Sieciech, patrząc na niego bystro i podejrzliwie, wygarnął znienacka:

— Sam rozpędzisz gromady, co twoją Małgorzatę od pół roku na wieży kościoła oblegają?

Mikołajowi nóż wypadł z ręki; zerwał się i zakrzyknął:

— Co gadacie?

— Nie słyszałeś o tym? To czemużeś uciekał? Gadaj no, po coś do Krakowa przyjechał!

Lecz Mikołaj już się opanował, jeno gniew go chwycił, że się wydał przez podstęp Sieciecha; odparł ze złością:

— Od króla się dowiecie.

— Ja czasu nie mara czekać, aż król wróci. Moje prawo pytać, bo moja tutaj władza, a na nieposłusznych także są sposoby.

Mikołaj roześmiał się złośliwie i wstając odparł:

— Za poczęstunek dziękuję. Poty waszej władzy, póki króla nie było. Kazał wam się stawić nie mieszkając. Też czasu nie ma ni cierpliwości. Pospieszcie się, bym was za brodę przywieść nie musiał.

Sieciech zdębiał tak, że mimo uszu puścił zuchwalstwo wojaka. Po jego wyjściu powiedział do Fałka:

— Niepodobne to do wiary. Ale jeżeli prawda, to spóźnił się. Niemniej trzeba iść się dowiedzieć i przestrzec naszych, by mieli się na baczności.

Ubierał się pospiesznie przypasując miecz. Fałek rzekł z wahaniem:

— Może byście lepiej zawczasu zbiegli. Kto wie, co wam gotuje?

— Popłaca zuchwalstwo, jako widać. Chytróści mi nie brak, a strachu nie znam. Pójdę.

Sieciech szedł rozmyślając po drodze, co mu mówić wypadnie. Snadź zaświtała mu szczęśliwa myśl, gdyż na surowej jego twarzy zjawił się uśmiech. Zapukał i wszedł.

Król siedział na łożu, a Doman krzątał się koło niego. Sieciech pokłonił się od progu mówiąc:

— Bogu dziękować, żeście wrócili, (miłośniwy panie. Czas był już wielki. Trzeba było jeno mnie zawiadomić, bym przyjęcie, jak należy, zgotował.

Król patrzył przenikliwie na stojącego i odparł:

— Nie o przyjęciu mi prawcie, jeno co się tu dzieje.

— Pozwólcie sobie rzec, panie, że nie mnie piecza nad krajem była powierzona. A ci, co ją mieli, niech sami odpowiedzą za siebie. Jam, co do mnie należało,

uczynił. Przywódcę, powstaniom złowił i obwiesił, grabież i nieposłuszeństwo potłumił. A kto je rozpętał, pono Nawój mógłby wam rzec o tym.

— Nawój gdzie? — spytał król.

— Nie zwykł mi się zwierzać, gdy wyjeżdża. Tedy mogę jeno powiedzieć, czego się domyślam lub co ludzie gadają, jeśli babskich słuchać zechcecie plotek.

— Gadajcie! — rzucił Bolesław szorstko.

— Jedni mówią, że Bietki Domanowej szukać pojechał, którą Gosław porwał...

Rozległ się stłumiony okrzyk Domana.

— Wyjź! — rzekł król niecierpliwie, a gdy Doman, zataczając się, opuścił izbę, podjął:

— A inni?

— Że się z wami zrazu wolał nie zetknąć, póki ludzie opowiadać nie przestaną.

— Opowiadać? O czym?

Sieciech opuścił oczy i na twarz przybrał wyraz przymusu.

— Każecie, to powiem. Wiadomo, hoża jako lania niewiasta lat całych we wdowieństwie nie wytrzyma. A mniej jeszcze do prawdy podobne, by mąż się bez niewiasty obywat, mnichem nie będąc. Tedy ludzie gadają.

— O kim? — niemal krzyknął król.

— O małżonce waszej i Nawoju. Ja jedno wiem sam, że nieraz z sobą uradzali w cztery oczy. O czym, pytać nie mogłem.

Król przybladł, lecz rozeźmiał się nieszczerze:

— Królowa i Nawój! Jeno głupim babom na myśl to przyjść mogło.

— Nic nie wiem. Jeno to, że białki lepiej znają się na tym.

— Dość! — rzekł król groźnie. — Kto głowę chce mieć na karku, niech pilnuje języka.

Sieciech skłonił się w milczeniu, lecz patrzył na króla spod oka; król widocznie był wzburzony, gdyż głos miał ochrypły, gdy warknął:

— Tymczasem odejść możecie.

— Rozkazy wydacie jakie?

— Obaczę, jakie i komu, gdy się rozejrzę.

Sieciech jeszcze raz skłonił się i wyszedł w milczeniu: musi mieć się na baczności i przestrzec innych.

XXII. KARZĄCA DŁOŃ

Nawój jechał bezdrożem i bezludziem. Kraj był fa>listy, poprzecinany wąwozami lub leśnymi jeziorkami, w których stała czarna, martwa woda. W jej ponurej, przejrzystej głębi widać było czasem jakby kłęby węzowisk, to znów jakby członki jakichś stworów pokracznych, ma których widok pachółkowie Nawoja żegnali się i spluwali. Godzinami nieraz obchodzić trzeba było te nieprzebyte topiele, przed którymi konie chrapały i cofały się trwożnie, gdy usiłowano weprzeć je w wodę. Z rzadka widzieli nad głową kawałek błękitnego nieba. W głębinach leśnych leżał chłód i mrok.

Przedzierali się mozolnie, prowadząc konie przy pyskach. Często płoszyli stada płowych turów z ciemnymi pręgami na grzbietach; spotykali żubry, w zielonym cieniu niemal czarne, jeno spod grzyw błyskały im przekrwione, złe oczy, którymi obrzucały natrętów wdzierających się do ich królestwa. Czasem tupot licznych kopyt zdradzał, że uchodzi stado leśnych koników, czujnych, by nie zetknąć się z człowiekiem, który by ich do służby swej wciągnąć nie omieszkiał. Konie Nawojowego orszaku rżały tęsknie, rade pobiec z wolnymi krewniakami; niekiedy chrapały niespokojnie, czując widno drapieznika, który uchodził bezgłośnie przed nieznanymi istotami.

Na nocleg stanęli wcześniej, w puszczy bowiem noc zapadała rychła i czarna, pełna szmerów i odgłosów,

których nasłuchiwali przy ognisku, patrząc niespokojnie w ciemną głąb, zamkniętą dla oka kręgiem czerwonego światła płomieni, które grało chwilami w oczach jakichś niewidocznych istot, bezszelestnie podchodzących pod obozowisko. Pachołcy szeptali między sobą trwożliwie, Nawój milczał.

Trzy dni darli się bezdrożami, aż kraj uczynił się bardziej płaski i bagnisty, a liczne strumyki zmierzające w jednym kierunku wskazywały, że zbliżają się do rzeki. Nieprzebyta i nieprzenikniona puszcza ustąpiła miejsca zagajnikom, wesołe jeziora odbijały błękit letniego nieba, a wieczorami roje komarów uprzykrzały życie, zmuszając do utrzymywania przez całą noc dymnych ognisk.

Pachołkowie radzi jednak byli, że wydostali się z niesamowitej puszczy i wkrótce natrafić muszą na osady, gdzie wypoczną i pożywią się wreszcie, nie tylko wędzonym mięsiwem i rzepą. Jakoż wyjechali na drożynę i przed zachodem słońca ujrzeli dymy osady położonej na stoku wzgórza, nad bagnami. Omylili się jednak myśląc, że Nawój stanąć każe na wypoczynek, minął ją bowiem nie zatrzymując się i zanurzyli się w las wysokopienny, sosnowy, z rzadka podszyty młodnikiem. Pachołkowie narzekali, lecz nim mrok ogarnął świat, las skończył się, a na ciemniejszej już ziemi zarysowała się wstęga wody, odbijająca jaśniejsze od niej niebo. Za chwilę dotarli do brodu na Pilicy, przy którym stała karczma. Nawój zeskoczył z konia i kazał go do stajni prowadzić.

Karczmarz, zrazu przepłoszony przybyciem nieznanych ludzi, gdy pachołkowie spać poszli do koni, rozgadał się z Nawojem narzekając na czasy, które spokojnym ludziom żyć nie dają. Nawój wysłuchał cierpliwie utyskiwań zgorzkniałego starucha, potem wypytał o osadę Przebimiła i spać poszedł. O świcie wstał, pobudził pachołków i za chwilę przeprawili się przez płytki bród na Pilicy i zanurzyli w las.

Droga zaczynała się piaszczysta i nawet w cieniu upał doskwierał. Powietrze aż duszne było od woni

żywicy i ziół; konie piły chciwie w strumykach, które przecinały im często drogę. Wlekli się jednak bez przerwy do południa, minawszy tylko jedną osadę, zjedli posiłek i skręcili na leśną dróżkę wzdłuż strumienia, znaczoną jeno koleinami.

W lesie była cisza, przerywana niekiedy skrzekiem sójki lub kuciem dzięciołów. Jechali dość długo i słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy z dala posłyszeli naprzód hałas jakby rąbania toporów, a potem rozróżnili głosy ludzkie. Za chwilę, dość z nagłą, otworzyła się przed nimi polana. W prawo ciągnęły się łąny dojrzewającego już zboża, na lewo, na wznórku otoczonym częstokołem z nie poczerniałych jeszcze pali, który miejscami schodził aż do strumienia obiegającego pagórek, widać było kilka szop i wznoszące się ściany obszernego budynku. Pracowało tu kilkunastu ludzi.

Nawój z towarzyszami wjechał w obejście wyrwą "w częstokole, przeznaczoną na bramę, której jeszcze nie było. Pracujący dostrzegli ich zaraz i coś mówili do tęgiego męża stojącego na stropie z belek, który kładziono właśnie nad przyciesią, skąd roboty doglądał. Gdy odwrócił się ku przybyłym, Nawój poznał Przedbora Poboga, którego kilka razy widział na dworze i wiedział, że od niego Przebimił kupił pustkowie. Zeskoczył z konia i oddając wodze pachołkowi ruszył ku Przedborowi. Twarz miał mroczną i zaciętą. Gdy się zbliżył, Przedbór odezwał się pierwszy, pokrywając wyraźnie jakieś zmieszanie:

— Nawój! Was bym się tu widzieć nie spodziewał. Ani prosić gdzie usiąść, bo jako widzicie, dopiero się buduję.

— Jeszcze mniej ja ciebie zastać się tu spodziewałem. Wszakże z królem był w Kijowie?

Przedbór zaśmiał się nieszczerze:

— Byłem i wróciłem.

— Uciekleś. Że ci też na myśl nie przyszło, iż król was do sprawy wołać będzie po powrocie. A ty spokojnie budujesz.

Przedbor spojrział krzywo, ale odparł lekko:

— Jeśli wróci. A wróci, to się z nami musi ugodzić. Czas tamę położyć samowoli.

— Ktoś ci to powiedział, bo sam. byś nie wymyślił tego. Jenó nie wiem, czy ci powiedział, że jeszcze się króla o to nie pytali.

Przedbor ramionami wzruszył odpowiadając:

— Za jedno. Wrócić musieliśmy, by pospólstwo poskromić, co się porwało na nasze niewiasty i mienie.

— Na twoje mienie i niewiastę takóž?

Przedbor poczerwieniał, lecz odrzucił wyzywająco:

— Na moje nie, wszystko w porządku zastałem. Jeszcze i przybytek, bo chłopak mi się urodził i puściznę objąłem po Przebimile.

— A jakim to prawem? Wszakże i po Przebimile chłopak ostał. Twardy był człek, nie darowałby krzywdy.

— Potomstwo jego nieprawe, bo kmiecią córkę pojął, tedy i spadek puścizną jest.

— Widzę, że myśląc, iż cię przed królem osłoni, chętnie słuchasz biskupa i prawa, które on głósi, bo ci sieroce mienie zagarnąć pozwala.

— Co się będę swarzył — odparł Przedbor szorstko. — U siebie jestem, wam się spowiadał nie będę. A robota nie czeka; dach stawiać trzeba, przed żniwami chciałbym rodzinę tu ściągnąć.

— Przebimił też dla siebie myślał tu dach stawiać, a miał niego ziemię ma nad głową — rzekł Nawój dziwnym głósem. — Ze ci też na myśl nie przyszło! Złe miejsce!

Przedbor poczuł groźbę w głósie Nawoja i zaniepokoił się. Może król wrócił i po niego przysyła? Z Nawojem jeno trzech pachołków, ale w lesie może czekać więcej. Ogarnął skraj lasu wzrokiem, odrywając oczy od Nawoja, i to go zgubiło. Ciężki młot ciesielski warknął w powietrzu i ugodził go w czoło. Jakby ktoś kości wyjął z jego ciała, Przedbor zwinął się w łachman i spadł prawie do stóp zabójcy, bluzgając krwią z nosa i z uszu.

Krzyk wszczął się między jego ludźmi, biegli podnosić. Nawój jeno ich wzrokiem obrzucił, rękę położył na mieczu i skierował się do konia. Dosiadł go i ścigany przekleństwami, nie spiesząc się, wyjechał z obejścia. Zniknął w lesie, który już czerwienił się pniami sosen od zorzy słońca zachodzącego na wiatr.

Choć po okresie burz ustaliła się spokojna, letnia pogoda, Nawój ciągnął z Wielunia jakby po smole. Niczego nie załatwił. W Wieluniu spotkał się ze Zbywojem i upewnił się jeno, że ruch pozbawiony wodza przygaś, a tłumią go do szczętu powracający z Rusi woje. Zbywój mówił, że był u kilku bardziej znanych ludzi, by do dalszego oporu zachęcić, wszędzie jednak doznał zawodu. Jedni wprost odmawiali, szukając porozumienia z wielmożami, choćby za cenę wyrzeczenia się reszty praw, byle jeno życie ocalić, inni już za życia zbyli lub zbiegli, ukrywać się zmuszeni. Zajechał nawet do Witosza, ale w leśnej chacie wilki się już zagnieżdżyły. Tylko wspomnienie ostało po olbrzymim starcu, który niegdyś przewodził ludowi w walce, a echo słów jego sprzed lat: „Trzymajcie z tym, co z wami trzyma, póki siłę ma!”

Bolesław widno nie miał siły. Gdzie i kiedy szczyła potęga, która zdała się większą od cesarskiej, głowił się sam Nawój, choć najbliższy stał spraw i widział rzeczy dla innych niewidoczne. Cóż zresztą pomogło głowić się nad przyczynami, skoro jasne było, że jedyną siłę, którą mógł przeciwstawić wicherzącym, ma król w sobie i w drużynie. Tym musi wielmożów pokrozić i rozdwojenie usunąć w Kościele. Jedno i drugie — sprawy ni łatwe, ni proste, wymagające ostrożnego i przemyślanego działania. Nawój zbyt dobrze znał króla, by się mógł spodziewać, że działać będzie z rozmysłem i umiarkowaniem. Po zajściu zresztą z Przedborem mniej sam się dziwił. Gdy krew zakipi w człowieku, trudno dłoń pohamować, tym bardziej temu, co hamować się nie umiał nigdy.

Był jeno król wrócił już jak najrychlej! Nawój myślał, co powie królowej, powściągał konia. Położyła w nim całą ufność. Zmuszony będzie jej wyznać, że jest bezradny.

Powściągał też konia, gdy myślał, że powinnością jego wobec Przebimiła jest obaczyć się z wdową po nim. Botowno, gdzie wrócić musiała do swojaków, gdy ją wygnał Przedbór, leży niemal przy gościńcu wiodącym przez Mstów do Krakowa. Przed sobą samym nie znalazłby pozoru usprawiedliwiającego brak pieczy o rodzinę człowieka, który zginął przez niego i dla niego. Wstydzi! się przyznać, że nie śmie w oczy spojrzeć jego wdowie. Toteż przemógł się i wyjechał z borów na otwartą polanę, skręcił z gościńca na wschód, ku niewysokim wzgórzom; przebrnąwszy bagnisty strumyk, drożyną wśród łąk dotarł do osady i spotkanych chłopaków, pasących na wygonie, zapytał o kmiecia Malisza. Pokazali mu chatę na uboczu, z krają osady stojącą, lichszą od innych i Nawój ruszył ku niej, zostawiając malców z rozdziawionymi gębami, zdumionych, że dostojnik taki o najuboższego z osadników pyta.

— Pewnie od Przebimiła do Ludmiły — domyślał się jeden.

— Przebimił przecie nie żyje — odparł drugi. — Ludmiła wie najlepiej. Jeno wyjechał, co to go puścić nie chciała, płakała jak po umarłym i mówiła, że nie wróci.

Posuwali się za przyjezdnym, lecz pachółkowie odegnali ciekawych, więc jeno z dala patrzyli, co będzie.

Od obory szła stara niewiasta ze skopkiem mleka. Siwą głowę miała odkrytą, włosy w nieładzie. Szła przygarbiona, jakby pod ciężarem. Gdy Nawój pozdroził ją, z zaskoczenia puściła skopek i plasnęła rękami. Skopek potoczył się, rozlewając strugę mleka.

Na ten widok ręce załamała z krzykiem:

— Jezu! Czymże nakarmię małego?

Zapaskę podniosła do oczu i płakać zaczęła. Nawój niepewnie rękę położył na jej ramieniu, mówiąc:

— By jeno tyle zmartwienia. Wraz pachółka po mleko pośle. Uspokójcie się, chcę pomówić z wami. Wyście matką Ludmiły?

— Jam ci jest — odparła powściągnąwszy szloch. — I wybaczenie, panie. Gdy człeku nieszczęść się przebie-
rze, sił brak, by niepowodzenie znieść. Z rąk leci
wszystko. Usiądźcie, proszę.

Zapaską wytarła ławę pod ścianą, nie patrząc na Nawoja. Nawój pachółkowi kazał skoczyć po mleko i siadając koło niej zapytał:

— Wiecie, kto jestem?

— Juści wiem! Mało się Przebimił o was naopowia-
dał? Miłował was więcej niż krew własną, ano za to
na zgubę poszedł.

Zarumieniła się i odwróciła twarz, jakby zatrwożo-
na, że gościa mogła urazić. Nawój milczał, z twarzą
zasepioną i ściśniętym sercem. Po chwili rzekł, jakby
się usprawiedliwiając:

— Sprawy, które ja wiodę, gorsze niż wojna. Mę-
żem był Przebimił, zginął jak mąż.

— A żonę jego z dzieckiem, jak sukę ze szczenię-
ciem, wygnano z własnego imienia. Jeszcze Przebimił
skarby swe pod węgły domostwa zakopał. Bez niczego
ostali — powiedziała z goryczą.

— Do wszystkiego wrócą. A tymczasem niech to
starczy.

Odpiał trzos i wysypawszy garść pieniędzy podsu-
nął starej. Wyciągnęła rękę pożądliwie, lecz cofnęła
ją nagle.

— Nie wezmę! Nie mogę!

— Czemuż to? — rzekł niemal gniewnie. — Nie
wam daję, jeno Przebimiłowej wdowie i dziecku, com
i powinien. Życia zmarłemu nie wrócę, ale o sierotę
dbać będę jak o swoje. Niech się czas uspokoi, zgola
do siebie wezmę; nie ostanie bez opieki.

— Nie! Nie można. Młodziście jeszcze, swoje mieć
; będziecie — wykręcała się wyraźnie i niezręcznie.
Patrzył na nią nieufnie.

— Nie będę miał swego. Serce mam stare. A Prze-

bimiłowa wola była, by się chłopak bez rodzica nia poniewierał jako on sam. Zgotuję mu lepszą niż wy, dołą. Cóż mi tu babskie dasy okazujecie!

Stara milczała, widno nie wiedząc, co rzec. Nagle krzyknęła jakby przestraszona. W sieni rozległy się kroki i ukazała się młoda niewiasta, z dzieckiem ną ręką. Nawój, sam nie wiedząc czemu, wstał. Ni©'. wąpił, że ma przed sobą Ludmiłę. Patrzył na nią, zmieszany jak nigdy.

— Jeszcze wam dziecka potrzeba, by szczelo, ojca wam mało?! — zawołała głosem nabrzmałym rozpaczą. — Szkodziło wam, że Przebimił dom i rodzinę nalażł, których nie miał przez całe życie? Wydarłście mi jego, nic od was nie chce.

Podsuwając Nawojowi dziecko, niemal krzyknęła:

— Patrzcie! Niewiele się nim Przebimił zdążył nacieszyć. Wyglądało jak życie samo. A teraz? Czym je nakarmię? Tą rozpaczą, co mam w piersi miast mleka? Przekleństwo na was!

Nawój milczał. Z twarzy dziecka bladej, z sinymi wargami, patrzyły na niego Przebimiłowe oczy. Zdało mu się, że widzi w nich wyrzut, gorszy od zawartego w słowach Ludmiły, bo niemy.

Stał jak pod pręgierzem i wzbierała w nim gorycz i rozdrażnienie. Już miał się odwrócić, by odejść, gdy bez woli wydarły mu się słowa:

— Mnie przeklinacie! Słów szkoda, jakoby wodę do rzeki lał. Tego przeklinajcie, co nieszczęście wasze zawinił. Na imię swoje wrócić możecie i skarby wykopać, bo Przedbór nie żyje. Jego już Bóg moją ręką skarał. Pokarze i innych.

Umilkł, sam zdziwiony własnym wybuchem. Opanował się i dodał spokojniej:

— Pachołków wam ostawiam. Pojadą Przebimiłowe skarby wam wykopać. Wierni są, zaufać im możecie.. Nie będzie wam trzeba moich przeklętych pieniędzy.

Nogą stracił kupkę srebra z ławy, odwrócił się i odszedł da konia. Stara za rękę go uchwyciła wołając:

— Wybaczcie! Nie odjeżdżajcie w gniewie. Musicie zrozumieć, co to jest rozpacz!

— Rozumiem ci ja! Nie gniew jest we mnie. Dałbym wam wszystko, a nic dać nie mogę. Z Bogiem ostajcie!

Ciemną nocą samotnie dojechał do Mstowa i zagnieździł się w gospodzie, by zaczekać na powrót pacholków.

Wąlewał się w pogodne, letnie dni i noce po lasach i dolinach, usiłując w samotności policzyć się z ludźmi i sobą i o dalszym życiu postanowić. Nie tylko stracił wiarę w siebie, ale zakorzeniło się w nim przekonanie, że wszystko, do czego ręki przyłoży, źle musi się skończyć. Starał się na zimno opanować myślą przesąd, ale zbyt świeże były otrzymane ciosy, by je mógł .. rozważać spokojnie.

Trzeciego dnia późnym wieczorem wrócił z włości do karczmy i zjadłszy coś niecoś wyszedł na przyzbę. W izbie duszno było i myśl tłuła się bezładnie.

Młody księżyc już zaszedł i Nawój, oparty o ścianę, wpatrzył się w niebo wyskrzzone gwiazdami, których spokojne mruganie i cisza nocna pozwalały mu zapomnieć o sobie. Zapomniał się tak, że stąpania koni na drodze były już blisko, gdy się przecknął. Zrazu pomyślał, że to jego pacholki wracają, lecz wraz pomiarkował, że koni jest więcej: na jaśniejszym tle drogi czerniała gromada ludzi. Tupot pieszych mieszał się ze stąpaniem koni. Zatrzymali się przed karczmą i jakiś znany Nawojowi głos zakrzyknął:

— Jest tam kto? Bywaj!

Nawój dźwignął się szybko, a przyjezdny, biorąc go w ciemności za karczmarza, zawołał rozkazująco:

— Z królewskiej drużyny! Wieczereż dla dziesięciu ludzi, a ceber kaszy dla tych psów trzydziestu.

Ręką wskazał na pieszych. Nawój dopiero teraz zauważył, że szli powiązani powrozami jeden do drugiego. Więźniowie! Posiadali zaraz, gdzie który stał, widno dowódca nie żałował ich nóg.

— Jędrzej! Wróciliście?! — zapytał Nawój, podniecony.

Przybyły zeskoczył z konia i z bliska spojrział w twarz Nawoja.

— Nawój! Skądś się tu wziął? Król pytał o ciebie. ZJy!

— Król wrócił?

Nawój odetchnął z ulgą, jakby mu kamień spadł z piersi i jakby nie dosłyszał ostatnich słów Jastrzębca. Weszli do izby, a tymczasem na podwórku zapłonęły ogniska i gwar spłoszył ciszę nocną. W karczmie też wszczął się skrzęt i Jędrzej wyszedł, by dopatrzeć bezpiecznego umieszczenia więźniów na noc. Pomału uciszyło się, i gdy spokój zapanował znowu, Jędrzej z Nawojem zasiedli do pogwarki przy kubkach. Nawój zbył prędko pytania wojaka i słuchał jego opowiadania.

— Król wrócił samotrzeć do Krakowa. Śmiały jest, ale omal życiem nie przypłacił. Nocą morderców ktoś nasłał na króla. Doman z Mikołajem ubili trzech, a czwartego schwyтали żywcem, ale król tak sŁę wściekł, że go własną rękę uśmiercił, zanim wyptać zdołali. Mikołaj się klnie, że w jednym, co zbiegł, poznał człeka z biskupiego orszaku. Kto zresztą wie, czy prawda, bo ćma była, a Strzemieńczyki, jak wiadomo, koty zawždy darli ze Stanisławem i mają z nim swoje rachunki.

Zamyślił się przez chwilę i ciągnął:

— Może i król sam nie wierzył, a może nie chce teraz wojny z biskupem, bo zgoła nie wołał go do sprawy, jeno się zajął tymi, co z Rusi zbiegli, na zgubę nas ostawując. Czwartego dnia po królewskim powrocie przywiódłem konną drużynę; z pieszych mało co ostało, bo ich siła nad Teterewem wycięto, a reszta przeważnie uszła; niedobitki ciągną wolno za nami. Bogać tam dociągną, bo ich Ruś w powrocie pobierze albo wytraci, ale co robić było. Tutaj gorąco. Po drodze ułowiłem kilku zbiegów, bo się nie spodziewali, byśmy wrócili, a już najmniej, by tak prędko, i po

dworcach sobie siedzieli z białkami jakby nigdy nic, przychówek oglądając lub starając się o nowy.

Jędrzej zaśmiał się, lecz wnet spoważniał i mówił:

— Gdym ich przyprowadził, król zaraz sąd zwołał. Tłumaczyli się, że niewiasty ze służebnymi się wdały, przeto wrócić musieli, zdrajców pokarać. Król, który ode mnie wiedział, że siedzieli sobie spokojnie, zapytał jeno, jako pokarali niewierne, a gdy nic nie odrzekli, tedy niemowłęta odjąć kazał niewiastom i szczeniaki karmić, niby sukcom; starszyźnie, co do buntu dopuściła, łby ścinać; prostym zaś wojom mienie odjąć i wygnąć. Biskup się wdał, prawiąc, że sąd o cudzołóstwo do niego należy, ale król ani słuchał. Ścieli zaraz kilku, między nimi Marcina Toporczyka z Łętkowic, Sieciechowego krewniaka. Biskup się zeżlił i nie przyszedł więcej na sądy, jeno króla kazał powiadomić, że w radzie zasiadał nie będzie, bo nie myśli słuchać ni wykonywać niesprawiedliwych praw. Król tylko ręką machnął i kazał ścinać dalej. Iście rzeźnia na grodzie.

Jastrzębiec wychylił kubek i ciągnął:

— Nie wiem, co tam zastaniemy, bo biskup jakby umyślnie króla wyzywa i chyba chce wojny.

— Myślę, że tak — rzekł Nawój. — Dogodniej mu teraz, kiedy król sroży się nad wielmożami. Gdy ich poskromi, biskup sam nic nie wskóra.

— Tak i ja myślę — rzekł Jędrzej w zamyśleniu. — Ale zda mi się, że król i tak więcej bierze, niż uniesie. Ściągać kazał zaległe daniny, co ich nie płacono z powodu zakazu biskupiego, a opornych karać. Wszyscy komesi dostali rozkaz zbiegów łowić; jedni słuchają, drudzy nie, bo to i krewniaków nie brak między nimi, i poniektóry boi się, bo zgadniesz, kto wygra? f Ja sam w pętach i Jastrzębców wiodę. Co mi tam!

Wychylił znowu kubek, ale twarz mu spochmurniała.

— Od pacholąt my prawie z królem żyjemy; bliższy mi on niż krewniacy. Ale życia swego człek nie

ma. Wszak ci nam młodość już mija. Tyś samotny, a ja niewiele lepiej, bom nawet *Óo żony* i dzieci skoczyć nie miał kiedy, com ich nie widział keś czasu. I znowu wojna! Jeno gorsza niż z postronnymi, bo serca człek nie ma do niej.

Nawój jednak przerwał utyskiwania wojaka zapytaniem:

— A królowa i Mieszko są w Krakowie?

— Są — odparł Jędrzej nie patrząc na Nawoja. — Nie do pojęcia, jak piękne i wdzięczne to chłopię. Rok go nie widziałem, a wyrósł i zmężniał, jakby mu lat trzy przybyło. I roztropny, że aż miło go słyszeć... a żal pomyśleć, że zmamić się może przez to, co dzieje się teraz. Z urody do ojca się wdał, jeno tęższy będzie, a ze spokoju i mądrości w dziada; i smutny jak on.

— W matkę się wdał — rzekł Nawój w zamyśleniu, lecz Jędrzej, jakby odwrócić chciał rozmowę, rzekł:

— Jeszczem ci nie mówił, co biskup zrobił. Wiesz, jako król klacz swoją lubi. Choć było o czym innym myśleć, pierwsze o co zapytał, gdy wrócił, to o nią. Aże śmieszne. Stroi ją jak miłośnicę albo zgoła królową i sam dogląda; nie ruszy się bez niej nawet do kościoła, jeno przed bramą ją stawi. Biskup się zgniewał i królowi oznajmić kazał, że to pogaństwem trąci i zgorszenie sieje, bo ludzie jak ludzie — ot! — wszetecznoństwa opowiadają, że się król z klaczą zadaje. Widziałem, że się królowi bebechy obróciły, ale udał, że go to bawi, i biskupowi odpowiedzieć kazał, by o własne owieczki dbał, a nie o cudze konie, i dalej przed kościołem ją stawiał. Tedy biskup nadszedłszy miecz od pachołka wziął i klacz po łbie dzielił, nozdrza jej obcinając. Może pozdrowieje, ale oszpecił ją całkiem...

— Było to w dzień mego wyjazdu — ciągnął Jastrzębiec. — Król się też na Śląsk wybierał, bo Łabędzie i ich swojaki nie słuchają królewskich rozkazów, a tamtędy idą ci, co w kraju głów swych niepewni,

uchodzą do Czech. Daj Bóg, by wyjechał, bo biskup musi czuć się silny, kiedy prze do rozgrywki, choć król niecierpliwi się i zaciska zęby, co mi i dziwna. Mnie by samego poniosło, gdyby mi kto ulubionego konia okaleczył.

— Jedźmy do Krakowa — rzekł Nawój wstając. — Twoich więźniów niech dziesiętnik odprowadzi, bo widziałem, że ledwo się wloką. A my możemy być w Krakowie potrzebni. Świta już.

Jakoż błony w oknach pojaśniały przepuszczając pierwsze odblaski zorzy, a z dworu dochodzić zaczęły nieśmiałe głosy budzącego się ptactwa. Wstawał pogodny dzień.

XXIII. PRZESTROGA

Śmiałość i szybkość poczynań króla zaskoczyła zbuntowanych, a bezwzględność, z jaką wziął się do łamania oporu, odbierała nadzieję, by sprawy dały się na drodze układów uładzić. Nikt nie śmiał nawet przedstawić królowi żądań wielmożów i rycerstwa ni za skazanymi się ująć. Objawy oporu gasły i zdało się, że król stłumi go od jednego zamachu. Nie było niemal rodu, z którego by jakaś głowa nie spadła na pieńku, i wzrastała niechęć, ale skrywano ją starannie; każdy drżał o siebie, oglądając się na takiego, co by królowi ważył się przeciwstawić. Sieciech w niełasce z Krakowa wyjechał do swej Morawicy, ale mieszać się nie chciał do niczego, zresztą niemal nigdy w gródku go nie było. Herman modlił się, by go o cesarskie poselstwo nie zapytano, i odżegnywał się od wszystkiego. Wrocławski biskup Piotr i płocki Jan woleli się królowi nie przypominać; Bogumił i Michał jawnie z królem trzymali, choć nie pochwalali jego gwałtowności, Pietrek, którego by król najłaciej może posłuchał, zdziwaczał do reszty i nie zajmował się niczym, co spraw powszechnych dotyczyło.

Sędziwy już był, lecz krzepki jeszcze, lubiany powszechnie, nie cieszył się jednak wielką powagą, szczególnie u kleru zachodnimi pojęciami przesiąkniętego i światlejszego, gdyż obyczajami wciąż jeszcze wojaka przypominał, którym był za młodu. Przystępny był natomiast, nie wyniosły i dla ludzkich sła-

bości wyrozumiały; niechętni mówili, że pono dlatego, iż sam miał ich wiele. Nieraz mawiał, że Kościół kielzać ma ludzkie namiętności, ale sam od nich wolny nie jest. Pietrkowi została już tylko jedna: za- i wsze jeszcze ryby łowić lubił na wędę i za nic mu było wszystko, kiedy ryba brała.

W słoneczne jednak letnie popołudnie, przy lekkim wschodnim wietrze, ryba nie brała i znudzony arcypasterz stojąc z wędką nad Jelonkiem, miast na pławik uważać, patrzył za nurem, który spłoszony czymś, wbrew swemu obyczajowi zerwał się z wody i wyprostowany jak uskrzydłony kij krążył lotem strzały nad jeziorem, błyskając na zakrętach srebrzystym pierzem pod słońce.

Nagle coś szarpnęło potężnie wędką, że omal nie wypadła z ręki arcybiskupa. Serce załomotało w staruszkę; sztuka musiała być ogromna i ciągnęła ku środkowi jeziora, aż wędzisko wygięło się w kablak, grożąc złamaniem.

Zawzięty Pietrek dałby się raczej do wody wciągnąć i utopić, niż pozwolić ujść zdobyczy, umiejętnym jednak będąc rybakiem prowadzić jął rybę wzdłuż brzegu, taplając się w błocie i mule, by ją do łysego i płaskiego miejsca dociągnąć i zmęczoną na brzeg wyrzucić. Tą jedną myślą zajęty był tak bardzo, że młody kleryk, który nadbiegł od zabudowań katedralnych, darmo krzyczał z suchego brzegu, że przyjechał Stanisław ze Szczepanowa i o widzenie prosi. Wreszcie widząc, że Pietrek, trochę już przygłuchły, nie zwraca uwagi, kleryk zakasał suknię, brnąc po bagnie dotarł do biskupa i szarpiąc go za parciane gieżło powtarzał swoje.

Biskup jednak odtrącił go łokciem, choć widno usłyszał nowinę, gdyż krzyknął:

— Odczep się do biesa! Stanisław nie ryba, nie ucieknie! Nie przeszkadzaj, bo zerwie mi się, to ci łeb rozbiję.

Kleryk snadź niezbyt się przeraził groźby, gdyż roześmiał się i chcąc udobruchać staruszka zrzucił szaty

i skoczywszy w wodę pomógł wyciągnąć na brzeg znużoną już rybę i ciskającą się przytrzymał kolanami, Pietrek zaś wyszukał kamień i wprawnie w łeb ją dzielił, że się ino skręciła i znieruchomiła z otwartym pyskiem. Potem stanął nad nią, zasapany, i ocierając pot z czoła z zadowoleniem oglądał zdobycz, łokciowego karpia. Obaj byli tak zajęci, że zapomnieli o gościu. Nagle za nimi ozwał się głęboki, męski głos. W łacińskiej mowie pochwalił Chrystusa, ale przy tym brzmiało też zgorszenie. Stanisław stał na brzegu. Zmieszany kleryk ubierał się co prędzej, Pietrek jednak, który niezbyt lubił krakowskiego biskupa, odparł szorstko:

— Nie mogliście na dworcu 'poczekać? Tu spraw nie załatwiam, jeno ryby łowię.

Przypomniawszy sobie jednak prawa gościnności dodał łagodniej:

— Wraz wam służyć będę, tylko przybiorę się przystojniej.

Jakoż niezbyt dostojnie wyglądał arcybiskup ze zmierzwionymi włosami na odkrytej głowie, w parcianej odzieży zababraną mułem. Niezadowolony był, że Stanisław tak go zastał, wiedział bowiem, że krakowski biskup wielce dba o pozory i okazałość, a w sztywnym jego zachowaniu przebijała wyraźna przygana.

Dostojniej wyglądał Pietrek, gdy po dłuższej chwili ukazał się w świetlicy swego dworca w purpurowej szacie, ze złotym krzyżem na piersiach. Stanisław i towarzyszący mu kapłan Fulhert, z tynieckich mnichów, na jego widok powstali, a Pietrek rękę, cuchnącą jeszcze rybą, podał im do ucałowania, po czym siadając miejsca wskazał naprzeciw siebie i zapytał Stanisława:

— Cóż was tak pilnego sprowadza, bracie? — Bawił się kręceniem pasterskiego pierścienia na palcu nabrzmiałym od wysiłku na skwarze.

— Dojść was musiały słuchy o tym, co dzieje się w kraju. Na nas oczy wszystkich skierowane, że temu kres położymy. Naradzić się z wami chciałem.

— Juści slyszalem co nieco, ze sie lud wzburzył. U nas nie bardzo, zreszta pono spokój już. Nie trzeba ich cisnąć, nie będą się burzyli.

— Nie o tym chciałem mówić — odparł Stanisław marszcząc brwi — jeno o uporze i okrucieństwie królewskim. Nijak nie może być, byście o tym nie slyszeli, że krew rycerska strumieniem się leje, że niewiasty, którym mężowie wybaczyli, jako suki szczenięta karmić zmusił, wbrew naturze i prawom boskim i ludzkim. Król za nic ma prawa i sądy kościelne, zadnych nie słuchając upomnień i własnej jedynie folgując samowoli. Czas jej kres położyć,

Pietrek słuchał chmurny. Gdy Stanisław przerwał, wzburzony, odparł:

— Juści slyszalem. Czegóż ode mnie czekacie! Mówicie: okrucieństwo?! Jako kapłan nie pochwalam go, ale wojakiem będąc sam bym łby ścinał tym, co pana -puścili w potrzebie, bo nic lepszego nie warci, przeniewierce. Szczeniaki, mówicie, karmić kazał wszeźtecznicom?! A pomnicie, jako Chrobry nierządne niewiasty karał? Części wstydlive kazał wycinać i na irzwiach domu przybijając, na postrach drugim, i jeszcze go chwalono, że czystości obyczajów przestrzega.

Stanisław wstał i odparł z zaciętością:

— Darmo, widzę, przyjechałem. Nie mniemałem, żeście zbrodnie króla chwalili. Nie do niego, jeno do kościoła sąd w sprawach małżeńskich należy i do najsurowszych sięgnąć trzeba środków, by prawa Kościoła przeprowadzić. Boicie się wy, ja to uczynię.

— Słuchaj, bracie — spokojnie podjął Pietrek — wiem, że masz mnie za głupca, bo ksiąg waszych nie gryzę. Ale ja jeno człek prosty i jedno wiem: przylegałem Bolkowi posłuszeństwo, nie moja rzecz go sądzić. I nie twoja też. Niech Bogumił synod powszechny zwoła, jeśli uzna, że potrzeba; ale żeby każdy biskup pana sądzić miał prawo, to wybaczcie, [łupi głupszemu rzecz może.

— Za radę dziękuję, ale z niej nie skorzystam — imno odrzekł Stanisław. — Aaronowa stolica wcze-

śniej paliusz miała niż Bogumił i od prawego następcy świętego Piotra.

— Bo nie wiecie, panie, pisma nie znając — wtrącił się kapelan — co rzekł tenże Hildebrand, który choć nieprawnie wybrany, ale dzieł Ojców Kościoła wybornym jest znawcą: „Jak można twierdzić, że godność królewska wyższą jest od biskupiej? Wynalzcami królestwa byli tyrani, którzy z szatańskiej podniety, w ślepej żądzy i nieznośnym umiarkowaniu zmierzali do opanowania równych sobie”.

—• A ty czego, wywłoko?! — wrzasnął starszek, nie panując już nad sobą. — Kijem cię sprać każę, co cię pokory nauczy. Widzicie przybłędę! — mówił sapiąc z gniewu — władzy się wam zachciewa.

A zwracając się do Stanisława dodał ostro:

— Wiem, iżście w księgach mądrzejsi i nie po radę do mnie przyjechali. Ale dam wam jedną: niechajcie walki z królem, bo od was lub przez was ona wyszła. A nie, to nie zdziwcie się, gdy i wam którego dnia łeb utną. Za wysoko go trzymacie. Kozły zawsze mniemają, że nadają się szczególnie do pracy w winnicy Pańskiej.

Patrzyli na siebie wrogo. Stanisław rzekł wyniosłe:

— Uczynię, co mi urząd mój i sumienie uczynić nakazuje. Mnie strach nie powstrzyma.

Pietrkowi twarz poczerwieniała z gniewu, ale Stanisław udał, że tego nie widzi, skłonił się zimno i rzeki do Fulberta:

— Jedźmy, bracie. Daremny był mój trud, ale spokojny jestem, żem uczynił wszystko, by sprawę załagodzić, nim ujmę kosę apostołską, by ściąć ziele jadowite. Żegnajcie!

— Nie ostaniecie na noc? — zapytał Pietrek, który ochłonał tymczasem i czuł się trochę zakłopotany wybuchem.

— Czas mój jest policzony, a i wadzę wam ryby łowić.

Stanisław skłonił się i wyszedł.

Wbrew obawom Nawoja i własnej naturze, król starał się nie dopuścić do otwartej walki z biskupem, Nie był jednak Bolesław w możności zadać sobie gwałtu na tyle, by usiłować dojść z nim do porozumienia lub przynajmniej chwilowo załagodzić. Zbywał biskupa lekceważeniem.

Pozorny spokój króla drażnił Stanisława, a wiara w słuszność sprawy i przekonanie, iż powołany jest *do* jej przeprowadzenia, kazały mu lekceważenie uważać niemal za bluźnierstwo. Po rozmowie z Pietrkiem przestał się wahać. Skoro nikt nie śmie przywołać króla do opamiętania, odważy się on. Bulla na palusz dla krakowskiej stolicy, otrzymana z rąk Wolkmara, utwierdzała go w pewności, że jest to jego obowiązkiem. Spełni go, bez względu na skutki. Czas nagiął. Król tępił opornych bez miłosierdzia.

Bolesław zdziwił się, gdy jednego wieczoru do jego komnaty wpadł widocznie poruszony komornik z wiadomością, że biskup przyjechał ze Skałki i już jest na zamku. Od czasu, gdy Stanisław wprost odmówił uczestnictwa w sądach i radzie, nie był na grodzie nawet dla nabożeństwa.

Król właśnie miał wysłać Domana, by się wywieźdzał, co sprowadziło Stanisława, gdy w sieni rozległy się kroki, drzwi otwarły się i stanął w nich biskup.

Przybrany był w szaty pontyfikalne, z infułą na głowie i pastorałem w dłoni. Nie skłonił się, stał wyprostowany, namiętne oczy wpierając w siedzącego na ławie króla, który nie poruszył się nawet.

Zuchwalstwo biskupa było tak niezwykle, że Doman zerwał się przerażony, pewien, iż król wpadnie w gniew, którego skutki trudno było przewidzieć. Miał tego ze zdziwieniem spostrzegł, że Bolesław umiecha się drwiąco. Mimo to napięcie między królem a biskupem było widoczne tak, że Doman nie wiedział, co począć z sobą. Król pierwszy przerwał milcze-

— Namyśliliście się przyjść, widzę. A może prośbę

jakową macie. Obchodzę się bez was, ale skoroście już przyszli, siadajcież.

Biskup, jakby nie do niego powiedziane były te słowa, skierował czarne oczy na Domana, mówiąc:

— Wjdź!

Doman, zmieszany, pytająco spojrzął na króla, który odparł niedbale:

— Możesz ostać.

Król uśmiechnął się, ale Doman, znając go dobrze, widział, jak ręce mu drżały, a żyły wystąpiły na skroniach. Biskup zbladł, lecz przemówił spokojnie, choć ostro:

— Nie wiem, co jest, a co nie jest tajemnicą między wami a waszym sługą. Ale wiem, że to, co ja mam rzec, powagi waszej nawet w jego oczach nie podniesie. Tedy, jak sami uważacie. Ja przestrzegam.

Król uczynił ruch, jakby chciał się zerwać, lecz twarz miał jeszcze wykrzywioną uśmiechem, gdy powiedział ochryple do Domana:

— Wjdź!

Doman wypadł, jakby uciekał, lecz zatrzymał się za drzwiami. Ogarnęło go dziwne podniecenie i trwoga, jakby za tą wątlą zaporą miało się stać coś straszne-go, czemu nikt zapobiec nie zdoła. Bał się, a nie mógł odejść. Zrazu słyszał jeno dudnienie krwi w uszach i bicie własnego serca.

Po chwili milczenia usłyszał ostry głos króla:

— Sami jesteśmy. Słucham, co macie do powiedzenia. Później ja powiem wam, co myślę.

W głosie biskupa brzmiało podniecenie, gdy zaczął:

— Nie rozmawiać z wami przyszedłem, jeno raz ostatni po ojcowsku upomnieć, do opamiętania i stosowania się do obyczaju książąt i królów chrześcijańskich wezwać.

Rozległ się nieszczerzy śmiech Bolesława:

— Myślałby kto, że nie ja was biskupem, jeno wyście mnie królem uczynili, że po ojcowsku do mnie przemawiacie!

— Jako najwyższy dostojnik polskiego Kościoła

prawo mam i obowiązek po ojcowsku was upomnieć, nim do surowszych sięgnę środków — odparł Stanisław.

— Mościewy! A jam Bogumiła miał za jedyne, co prawo ma przemawiać imieniem polskiego Kościoła, i wciąż mi się zda, że on tylko paliusz od papieża otrzymał.

— Od Grzegorza, który samosłańcem jest — surowa powaga była w głosie Stanisława. — A jam prawnym następcą Aarona.

— Tymczasem mówicie jako biskup, co z mojej łaski siedzi na krakowskiej stolicy...

Król mówił obojętnie, ale Doman czuł, że zbiera się wybuch.

Głos biskupa, drżał oburzeniem.

— Kapłanem jestem nie z waszej łaski. Kapłaństwo stworzyła Opatrzność dla Swej chwały. Najskromniejszy przeto piastun duchownej godności jest potężniejszy od najpotężniejszego władcy świeckiego...

— Tedy przyślijcie mi jakowego kleryka, byle był trzeźwy — przerwał z kpina Boleśław.

Ale Stanisław ciągnął w uniesieniu:

— Jako kapłan powiadam ci: przestań lud gnębić stanem i podwodą, oddaj rycerstwu dobra samowolnie i nieprawnie wydarte, bo tyranem, a nie chrześcijańskim władcą jest król, co wolę swą grzeszną za jedyne ma prawo... I jako kapłan powiadam ci: wyrzecz się wszeteczeństwa i grzechu sodomskiego. Bo, jako Sodomę zniszczył Pan, tak zniszczy ciebie i wypletli pokolenie twoje.

Doman posłyszał, jak Boleśław zerwał się wywracając ławę. Słuchał, struchlały. Głos zdławiony był wściekłością, ale widno król jeszcze opanował się.

— Próbowaliście straszyć mnie cudami — mówił chrapliwie. — Gdy zbrakło Wolkmara, prorocत्वami myślicie straszyć mnie. Za głupca was mam, dlatego jeno głowę stąd wyniesiecie.

Przez chwilę panowało milczenie. Zmuszając głos do spokoju, biskup odparł:

— Nim do ostatecznego sięgnę środka, może to ztwardziałość twą skruszy i skłoni, byś porzucił twe nieprawości: wstępu do kościoła i sakramentów ci zabraniam, aż uznasz grzechy swoje i uczynisz pokutę. Doman odskoczył od drzwi, przez które wyszedł biskup. Minął go, jakby nie widząc.

Za biskupem biegł śmiech Bolesława. Gdy Doman wrócił do komnaty, król siedział na łożu, trzymając się za głowę rękoma. Twarz miał szarą, zęby wyszczerzone. Śmiał się jeszcze, ale w śmiechu było coś takiego, że Doman na palcach wyszedł

XXIV. PO INTERDYKCIE

Król na przekór biskupowi, mimo interdyktu, co dzień jął chodzić do katedry, stawiając na urągawisko okaleczoną klacz przed bramą, lecz złorzeczenie biskupa zatraty królewskiego pokolenia utwilo w mózgu Bolesława. Choć sam przed sobą udawał, że nie obeszło go więcej niż biskupie zakazy i żądania, wraz z ponurym przecuciem, które naszło króla podczas koronacji, nurtowało pierś jego niepokojem i głuchą wściekłością przeciw Stanisławowi.

Wiadomość o przekleństwie rozeszła się i dotarła do królowej. Od powrotu Bolesława widywała go jeno przelotnie i ni razu nie miała sposobności do rozmowy z małżonkiem. Jedyłą pociechą w jej samotnym życiu był dorastający już syn, którego król trzymał ostatnio w Krakowie, w obawie, by wrogowie, chybiwszy zamachem na niego, nie szukali pomsty na synu lub w ręce go dostać nie usiłowali dla wymuszenia na królu ustępstwa. Mieszko pod okiem najwierniejszych ludzi zaprawiał się w ćwiczeniach rycerskich, nad wiek tęgi i rozwinięty; nie było jednak takiej zabawy, dla której by zaniechał odwiedzenia matki każdego wieczoru. Na tyle był już rozgarnięty, że widział, iż sprawy między rodzicami nie stoją tak, jak powinny, i jakby miłością swą chciał matce krzywdę wynagrodzić.

Ona też świata poza nim nie widziała. Na myśl, że mogłoby się spełnić przekleństwo biskupa, przed któ-

rym czuła przesadną trwożę, biec chciała do niego z błaganem, by złorzeczenia swe cofnął. Gdy dowiedziała się, że biskup wyjechał, dręczona ciągłym niepokojem, choć nieśmiała i spłoszona, postanowiła prosić męża, by sprawę z biskupem załagodził i przestał go drażnić przekorą i lekceważeniem.

Bolesław przyjął żonę z nie ukrywaną niechęcią. Zanim, zmieszana, mówić zaczęła, rzekł:

— Wiele ważnych spraw mam na głowie, iż na wypoczynek czasu mi nie staje. Nas zaś, przyznacie, niewiele łączy i nie wiem, o czym byśmy mówić mogli.

Wyszłaświe łzy zakręcimy się w oczach, lecz niesprawiedliwość i wzgardliwa obojętność króla oburzyły ją. Z płonącymi policzkami odparła:

— Nie moja wina, że łączy nas niewiele. Ale jedno na pewno: syn nasz.

Król sam przed sobą ukrywał, że niepokoi się o Mieszka. Odpowiedział też z pozorną obojętnością:

— Czegoż chcecie? Rośnie pięknie i choć dziesięć lat już skończył, bawi przy was. Zda mi się, iż dość wyrozumiałości okazuję, tego mu nie wzbraniając.

Wyszłaśwa usiadła, blada, przerażona. Palce spłótła, aż pobielaly. Łzy jej wyschły, ze ściśniętego gardła nie mogła głosu wydobyć. Mąż między sobą a nią wystawił mur z zimnego kamienia, za który jej nawet zajrzeć nie wolno. Czuła, że jest w tym coś nie wyjaśnionego, ale co i jak wyjaśnić, gdy mąż mówić nie chce. Długo siedziała, patrząc załośnie na króla. Dopiero gdy na twarzy jego dostrzegła zniecierpliwienie wskazujące, że zaraz odejść jej każe, przemogła się.

— O synu naszym mówić przyszedł. Widzę, że i tego mi wzbronić chcecie. Mnie, matce! Wiem, dla czegoście dla mnie obojętni. Ale nie wiem, czym zasłużyłam na nienawiść i wzgardę.

— Zda się, że gdy ja nie wspominam o tym, i wam radziej nie pytać. O Mieszku mówić chcecie. Mówcie!

Milczała, zgnębiona. Jak mówić o swych najserdeczniejszych troskach z człowiekiem, który odpycha ją każdym słowem? Jak może zrozumieć i współczuć jej matczynej trwodze? Czym go może przekonać, by dumę swą przełamał, aby jej spokój przywrócić? Zaczęła urywanym głosem:

— Wy drwicie ze Stanisławowego przekleństwa. A ja o niewinną głowę Mieszka truchleję. On dla mnie jeden... i wszystko. Gdyby jego mi zabrakło... zostanie... nic.

Rozpaczliwy niepokój Wysesławy, widoczny z każdego słowa, wyzwolił w królu własny, trzymany w karchach, który za objaw słabości uważał. Zastawił się przed nim drwiną:

— Nic? Pono niewiasty łąco się -pocieszyć umieją. I wyście nie inna jak drugie, tyle jeno, zem ludzkie języki poskromił.

Patrzyła na niego wielkimi oczyma, w których wyraźnie gorycz walczyła ze zdumieniem. Zdawało jej się, że się przesłyszała lub nie zrozumiała, zapytała bowiem niemal spokojnie:

— O czym wy prawicie?

— Za język mnie nie ciągnijcie — odparł z podrażnieniem. — Nie -wołałem ja was do sprawy, boście matką mojego syna. Nie wołajcie i wy mnie. Są rzeczy, które przemilczeć lepiej.

Zrozumiała. Obrażona godność falę krwi napędziła jej do twarzy, jednocześnie wszakże uświadomiła sobie niebezpieczeństwo, jakie z tej strony grozi jej stonkowi do męża i syna. Opanowała się ostatnim wysiłkiem i rzekła:

— Są sprawy, o których mówić się musi... dla dobra nas wszystkich. Czekam oskarżenia, bo bronić się mam prawo. A uznacie mnie winną, chcę ponieść każdą karę. Łaski waszej nie proszę ani się jej spodziewam.

Stanowcze słowa Wysesławy stropiły króla. Poczul nawet pewne zawstydzienie, zarazem jednak zrozumiał, że za późno się wycofywać bez słowa. Odparł niechętnie:

— Zaprzeczycie, żeście pod moją nieobecność z Na-
wojem sam na sam się schodzili?

Król rad był już skończyć sprawę bez dalszych wy-
jaśnień. Wyszłaślawa jednak, opanowawszy wzburze-
nie, podeszła do stołu, na którym stał złoty krucy-
fiks, i kładąc na krzyżu palce wyrzekła drżącym gło-
sem:

— Na rany Chrystusa i głowę syna przysięgam, że
nigdy przeciw wam nie zgrzeszyła ni kłamstwo wobec
was nie skalało moich warg. Jeśli nieszczerze przy-
sięgam, niech Bóg poda duszę moją na wieczne zatra-
cenie.

Król słuchał rozdrażniony, przygnębiony i zmie-
szany. Czuł szczerłość przysięgi Wyszłaślawy. Musiał
przyznać przed sobą, że nie szło mu o błahe pozory
niewiary, lecz o sprawę Krystyny, tkwiącą w nim jak
oścień w wiecznie jęczącej ranie. Zarazem chciałby
ją wyjaśnić i jakiś wstyd wstrzymywał go przed obro-
ną jawnego grzechu swego wobec tej, przeciw której
był popełniony, gdy dopiero co, jeno na podstawie
złośliwego oszczerstwa, sądził ją tak surowo i bez-
litośnie. Jakby wbrew woli wyrwały mu się sło-
wa:

— Czy nie za lekko głowę syna i własne zbawienie
stawiacie?! Nie byłoż układu między nami, że nie ode-
ślę was do ojca, a wy mi w drodze do Krystyny stać
nie będziecie? Któż jej zelży wość wyrządził, że odejść
musiała? Mówiliście z nią, wiem o tym, choć ukry-
wacie przede mną. A bez niej mi jako bez powietrza.
Nie kłamstwo to? Nie przენiewierstwo? I wy przysię-
gać śmiecie, żeście przeciw mnie nie zgrzeszyli!

Wyszłaślawa spłotła ręce i zamknęła oczy. Krew
z szumem biła w jej skroniach. Oto jej nagroda za
wrozumiałość i poświęcenie. Po to ukrywała winy
cudze, by nimi ją obciążono. Gniew i oburzenie prze-
mogły wrodzona nieśmiałość:

— Nie wiem, przez kogo wieści zbieracie o mnie.
Krystyna wam tego nie rzekła. Jej zapytajcie. Zbył
dumna, by kłamać.

— Mówiliście z nią jednak. Po co? Kto wam zezwoli mieszać się w moje i jej sprawy?! Po rozmowie i wami uciekła. Próżne wykręty!

Bolesław podniecał w sobie zawziętość, by pokryć mieszanie i jakąś ogarniającą go pewnością, że lada ihwila padnie wyjaśnienie i stanie się coś, co na łolach wszystkich zaważy. Czuł, że przebrał miarę. Po •az pierwszy w życiu rad byłby się cofnąć. Było już sa późno. W oczach Wyszelsławy dostrzegł niemal)błąd.

— Żebym i serce wydarła przed wami, darmo by-oby! — krzyknęła. — Mówiłam, by ją przestrzec, że jiskup z kościoła wyświecić ją kazał jako wszetecz-licę, co paliusz dla krewniaka ciałem swoim kupiła.

Królowi włos zjeżył się na głowie, szczęki zwarły rię, aż na twarzy wyskoczyły mięśnie jak sęki, przez saciśnięte, błyskające spod płowych wąsów zęby wy-dobywał się chrapliwy szeDt:

— Ubiję! Jak psa ubiję!

Biskup szedł na wyzkę w drewnianym budynku 3bok kościółka. Na jutro sił mu potrzeba.

Zachodzący księżyc migotliwą łuską ścielił drogę przez staw, powstały z dawnego wiśliska. Trzciny L szuwały szumiały chwilami pod łagodnym powie-wem z zachodu, czasem sennie odezwał się jakiś ptak błotny; zresztą cisza była. Biskup przystanął, by ode-tchnąć wilgotnym powietrzem i spokojem, płynącym od ciemnej powierzchni wody i żółtawej poświaty księżyca. Z westchnieniem odwrócił się, by wejść po schodach na górę, gdy zauważył jakąś ciemną postać. Drgnął wewnętrznie, lecz na pozór spokojnie zapy-tał:

— Kto zacz?

Postać poruszyła się i przy ostatnich blaskach za-chodzącego księżyca zauważył, że była to niewiasta; w ciemnej szacie, z chustą na głowie, osłaniającą twarz.

Głos, który się odezwał, choć przytłumiony, zdał mu się znajomy:

— W ważnej sprawie muszę mówić z wami, jeno, by nikt nie słyszał.

— Późno już, a wypoczynku mi trzeba. Przyjdź inną porą, moja córo.

■— Nie mogę. Sprawa ważna dla was... i pilna. Może być za późno.

W głosie jej drżał niepokój, który udzielił się biskupowi. Bez słowa skierował się do kościółka, otworzył boczną furtkę i wszedł pierwszy, kierując się ku ołtarzowi, na którym lampka oliwna świeciła wątłym piomykiem.

Niewiasta cicho szła za biskupem. Stanął i odwrócił się ku niej. Zrzuciła chustkę z głowy. W blasku lampki biskup poznał królową.

— To wy, miłościwa pani?

W głosie jego była niechęć, zdumienie i zaskoczenie.

— Nie wiem, o czym byśmy mówić mogli — dodał oschle.

Chciał skończyć rozmowę, by nie być zmuszonym ani ukrywać przed nią, co zamierzył, ani wydać przed czasem.

— Nie pani ja, jeno matka. Błagać was przyszłam: cofnijcie przekleństwa swoje. Chcecie walczyć z królem, Bóg niech was rozsądzi, ale cóż winne dziecko moje?

— *Pomum prope arborem cadit*¹, Męża swego błagajcie, niech się ukorzy, jeśli ujść chce zguby własnej i swego pokolenia. Zimny i twardy musi być karzący miecz sprawiedliwości. Ja nie ustąpię.

Królowa przez chwilę zmagala się z łkaniem. Przerwanym głosem, w którym brzmiała rozpacz, zawołała:

— On ustąpić nie może, zrozumcie to! Moja wina,

¹ *Pomum prope arborem cadit* — niedaleko pada jabłko od jabłoni

ale wyznałam mu, że wyście Krystynę stąd wygnali. Szaleje z gniewu, śmiercią wam odgrażał; miejcie miłosierdzie nad nami i sobą. Kto by mu teraz mówić śniał o pokorze, jeno by życia zbył.

— Ale mnie prawić śmiecie, bym cofnął przekleństwo, gdy szaleniec ten. przez szatana opętany, bezbożną rękę na mnie, pomazańca Bożego, podnieść grozi za to, żem wszetecznicę, z którą wasze łoże kasał, z kościoła kazał wyświecić?! Kto grzechu nie potępia, współnikiem się jego staje, kto się o brud ociera, skazany być musi. Zali mniemacie, że marny strach mnie skłoni, bym broń odłożył, którą Kościół wyrzutków ze swej społeczności tępi! Poznacie jej siłę! Ja strachu nie znam!

Wzburzony, trząsał rękoma. Królowa stała, milcząc, z opuszczonymi oczyma. Podniosła je na biskupa, Lśniły w migotliwym świetle lampki, ale już nie łzami. I głos jej silny był, gdy odparła:

— Ja znam strach. Najgorszy ze wszystkich, bo nie o siebie, jeno o głowę najdroższą. Niech Bóg i wam da poznać strach. Zmięknie wówczas serce wasze, którego prośba matki zmiękczyć nie może.

Stanisława zaskoczyły śmiało i dostojne słowa Wy-aesławy. By pokryć zmieszanie i gniew, odrzekł:

— A jednak modlić się będę, by Bóg dał królowi łaskę pokory.

— Módlcie się o nią i dla siebie!

Królowa odwróciła się i ciemna jej postać rozplynęła się bezszelestnie w mroku. Biskup pozostał sam. słowa królowej, które odczuł jako przyganę i groźbę, zacięły go jeno w postanowieniu. Został jednak w sercu jego niepokój,

XXV. KLĄTWA

Stanisław przestał się wahać. Przykład św". Ambrożego, który ariańskiemu cesarzowi wzbronił wstępu do kościoła i poparty przez lud, wołę swą z wielkim upokorzeniem dla cesarza przeprowadził, pozwalał mu żywić nadzieję, że król mimo całej zaciętości, ustąpi; nie brakło mu bowiem przeciwników w kraju po nieszczęsnej ucieczce wojsk z Rusi. Gdy dostrzegą, że jest ktoś, kto nie lęka się króla i całą siłą przeciw niemu występuje, pójdą za przywódcą i upór króla złamią lub zmuszą go do ustąpienia.

Stanisław podniecał się myślą, iż z chwilą zwycięstwa znaczenie jego wzrośnie tak, że wszystkie zamierzone zmiany przeprowadzi już bez oporu, stanie na czele polskiego Kościoła i zapewni mu taki wpływ i przewagę, że nikt już targnąć się nań nie waży.

Powziąwszy zamiar obłożenia króla klątwą, postanowił zwołać w tej sprawie kapitułę. Nie spodziewał się silnego sprzeciwu. Poważano biskupa, a nie było prawie kościelnego dostojnika, który by kogoś bliskiego nie utracił przez bezwzględność i srogość królewską, wszyscy niemal bowiem z możliwych pochodzili rodów. Stanisław zagał zebranie słowami:

— Nim ciężki swój obowiązek spełnię, w sumieniu swym umocnić się chciałem światłym zdaniem waszym. Wiadomo wszystkim, że król, jakby przez diabła opętany, w niczym do obyczajów książąt chrześcijań-

skich się nie stosuje, napomnienia i przestrogi za nic sobie mając. Czas przyszedł, by do ostatnich sięgnąć środków. *Membrum putridum*¹, gdy uleczyć się nie da, wyciąć należy, by zaś całe ciało nie zgniło.

Po słowach biskupa zaległo grobowe milczenie. Od z górą stu lat chrześcijaństwa w tym kraju Kościół wiernie wspierał monarchę, ciesząc się wzajem opieką i mirem książęcym. Oto po raz pierwszy wystąpić ma przeciw niemu. Rzecz była tak nowa, że budziła nie-ma] przerażenie, nawet w najbardziej przeciw królowi zawziętych; i król sam budził strach. Pierwszy odezwał się staruszek Mikołaj Bończa z Wścieklic:

— Czy aby prawo i słusność za nami? Naradzić się mieliście z Pietrkiem. Król go miłuje, może by posłuchał.

— Pietrek się boi, jako drudzy. Ja tylko śmiałość mam i ja tylko mam prawo.

Mikołaj jednak nie zdał się przekonany, bo kręcił głową, i trochę rozdrażniony odparł:

— Nijak nie uwierzę, że Pietrek się boi. Znam go przecie od pół wieka. Król, nie król, a u niego co w myśli, to na gębie!

— Jeno że stary już jako i wy i myśli jego sprzed pół wieka zatęchłe. Nie o zgodzie już zresztą mowa, bo jej nie ma i nie będzie, jeno by wszeLecznika i ty-rana ze społeczności kościelnej wyłączyć.

Staruszek poczerwieniał, lecz czując nieprzychylność innych pominął przytyk mówiąc:

— Prawa nie mamy.

— A któż je ma? Nie ja, prawowity następca Aarona? Nie masz nade mną nikogo w polskim Kościele. *Mihi honor et mihi onus*². Wezmę to na siebie, gdy mnie Bóg do tego powołał.

— Wybaczcie — rzekł onieśmielony Mikołaj — ale

¹ *Membrum putridum* — zgniły członek

² *Mihi honor et mihi onus* — mnie zaszczyt i mnie ciężar

Aaron dla siebie jeno paliusz otrzymał *ad pompam et ostentationem*¹,

— Dla siebie, mówicie? A ta oto bulla co innego głosi.

Wyciągnął pergamin i wręczył najbliższemu, dokoła którego skupili się wszyscy. Kapelan biskupa, Fulbert, czytał i tłumaczył; poruszeni byli. Stanisław przerwał jednak:

— Ale nie o tym radźcie, czy prawo mam, jeno czy *regem iniustum*², czy Boga słuchać mamy, który nie przez pisma, jeno przez sumienie nasze przemawia; czy *sacerdotium*³ wyższe jest, czy *regnum*⁴, czy znośić zakałę, co na cały kraj się rozszerza, czy ziele zjadliwe ściąć kosą apostołską i wszetecznika z Kościoła świętego wyświecić!

Stanisław mówił jak w natchnieniu. Ręce uniósł w górę i stał jak Mojżesz zamykający fałę zagłady nad wojskiem faraona. Drżenie ogarnęło wszystkich.

— *Anathema sit!*⁵ — zawołał.

Powtórzyli za nim, jak bez woli. Ten i ów jednak wymykał się chyłkiem. Powstali przeciw królowi, ale opanowała ich trwoga.

Jeno starszek Mikołaj stał na osobności i pergamin oglądał, z trudem usiłując odczytać. Gdy Fulbert zbliżył się, by go odebrać, zapytał:

— Zda mi się, że pergamin dan w Kolonii i przez Benedykta dziewiątego sygnowany?

— Podziwiam waszą umiejętność pisma; iście tak jest — odparł kapelan drwiąco.

— Pamięć mam ci ja dobrą, choć się ze starości mej naigrawacie. Wždy Benedykt nigdy w Kolonii nie był

¹ *ad pompam et ostentationem* — dla wystawności i okazałości

² *regem iniustum* — króla niesprawiedliwego

³ *sacerdotium* — kapłaństwo

⁴ *regnum* — królestwo

⁵ *Anathema sit!* — Niech będzie wyklęty!

ani na tronie nie siedział, gdy Aaron paliusz otrzymał.

Stanisław drgnął i rzekł jakby do siebie: — Może kopista datum i podpis zmylił. Mikołaj głową pokiwał; na poły gniewnie, na poły bezradnie. Stary się poczuł i niedołączny. Żał miał do króla za jego srogość, ale mierziły go sposoby, którymi walkę z nim prowadzano. Nie stanie po żadnej stronie. Inne czasy, inni ludzie. Wspomniał Chrobrego, Tuniego, Aarona. Gdzie królowi czy biskupowi do nich? Pycha ich jeno rozdyma. Poszedł na swą gospodę i zbierać się jął do wyjazdu, by nie patrzeć na to. co będzie.

Pogodny ranek wczesnej jesieni szybko rozproszył mgły wstające z chłodnych zwierciadeł rzeki i jeziora, z których wynurzył się najpierw spadzisty dach kościółka św. Michała. W chwilę później świeży powiew zebrał resztę mgły, odsłonił jezioro o bagnistych brzegach i spory dziedziniec kościelny, pełny już ludu.

Wiadomo było powszechnie, że biskup zaniechał nabożeństw w katedrze swej na grodzie, odkąd król wbrew jego zakazowi uczęszcza do kościoła. Rozeszła się też skądś głucha wiadomość o wypadkach, budząc podniecenie i niepokój.

Kościółek szczupły był i niewielu jeno docisnęło się do wnętrza, lecz otwartych troje drzwi z trzech stron wpuszczało złote promienie jesiennego słońca, w których z dala świeciła wyniosła postać Stanisława w uroczystych szatach biskupich, odprawiającego ofiarę.

Po skończeniu klęknął i modlił się dłużej niż zazwyczaj, lud nie rozchodził się jednak. Wszyscy na coś czekali.

Jakoż biskup po chwili wstał i zwrócił się ku wyjściu, miast do zakrystii. Po każdej jego stronie szło trzech duchownych z zapalonymi świecami, ochraniając rękoma wątle, ledwo w świetle słonecznym widoczne płomyki. Przy wyjściu zatrzymali się u stóp kazalnicy znajdującej się na zewnątrz kościółka, na

którą wolnym krokiem wstąpił Stanisław. Łdało się ludowi, że kazać będzie, i . cisza uczyniła się dokoła. On jednak stał chwilę z opuszczonymi oczyma. Potem uniósł je w górę, wyciągając[^] ręce i silnym głosem, dochodzącym do najdalej stojących, rozpoczął. Modlił się:

— Świadkiem byłeś, Panie, usiłowań mych, by pokój, sprawiedliwe prawa i ^olność Kościoła Twego w tym kraju nastąpiły. A gdy drogę im zagroziła pycha tego, który, przez Ciebie 'w czele postawiony, miał Twoim służyć sprawom, własnym jeno folgował chuciom, słuchałeś modlitw mych, by serce jego zatwardziało i skalane wiarołomstwem i przyrodzeniu przeciwną sprośnością oczyścił, pierś rozdętą pychą napełnił słodyczą pokory. Ale niezbadany w wyrokach Twoich, nie wysłuchałeś mnie, Panie. Jako bydlę w gnoju swoim grzęźnie on coraz głębiej, na wieczną sobie i domowi swemu sromotę. Oarumo go imieniem Twym przestrzegałem, że gniew Twój zgładzi go wiecznie wraz z potomstwem, a ród pozbawi godności królewskiej; na pośmiewisko i wzgardę podał świętość i powagę Kościoła, niegodnym się stając jego społeczności. Gdy mnie zaszczyt, obowiązek i zasługę zleciłeś, .skoro inni, małego serca, karcenia występków się odrzekli, nie strwożony bezecnymi groźbami, Twoim Imieniem ogłaszam...

Biskup na chwilę przerwał, jakoby mu zabrakło oddechu. W grobowej ciszy, głosem brzmiącym jak surma, zawołał:

— *Anathema sit!*

— *Anathema sit!* — powtórzyli kanonicy.

Świece rzucili na ziemię zdeptując wątle płomyki.

Stanisław przez chwilę walczył z podnieceniem.

W powszechnej ciszy podjął:

— Kłatwę na Bolesława we wszystkich kościołach królestwa powtórzyć nakazuję, by przestrzec wiernych, iż jako trądem nawiedzonego unikać go mają, jeśli sami kłatwą nie chcą być dotknięci. Nikt nie jest winien odrzuconemu posłuszeństwa, póki w pokorze win swoich nie uzna i nie zgładzi ich pokutą.

— Amen! — potwierdzali kanonicy.

Lud rozchodził się, przygnębiony, a biskup, wyczerpany podnieceniem, w zakrystii zdejmował szaty pontyfikalne, gdy w popłochu wpadł młody kleryk i zawołał:

— Na mostach od Strkdomia zbrojnych widać; ani chybi, po was idą. Uchodźcie, panie!

Biskup przybladł, lecz rzekł oschle:

— Odejdź, mały człowieku. Zaiste, warto było wojnę zaczynać, by uchodzić przed pierwszym spotkaniem. Biskupowi' zresztą *asylum*¹ służy w kościele którego nawet ten przeklętnik naruszyć się nie waży.

— Król -waży się na wszystko, wiecie o tym rzekł kanonik Bogusz Półkozic. — Ostrożniej byłoby ukryć się. Co się w pierwszym porywie gniewu uczyni, tego się nie uczyni w drugim. Uchodźcie!

Biskup stał niepewny, Fulbert jednak odparł:

— Gdyby nawet Bolesław śmiał rękę bezbożną ściągnąć na Bożego pomazańca, Bóg porazi ślepotą oczy siepaczków, a członki ich niemocą.

— Nie kuście Boga o cuda — rzekł gniewnie Jakub Jtanina ze Zbylutowic. — Król ani chybi ukorzy się, gdy ujrzy, że wbrew Kościołowi i wielmożom nie da się rządzić, ale czas mu osławić należy.

I nie czekając na postanowienie biskupa za rękę go uchwycił i ciągnął ku wyjściu. Biskup dał się bezwolnie prowadzić. Młody kleryk Bień wybiegł za nimi.

Tuż przy brzegu jeziora stała łódka, do której zmierzzał Jakub. Posadził w niej Stanisława i wręczając Bieniowi wiosła rzekł:

— Trzcunami się przebijajcie, by widać was nie było. Potem do proboszcza w Skawinie pójdzicie. Tam się wam wieści prześle i ludzi do ochrony. Ruszaj!

Silnym pchnięciem nogi zsunął łódź na wodę i przez chwilę stał patrząc za nią. Zniknęła w szuwarach, jeno po ruchu wierzchołków trzcin widać było, gdzie się

¹ a s y l u m — nietykalne miejsce schronienia

posuwa. Jakub wrócił do zakrystii. Fulbert, swarząc się z Boguszem, mówi:

— Nic nam z ukorzenia się króla. Widzieliście, jako i cesarz się ukorzył po to jeno, by Grzegorzowi broń z ręki wytrącić i klin wbić między niego a ksiąząt, A ninie już nie dba o klątwę, gdy lud stanął po jego stronie i gregoriańskich biskupów morduje i chwytą, Walkę trzeba prowadzić do zwycięstwa, nie do ugody,

— Walkę, to walkę. Ale cóż za zwycięstwo, gdyby zaraz pierwszego dnia przywódcy nie stało?!

— Patrzycie na sprawy jak wojak. A przykłady uczą nas, że jeden święty męczennik mocniejszy niż dziesięciu żywych biskupów, zwłaszcza takich, co uciekają przed królem — rzucił Fulbert.

Jakub chciał coś odpowiedzieć, gdy przed kościołem rozległ się gwar i szcęk broni. Wyszedł na obejście. Stali tam zbrojni, a Mikołaj Strzemię zwrócił się do kanonika:

— Biskup stawić się ma natychmiast u króla! — zakrzyknął.

— Biskupa nie ma — odparł Jakub obojętnie.

— Łzecie! — krzyczał Strzemieńczyk. — Wiemy już, że jakoweś klątwy tu głosił. Odszczeka psim głosem albo psi go zjedzą.

— Nie rzekłbyś mi, że łzę, gdybym miecz miał przy boku. I wynoś się stąd, bo tu kościelna ziemia, a tyś przeklętnik. Kazał ci pan jako psu zwierzynę ścigać, jeno psiego nosa ci brak, choć psi masz pysk.

Mikołaj odburknął coś zuchwale, ale pohamował się i wyszedł za murek cmentarza, by się z towarzyszami naradzić. Po chwili kilku z nich ruszyło drogą na południe, inni — w górę Wisły, a Mikołaj zawrócił z pozostałymi ku mostom na Stradom. Jakub wszedł do zakrystii i rzekł:

— Ani chybi, do Świątnik i do Tyńca poszli chwycić biskupa. Szczęście to, że go do Skawiny wyprawił. Trzeba tam zaraz ludzi podesłać do ochrony i powiadomić Sieciecha o wypadkach. Niech jakieś schronienie Stanisławowi obmyśli.

XXVI. UCIECZKA

Zanim z Sieciechem zdołano się porozumieć, niezyczliwi biskupowi osadnicy ze Skawiny zdradzili, gdzie się ukrywa. Wyruszył przeto na noc z nadesłanym do ochrony orszakiem; zamierzał sam z Sieciechem się naradzić, a w razie niemożności do Hermana pociągnąć, gdzie krewniak Wojsław Powąła schronienie mu obmyśli, nawet gdyby trwożliwy Włodzisław odmówił wniechania się w sprawę brata z biskupem i objęcia opróżnionego tronu.

Nie dotarł jednak jeszcze do Morawicy, gdy siepacze Bolesławowi, pilnując widocznie Sieciechowego dworca, orszak biskupi rozbili z zasadzki, a biskup jedynie dzięki przypadkowi samowtór z klerykiem Bieniem ujść zdołał, zbywszy koni i niemal wszystkich zasobów.

Gdy ucichły głosy pościgu, Stanisław wyczerpany do cna leżał na zboczu wzgórza w krzaczach. Bięć usiadł koło niego i nasłuchiwał. Cisza była.

— Bez psów nas nie najdą; ale co dalej? — ozwał się.

Biskup milczał. Wraz z wyczerpaniem ogarnęło go uczucie upokorzenia i zawodu. W duszy oczekiwał chwili, gdy Bolesław bosy, z powrozem na szyi, błagać go będzie o rozgrzeszenie. Teraz już wiedział, że tego nie doczeka. Uchodźć musi przed królewską zaścigością, by ocalić życie; walka z królem jest walną śmierć.

Gniew, oburzenie i w zajemna zaciętość stłumiły w Stanisławie uczucie, które poznał w czasie ucieczki! strach. Zdało mu się, że gotów umrzeć raczej, niż ustąpić. Ale gdyby zginął, król złamie opór, pozbawiony przywódcy. Myśl o tym krzepiła biskupa.

— Pójdziem do Włodzisława. Bóg nas uchroni przed herodową złością króla, a pobożni ludzie pomogą.

Unikali jednak ludzi, którym Stanisław zaczynał nie dowierzać, i lasami ciągnęli na północ. Cudna jesienna pogoda sprzyjała wędrowce pustkowień, a obfitość grzybów, ryb, jagód i dzikiego miodu zbędną czyniła pomoc ludzką. Biskup podniósł się na duchu. Pomoc Boża pozwoliła mu dotychczas uniknąć obieży, żywił nadzieję, że go szczęśliwie do celu doprowadzi. Zmyślniejszy Bień nie omieszkiał jednak przestrzegać ostrożności, gdy jeno trafiała się sposobność, wstępował do samotnych osad, by się zaopatrzyć na dalszą drogę. Lasy zaczynały być mniej zwarte, wskazując, że zbliżają się do osiadłego kraju, i pewnego dnia, przeszedłszy gościniec, poznali, że minęli gród w Mstowie. Za Wartą, którą przebrnęli, już ciągnęły się ziemie przyjaznych Odrowążów, gdzie niebezpieczeństwo zdrady mniejsze i o pomoc łatwiej. Ranki zaczynały się chłodne, czas było dach mieć nad głową na noclegi.

Obudzili się jednej nocy szcękając zębami. Nisko przy ziemi leżała mleczna mgła, osiadając rosą i przepajając wilgocią szaty wędrowców, a ciała ich chłodem. Czekali z utęsknieniem ranka.

Biskup trząsał się tak, że kleryk rzekł strapiony:

— Byście jeno nie pochorzeli, bo co wówczas nczynim? Na rano siwy mróz będzie. Chyba ognia naniecę?

— Raczej zajść do chaty jakowej — odparł Stanisław, drżąc z zimna. — Może na dobrych ludzi trafimy.

Do świtu było już niedaleko. Opodal z mgły wynurzał się dach samotnej chaty stojącej na skraju większej osady.

Zapukali i weszli do izby. Mroczna jeszcze była, jeno płonący na palenisku ogień oświetlał stojącą przy nim. niewiastę. Bień pochwaliwszy Boga pociągnął chciwie nosem, a biskup usiadł w milczeniu, nie mogąc przez zaciśnięte szczęki słowa wydobyć. Ogarnęło go wrażenie ciszy, ciepła i spokoju, jakiego dawno nie zaznał. Czuł to, co czuje ścigany zwierz, gdy ostatkiem tchu znajdzie się w swej jamie, bezpieczny. Bień tymczasem gadał:

— Wędrowni klerycy jesteście. O gościnę prosić chcieliśmy, bo towarzysz mój słabuje.

— Bóg gości przynosi. Wraz się polewka uwarzy. A dokąd was prowadzi?

— Do Czerwińskiego klasztoru — zełgał gładko Bień. — I prosić was chcieliśmy, byście nam spyży przedali na drogę. I jaj pojedlibyśmy, i mlekiem popili — dodał, czując nosem rybną polewkę, która mu już zbrzydła w czasie drogi.

— Rusz się, Ludmiło, krowy wydoić — rzuciła niewiasta w ciemny kąt izby — i obacz, czy kury co niosły.

Teraz dopiero zauważyli młodą kobietę, która do kołyski położyła trzymane dziecko i bez słowa wyszła.

— Wybaczcie — powiedziała stara niewiasta z westchnieniem, stawiając na stole dymiącą polewkę i kładąc dwie drewniane łyżki. — Taka już jest. Nieraz dzień i dwa minie i nawet do nas słowa nie wypowie. — Zapaską otarła oczy.

Stanisław chciwie jeść poczał gorącą polewkę, która przenikała ciało lubym ciepłem. Kleryk, który czekając na lepszą strawę rozglądał się po izbie, zapytał:

— Czemu to?

— Męża jej otruli ludzie krakowskiego biskupa za to, że królowi służył.

Łyżka Stanisława stuknęła upadając. Bień chytrze potracił misę, niby nieumyślnie, aż polewka chlapnęła na stół, ale niewiasta nie zwróciła uwagi, lecz ciągnęła:

— Przy małym właśnie była. Pokarm jej się zważył, dziecko się marni w oczach. Może byście co pomóc umieli?

Wyjęła dziecko z kołyski i przyniosła do stołu. W szarym świetle poranka wychudłe ciało było niemal niebieskie, w małej jak pięść twarzy niepomierne wielkie oczy miały wyraz spojrzenia konającego zwierzątka. Niewiasta mówiła dalej, tuląc nieruchome ciało do piersi; głos jej nabrzmiały był żalem:

— Jedyne, co jej ostało. Cóż dziwnego, że jej się rozum miesza. Siedzi nad małym dzień i noc, i jeśli zapyta o co, to chyba czy schwytny już zbiegły biskup, którego król ścigać kazał wszędy za popełnione zbrodnie.

Stanisław wstał. Bień, by uprzedzić jakiś nieopatrzny krok, zerwał się również i mówił:

— Coś nie widać waszej córy, a nam spieszo dalej.

Niewiasta spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Wždy nie pojedliście nawet polewki. Ludmiła wróci zaraz.

— Nie w smak mi rybna polewka, nie głodnym. A co dacie, na drogę wezmę.

Stanisław milczał.

Ruszyli ku drzwiom, które otwały się i stanęła w nich Ludmiła ze skopkiem mleka w ręku, niosąc jaja w zapasce. Biskup unikając jej spojrzenia przestąpił próg, Bień jednak zatrzymał się i przekładając jaja do sakwy mówił:

— Mleka się napiję, uleście mi.

Biskup odwrócił się gwałtownie i zagryzł wargi. Gdy Bień wypił i podziękował, Stanisław rzucił ostro:

— Zapłać!

— Nie gospoda przecie — rzekła z żalem stara niewiasta. — Czemu gardzicie gościnną i wspomóżeniem z dobrego serca danym potrzebującemu?

Biskup nie odrzekł nic, odwrócił się i ruszył przed siebie. Po chwili dognał go Bień. Idąc koło Stanisława ozwał się z nieśmiałym wyrzutem:

— Mało brakło, a bylibyście wyznali, kim jesteście.

— Mało brakło — powtórzył biskup jak do siebie.

Słuchał milcząc utyskiwać Bienia, że bez tego poznać mogli, kim jest, i to właśnie oni, którzy go nienawidzą i wiedzą, że król ścigać go kazał.

— Skrećmy no w las. I tak może ścigać nas będą, choć zamaniłem ich, jako się dało.

Biskup zatrzymał się i powtórzył znowu, jakby zrozumieć nie mogąc:

— Nienawidzą mnie! Za co?

Odwrócił się i skręcił na południe. Bień przez chwilę szedł obok niego milcząc. Potem odezwał się domyślnie:

— Nie pójdziem do Wiodzysława? Może i lepiej, bo tam nas ścigać mogą, skórom rzekł, że do Czerwińska idziemy. Jeno że ziąb się już zaczyna i ciężko po lasach nocować. Ale lepsze to, niż popaść w królewskie ręce.

Stanisław nie odrzekł nic. Lęk o życie ustąpił przed czymś silniejszym. Zatopił się w myślach tak, że nie słyszał dalszej gadaniny Bienia. Zarzut, jaki go spotkał, wstrząsnął nim jak grom. Wzburzony, byłby nie zważał, że życie narazi odpierając go. Powstrzymała biskupa gorsza jeszcze, równie nagła wątpliwość, czy nie ma w nim winy.

Bronił się przed tą myślą wszystkimi siłami. Nawet nie wiedział, jak się odbyła sprawa między Przebimilem a Wolkmarem, która pochłonęła życie obu i nicponia Otarda na dobitkę. Było w niej coś nie wyjaśnionego, ale biskup musiał przed sobą przyznać, że wyjaśnienia jej nie szukał. Dlaczego?

Niewiedzą odsunął się od odpowiedzialności za to, co czynił Wolkmar. Teraz napierała na niego świadomość: cud w Piotrawinie — szalbierstwo, bulla na paliusz — oszustwo, wywołanie buntu — przemieszczenie!

Znajdował usprawiedliwienie, ale dlaczego, gdy patrzył na cień Przebimilowego dziecka, obok litości ogarnęła go groza, jakby wobec ofiary własnych czynów? Stanisław przyspieszył kroku, jakby chciał uciec

przed samym sobą. Bień z trudem nadażał za nim, mówiąc:

— Długo wydolicie tak uciekać?

O głodzie szli do wieczora. Biskup nie przemówił ni słowa przez dzień cały. Nurtował go gniew, gorycz i zwątpienie; zwątpienie o skuteczności klątwy, gorsze od niego, choć dopiero kielkujące zwątpienie o słuszności swej sprawy i najgorsze zwątpienie o samym sobie. Prawdą jest, że zburzyć chciał przestarzały porządek, by nowy, lepszy wprowadzić. Ofiary muszą być, nie szczędził i siebie. Za cóż go przeklina-no?

Pytanie to tkwiło w nim jak cień w nodze, który przypomina się przy każdym kroku. Czy jego wina, że wszczął się zamęt i walka? Gdyby wszyscy jak jeden posłuchali go, jak byli powinni, król ani dnia rządzić by nie mógł. Nowy ład nastałby, jak dzień po nocy. Pobożny i uległy Włodzisław wstąpiłby na miejsce tyrana i bezbożnika. Potrzebne przemiany odbyłyby się spokojnie i bez ofiar. A tak?

Stanisław uśmiechnął się gorzko. Znał Włodzisława i znał Bolesława. Włodzisław nie wystąpi jawnie, dopóki walka trwa. A trwać będzie, aż Bolesław zostanie całkiem osamotniony. I wtedy jeszcze gotów walczyć, szaleniec. Nie będzie spokoju, póki on jest przy życiu; on i jego pokolenie. Stanisław siły nie miał, musiał się godzić na inne sposoby walki i siebie narażał bez trwogi, bardziej niż wojak w bitwie. Nagie zadrżał; wspomniał zlorzeczenia Wysesławy i uprzytomnił sobie, że już się spełniać zaczęły. Ten ucisk w piersiach, który odczuł już kilkakrotnie, gdy ucho-dzić był zmuszony przed pościgiem, i pozostające po-tem uczucie poniżenia — to strach, zwykły strach o życie. Nie znał go dotychczas i -nie chciał znać wię-cej.

A lęk przed własnym sumieniem, który dziś poczuł, gorszy niż strach o życie.

— Cóż z sobą poczniecie? — pytał Bień strapio-ny. — W klasztorze się gdzie przytamy?

— Nie ufam już nikomu. Na bezludziu osiądziem,
iko eremici.

— Czas by już skończyć wędrowanie. Jesień nad-
lodzi.

Jakoż zachodni wiatr pędził chmury, z których szły
ierwsze bryzgi zimnego deszczu. Lasy i gaje opust-
:ały już ze śpiewających drobnych mieszkańców, jeno
borów gdzieś ku ludzkim siedzibom ciągnęły chmury
marnego ptactwa, kracząc na słotę. Przed węd row-
ami kraj leżał szary i ponury.

Jednostajny, drobny, uporczywy deszcz jesienny
rzyduszał do ziemi dym sączący się przez poszycie
achu.' Północny, zimny wiatr, który włóki postrzę-
ione i szare szmaty chmur, kłębił jeno w głębi lasu
owietrze, rozwlekając strzępy dymu w długie, błę-
itnawe pasma; ciągnęły w ciemną głąb boru, omi-
ijąc w skrętach pnie wiekowych drzew i ostrzegając
wierzą, że w chacie czy raczej szopie, którą uważać
awykły za swoją, zagościł znowu człowiek.

Stanisław siedział na niskim pionku przed pale-
iskiem, mrużąc oczy poczerwieniałe od dymu, którego
elna była chata. Bień rąbał toporkiem gałęzie na
zczapy, przyrzucając je do ogniska dającego więcej
ymu niż ciepła. Tyle jeno, że oświetlało wnętrze, pu-
te prawie, którego oświetlić nie mogły szpary w po-
życiu ani ledwo widoczne, małe okienko, miast pę-
herzem, strużynami z sosnowego drzewa zabezpie-
zone.

Gdy przed miesiącem naszli wśród lasu opuszczoną
hatkę, uważali to za szczególną opiekę Bożą. Po tru-
lach i niebezpieczeństwach wędrowki zdała im się
wymarzoną schronieniem. Przedsiębiorczy Bień,
tóry po drodze zdobył trochę narzędzi, ponaprawiał
wystrzępione poszycie dachu, podparł chylące się
ciany, poutykał i ogacił, po czym wziął się do za-
ipatrzenia w żywność na zimę.

Póki się krzątał i ruszał, wesoły był i zadowolony;

wyręczał biskupa we wszystkim, wszelkie trudy biorąc na siebie i odnosząc się do niego z dawną pokorną czcią, mimo pewnego spoufalenia, które na skutek ciągłego obcowania sam na sam nastąpić musiało. Obiecywał też sobie, że gdy biskup wróci na swą stolicę, wiernej jego służby nie omieszka wynagrodzić, jako najmiłszego ucznia i wybawcy.

Co prawda niewiele się mógł nauczyć, biskup bowiem milczący był. Całymi dniami siedział, zatopiony w modlitwie czy zadumie.

Nic to było jeszcze, póki kleryk zajęcie miał, a pogoda pozwalała pracować na dworze. Ale gdy nadciągnęły uporczywe słoty jesienne, a krótkie i ponure dni mierzchły zaraz z południa, pozostawało zakopać się w mech i igliwie i spać jak niedźwiedź w barłogu lub gadać. Zrazu, gdy zaczynał, Stanisław kilkakrotnie przerwał mu surowo, mówiąc, że nie przystoi, by młody kleryk pasterzowi swemu przeszkadzał w modlitwie i rozmyślaniach. Pomogło, ale nie na długo; znudzony młodzik zaczynał na nowo, a upomnienia przestały działać. Wówczas biskup, by powagi swej nie narażać, zbywał ciągle zagadywania kleryka milczeniem. Skutek był jeszcze gorszy; kleryk rozzuchwiał się widocznie. Biskupa przestał nagabywać, ale bez przerwy gadał sam do siebie, a wreszcie kłąć zaczął nieprzystojnie przy każdej sposobności.

I teraz rąbiąc, gdy kawałek drzewa odskoczył i wyrznął go w kolano, Bień zaklął grubo ze złości. Biskup ozwał się surowo:

— Nie kluj! Pomodliłbyś się. Dziś niedziela.

— Juści! Jeno że święci aniołowie drew za mnie nie narąbią. Tyle się modlicie, że mogliby!

— Błuznisz! — rzekł Stanisław przybladłszy trochę. — W piekle gorąco jest, bacz, byś się tam nie ogrzał.

Bień zadrzał, ale odparł rozdrażniony:

— A wy to co? Też jeno kłąć i odkazywać umiecie. Kto od was kiedy dobre słowo usłyszał?

<n — Milcz! Grzeszników karzę, od tegom pasterz. Pokory się ucz.

Kleryk nic nie odrzekł, jeno toporek wziął i wyszedł na słoć. Biskup został sam. Odetchnął jakby z ulgą. Bień stał mu się niezbędny, a jednocześnie obecność jego drażniła Stanisława. Obolała duma jego cierpiała od zuchwałej poufałości młodzika. Gorzko się zamyślił.

Dawnoż to króla samego na kolana chciał cisnąć; nie uznawał nad sobą nikogo. Jeszcze w duszy jego odzywa się święte oburzenie, że król śmiał się nie ugiąć przed bronią, która na kolana rzuciła samego cesarza. A teraz znosić musi zuchwalstwo młodego kleryka, by utrzymać nędzne życie. Gdzie się podziała . w czym tkwiła jego powaga i siła, którą złamać chciał każdego, co mu się przeciwstawi?

Spojrzał na swój kaftan, byle jak zszyty z niewyprawnych skór zajęczych, i uśmiechnął się gorzko, i oczy go zapiekły. Gdy stał przed Bolesławem w inule, z pastorałem z ręku, w pozłocistej kapie, a Bolesław wydrwił jego upomnienia, biskup szczerze był przekonany, że król popełnia bluźnierstwo. Gdyby tak . tanał, jak ninie wygląda, brudny, zarośnięty, z roznierzwionymi włosami pełnymi igliwia i robactwa, ile przed królem, ale ostatnim z jego pacholków, nie dziwilby się nawet, gdyby go wyśmiano. Czy szatą yłko różni się człowiek od człowieka?

Stanisław siłą oderwał myśli od tych spraw. Jeszcze nie był przygotowany, by samemu sobie szczerze dpowiadać. Oddali Bienia, bo jeno drażni go i myleć przeszkadza. Chce zostać całkiem sam. Wówczas ię z sobą policzy.

Kroki rozległy się na dworze, drzwi otwarły się od opnięcia i do chaty wcisnął się Bień, z trudem przechając się z olbrzymim brzemieniem gałęzi i suszu, tisał naręcze koło paleniska i milcząc wziął się do ąbania. Biskup czekał, aż się odezwie, ale kleryk zajął się widocznie. Wziął kociołek i wyszedł po wodę o strumienia, by nastawić wieczkę. Biskup wstał

i rąbać począł drwa toporkiem. Z goryczą i upokorzeniem myślał, że co dzień będzie musiał to robić, gdy Bień odejdzie. Nie nawykłemu do pracy ośliznęło się ostrze o twardey konar, lecz szczęśliwie toporzyskiem jeno uderzył się w goleń. Omal nie zaklął słowami Bienia. Jeszcze pocierał bolące miejsce, gdy wszedł kleryk. Obaczywszy, co biskup robi, chciał odebrać mu toporek, mówiąc:

— Ostawcie! Jeszcze sobie gnaty poprzetrąacie.

— Nie! — Odparł Stanisław stanowczo. — Muszę nawyknąć, bo rozstać się nam trzeba.

— Co zaś prawicie?! — zakrzyknął Bień. — Gdzież-bym was samych ostawił!

Bień był szczery mówiąc to. Ale zaraz przeszło mu przez myśl, że jeśli się rozstawać z biskupem — to nie w złpści. Nuż wróci na stolicę, metropolitą ostanie, potężniejszym niż sam król. Rzekł przeto:

— Chyba że mnie posłać chcecie, by wywieźć się, co zaszło. Nuż króla już Pan Bóg pokarał, a my tu siedzimy w biedzie, gdy inni tam może używają na wszystkim.

Stanisław milczał, ale Bień zapalił się do pomysłu powrotu między ludzi.

— I wieści wam przyniosę, i wszystkiego, co trzeba. Szaty przystojniejsze i cieplejsze zdałyby się waszej dostojności i brzytwa a nożyce, bo niechby was tak kto obaczył, pomyśli — Boże uchowaj — że łążęga albo zgoła zbój. A teraz narąbię wam dREW na zapas, by się wasza dostojność nie trudził.

Podniecony wybiegł z chaty i do zmierzchu znosił gałęzie. Późna noc była, a jeszcze rąbał z zapalem, potem zakopał się w mech, by zbudzić się przed świtem. Stanisław zapytał:

— Rankiem wyruszyć myślisz? A trafisz to z powrotem?

— Juści! Strumieniem pójdę. Strumień musi do rzeki wpadać, zaś nad rzeką musi być jakaś osada. Tak i wrócę.

Usnął, kołysany zgoła nienabożnymi myślami, jak

sobie odbije przymusowy post i wstrzemięźliwość. Biskup długo w noc siedział na pieńku zadumany, dorzucając szczap do ogniska, i słuchał boru grającego jak wielkie organy, które słyszał w paryskiej katedrze. W tym dzikim kraju jeno drzewa grają. Ni dzwonów, co płoszą złe duchy, ni organów, co piękniej niż śpiew głoszą chwałę Bożą. Gdyby mu władzę dano, wnet by wprowadził wszystkie wspaniałości, widziane na Zachodzie. Usnął marząc o tym.

Gdy się zbudził, w chacie było dziwnie jasno. Bień zniknął, jeno zar tlił się już tylko pod popiołem i w kociołku polewka nie wystygła jeszcze. Stanisław posiłił się i wyszedł na pole. Dzień był jasny, na ziemi leżał świeżo spadły śnieg, a nie całkiem zasypane ślady, wiodące ku strumieniowi, wskazywały drogę, którą odszedł Bień. Biskup był sam.

XXVII. WROGIE OBOZY

Wysłańcy królewscy przybywszy do Morawicy z wezwaniem do Sieciecha, by się na grodzie stawit do sprawy, już go tam nie zastali. Przestrzeżony przez swojaków, na Śląsk wyjechał, gdzie z możliwym a zaprzyjaźnionym rodem Łabędziów zamierzał otwarty już opór przeciw królowi przygotować. Tamtędy bowiem szli zbiegowie przed prześladowaniem króla, który po kłótwie zaciął się do reszty i każdy objaw oporu lub niechęci tępił z całą bezwzględnością i okrucieństwem, polując na biskupa i przywódców buntu jak na dzikiego zwierza, stawiając zasadzki i napadając dworce i gródki podejrzanych. Jasnym było, że jeśli opór się nie skupi i nie zacznie działać zwarem pod jednym kierownictwem, król złamie go i zetrze w proch. Mienie prześladowanych szło na nagrody dla prześladowców, a głowy — na pień. Czas naglił.

Ze Śląska też bliżej było do Czech i łatwiej o porozumienie z Wratysławem, którego niezwłocznie zawiadomiono o zaszłych wypadkach i zwolnieniu poddanych od posłuszeństwa, z prośbą, by pomoc dał Włodzisławowi, jako przyszlęmu zięciowi swemu, w objęciu opróżnionego tronu.

Chytry i przeczony a podejrzliwy Wratysław, choć w tajemnicy miał już przyrzeczenie, że otrzyma Polskę lennem z rąk cesarskich jako nagrodę za niepożyte usługi, uznał, że jeszcze nie pora na zbrojne wystąpienie. Cesarz, choć przewagę zyskał nad Rudol-

iem, żadnej nie mógł udzielić pomocy, przeciwnie, sam jej potrzebował jeszcze. Przegrana bitwa pod Meirichstadt sporo ludzi kosztowała i Wratysław niemało ich tam stracił; nie uśmiechała mu się też otwarta wojna z Bolesławem, którego z niczym nie liczące się męstwo niejedną już nieprzyjaciółom przyniosło niespodziankę. Tym bardziej że Bolesław cieszył się poparciem papieża i węgierskiego Władysława, z którymi w obecnej chwili zarówno cesarz, jak i Wratysław chcieli poprawić stosunki, by sprawy niemieckie doprowadzić do pomyślnego końca. Natomiast wojna domowa w Polsce, wyczerpująca siły obu stron, na rękę była Wratysławowi. Dlatego z jednej strony nie skąpił przyrzeczeń pomocy Hermanowi i Sieciechowi, do wytrwania zachęcając, z drugiej zaś klin postanowił wbić między króla a biskupa, który by wszelkie możliwości porozumienia między przeciwnikami usunął. Wysłał tedy list do Bolesława, w którym pod pokrywką bogobojności pośredniczyć rzekomo chciał w załagodzeniu zatargów między królem a biskupem, a naprawdę — zdradzić Bolesławowi, że zwracano się do niego w tej sprawie. Wratysław zbyt dobrze znał obu przeciwników, by nie obliczyć, że król nigdy nie uwierzy, iż zacięty Stanisław o pośrednictwo w zgodzie, a nie o pomoc do wrogiego Bolesławowi Czecha się zwracał, i że tego płazem nie puści.

Jakoż Wratysław osiągnął swoje, gdyż Bolesław zaraz sąd zwołał nad Stanisławem i zaocznie skazał go za zdradę na utratę godności, czci, mienia i gardła. Odwrót był odcięty.

Kanonik Mikołaj nie był jedynym, który w rozpętanej przez biskupa walce po żadnej nie chciał stanąć stronie. Zamieszanie i niepewność, zarówno co do wyników walki, jak i słuszności, były powszechne. Przywiązanie do dynastii, do obyczaju, sława wojenna króla, szczodrość, okres wielkości i pomyślności, jaki zapewnił krajowi, przechylały życzenia na jego stronę. Jednocześnie przeciwieństwo zakorzenione już chrześcijaństwo, prądy idące z Zachodu i pomału uświadamiana

pewność, że stare czasy prawa książęcego skończyły się i konieczne są zmiany, zwracały oczy ku biskupowi, który umiał zyskać powagą i wpoić przekonanie, że sprawy poprowadzi należycie. Wrychle jednak dostrzeżono, że żaden z przeciwników nie chce i nie umie ani na krok ustąpić, za swe prawo i obowiązek mając to, co drugi poczytywał za zbrodnią. Stawało się widocznym, że rozstrzygnie siłą, i jakkolwiek po chybionej ruskiej wyprawie lud, zniechęcony brakiem ochrony królewskiej przed samowolą wielmożów, w gotującej się walce stanął na uboczu, przeważało przekonanie, że król zwycięży dzięki swej bezwzględności i dzikiemu męstwu. Dopiero rzucona klątwa, o której wieść rozlała się po kraju jak woda, zachwiała i tym przekonaniem. Duchowieństwo, w większości swej za Stanisławem stojące, stronnikom króla odmawiać jęło sakramentów i pociech religijnych. Jednocześnie z nową siłą szerzyć zaczęły się wieści o cudach Stanisława; prócz dawnych, o których wciąż jeszcze głośno było wszędy, opowiadano o nowym, że Bóg niemocą poraził siepaczy królewskich, kiedy świętego męża porwać przyszli, a jego samego niewidzialnym uczynił.

Tymczasem zamęt w kraju wzrastał. Nikt już nie wiedział, co jest prawem, a co bezprawiem. Skarb opustoszał, a nie było go czym wypełnić. Nieurodzajny rok zapowiadał głód na przednówku, a spokojna i uległa dotychczas ludność z resztkami mienia uciekała w lasy, by uchronić się przed królewskimi poborcami i grabieżą ze strony mnożących się coraz liczniej swawolnych kup.

Kryli się bowiem po lasach ścigani przez króla wielmożowie, którzy nie mogli lub nie chcieli z Wratisławem czy Sieciechem się połączyć, szedł niejeden z drużyny od dawna nie opłacanej, a przywykłej żyć lekko i do statnio. Kupcy przestali jeździć z towarem, bo gaścince były niepewne. Mała powaga rozdwojonego Kościoła, a rozzuchwaleni bezsilnością Polski sąsiedzi: bezkarnie napadali pogranicza. Ruś przysunęła się:

z powrotem do Sanu i Bugu, Rościszewice zajęli Grody Czerwieńskie, wypierając polskie załogi, Pomorzanie i Prusy, zasileni przez zbiegów, raz w raz czynili napady, wiążące siły, jakie zdołali skupić — Wojśław na Mazowszu, a Michał w Poznańskim, dokąd zamek jeszcze nie dotarł.

Słotna jesień i twarda, śnieżna zima przytłumiły nieco rozboje, pościgi i pograniczne napady, ale była to cisza przed burzą. Widoczne było, iż z wiosną rozpocznie się wszystko na nowo i obie strony gotowały się jak do wojny. W grodach wzmacniano wały i częstokwały, ostrzono broń i ściągano żywność. Król, zuchwały jak zawsze, nie wahał się własną osobą na łowy jeździć, by wypełnić puste komory, choć przestrzegano go, że może wpaść w zasadzkę. Tym bardziej że lasami nieraz docierał aż na Śląsk, nie unikając po drodze osad i gródków, w których witały go zaskoczone i wystraszone twarze, aż nadto dobitnie wskazując, że nikt się nie spodziewał, by pod bok wroga z kilkudziesięcioma tylko ludźmi ważył się zapuścić.

Na ten widok Bolesław uśmiechał się drwiąco. Staowało się jasnym, że niecierpliwy król samego siebie na przynętę wystawia, by wroga ku sobie wywabić, gdy pora nieodpowiednia nie pozwalała go w kryjówce dosięgnąć.

Sieciech jednak ostrożny był i wyrachowany. Grał D czas; początkowo stworzyć nawet chciał pozory, że ukorzyć się zamierza, i przez biskupa Pietrka słał do króla, jako że nie czując się w niczym winny gotów na sąd stanąć, jeśli mu król wyjawi z góry, o co jest obwiniony, by obronę mógł przygotować, i zareczy, że przed wyrokiem więziony nie będzie. Bolesław jednak odrzec mu kazał, że sam go schwyta, a wówczas Sieciech się dowie, co mu król zarzuca. Odpowiedź ta jeszcze raz upewniła przeciwników królewskich, że nie mogą liczyć na pojednanie i trzeba głowy dać albo z kraju uchodzić, lub walkę na swoją korzyść rozstrzygnąć.

Darmo Dobrogniewa błagała Bolesława, by pogo-

dził się z bratem i zjednął go sobie uznając panem mazowieckiej dzielnicy, przez co wytrąci wrogom przynętę, na którą chcieli wciągnąć Włodzisława do buntu. Ten bowiem, trwożliwy jak zawsze, wahał się jeszcze. Bolesław jednak wzgardliwie odpowiedział matce, że ani takiego sprzymierzeńca mu nie trzeba, ani się takiego wroga nie lęka.

Próżno przedstawiali doradcy, że bodaj na jakiś czas lub choćby tylko dla pozorów układ jakowys zawrzeć trzeba, żeby postronne zakusy ukrócić, bo zaciętość króla jeno przysparza mu przeciwników. Nawój, ze zwykłą śmiałością, wprost wytknął królowi, że tylko myśli o zemście, a nie, by ład i spokój przywrócić; król, rozdrażniony, zarzucił mu, że się boi i za wrogami obstaje. Urażony Nawój odsunął się od króla, który zaciął się również, tym bardziej że czuł, iż słuszność jest po stronie Nawoja. Król zdawał sobie sprawę, że wielkie jego zamiary są już na zawsze udaremnione: dotychczasowe osiągnięcia rozsypały się "w pył, siły zgromadzone stopniały. Złość ludzka pozbawiła go wszystkiego, czym żył. Zostawała zemsta, a pierwszą jej ofiarą, którą w myślach własnymi rozrywał rękoma, był biskup krakowski.

Gdy nad nim dokona pomsty, będzie mógł wrócić do Krystyny!

Bień, wyrwawszy się z leśnej samotni, gnał jak młody żreback z wiosną na pastwisko. Zrazu cieszył się jeno ze swobody, bo minio spoufałenia ponury i milczący pasterz przygniatał go swą powagą. Żeby choć wygadać się mógł z myśli i pragnień, które go rozpie-rały, ulżyłoby mu. Ale nie śmiał, więc tym bardziej wrzał rozdrażnieniem. Teraz poczuł odprężenie, które dodawało mu skrzydeł. Opanowany zgoła świeckimi myślami, zrazu nie zastanawiał się, gdzie i jak poselstwo wykona.

Krótki zimowy dzień jeno mignął, a nocleg nie okazał się sprawą prostą. Bień kilka razy spotkał ślady

wilków. Jeszcze nie zbijały się w gromady, spotkanie z nimi nie było jednak bezpieczne, choć Bień pachół był tęgi, a kostur miał gruby i sękaty. Wcześniej też stanął na nocleg, by nazbierać dostateczną ilość suszu na całą długą noc, i miejsce wybrał pod rozłożystym drzewem o nisko zwisających konarach, by łatwo było schronić się na *nie* w razie niebezpieczeństwa.

Przedrzemał się byle jak przy ognisku do świtu i znacznie przygaszony niewywczasem ruszył dalej. Mógł *spokojnie myśleć, co poczynać*, bo i było o czym.

Do Krakowa bał się wracać, gdyż mogli wiedzieć na zamku, że uszedł z biskupem, i powziąć podejrzenie, że przyszedł na przespiegi. Sarna myśl o królu *zawsze* budziła w nim trwogę, a cześć, jaką powziął dla Stanisława, głównie w tym miała początek, iż królowi ~ śmiał się on przeciwstawić. Ucieczka trochę zmniejszyła uwielbienie, ale tym bardziej wzmagą strach. Na myśl, iż mógłby stanąć przed królem jako obwiniony, nogi się pod nim zatrzęsły, tak iż zmuszony był usiąść. Zadumał się.

Do księcia Włodzisława daleko, ale tam najpewniej znalazłby radę i wspomóżenie. Byle jeno najprędzej dotrzeć do gościńca. Jeśli *zaszło coś* ważnego, dowie się w pierwszym lepszym gródku lub osadzie. A jeśli nie, to ma czas; może wędrować i parę niedziel, byle jeno nie spać pod gołym niebem i pod groźbą wilków. Tęgo naciągając nogi, przed nocą winien dotrzeć do gościńca na Radom.

Uspokojony, ruszył przed siebie, kołysząc znowu weselsze myśli i podśpiewując chwilami. Milej jednak wędrować swobodnie, niż siedzieć z surowym i zamkniętym w sobie biskupem, a nawet niż śpiewać psalmy w krakowskiej katedrze. Pieśni, które nucił, zgoła ich nie przypominały.

Noc już zapadła, gdy znalazł się wreszcie na gościńcu. Ślady kół, jakie na śniegu zauważył, pierwszy od dawna znak ludzkiego życia, podnieciły go tak, że nie spoczawszy nawet powędrował dalej, pewny, że rychło dotrze do osady lub karczmy. Parę razy cień jakowys

dostrzegł na drodze; może wilk, a może inny zwierz. Parł przed siebie, gnany marzeniem o ciepłej stawie w przytulnej izbie i o noclegu na miękkim legowisku. Ostatkiem jednak już sił dobrnął do karczmy, na to, by z rozczarowaniem stwierdzić, że zapchana jest przez przejezdnych, iż nawet w stajniach miejsca nie było. Znużony nie pytał, kogo spotkał, jeno znalazłszy kąt na podstryszu ułożył się, jak się dało, i zasnął.

Zbudził go wcześniej gwar i krzątania, wskazujące, że przejezdni opuszczają już karczmę. Zlął co prędzej z podstrysza i udał się do gwarnej izby. Jak się okazało, były to połączone orszaki Ostasza i Radosława Odrowążów. Oni sami siedzieli jeszcze przy stole i popijając polewkę uradzali po cichu.

Uradowany, że dobrze trafił, Bień zbliżył się i pochwaliwszy Boga skłonił się Ostaszowi, jako starszemu, i rzekł cicho:

— Ważną rzecz mam wam oznajmić, jeno, na osobności.

Ostasz oddał pozdrowienie i odparł:

— Bratanek mój może słuchać, a inni i tak nie słyszają. Siadajcie, pożywcie się i mówcie.

Bień podziękował i usiadł. Przez chwilę milczał, by dodać wagi swej nowinie, po czym szepnął:

— Idę od krakowskiego biskupa.

Bień obdarty był i zarośnięty; zgołą *na* duchowego nie wyglądał. Ostasz spojrział na niego nieufnie. W pełnym zamieszku kraju nie brakło szpiegów. Dlatego milczał i patrzył na Bionia przenikliwie. Kleryk zrozumiał, że musi się czymś wykazać; pokrótce opowiedział historię ucieczki i zakończył:

— Tedy biskup wiedzieć chce, zali wracać już winien, czy czekać jeszcze. Jeśli tak, to zasilić go trzeba, bo jako zwierz w lesie żyje.

— Juści, niech wraca — rzucił popędliwie młody *Badosław*. — Czas nam skończyć.

Ale rozważny Ostasz przerwał:

— Co wam z zasobów potrzeba, mogę dać, choćby zaraz, ale zbyt doniosła rzecz, czy *wracać ma*, czy

nadal się ukrywać, byśmy sami o tym stanowili. Do Czerska ciągniemy, gdzie i księżę Włodzisław ma być, Sieciech i wielu innych. Tam się sprawa rozstrzygnie.

— Tedy pozwólcie, panie, że przyłączę się do was, by dowiedzieć się, co postanowicie — rzeki Bień, który nie czuł jeszcze ochoty wracać do lasu.

Za chwilę wszyscy człapali po gościńcu. Bień, dumny ze swej roli biskupiego posła, jechał na przdzie. Brzuch miał pełny i nową szubę na grzbiecie. Marzyły mu się godności, bogactwa i związane z tym rozkosze. Błogo mu było, choć pogwizdywać zaczynał przenikliwy wiatr, niosąc śnieżycę.

W Czersku zjazd był już liczny, ale Włodzisława ni Sieciecha jeszcze nie zastali. Bień nie martwił się i korzystał ze swobody, gdy poważni mężowie chodzili zasepieni. Włodzisław zwlekał wyraźnie z przyjazdem, pod pozorem słabości i mroźnej pogody, a ci, co go znali bliżej, mówili, że nie da rozruchowi swego imienia, póki nie przeważy się szala zwycięstwa. Przez to samo bieg wypadków wysuwał na przywódcę Sieciecha i choć niejeden w sercu nierad był, że potężny sam przez się wielmoża wszystkim ponad głowy wyrośnie, przecie ulżyło im, gdy nadjechał wreszcie. Król, mimo ostrej zimy, nie zasypiał sprawy, a oni stali bezradni.

Zebrali się też zaraz po przyjeździe wojewody, by wysłuchać wieści z Niemiec i Czech, skąd na pomoc liczone, a Sieciech stosunki z Henrykiem i Wratysławem sam w rękę trzymał, jak słusznie domyślano się, by znaczenie swoje podnieść i poza granicami kraju.

Wieści, które przywiózł, niezbyt były pocieszające, w każdym razie nie zapowiadały rychłego końca zamętu. Strapili się ci, którym dobro kraju leżało na sercu, ale Sieciech nie więcej zdał się tym przejmować niż zwłoką Włodzisława. Na radzie nawet wprost powiedział, że jeno imię królewskiego brata sprawie potrzebne, a tego im i tak wzbronić nie zdoła.

Ostasz sprawy Stanisława nie poruszył, widząc, że

jeszcze nie czas i raczej unikać należy rozgłosu. Gdy inni odeszli, został wraz z Wojśławem Powałą, z zamiarem przyciśnięcia wojewody, by jasno postawił, do czego zmierza, obydwaj bowiem nie mieli chęci ślepo go słuchać. Zanim jednak mówić zaczęli, wszedł pacholek z oznajmieniem, że posłaniec krakowskiego biskupa prosi, by mówić mógł z Sieciechem.

— Tego ja po drodze spotkałem i przywiodłem — ozwał się Ostasz.

— To znalazł się Stanisław? Myślałem, że go wilcy gdzie ogryzli, bo mówiono, że do Czech zbiegł, a tam się nie pojawił — rzucił Sieciech lekceważąco. — Dawać posłańca! — polecił pacholkowi.

Wojśław poczerwieniał, a Ostasz spojrzął na niego znacząco, Sieciech jednak zdał się nie widzieć tego, bo patrzył na Bienia, który wszedł do izby przybrany w duchowne szaty, ze świożo wygoloną tonsurą, usiłując przybrać dostojny wygląd, jak przystało na biskupiego posła. Sieciech jednak przygasił go z miejsca, pytając szorstko:

— Czego chcesz?

Nadrabiając miną, Bień zaczął:

— Pan mój, dostojny biskup krakowski, Stanisław Turzyna ze Szczepanowa, pokłonić się wam kazał i oznajmić, że Bóg go szczęśliwie przy mojej pomocy z rąk siepaczy królewskich ocalił, i zapytuje, zali nie pora mu wracać, by kraj nie był jako owce bez pasterza. Gotów na to każdej chwili, na bezpieczeństwo swej osoby nie bacząc.

Sieciech zaśmiał się urągliwie:

— Pięknie to mówisz, ale biskup niech dalej baczy na bezpieczeństwo swej dostojnej osoby. Pies ninie owieczkom bardziej potrzebny niż pasterz, a będzie potrzebny — pošlemy. Na kościelne sprawy nie pora, a inne uładzimy bez niego. Możesz odejść.

Bienia aż zatkało, jakby spadł z wysokiej gałęzi; spojrzął bezradnie na Ostasza, który odezwał się:

— Zaczekajcie u mnie. Uradzimy, jak pomóc biskupowi.

— Pomóc i ja mogę — dorzucił Sieciech obojętnie. — Zgłoś się u Fałka, a wyda ci, co trzeba.

Bień wyszedł znacznie mniej dostoyny, niż wszedł; gdy się drzwi za nim zamknęły, Wojśław hamując wzburzenie powiedział:

— Zda mi się, że nie o wsparcie dla biskupa chodzi, jeno o jego osobę. Wždy nikt nie zaprzeczy, że on pierwszy walkę wszczął z królem i jego to powagą cały niższy kler i liczni wielmoże, zwłaszcza z krewniaków jego, po naszej stanęli stronie.

— Zaczął i uciekł — odparł Sieciech sucho. — Czy mam rozumieć, że gdyby nie *on*, *i* wy bylibyście w królewskim obozie? Dotychczas mniemałem, że wraz ze swyra księciem czekacie jeno, kto wygra, by z nim łupy podzielić.

W głosie Sieciecha zabrzmiała groźna drwina, Wojśław niedaleki był od wybuchu, ale Ostasz przerwał spokojnie:

— Nie czas się spierać, o co kto walczy, jeno radzić, jak skończyć prędko, bo cierpi kraj cały, nikogo nie wyłączając. Potem większość postanowi, jaki porządek ma nastać, a Stanisława głos nie ostatni będzie.

— Słusznie! — przytaknął Sieciech obojętnie. — Ale w walce jeden musi przywozić, a inni słuchać. Zacząć walkę nie sztuka, jeno ją do zwycięskiego doprowadzić końca.

— Czy mamy rozumieć — zacinając się w podnieceniu zapytał Wojśław wstając z miejsca — że wyście przywódcą i rady niczyjej nie potrzebujecie?!

— Każdy wie — odparł Sieciech — że siła w moim ręku, a w głowie rada. Gdy mi jej braknie, poproszą * o nią.

— Pójdźmy! — rzekł również wstając Ostasz. — Jedno pewne, że najmniej nam ninie spory potrzebne.

Wyszli wraz z Wojśławem. Wojśław ozwał się:

— Gdyby się udało z królem rozsądną ugodę zawrzeć... Lepiej, by władza w jego została ręku. Nie wiem, czy nie trudniej będzie wydrzeć ją Sieciechowi.

— Nie da się już — odparł Ostasz. — Król żadnej rozsądnej rady nie posłucha, nawet od ludzi, o których wie, że mądrzy i jemu życzliwi.

— Ale co począć ma Stanisław? — zapytał Wojśław, zatroskany o krewniaka.

— Zda mi się, niech siedzi, gdzie jest, póki się sprawy nie wyjaśnią. Bolesław na niego zawzięty jak na nikogo. Trudno wojska dla jego ochrony trzymać. A nie ufam i Sieciechowi. Sam chce pozostać na wierzchu.

— Juści! — odmruknął Wojśław. — Ninie biskup." istotnie robić tu nie ma co. Za to później powaga jego potrzebna będzie.

Spojrzeli po sobie ze zrozumieniem.

— Tedy jeno dopomóc trzeba, by nie szczeznął 2 biedy lub od zwierza. Niech kleryk zasoby mu zawiezie.

— Może by ludzi podesłać do ochrony? — rzucił Wojśław.

— Radziej nic, by nie było o nim głośno — odparł Ostasz zamyślony.

Bień jednak nieprędko wyruszył. Przyszły srogie zawieje, tak że z trudem przekopali się do Końskiego, gdzie utknął u Ostasza, czekając sposobniejszej pory.

XXVIII. DWAJ WV WOŁAŃCY

Po odejściu Bienia Stanisław nie miał zbyt wiele czasu na rozmyślania. Wczesne mrozy zmuszały do utrzymywania ognia dniem i nocą. Niedoświadczony, często nie zdążył wrócić z wyprawy po susz przed wygaśnięciem ogniska, a potem ogień krzesać musiał godzinami, tracąc już nieraz nadzieję, czy ujrzy różowy płomyk, który rozrośnie się w krzak ogniska, oznaczający ciepło i życie.

Gdy zawieja zerwała spory kawał poszycia, po raz pierwszy nie było w chacie dokuczliwego zazwyczaj dymu, jeno mróz. Skoro zaświtało, Stanisław, z posiniałą twarzą i zgrabiałymi rękoma, wziął się do naprawy strzechy, wspinając się po dachu. Po raz pierwszy też pożałował, że nie ma Bienia. Gdy dach znowu zamknął wnętrze chaty, Stanisław, wyczerpany, legł koło ogniska, z uczuciem dumy z dokonanego dzieła, jakiej dawno nie odczuwał.

Wprawiał się zresztą w wysiłkach mięśni, co dawało mu większą pewność siebie i zadowolenie, niż pochwały osiągnięte w paryskiej szkole za postępy w gramatyce i retoryce. Tamto łatwiejsze było, a na cóż mu teraz potrzebne? Stwierdził, że znużone ciało nie sprzyja rozmyślaniom. Lepiej, bo nie byłyby wesołe. Natomiast nachodziły go wspomnienia dzieciństwa, ijczystego Szczepanowa, starych lip koło dworca, ich miodnym zapachem i brzęczeniem rojów pszczoł, które już z dala słyhać było, gdy w słoneczne po-

ludnie wracał z łąk kwiecistych nad rzeczułką. Lubi!
taplać się i brodzie po niej aż do czasu, gdy raz w jamie pod brzegiem ujrzał olbrzymiego raka, który patrzył na dziecko swymi małymi oczkami, a długie wąsy chwiały mu się na prądzie. Szeroko rozstawione cęgi szczypiec gdały się czaić, by uchwycić malca
i wciągnąć w ciemną jamę pod wodą. Uciekł wówczas z krzykiem i strach zniknął dopiero, gdy syna przytulili do piersi matka. Z nią chodził na rozstaje, do kapliczki Sw. Małgorzaty, gdzie później wystawił kościół, i tam uczyła go modlić się prostymi, polskimi słowami. Przez długie lata zapomniał tych słów i zapomniał matki, która zmarła, gdy bawił daleko na Zachodzie. Nie odczuł nawet jej braku, gdy wrócił, myśl mając zajęta wielkimi sprawami, które miały pochłonąć całe życie, i modląc się w dziwnej i szlachetnej mowie łacińskiej, uświęconej wraz z grecką i żydowską napisem na krzyżu Pańskim. Teraz znowu wspominał matkę i znużony, modlił się prosto i krótko dziecinną modlitwą.

Dlaczego wspomina matkę? Może dlatego, że umiała koić strach; nie brakło go w puszczy. W coraz dalszych z konieczności wędrówkach swych spotykał się z nim często. Raz w wykrocie znalazł wielką stertę suchych gałęzi. Gdy uradowany, że nie musi godzić się w walęsać się w poszukiwaniu opału, wyciągać zaczął konary, coś wielkiego poruszyło się wewnątrz i rozległ się groźny pomruk. Uciekł, wystraszony. Kiedy indziej znalazł jelenia z wyprutymi trzewiami i nadgryzioną szyją. Widno zarzęły go wilki. Wyrażał udziec, rad znowu skosztować świeżego mięsa, i zawlókł go z trudem do chaty. Nazajutrz, wyszedłszy rankiem, ujrzał na świeżym śniegu znane już sobie ślady wilczych łap. Dreszcz go przenikał na myśl, że jeno cienkie ściany bez podwalin i cieńsze jeszcze drzwi dzieliły go od żarłocznego stada. Dawno nie modlił się tak żarliwie jak obecnie, o chleb jeno powszedni prosząc i ochronę przed zwierzem. Wytrzeszczone w przedśmiertnym przerażeniu ślepie zagryzio-

nego jelenia stawały mu przed oczyma, budząc prze-
rażliwy obraz ostatniej walki z bezlitosnymi drapież-
nikami. Wyczułone ciszą ucho i rozbudzona samotno-
ścią wyobraźnia nieraz w długie bezsenne noce niosły
mu odgłosy stapania i oddechów: wilki czy wilko-
łaki?!

Życie nie było łatwe i ledwo czasu starczyło, by za-
pewnić sobie ciepło i strawę. Wśród nieustającej pra-
cy minęły Gody i Nowy Rok, niczym nie różne od
innych dni. Dopiero po Trzech Królach nastąpiła od-
miana.

Przyszły wielkie wichry z zachodu, niosąc burze
z piorunami, wróżbę jakichś złowrogich wypadków.
Nagnały zawieje, że świata widać nie było. Do je-
ziorka po wodą musiał kopać się Stanisław przez
śnieg. W końcu ciepłe zlewy zmieniły śnieg w grzą-
ską miazgę, ale strumień ruszył, szeroko rozlany idącą
po lodzie wodą. Mróz potem znowu ściał rozmokły
śnieg w lodową szreń, po której nawet ciężki zwierz
przejść zdołał. Dni stały się dłuższe, a życie łatwiej-
sze. Stanisław poczuł, że najcięższą część zimy ma już
za sobą. Nawet wilki wyniosły się gdzieś, pogoda na-
stała słoneczna i biskup chodził daleko w głąb puszc-
zy. Polubił te wędrówki, po których wracał zdrowo
znużony, z ochotą jadł jednostajną strawę i spał mo-
cnym, pocrzepiającym snem do rana. Dawno nie czuł
się tak swobodny, jak obecnie.

Jednego wieczora wracając dostrzegł już z dala sto-
jące przed chatą dwa konie. Przyspieszył kroku,
a w tejże chwili z chaty wybiegł mu naprzeciw Bień.
Ręce biskupa całował z pokorą, bo gryzło go trochę
sumienie, i mówił z niekłamaną ulgą:

— A to mnie aż ciarki przeszły, gdym chatę pustą
zastał, Zwierza się namnożyło wszędzie, bo padliny
nie brak — ludzkiej i zwierzęcej. Ani sposób było
w pojedynkę do was przyjechać, a brać nikogo nie
chciałem, by schronienia nie zdradzić. Ale ninie wilki
do osad poszły, a ludzie do lasów.

— To szukają mnie jeszcze? — zapytał biskup.

— Szukają, choć wieść poszła, żeście do Wratysława zbiegli i z nim wróćcie. Wratysław już wojska przeciw królowi zbiera; gdy nadejdzie, przyślą po was. Pono już wrychle i chwalić Boga, bo w kraju nędza i bieda, aż żal patrzeć. Modlą się ludziska, by raz już przeważył, kto ma przeważyć. Sieciech pewny już swego, bo w siłą rośnie, a królewskiej ubywa. Króla chyba Bóg pokarać chce i z rozumu obrał, bo sroży się jako nigdy. Nie ufa już nikomu i nawet poróżnił się z Nawojem. Myślał przeto Sieciech, że Nawoja na naszą przeciagnie stronę, ale i on widno głupi, bo Sieciechowi odrzekł, by zdrajców między takimi jak sam szukał.

Twarz biskupa zarumieniła się, a Bień ciągnął:

— Waszą dostojność król za zdradę zasądził na ćwiartowanie, pogańskim obyczajem, osobliwie na was zawzięty. Jeździł nawet Bogumił do niego wstać się, by wyrok uchylił i oddał was duchownemu sądowi. Nie wskórał nic. Szuka was król dalej, widno niezbyt wierzy, żeście do Czech zbiegli, choć tę gadkę za dowód przeciw wam przyjęto.

Kleryk gadał dalej, lecz biskup niezbyt słuchał.

Coś więcej niż dumę dotknęły wzmianki o zdradzie i sędzię kościelnym, jakiego żądał Bogumił. Porzucone życie stanęło mu znowu przed oczyma, lecz patrzył na nie niechętnie.

Od dziecka do męskich lat chowany na Zachodzie, przywiózł pogardę dla ciemnoty kraju, który przestał już niemal za swój uważać. Nieraz mawiał, że Kościół jest jego ojczyzną, a celem życia wielkość Kościoła. Obowiązkami wobec króla i kraju nie czuł się skrepowany; nie uznawał ich.

Siłą oderwany od spraw, w które wciągnęło go życie, nie wiedząc o tym sam, zmienił się. Myślą wrócił do młodości, ludzi prostych i szczerych jak ich modlitwy. Niedawno schwytał się na tym, że sennie mówiąc pacierz wieczorny słowami, których uczyła go matka, modlił się o zdrowie rodziców i pana. Rodzice dawno nie żyją, król wyklęty, niegodzien modlitwy.

Pychy jego nie złamała nawet klątwa, a jednak wielu prostaczków modli się pewnie za niego, bo tak uczyły ich matki. Za wyklętego! Wielka jest siła nawyków i niełatwo jest nowy ład wprowadzić. Widno Stanisław nad siły wziął.

Jako odpowiedź na swe myśli usłyszał znowu słowa Bienia:

— Klątwa wasza daremną nie była. Nie zabiła od jednego ciosu jako miecz, ale jako trucizna siły wysysa. Kraj cały w gorętwie. Teraz jeno czekać waszej dostojności spokojnie. Co trzeba, imieniem waszym załadzą. Przywiozłem wszystko, byście bez niedostatku czekać mogli.

Nie dostrzegając, że na twarzy biskupa zjawił się wyraz zmieszania i goryczy, Bień zaczął znosić i wyładowywać łuby. Przywiózł szaty dostojne, wraz z biskupim krzyżem, szubę ciepłą, narzędzia, nie wyłączając nożyc i brzytwy, nawet zwierciadło się znalazło. Biskup spojrział w nie, odbiciem własnym zaskoczony. Gdyby spotkał człowieka z taką twarzą, wziąłby go za zbója. Kleryk jął go zaraz strzyc i golić, gadając przy tym dalej:

— Tak się, panie, między ludźmi pokazać nie śmiecie; nikt by nie odgadł waszej godności.

Gdy skończył, chciał pomóc szaty zmienić pasterzowi, lecz Stanisław odmówił:

— Na cóż to? Ze zwierzem się jeno widuję i z Bogiem rozmawiam. Do pracy stare dogodniejsze.

— Pewnie, słusznie prawicie. Sterałyby się i te. Lepiej że nowe będą, gdy przyjdzie wam wracać między ludzi.

Wyładowywał przywiezione jadlo i napoje i stawiał pod ścianami mówiąc:

— Pewnie się chętnie lepszą strawą pożywicie. Uprzykrzyć się wam musiało to żarcie.

— Nie! — odparł biskup. — Nawykłem, choć trudno było zrazu. A teraz po cóż się będę do innego przyzwyczajają, skoro nie na długo starczy.

— Nie na długo trzeba. Pojadę wraz po dalgze wie-

ści, a myślę, że z wiosną, najpóźniej ku latu, wrócicie (na swoją stolicę.

— Bogu wiadomo — odparł biskup.

Nie był radosny. Spokój, jaki odczuwał ostatnio, zmacony został do dna. Drażniła go obecność kleryka, co dziwniejsze, jego usłużność i uniżoność. Pokorny jest, gdy spodziewa się powrotu biskupa do władzy i dostojęństw, zuchwały był, gdy razem w dziczy siedzieli, nie wiedząc, na jak długo. Z ulgą patrzył, gdy Bień rankiem konie siodłał i ruszył w drogę.

Dzwoniąca w uszach cisza, jaka nastąpiła po gwarze czynionym przez kleryka, wzmagająca jeno zamęt powstały w duszy Stanisława. Wróciła samotność, ale nie wrócił spokój. Myśl nie błędziła już sennie po łąkach i miejscach dzieciństwa, lecz wciągnięta została z powrotem w wir wydarzeń, od których oderwała go ucieczka. Obcy się czuł temu Stanisławowi, który w nich brał udział, był ich duszą, a może tylko... cudzym narzędziem. Zbuntowani wszystko za niego uładzą! Poczynania własne i nieprzewidziane nieraz skutki tego, co czynili inni, zaciążyły mu znowu. Żałował już, że nie przykazał przez Bienia, by nic nie wazyli się czynić w jego imieniu. Ale czyby posłuchali? Potrzebna im jego powaga dla ich własnych celów, a ze środkami liczyć się nie zwykli. Bezradny się czuł.

Nagle olśniła go myśl, która wydała się natchnieniem. Zniknie całkowicie, dokona żywota jako eremita. Doczeka wiosny w tej chacie. Potem pójdzie dalej, w góry na południe od ojczystego Szczepanowa. Może po drodze obaczy choć z dala krzyż na kościółku Sw. Małgorzaty, a kiedyś, gdy ludzie już o nim zapomną, może dane mu będzie pomodlić się jeszcze tam dziecinną modlitwą.

Myśl przerodziła się w postanowienie. Widno Opatrzność przywiodła go tutaj na właściwą drogę do zbawienia. Księgi wysuszyły mu serce. Z cudzej mądrości, zaskorupiałej w pismo, nauczył się brać tylko to, co mu się zdało potrzebne. Jeśli chciał naśladować

irystusa, to gniewnego, który z powrozem w reku oganiał przekupniów z świątyni. Nic z tego, co czy-!, nie płynęło z miłości ku ludziom. W tym nie :dł śladem Chrystusa.

Stanisław modlił się, ale spokój mu nie wracał. :uł, że daleki jest jeszcze od zgody z Bogiem i z so-.. Jeszcze wciąż czuje się następcą Aarona, jeno za, e zdołał celów swych przeprowadzić. Nawet gdy, ni samego siebie, wywyższa się. Czemuż porównuje, ;bie do Zbawiciela wyganającego przekupniów?! -y i J°S° gniew był święty?

Biskup znowu zaczął uciekać przed swymi myślą-. i. Choć pod koniec lutego mrozy ścisnęły ziemię ponownie pokazały się wiiki, Stanisław dni całe spę-kał na włóczędze wśród lasów, aż do zupełnego znu- nia. Mimo to trapić go zaczęła bezsenność. Godzi- nni leżał z szeroko otwartymi oczyma, patrząc kłębiący się pod strzechą dym, oświetlony różowo omieniami ogniska. Próbował przywabić sen mio- ;m. i winem, których nie tknął dotychczas, lecz przy- abił jeno zwidy jakieś złowrogie i budził się spo- iny, z bijącym sercem i uczuciem, że jest ktoś w cha- e, zaczajony w ciemnościach. Z utęsknieniem czekał iosny, by opuścić miejsce, gdzie wraz z nim zamie- rał strach.

Zima zaczęła się łamać. Nocami mróz jeszcze kasał, :cz w południe ze śniegowej czapy na strzesze kapala r'oda, a las pełen był tupotu spadającej z drzew oki- :\.. W zagłębieniach tworzyły się stawki, z których ączyły się nitki wody, ściekając do jeziora i stru- lienia, wypełnionych po brzegi. W bezsenne noce Sla- isław słyszał wysoko w powietrzu gwar. To ciągnęło aż ptactwo z wyraju, z ciepłym wiatrem z południa. Szła wiosna. Jeszcze zima usiłowała nawrócić, sypnęła zasem śnieżycą, białą zasłoną okrywając świat, ale eno zabłysło słońce, wnet wychylała się ku niemu :oła jeszcze ziemia. Resztki śniegu tały się po cieni-

stych wąwozach i zakątkach, od których pociągało czasem surowym chłodem, ale na łączkach leśnych pokazała się już ruń i wystrzeliły ku słońcu pierwsze kwiaty. Noce stały się niespokojne i pełne odgłosów.

Niepokój ten zdał się udzielać biskupowi. Czuł to, co musi czuć ptak, gdy jednego dnia spoglądać zaczyna w stronę, gdzie leży gniazdo, w którym, się uląkł. Jak on zebrał się i ruszył przed siebie. Zostawił niemal całe swe ubogie mienie. Krzyż zawiesił na piersi, tłumoczek z najniezbędniejszymi rzeczami zarzucił na plecy, przeżegnał się i wyszedł z chaty. Nawykłe do wędrówek nogi niosły go lekko i szybko. Zdało mu się, że zostawił za sobą jakiś wielki ciężar, od którego ucieka, by nigdy już nie wziąć go na barki.

Kolo południa naszedł go głód, jakiego nie zaznał od dawna. Rozpalił ognisko i nastawiwszy w kociołku wodę na polewkę, rozglądał się po nie znanej mu już okolicy.

Las był mniej dziki, przerywany płatami młodników i polankami. Ze wzgórków, na którym się rozłożył, widać było, że kraj ku zachodowi zaczyna się otwierać, pewnie zaludniony. Stanisław zamierzał skrócić w głąb puszczy. Nie chciał spotykać się z ludźmi.

Nagle posłyszał szelest. Obejrzał się i zobaczył człowieka. Raczej cień ludzki, Nieznajomy rosły był, ale pochylony, ubrany w strzępy sukiennych szat. Jasna, prawie lniana czupryna na odkrytej głowie i takież, dawno widać nie ogolony zarost — nie pozwalały rozpoznać wieku. Twarz miał wyciągniętą i głęboko zapadnięte oczy. Wpatrywał się nimi nie w biskupa, lecz w wiszący na ogniu kociołek.

Stanisław, zaskoczony, wstał i nieznajomy wówczas dopiero skierował na niego wzrok. Dostrzegł widno krzyż na piersiach, gdyż wysiłonym głosem Boga pochwalił, po czym znów jął się wpatrywać w kociołek tak wymownie, że biskup rzekł:

— Głodni być musicie. Wraz się polewka uwarzy. Starczy dla nas obu.

Jeszcze nie skończył, gdy przybyły zza pasa wycią-

gnał drewnianą kopyść i z wrzątku wylawiać zaczął kawałki rzepy i wędzonego mięsa; jadł chciwie jak zwierzę, parząc sobie w pośpiechu usta. Potem kociołek z ognia odstawił i chleptał polewkę wraz z niedogotowaną kaszą, aż dno zobaczył.

Zawstydził się widocznie, gdyż opuszczając oczy powiedział:

— Głodny człek, jako zwierz, na drugiego nie baczy ani siły nie ma nad sobą.

— Mam ci ja jeszcze co zjeść i jadłem dziś rano.

— A ja czwarty dzień nie jem, chyba pąkowie — odparł nieznajomy. — Sił już brakło, a trzeba iść dalej. Niech wam Bóg, ojcze, odpłaci.

Chciał wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Spojrzał na Stanisława jakoś żałośnie, jakby od niego pomocy wyglądając, i rzekł drżącym głosem:

— Co ja teraz pocznę?

— Legnijcie, póki siły wam nie wrócą.

— Czekają na mnie — szepnął.

— Kto czeka? Gdzie?

— W lesie.

— Wždy z lasu idziecie?

Nieznajomy przez chwilę milczał, jakby się wahał.

Obrzucił Stanisława badawczym spojrzeniem, a potem odparł:

— Po pomoc idą... albo po śmierć; swoją i tych czekają na mnie.

— Pomocy może ja bym zdołał wam użyzyć?

Nieznajomy zerwał się z niespodziewaną żywością i rzucił się do rąk Stanisława:

— Wraz pomiarkowałem, żeście świątobliwym pustelnikiem, co z Bogiem rozmawia. Bluźnilem myśląc, że nas opuścił. Chodźmy zaraz. I tak nie wienvco zastaniemy.

— Czy aby sił wam starczy — rzekł Stanisław z powątpiewaniem, wstając jednak, jakby mu się iłdzieilił niepokój i podniecenie nieznajomego.

— Radziej niż niewieście z dzieckiem, co w **puszczy** ostała sama.

Parł przed siebie, jakby go kto ścigał, ledwo mu biskup nadażał. Słońce jeszcze nie zaszło, gdy przechodzili opodal siedliska Stanisława. Wreszcie, gdy noc zapadła, a obcy nie ustawał, biskup rzekł, zdyszany;

— Nie wydołę już. Zjeść by się. coś zdało i wypocząć.

— Wybaczcie — sprawiał się nieznajomy z zawstyżeniem. — Zabyłem, że za was obiadowałem i że mnie, nie wam spieszo.

Gdy Stanisław legł, znużony do ostatka, nieznajomy zakrzętnął się żwawo. Ogień rozniecił, wody przyniósł i kociołek nastawił. Stanisław wskazał mu sakwę ze spyzą i towarzysz jego wydobywać ją zawartość.

— Chleb macie — zakrzyknął wyjmując osuchę.

W głosie jego była radość i jakby zdumienie.

— Bierzcie — rzekł Stanisław.

Obcy wziął kawałek, lecz choć oczy mu zaświeciły, żarłocznie, schował go za pazuchę.

— Czemu nie jecie? Musieliście zgłodnieć po tak długim poście i drodze.

— Dziecku zanieść chciałem — odparł nieśmiało.

Stanisława nagle ogarnęło wzruszenie.

— Starczy i dla dziecka. Jak imię wasze i ród? — zapytał niespodzianie.

Nieznajomy zadrżał. Przez chwilę milczał z opuszczonymi oczyma.

— Imię moje zhańbione i ród bym zhańbił do niego się przyznając — odparł ochryłym głosem — bo jeszcze takiego jak ja w nim nie było. Niech Bóg skarże na duszy i ciele tych, co mnie skusili.

Umilkli obydwaj. Kociołek perkotał, z lasu dochodziły odgłosy życia, a oni siedzieli milcząc. Wreszcie biskup odezwał się:

— Polewka już gotowa. Jedzmy i spać nam, jeśli rankiem ruszać mamy.

Zjedli i pokładli się obok siebie, przyrzuciwszy gałęzi na ognisko. Nieznajomy zasnął zaraz, biskup jednak nie mógł usnąć. Przemęczony był i ział **go prze-**

nikał. Usiadł tedy i pilnował ogniska, rozmyślając o spotkaniu. Usnął dopiero, gdy niebo zaczęło się przejaśniać, lecz wnet obudziło go nieśmiałe trącanie i siowa:

— Czas nam w drogę.

Biskup z trudem, otworzył oczy. Czuł się jak z krzyża zdjęty. Nieznajomy widocznie zauważył to, gdyż zapytał strapionym głosem:

— Wydolicie iść ze mną?

— Ciało mdłe, nie wydolę — odparł z zawstyżeniem Stanisław.

Jakby tłumacząc się dodał:

— Nie spałem prawie całą noc. Niestarzy być musicie, sił macie dużo. Mnie już pół wieku dobiega.

Nieznajomy uśmiechnął się smutno:

— Niestarym, ale niewiele ze mnie zostało. Zjadły mnie jesień i zima, o głodzie i prawie bez dachu nad głową.

— Nie mogliście choć szalasu wystawić?

— Co tam wystawi gołymi rękoma. Takeśmy z dworca uciekli, jak stali.

— Wiecie — rzekł biskup z ożywieniem — mam ci ja chatę, lichą, ale z dachem i zapasów w niej nieco. Idźcie po swoich i sprowadźcie do mnie. Od suchego dębu, cośmy go przed zachodem minęli, parą stają na północ, jak strzełił, nad jeziorkiem. Łącznie znajdziecie, a prędzej będzie.

Nieznajomemu oczy zaświeciły radością:

— Bóg wam zapłaci. Za dwa dni będę. — W rękę Stanisława pocałował i chciał ruszyć.

— A zapasy weźcie, mnie niepotrzebne.

Oczy nieznajomego więcej wdzięczności wyraziły, niż zdołałoby słowo. Zarzucił sakwę na plecy i już go nie było. Stanisław powłókł się z powrotem. Zdało mu się, że ktoś silniejszy od niego zawrócił go z drogi, może po to, by ratunek dać ginącym. Jeszcze nie poniechał myśli o pustelni w górach. Ale czuł, że spokój, o którym zamarzył, nieprędka będzie jego udziałem. Przedtem dopełnić musi jakiegoś obowiązku.

Stanisław przygotował chatę, jak umiał, na przyjęcie gości i czekał. Minęły dwie doby, a nieznajomy nie nadchodził. Biskupa ogarniał niepokój i niecierpliwość, jakby od przybycia nieznajomych mu ludzi coś ważnego zawisło w jego życiu. Mająca nastąpić zmiana i litość, jaką poczuł dla kobiety i dziecka, których nigdy nie widział, nie tłumaczyły nurtującego go smutku i podniecenia. Znowu odbiegał go sen i chęć do jadła. Trzeciego dnia, niespokojny, chodził dokoła chaty, daremnie usiłując się czymś zająć. Wieczorem, stracił już nadzieję, by nieznajomi nadeszli. Naniecił ognia i nastawił kociołek, by przyrządzić wieczerzę, z zamiarem wyjścia nazajutrz na poszukiwanie. Znużony drzemał przy ognisku.

Zbudził go skrzyp otwieranych drzwi. Omal nie krzyknął, oprzytomniał jednak zaraz i zerwał się z pieńka. Przez siwą zasłonę dymu ujrzał niewiastę, ze śpiącym dzieckiem na ręku, która stanęła mrużąc oczy od blasku. Za nią wsunął się mąż. Podeszedł do biskupa i w rękę go całując rzekł cicho:

— Wolno szliśmy, bo słabe to po zimie — głową wskazał na kobietę. — W samą porę Bóg zesłał ratunek przez wasze ręce. Pójdź no! Świętobliwego męża powitaj i podziękuj za miłosierdzie, a potem legnij spać, bo ledwo już stoisz.

Do ręki Stanisława pochyliła się jasna głowa, o złotawosrebrzystych włosach, a potem spojrzały na niego wielkie, dziecinne oczy, zaszkłone łzami, nie wiadomo: od dymu czy ze wzruszenia. Stanisław, sam dziwnie wzruszony, pogładził ją po głowie mówiąc:

— Bóg da, że koniec będzie twej biedzie. Jeszcze się słońce twej młodości uśmiechnie.

Nie odrzekła nic. lecz raz jeszcze ucałowała rękę biskupa i zwróciła się ku mężowi, który tymczasem śpiące dziecko układał na postaniu. Biskup patrzył na dwie jasne głowy pochylone nad maleństwem i jakieś nieznanne uczucia wstawały mu w piersi, a w gardle go ścisnęło. Wyszedł z chaty, by nie przeszkadzać swą obecnością i ochłonąć. Gdy wrócił, kobieta leżała

już obok dziecka i spokojny, równy jej oddech wskazywał, że znużona usnęła zaraz. Mąż siedział na pieńku, lecz gdy biskup wszedł, powstał ze słowami:

— Nie wiem, jak wam. dziękować za to, coście uczynili. Może Bóg pozwoli odwdziżyć. Przeszkadzać wam będziem w modlitwie i pobożnych rozmyślniach, ale niech jeno do sił dojdziem i lżej będzie wyżyć w puszczy, przygotuję jakowe schronienie, by wam nie wadzić.

Biskup usiadł i wskazując przybytemu miejsce naprzeciw siebie, rzekł:

— Ostańcie, jak długo zechcecie. Może wrócić między ludzi będziecie mogli. Nie dla takich kwiatków jak wasze — wskazał w ką, gdzie spała niewiasta z dzieckiem — życie w tej nędzy i poniewierce, i nie zda mi się, byście jakowym zbrodniarzem być mogli lub popełnili haniebny uczynek.

Nieznajomy twarz zasłonił rękoma i milczał przez chwilę. Potem odparł głucho:

— Kto sam święty, w cudzy grzech nie wierzy. Przygarnęliście obcych, tyle jeno wiedząc, że wywołanie są. Nie godzi mi się bezimiennie dobrodziejstw przyjmować. Szczędrzyk Awdaniec jestem. Król skazał mnie na ścięcie, utratę czci i mienia, ród się mnio wyparł. W lasy uchodzić musiałem.

— Za nic mi królewskie wyroki — rzekł biskup. — A rad jestem, żem pomógł ofiarom okrutnika.

Szczędrzyk grzebał w ogniu patykiem, zmieszany.

— Wiem ci ja — odparł — że za nic królewskie rozkazy temu, co Bożych jeno słucha, i że nie obchodzą was światowe sprawy. I prawda, że król okrutny, ale jeno dla... zdrajców i przeniewierców. Wždy nie wiecie jeszcze, co popełniłem. Posłuchajcie, nim rozgrzeszycie.

Stanisław wiedział. Imię Szczędrzyka nie było mu obce. Ale milczał nie chcąc się zdradzić.

Szczędrzyk rozpoczął opowiadanie. Mówił jak do siebie, nie patrząc na biskupa.

— Od wieka z **górami** ród mój Piastom służy; nie skarżyć się nam na niewdzięczność. Zdatniejszy byłem niż wielu innych, wcześniej służyć zacząłem. Wszystkie wyprawy z królem odbyłem, lubił mnie i szczerze nagradzał, jak to on. Myślałem, że tak życie przejdzie, ani mi w myśli inne było. Kto tam los odgadnie?! Przed kijowską wyprawą zwolnieniem na czas uzyskał, pojechałem w swoje strony, spotkałem ją... Cieszkę. Anibyśmy uwierzył, że można komu serce jak ręką zabrać, a jeszcze mnie, co jeśli nawet patrzył na niewiasty, to wiecie, jak to zwykle wojacy. \ Zresztą nie było kiedy o żeniactwo myśleć. I wtedy nie czas było. Pierwszy raz z ciężkim sercem się zbierałem. Wiedziałem, że jako zwykle, na lata...

...Może bym odboleł, bo na wojnie człek nie o sobie myśli. Ale gdy się rozpląkała przy pożegnaniu, nie wydzierżyłem. Pobraliśmy się zaraz i tyle było szczęśliwości, com ją do dworca swego odwiózł. Myślałem, że lżej pożegnać ją będzie jako żonę: bogac tam! Zwlekałem, ile mogłem, ostawić musiałem i jechać. Ciężko! Król krzyw był, że to bez pozwolenstwa niewiastę wziął i spóźnił się na dobitkę, alem pod Teterewem sprawił się jak należało i przywrócił mnie do łaski, jeno prosić nie śmiałem o zwolnienie. Zaczęło się jałowe siedzenie po grodach, czasu było dość na myślenie i tęsknicę...

...Z wiosną jakiś wiatr niespokojny powiał. Szemrano, że król prawa nie ma latami nas trzymać z dala od domów. Donieść winien byłem królowi — nie doniosłem. Myślałem jeno, że przepięknie takie prawo, do Cieski polecę. Juzem w sercu czysty nie był przed królem...

...Aliści z nagłą zaroilo się od posłańców z kraju, co chyłkiem chodzili z wieścią, że pospólstwo niewiasty rycerskie sromoci i jako panowie poczyna sobie na dworach naszych, a król nas umyślnie z dala trzyma, by ich rękoma nas pognębić. Zaraz ten i ów uciekał, a ja nie przeszkadzałem, bo już szatan kusił, by samemu zbiec; wszystkich król karać nie będzie. Może-

ście kiedy za młodu miłowali, zrozumielibyście, co działo się we mnie...

— Nie miłowałem — odparł cicho Stanisław.

— Uciekłem! Winniejszy byłem niż drudzy, bo król ufał mi bardziej, a wiedziałem, że te wieści — to robota, by królowi miecz w rękę złamać. Przed sobą samym kłamałem, że im wierzę, lubom Cieszkę ciężarną ostawił i pod dobrą opieką. Jeno tęsknica niekłamana była.

...W domu zastałem wszystko, że me można lepiej. Królewskich stronników nie ruszyło pospólstwo. Zona rozkwitła jako róża, i ten paczuszek przy niej maleńki. Ale szczęściara nie odnalazł; jenom myślał, czy król wyrwie się z Rusi szczęśliwie. Odetchnąłem, gdym posłyszał, że wrócił. Przyszły wieści, że król ściga tych, co zbiegli do kraju. Kto się winny czuł, uchodził do Czech, zdradę do przeniewierstwa dodając. Ja nie mogłem. Poniektórzy na gościniec szli* co im mniejszy wstyd zbójem ostać niż zdrającą. Byłbym poszedł z nimi, gdyby nie Cieszka. Nijak ją było ostawić. Zdałem się na królewskie miłosierdzie, a na Boże w ostatku...

...Siedziałem, aż mnie na sąd powlekli; dawni druhowie! Przed okienkiem lochu, gdzie mnie zamknięto, stał pieńek, na którym skazańców tracili. Nielekko w hańbie umierać. Drzewiej się śmierci nie bałem, gdy serce było wolne, a sumienie czyste. Teraz drżałem; nic w myśli, jeno te sieroty biedne, co w hańbie ; ostaną i poniewierce.

...Głowę na pień dać miałem; Cieszce król dziecko odjąć kazał, moją krew własną, a jej na pohańbienie szczeniaka karmić.

Szczedrzyk oczy zasłonił rękami. Biskup patrzył na siedzącego ze współczuciem i w piersiach jego gniew wstawał przeciw królowi, sprawcy nieszczęść niewinnej kobiety i dziecka. Nie przerywał jednak milczenia. Po długiej chwili Szczedrzyk podjął:

— Bóg się zmiłował. Rodowym wstydno było, by mnie na pieńku ścięto. Wydobyli mnie chyłkiem z lo-

chu. Gdym dziękować począł, brat w twarz mi splu-
nął mówiąc: „Nie dla ciebie to czynim. Zmykaj jako
zając; zapomnij, żeś Awdaniec. A pokażesz się, to cię
własną ręką jako psa powieszę”.

...Nocą się do swego domu zakradłem jak złodziej,
żonę z dzieckiem porwałem i w las uszedłem. Dużo
win odpokutować można przez taką zimę. Ale co
winna ona... i dziecko?!

Pochylił głowę tak, że twarz miał w cieniu i skur-
czył się, ale Stanisław widział, jak grube łyzy kapąły
na popiół ogniska. Zdało mu się, że słyszy ich żałosny
syk.

Długo siedzieli w ciszy. Biskup wstał i kładąc rękę
na pochylonej głowie Szczedrzyka, rzekł:

— Bóg was doświadczył, ale pocieszy... już
wrychle.

Szczedrzyk podniósł głowę. Na twarzy miał bolesny
uśmiech.

— Bóg już się zmiłował przez wasze błogosławione
ręce. I grzech mi odpuścić możecie. Ale od hańby
jedno by mnie uwolnić mogło: gdybym życie położył
za króla.

Biskup aż się wyprostował. Zdumienie jego gra-
niczyło z oburzeniem:

— Za sprawcę nieszczęścia waszego i niedoli kraju?!
Hańba, mówicie? Któż prawa nie ma bronić swego
szczęścia i życia przed tyranem, co niczyich, nawet
świętego Kościoła, praw nie uznaje?!

— Tak mówicie, ojcze, boście winni posłuszeństwo
biskupowi, jako ja winien byłem królowi. Ale po-
zwólcie sobie rzec: co sumienia dotyczy, wasza rzecz
rozsądzać, ale co czci wojackiej, na tym się nie zna-
cie. Nie masz większej hańby dla wojaka, niż wodza
swego porzucić w potrzebie. Jeno krwią się zmyć
może. Jedną znam większą hańbę: gdy wódz woja-
ków swoich w walce opuści. Tę hańbę, nie wiem, zali
i krew zmyje.

Biskup, który wzburzony odpowiedzieć się zbierał,
pobladł i zamilkł, a Szczedrzyk, nie widząc, co dzieje

się ze Stanisławem, który usiadł ciężko na swym miejscu wstrząśnięty do głębi, mówił dalej:

— Nie tacy jak Bolesław to czynią. Mało to razy, choćby nad Teterewem, zdało się, że zguba już nad nami. Ręce mdlały i serce, tchu brakło. A on zawždy na czele; gdyby się jeno zawahał, zguba pewna. Nie zawahał się nigdy. Prawo ma cudzym życiem rządzić, kto swoje umie postawić. Nie skusi mnie szatan więcej, bym kłamał samemu sobie: król był praw, nie ja.

Milczał przez chwilę, po czym wybuchnął, rozżalony:

— Któż to królowi władzy zaprzecza, którą po przodkach odziedziczył? Ci, co by ją sami chcieli uchwycić! Pobuntowali wojsko, kraj wzburzyli, a potem pochowali się w mysie dziury, czekając, aż postronni wrogowie dokończą ich dzieła. Ich przeklinam za hańbę moją i za krzywdę tych niewinnych. Niech krew, co się leje, na ich spadnie głowy, bo cudze stać umieli, swoich, jako król — nie!

Umilkł, wyczerpany wybuchem, i długo panowało milczenie. Wreszcie Stanisław ozwał się zmienionym, dziwnie postarzałym głosem.

— Znużeni musicie być. Spać idźcie!

Szczedrzyk wstał, ucałował rękę Stanisława i za chwilę oddech jego zmieszał się z oddechem kobiety i dziecka. Biskup siedział patrząc, jak dogasający żar pokrywał się siwym popiołem. Niezdolny był sięgnąć ręką, by dorzucić suszu. Usta jego poruszały się jakby modlitwą, ale myśl była od niej daleka.

Przez szpary w strzesze wcisnęła się do wnętrza chaty świetlisty ranek wiosenny. Stanisław drgnął i z trudem dźwignął się z pieńka. Skierował kroki w kąt, gdzie leżały przyniesione przez Bienia przedmioty. Przebierał między nimi, zwinął tobolek i wyszedł cicho z chaty.

Tymczasem promień słońca przecisnął się przez

szczelinę w drzwiach i legł na ścianie, przecinając półcień smugą blasku. Rozległ się szept:

— Leż cicho, mucho utrapiona. Ojcusia zbudzisz.

— Ładnie tu — odpowiedział dziecięcy głosik.

— Święty pustelnik nas przytulił. Niech go Bóg błogosławi. Ukochaj go, gdy przyjdzie.

W tej chwili drzwi stanęły otworem i na tle słonecznego blasku ukazał się Stanisław, przybrany w nowe szaty, przywiezione przez Bienia.

Dziewczynka, przegra moli wszy się przez ojca, podbiegła do biskupa. Cieszka zerwała się i chwytając ją na ręce podeszła.

— Dziecko wam, ojcze, podziękować chciało za wyświadczone nam dobrodziejstwa.

Podniosła małą, która wyciągała rączki do Stanisława.

Cofnął się. Na jego surowej i ściągniętej twarzy widniał żal i wzruszenie. Rzekł cicho:

— Nie umie jeszcze przeklinać.

Cieszka patrzyła na biskupa zmieszana, dziwiąc się zmianie w jego wyglądzie i nic nie rozumiejąc. Onieśmiał ją przytulając dziecko, wyszeptwała: *

— Błogosławimy was wszyscy.

— Bo nie wiecie, ktom ja. Bezimiennie ni podzięk, ni błogosławieństwa przyjmować nie mogę.

Obudzony Szczedrzyk patrzył osłupiały, jeszcze nie uprzytamniając sobie, że to ten sam pustelnik, z którym wczoraj rozmawiał. Zdało mu się, że go zna od dawna. Nie wierząc oczom, przecierał je w zdumieniu, gdy wstał i podszedł do biskupa, ust nie mogąc otworzyć. Na twarzy Stanisława zjawił się bolesny uśmiech:

— Tak, synu! Poznajecie mnie, widzę. Jam jest Stanisław ze Szczepanowa, biskup krakowski.

Szczedrzyk rzucił mu się do kolan i przerywanym głosem mówić zaczął:

— Wybaczcie! Człek w żalu nie wie, co mówi. Nie mnie was sądzić.

— Ale Bóg wie, co czyni. Pozwolił mi choć w czę-

wynagrodzić krzywdę i posłyszeć b logos ławie Ń-
o, może ostatnie, mnie, com tylu przekleństw sic
łuchał. I wskazał mi przez ciebie, kędy moja droga,
jnajcie!
Odwrócił się i odszedł. Za sobą słyszał żałosny płacz
liety i dziecka.

XXIX. KRES TUŁACZKI

Wietrzna kwietniowa noc. Zasnute chmurami niebo z rzadka przesiewało niepewny poblask sunącego nad chmurami księżycy, chybotliwą łuską wydobywając z cienia bezdenną głębię wezbranej fali wiślanej, której obecność zdradzał bełkotliwy szept wody, obmywającej podnóże Skałki.

Głuszyły go szmery chóralnych modłów; senne głosy modliły się słowami psalmu pro *regibus* et *omnibus familiaribus ad hoc vivenlibus* *.

Postać, ciemniejsza od mroku, jaki otaczał kościół **lek**, zjawiła się u jego drzwi.

— Modlą się; za. mnie i za niego! Której modlitwy Bóg wysłucha?

Dość ukrywania się! Dość upokorzeń! Jeśli "każdy zbrodzień w murach kościółka, pod ochroną biskupa, prawo ma znaleźć przytulenie, czyż nie służy ono samemu biskupowi? Król nie złamie prawa, nie waży się podnieść ręki na Kościół! Byłby szalony. Tak uspokaja rozum.

Ale czuje Stanisław, że nie rozum kazał mu porzucić bezpieczne ukrycie i wrócić na swoją stolicę. Przestrzegano *i* radzono cierpliwość. Już niedługo! Już nabrzmiewają siły, które w nicość strąca tyrana.

Zjawić się miał jako zwycięzca. A zjawił się jako zbieg. Serce ściska się w nim. Może cofnąć się jeszcze W mrok; gdy wejdzie w krąg chybotliwego światła,

¹ za królów i wszystkich bliskich dotychczas żyjących

wypełniającego wewnątrz szczupłego kościółka, będzie za późno; stanie się.

Drżącymi rękoma bezszelestnie otworzył drzwi i ukląkł w cieniu. Na ołtarzu płonęły dwa świeczniki. Żółte, niepewne światło świec pełzało po kamiennych ścianach iskrami grając w kroplach wilgoci, którą spływał zimowy zamróz. Ożywiać zdały się w ołtarzu postać patrona kościoła^x, jakby drgającą w wysiłku, z jakim spychała w ciemność Lucyfera.

Stanisław zamknął oczy. Miarowe, jednostajne głosy kołysały go do snu, jakże upragnionego. Nie spał tak dawno! Słyszał i rozumiał każde słowo modlitwy. Przez zamknięte powieki zdało mu się, że widzi, iż Archanioł przemógł i sam ostał w ołtarzu — zwycięzca. Stanisław otworzył oczy. Archanioł zmagał się dalej.

Znowu zmaćcia się świadomość biskupa. To on mocuje się ze Złem. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, członki drżały ze znużenia, nogi traciły oparcie, a straszliwy ciężar Zła ciągnął go w dół, w ciemność przeraźliwą, nieprzebitą, bez dna. Próżno oderwać się chciał od wroga. Runą razem.

Szuranie nóg i odgłosy stąpania przywołały biskupa do przytomności. Umilkły modlitwy i kanonicy, jeden po drugim, wychodzili z ław, przyklękali przed ołtarzem, żegnali się i cicho, na palcach opuszczali kościół. W klęczącym poznawali z przerażeniem swego biskupa. Ostatni zgasił świece, pozostawiając jeno dwie. Drzwi zamknęły się za nim i Stanisław został sam. Jeszcze przez chwilę słuchał odgłosów odcho-
dzących, potem w uszach zadzwoniła mu cisza, a z po-
ciemniałych kątów świątyni wypelzła samotność; na-
przeciw niej wyszła trwoga.

Trwoga?! Nie czuł jej Stanisław, gdy w oczy kłął pyszałka, gdy wobec wszystkich zwalniał poddanych od posłuszeństwa tyranowi, gdy — oko w oko — zabraniał mu przestąpić poświęcony próg. Trwogę po-

ⁱ Sw. Michała Archanioła...

znał później; nie przychodzi z zewnątrz; czai się w człowieku, wiecznie czujna, by wypełznąć, gdy walkę zacznie sam z sobą.

Czas cieknie jak krew z rany. Stanisław wie już, iż pozostało go niewiele. Zamknął oczy, ale nie śpi. Patrzy w siebie. Coś silniejszego niż on sam przywiodło go tutaj. W wirze i zamęcie walki, jaką wszczął z królem, nie czas było na rozważania. Zapatrzony był w jeden cel wielki i trudny: zwalić tyrana. Zagubił cel największy.

Na knotach świec porosły grzyby, światło ich pociemniało. Ledwo widoczny w mroku obraz Archaniola uspokoił się, zdał się wypoczywać.

Czy jest wypoczynek w walce między Złem o Dobrem? Walczą z sobą zwarte i skłębione, że nie rozeznają, gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie.

Czy naprawdę nie można rozeznąć światła od cienia? Dlaczego zamęt jest w głowie biskupa? Niegdyś nie miał wątpliwości, że walczy ze Złem. To, co zwalcza Zło, zdało mu się Dobrem.

Jedna ze świec zamrugała. Płomień wznosił się i opadał. Postacie w ołtarzu ożyły i znów zaczęły się zmagać. Potem płomień przygasł i przez chwilę jeszcze zdał się pływać po stopionym wosku, wąty i mały jakby błędny ognik. Zgasł i jeno ku górze wzniosła się smużka dymu. Dopala się światło.

Światło zawsze odróżni od cienia; jeno w kłębowisku walczących gadów wszędzie jednakowo migają zimne, pełne niezgłębionej złości oczy, wszędzie zmagają się zrosłe z sobą stalowe kłęby cielsk, tłuką o siebie sprężyste ogony. Nie rozróżnić gada od gada. Drgają z rozwartych paszcz rozdwojone języki, szczerzą spiczaste, jadowite zęby. Zło walczy ze Złem, zwycięży Zło większe.

Stanisław patrzy szeroko otwartymi oczyma. Widzi siebie jak kogoś obcego, jakby spoza jakiejś granicy. Patrzy na siebie, który pozostał po drugiej stronie ze swoją nienawiścią, ze swą zachłannością, namiętnościami, ze swą... pychą!

Stanisław przygląda się sobie z przerażeniem, wszakże chciał Dobra!

Zamigotało światło ostatniej świecy, zadrgały postacie walczących w ołtarzu i runęły w ciemność. Szum wiatru w gałęziach bezlistnych jeszcze drzew ustał nagle. Żaden ze zmysłów nie wiązał Stanisława ze światem. Zwolniona myśl rozpostarła się w przeszłość i w przyszłość.

Przeszłość! Jak rzeka burzliwa, o ciemnych zskrzętach. Płynąc nie miał czasu myśleć o jej źródle ni ujściu. Teraz patrzył na nią jakby z góry, widzi jej bieg od początku, od lat dziecinnych. Krótko płynęła wąskim strumykiem, wśród łąk i lasów ojczystego Szczepanowa. Szybko wyrwał się na szerokie wody, zostawiając źródło za sobą bez żalu, bez wspomnień, nawet o jedynym sercu, które go kochało, sercu mat-
On nie kochał n i k o g o!

Stanisław otworzył oczy. W kościółku pojaśniało.

To wiatr rozpędził chmury, a zachodzący księżyc zajrzał przez okrągłe okienka naprzeciw ołtarza. Zieionkawy snop światła legł owalem pod ścianą, a w miarę jak się posuwał, zmieniał kształt. Kolistym już słupem wpełznął na stopnie ołtarza i wznosił się ku górze. Stanisław spojrział i zadrżał.

Księżycowe światło otaczało głowę Lucyfera. Twarz jego wyskoczyła z cienia; zdała się śmiać ohydnie.

Ocknął Stanisława chłód i odgłos kroków. Przez otwartą furtę widniał płat nocnego nieba, jasnego od zorzy zaszłego niedawno księżyca. W niepewnym jego półświatle widniała jakaś postać, klęcząca przed ołtarzem. Ciemna szata zdradzała duchownego. Stanisław wstał i podszedłszy rękę położył na ramieniu zamodlonego kapłana, który obejrzał się i głosem pełnym zdumienia wyszeptał:

— Wyżeście to?! Uchodźcie co prędzej! Póki jeszcze czas!

— Jam ci jest. Na mnie czas, bracie Mikołaju, I was się tu zastać nie spodziewałem,

— Pozostałem — rzekł Mikołaj jakby z pewnym zawstyżeniem. — Moje miejsce przy innych. Kto się dziś rozezna? Nie mój rozum, nie mój grzech.

— Ze swoich grzechów przed wami oczyścić się chciałem — odparł Stanisław cicho.

— Przede mną? — Mikołaj cofnął się adumiony. — Może innego z braci obudzę? Jam stary, inne czasy i innych ludzi pamiętam. Nie zrozumiałbym was. Jam prosty człek, a wam nie byłem miły. Zawierzcie się innemu.

— Dziś mnie już zrozumiecie. Boże przykazania są proste i stare.

Mikołaj stał niepewny, jeszcze się wahając. Stanisław ukląkł. Ogarnęła go nabożna trwoga. Nie o owoce swego posiewu. Bóg wybaczył nawet łotrowi na krzyżu. Stanisław modlił się... Przed jego oczyma przesuwało się całe życie. Po raz pierwszy był surowym sędzią samego siebie.

— *Ego te absolvo...*¹

Stanisław uderzył czołem o zimny kamień posadzki. Długo nie podnosił głowy. Zdało się, że zasnął. Gdy się dźwignął, ciemność w kościele zelżała. Ołtarz tonął jeszcze w mroku, lecz okrągłe okienko nad nim poróżowiło.

— Pewnie jeszcze zechcecie odprawić Bezkrwawą Ofiarę. Posłużę wam... a potem niech Bóg was chroni — szepnął Mikołaj.

— Niech się zmiłuje nade mną!

Weszli do zakrystii. Wstawał dzień jedenastego kwietnia 1079 roku.

Od czasu ucieczki Sieciecha i zamachu na króla ostre i gęste stráže stały na walach. Surowo przykazano, by od zachodu do wschodu słońca nie wpusz-

¹ Ego te ab sol v o... — rozgrzeszam cię...

czano nikogo. Zdrada czaiła się wszędzie, król podejrzewał wszystkich.

Stojący przy sandomierskiej baszcie strażnik Prowina z tęsknotą spoziera! ku wschodowi, czekając, kiedy za zielonkawą jasnością, która rozlewała się po pogodnym niebie, wynurzy się złote słońce i zwolni go ze straży. Wilgotny chłód wraz z niedospaniem przechodził mu dreszczem po kościach i z przyjemnością myślał o cieplej izbie, gdzie zakopany w skóry odtaje i odeśni zmarnowaną część nocy; mrużąc oczy otulał się w kozuch po uszy. Ni pies nie podejździe pod wały, bo go z łuku ustrzelą. Strach lepiej pilnuje *od* straży.

Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, podskakując czasami dla rozgrzewki. Nagle znieruchomiał; od wiślanego mostka przy Skałce biegł ktoś ku grodowi. Prowina patrzył przez chwilę, wysiłając znużony wzrok w słabym świetle przedświtu, po czym mruknął:

— Ustek Strzemieńczyk! Gdzie się jucha włóczy po nocy? Jeśli mniema, że go puszcę przed wschodem, to się myli. Poczekaj razem ze mną, nie będzie się cniło. Na pyskowaniu prędzej czas zleci.

Patrzył, jak nadbiegający wspinał się na przełaj po stoku; za chwilę był pod bramą. Prowina spozierał urągliwie na zadyszanego, który łapał oddech, na niego wskazując, by furtę otworzył.

— Niepotrzebnieś się spieszył. Słońca nie pogonisz.

— Puszczaj! — warknął Ustek, sapiąc ze zmęczenia i podniecenia. — A spieszno, bo pożałujesz.

— Żebyś łbem bramę rozwalił, skopie, to jeszcze nie wejdiesz, bo cię sulicą przebodę.

Ale Ustek nie myślał łbem walić. Chwyił spory iamięń i cisnął na strażnika, że jeno gwizdnał mu coło łba, po czym kopać jął w bramę, przeklinając ją cały głos.

Prowina zamierzył się na niego oszczepem, ale się ozmyślił; chwycił za róg i zagrał.

Z drewnianego budynku opodal bramy wypadł dzie-

siętnik Pobych i biegnąc naciągał kaftan. Widno wbrew rozkazowi na spoczynek się ułożył, a teraz roztrzęsiony pędził co sił, w obawie, że wyda się jego zaniedbanie. Nim dobiegł, z odgłosów kłótni zmiarkował, o co chodzi, i wraz jego głos zmieszał się z zakłócającym spokój przedświtu swarem pod bramą. Tu i ówdzie z okien budynków wychyliły się rozczochrane łby zaspanych ludzi; ten i ów portki naciągał, by wybiec ku bramie i zaspokoić ciekawość. Ruch zaczął się na grodzie, zwabione hałasem pędziły psy, też głosu nie żałując i ciche przed chwilą podwórce napełniły się gwarem.

Król późną nocą poszedł do łoża i długo leżał, da remnie usiłując zasnąć. Wreszcie skłębione myśli rozlewać się zaczęły w nieświadomości, gdy nagle daleki odgłos rogu zgrzytem wyszarpnął go ze snu. Jak podrzycony usiadł i zaczął nasłuchiwać. Odległy, a coraz wzrastający gwar oznajmił mu, że dzieje się coś niezwykłego.

— Doman! — zakrzyknął zaspanym głosem i nie ... czekając na zawołanego wyskoczył z łoża i jął się pospiesznie ubierać, bacząc, by leżący obok miecz mieć pod ręką.

— Doman! — wrzasnął, aż zadzwoniły pancerze na ścianie. Spojrzał na nie; przez chwilę mignęła mu myśl, by przywdziać zbroję, lecz poniechał zamiaru; jeśli gród zdradą ubieżono i nawet Doman zniknął, nie będzie czasu dopiąć rzemieni. Chwycił jeno tarczę i rzucił się ku drzwiom, gotów walczyć sam przeciw wszystkim. W drzwiach wpadł na Domana.

— Gdzie się włóczysz, psie! — warknął.

Doman pobladł i odparł:

— Pobiegłem popatrzeć, co się dzieje.

Król odetchnął i usiadł. Oczyma jakby przeproszał Domana za podejrzenie i zapytał prawie spokojnie:

— Co się stało?

— Ustek się pociął z Prowiną i burzyć się zaczął pod bramą, że go do grodu puścić nie chciał.

— Leb mu zdjąć! — wybuchnął Bolesław popędliwie.

Doman westchnął i rzekł z cicha, jakby z wyrzutem:

— Może go naprzód wysłuchacie, bo prawi, z ważną wieścią przybieżał.

Król zagryzł wargi.

— Sprowadzić go! — mruknął.

Czekał, zadumany ponuro. We własnej stolicy śpi jak na wojnie. Gorzej niż na wojnie, bo nie ufa już nikomu. A zarazem czuje, że podejrzliwość i bezwzględność kar rodzi strach i odpycha od niego najbardziej oddanych ludzi. Zaśmiał się gorzko. „Oddanych ludzi!” Iluż ich pozostało? Z jakimś zdziwieniem przebiegał krótką drogę od miejsca, z którego myślał skrzydła rozwinąć do najwyższego lotu, do tego, gdzie się znajdował obecnie. Sypie się wszystko. Niczego już nie jest pewien, nawet siebie.

Graniczące z szaleństwem rozdrażnienie nie pozwalało mu nawet spokojnie szukać sposobów wyjścia z trudnego położenia, całkowicie wypełniając myśl pomstą na tym, którego uważał za głównego sprawcę swego... upadku. Schwytany koło biskupiego dworca w podejrzanych okolicznościach Czech, który mimo mąk nie zdradził, kto i do kogo go wysłał, oraz list Wratysława utwierdzały króla w przekonaniu, że się nie myli. Do szału wściekłości doprowadzało go, że sprawca wszystkiego zła uszedł bezkarnie. Zadumę przerwało pukanie. Miast oczekiwanych jednak Doman z Ustką, wszedł Nawój. Dziwaczna jego twarz nie zdradzała nic.

— Czego? — rzucił Bolesław niecierpliwie.

— Stanisław wrócił. Jest na Skałce — odparł Nawój spokojnie.

Król zerwał się na nogi.

— Siał zbrojnych po niego natychmiast. Gdyby opór dał, ubić! Jeszcze stoisz?! — krzyknął.

— Sam jest; w kościele... — odparł cicho Nawój.

— Tym lepiej. — Bolesław starał się mówić spo-

kojnie, lecz ręce mu drżały, a latające mięśnie twarzy wskazywały, że zęby zaciska. — Tym lepiej! Ale przezorność nie zawadzi. Siac dziesięciu. Za łeb niech go przywiodą; na karku czy w garści.

— W kościele jest., — powtórzył Nawój z naciśnięciem, — *Asylum* mu służy.

— Ty co?! Zapłacili ci, że za nim obstajesz?! — warknął Bolesław i groźnie postąpił ku Nawojowi.

— Dawno mnie kupić chcieli, bo wiedzą, że jeśli jeszcze kto wam co rozsądnego poradzi, to ja.

— Kupić cię chcieli? Czemużeś się nie przedał? — rzekł z drwiącą goryczą.

Nawój wzruszył ramionami.

— Choć powiem, nie zrozumiecie. A jeśli Stanisław sam jeden tu przybył, to albo pokajać się chce, albo zgodę z wami czynić. Warto się choć dowiedzieć. Ja bym posłańca słał do niego miast pachołków.

W tej chwili wpadli Doman z Ustką, lecz Bolesław jeno ręką machnął:

— Wiem już! Doman! — krzyknął Bolesław. — Dziesiętnika z ludźmi siac po biskupa. Panów na sąd zwołać.

Zwracając się do Nawoja dodał:

— Dla zdrajcy nie będzie przebaczenia ani okupu, jeno sąd a miecz.

— Czy to on pierwszy albo jeden?! — odparł Nawój. — Pomnijcie, że Sewerus zdradził Brzetysława, a Anno samego cesarza i nie stało im się nic. Bo miłszy Brzetysławowi i Henrykowi tron niż pomsta.

Bolesław zaśmiał się zgrzytliwie:

— A ja wolę pomstę. Niech spadnie jego łeb, reszty się nie boję. Przekonają się, że dostanę każdego, choćby spod ołtarza; strach padnie!

— Przekonają się, że nie ma litości, walczyć będą o życie. Strach im jeno sił doda, a wam gniew je odbiera.

— Dość mam twych głupich przypowieści. Umilkli. Bolesław nasłuchiwał hamując się z trudem, by nie rzucić się ku drzewom.

Do komnaty wpadł Doman, widocznie pomieszany.

— Wiodą biskupa? — rzucił król zrywając się.

— Nie.

Bolesław usiadł, zmuszając się do opanowania..

Ochryplym głosem zapytał po chwili:

— Dlaczego?

— Mszę odprawia, a boją się brać go siłą. Pobych mówił, że jakby go coś za włosy trzymało.

Przesądny strach był w głosie Domana.

Bolesław zaśmiał się wzgardliwie:

— Strzemieńczyki i Jastrzębce niech idą po niego, a skoro! Ich strach za włosy trzymał nie będzie, I rzeknij im od wypadku, że jeśli go nie przywiodą, mogą nie wracać. Panów na sąd zwołałeś?

— Gromadzą się już — odparł niepewnie Doman.

— Tedy miecz mi przypasaj! Ty pójdziesz za mną! — dodał, zwracając się do Nawój a.

Ruszył przodem, za nim szli Nawój i Doman. Słońce dopiero słało pierwsze promienie i w podwórcach leżał jeszcze cień. Ruch jednak panował już na grodzie i zamieszanie, jakby przed napaścią nieprzyjaciela. Niepokój zdał się wisieć w powietrzu. Na widok idącego króla ludzie rozbiegli się trwożnie. Zdał się nie widzieć tego, szedł wpatrzony przed siebie, twarz miał bladą i zaciętą. Nawój szepnął do Domana:

— Chcesz wiedzieć, co będzie?

— Daj mi pokój, wiadomo.

— Sułek Toporczyk jest jeszcze?

Doman spojrział ze zdziwieniem na Nawoja. Przywykł do jego bystrości, lecz zaskakiwała go zawsze.

— Nie ma — odparł. — Z Toporczyków już jeno Żegota ostał, a i kto wie, jak długo.

— On już ostanie, bo nie ma powrotu. Zaprzącom go zowią i Sieciech mu odstępstwo od rodu zakarbował.

Przerwali, bo król nagle polecił Nawojowi:

— Skocz mi po pismo Wratisława i Czecha z lochu każ sprowadzić.

Nawój zawrócił na rozkaz, a Doman szedł dalej za

Bolesławem w milczeniu aż do sądowego stołu pod dębem, Król kątem oka ogarnął zgromadzonych, nie odpowiadając na ich pokłony, usiadł i głowę wsparł na dłoni. Siedzieli w milczeniu. Z dala gawiedz, nie tłocząc się jak zazwyczaj, w trwożnym szepcie dzieliła się spostrzeżeniami. Jeny kawki, gotujące swe gniazda na wieży i w konarach drzew, czyniły zwyczajny gwar, nie bacząc na zgromadzonych nisko pod nimi ludzi, obojętne na wszystko, co działo się dokoła.

W krakanie ptactwa wmieszał się gwar odległy, lecz zbliżający się z każdą chwilą. Sąd siedział jak gromada posągów. Błdzi byli wszyscy. Król spojrział na nich nabiegłymi krwią oczyma; poprawił się na siedzeniu i znieruchomiał. Patrzył w kierunku zbliżającej się gromady. Biegły na przedzie psy i wyrostki, potem szedł tłum ludzi, na których czele w otoczeniu zbrojnych załśnił złotem w słońcu biskupi ornat. Gwar umilkł jak ucięty; w głębokiej ciszy orszak zbliżał się do stołu. Na czele kroczył Borzywój Jastrzębiec, zataczając się z lekka po wieczornym przepiciu, prowadząc na powrozie Stanisława. Biskup szedł z gołą głową. Siwiejące na skroniach włosy lśniły srebrem. Twarz miał spokojną, namiętne oczy zasnutę mgłą. W milczeniu stanęli przed sądem. Przerwał je śmiech Borzywoja:

— Przywiedlim jak psa, poćwiartujem jak wieprza!

Śmiech jego zgasł, jak iskra rzucona na wodę. Król wstał powoli i zszedł z podwyższenia. Doman widziała, że ręce króla zaciskały się i rozwierały na przemian. Bolesław milczał przez chwilę, jakby się z głosem pasował, po czym zaczął ochryple:

— Za zdradę w zaoczności skazany na ćwiartowanie po starym obyczaju, Stanisław ze Szczepanowa stoi przed wami. Jam tu pokrzywdzonym, sędzią i oskarżycielem i w mojej mocy wyrok wykonać nie pytając. Ale w oczy chcę mu dowieść przewinienia. Jeśli może, niech się broni. I wiedzieć mają wszyscy, że prawo nie pajęczyna, co muchę złowi, a szerszeń ją przedrze...

Urwał i ręką drżącą sięgnął do miecza. Zdało się, że rzuci się na oskarżonego. Patrzył na niego, a oczy mu płonęły jak głownie. Nagle ruch się uczynił wśród stojącej z dala gawiedzi. Widać było, jak rozstępu je się przed Nawojem, który ukazał się z pergaminem w ręku. Za nim dwóch pacholków prowadziło związanego człeka. Gdy się zbliżyli, pacholkiwie z więzieniem stanęli opodal, zaś Nawój pergamin położył na stole. Król zaczął spokojniej:

— Każdy wie, jako bywszy biskup, Stanisław Turzyna ze Szczepanowa, niepomny dobrodziejstw doznanych ode mnie, zaprzysiężonej mi wiary nie dochował, jako wojska pobuntował, by zamiary moje na Rusi udaremnić, jako za zdrajcami obstawał, mnie i rodzinie mej odkazując.

Król zachłysnął się oddechem, po czym ciągnął dalej:

— Prawa i sądy swoje chciał stanowić; moje grzechy sądził, a sam gromadził szalbierstwem majątności; by mnie pozbawić dochodu, nieszczerze ludu brocił przede mną, podwody i stanu płacić wzbraniając, jakie od wieku płacili, a popierał wielmożów, którzy gnębili lud i nastawali na życie moje; jako zelżywość mi czynił, klnąc w żywe oczy, do kościoła, com sam pobudował, wstępu zakazując; duchowieństwo nakłaniał do nieposłuszeństwa wobec Ojca Świętego, odmawiając świętopietrza, którem za koronę papieżowi przyrzekł; za wszetecznicami, którem ukarał, się ujmował, a mnie wszeteczeństwo zarzucać się ważył.

Bolesław uciął znowu. Wściekłość mgłą zaćmiła mu oczy, lecz jeszcze ją poskromił. Mówił dalej przerywanym głosem:

— Z wołowej skóry pergaminu by trzeba, by spisać wszystkie przewinienia, z których za każde na śmierć zasłużył. Ale ten oto starczy, by go pokarać obyczajem, jakim za ojców i dziadów zdrajców karano.

Wskazał leżący na stole zwitek i zwracając się do Nawoja polecił szorstko:

— Czytaj!

Nawój wstał spokojnie, rozwinął pismo i zaczął; list był po łacinie.

— Przekładaj! — krzyknął król.

Wratysław pisał do króla. List zaczynał się od pozdrowień i zapewnień przyjaźni i życzliwości, choć każdemu wiadomo było, że stosunki między dziewierzami są wrogie.

*Relatum est etiara nobis, qina colloquium habueritis cum seductoHbus illis Saxonum, non episcopis sed vere apostatis... **

Nawój przełożył, a król zwracając się do sądu rzekł:

— Tak zowie biskupów, którzy wiernie przy prawowitym papieżu stoją.

Nawój czytał dalej:

Audiuimus, quod inter vos et fratremvestrum epz-Bcopum, sit aliqua dissensionis macula...²

Nawój przetłumaczył, a król zaśmiał się uragliwie:

— Jakowaś plamka niezgody!

Nawój tłumaczył dalej:

„...o ile przyjemność nam sprawiło poprzednie poselstwo, tyle przyniosła smutku tej gorczy niezgodziwość. Błagamy i zaklinamy cię na imię Chrystusa, abyś dla bojaźni Bożej i naszego upomnienia usunął między wami wszelkiej niezgody zgorszenie, a wrócił pokój, dla którego zjednania wielkich i pobożnych wzruszeń i usilności dokładamy. Oby Bóg, spełniając na was i doprowadzając do końca poczęte dzieło, przysparzał w was i gromadził swe dary. Nic nie tna niepodobnego do wykonania dla prawicy Bożej, która więcej nad to, o co prosimy Lub co rozumiemy, władna jest zdziałać...”

¹ Doniesiono nam, że prowadziliście rozmowy z tymi uwodzicielami Sasów, nie biskupami, lecz zaiste odstępcami...

² Słyszeliśmy, że między wami a bratem waszym biskupem jest jakowaś zakała niezgody...

— Rozumiecie? — zwrócił się król do obecnych, a gdy milczeli, ciągnął:

— Stanisław, gdy zwolnił poddanych od należnego mi posłuszeństwa i wiary, jawnie tymi do buntu zachęcając, wezwał Wratysława, by kraj zajmował. Ale Wratysław, że mu nie w porę było, wysłał list, by innie uśpić, a Stanisława zawiadomił przez posłańca, że jeszcze nie gotów.

Król skinieniem ręki polecił zbliżyć się sprowadzonemu z lochu Czechowi.

Pchnięto przed stół cień człowieka, który mrużył oczy, odwykłe od blasku. Twarz jego miała barwę starego pergaminu. Widocznie odzwyczaił się od słońca, gdyż chwiał się na nogach.

— Słońce widzisz?

Król wskazał na gwiazdę dzienną, która wzniosła się nad budynki, spędzając chłodny cień pod ściany.

— Słońce! — wymamrotał więzień szarymi wargami bezzębnych ust, bo mu zęby wyłamano przy badaniu.

— Chcesz je widzieć jeszcze, mów! Kto cię wysłał i do kogo?

— Słońce! — powtórzył więzień, zdając się nie słyszeć pytania.

— Mów! — wrzasnął król.

Więzień zwałił się na ziemię jak puszczonego łachman i twarz zakrył rękoma:

— Nie wiem! Nie wiem! Nie pamiętam!

Król stał nad nim, jakby się wahał, co robić. Potem rozkazał:

— Na powrót!

Porwano leżącego, jak wiecheć słomy. Bolesław, zwracając się do sędziów, rzekł:

— On nie wie, ale ja wiem. Wie też zdrajca. Masz co na swoją obronę? — zapytał biskupa.

Milczenie zaległo podwórzec. W powszechnej ciszy rozległ się wyraźnie głos Stanisława:

— Przed Bogiem za winy swe się kajałem. Przed przekleńnikiem spowiadał się nie będę ni o miłoś-

dŹie me prosz, u sieoie nie sioj, ait; spuuwvicnuuj godnoŹ kaplaŹnsk Bg mŹciŹ bdzie na was i na dzieciach waszych.

— Klęknij! — rozkazał krl.

Biskup stał, wynioŹy i wyprostowany. Borzywj szarpn powrozem i zwał go na kolana. W ciszy powszechnej, zwracajc si do sdu, Bolesłw zapytał:

— Zali chce kto wystpiŹ w obronie winowajcy?

Groźnym wzrokiem powidł po zgromadzonych. Nie ozwał si nikt.

— Tedy przewd zamykam. Kto Stanisława Turzyn ze Szczepanowa winnym byŹ mniema zdrady i przemiesierstwa?

Pierwszy rk dźwign Zbylut Nałcz, za nim inni, z wahaniem i ociganiem, w miar jak krl oczyma przebiegał siedzcych.

— Tedy winnym uznany zdrady i przemiesierstwa. Jak kar ma ponieŹ? — zapytał Bolesłw.

Znowu zaległ milczenie. Krl zwrcił si do najstarszego wiekiem, DrogomLra Pałuka z Szubina:

— Ty?!

— ŹmierŹ! — odparł zapytany, z ociganiem. Wywoływani po imieniu głsowali zgodnie z Pałukiem. Gdy Bolesłw wymienił saskiego grafa Rinardusa, który posłujc przystał do krla, Sas odparł wymijajco:

— Jam obcy, nie znam waszych praw.

— A wedle waszych?! — krzykn krl.

— ŹmierŹ!

Z kolei Nawj, wezwany do głosu, powiedział Źmiał:

— WygnaŹ!

Patrzył na krla swymi małymi, przenikliwymi oczkami, jakby chciał go przestrzec, lecz Bolesłw oczy odwrcił i dokoŹczył:

— Pasek?

— ŹmierŹ!

Krl wstał i głosem, który starał si uczyniŹ spokojnym, rozpoczął:

— Tedy wyrokiem rady królestwa i moim, Stanisław Turzyna ze Szczepanowa winnym zdrady i przestępstwa uznany, starym obyczajem, na obcięcie członków skazany zostaje, a ciało jego i mięso oddane być ma zwierzom lasu, rybom wody i ptakom powietrza.

W miarę jak mówił, przyspieszał słowa. Potem prawie krzyknąć zaczął:

— Jako pokrzywdzony domagam się, by winnego pomście mojej wydano. Kto jest za tym? Ty? Ty? Ty?... — wskazywał palcem po kolei obecnych.

Potakiwali skwapliwie, widząc, że szal ogarnia króla. Tylko Nawój, gdy król jego wskazał palcem z kolei, odparł śmiało:

— Nie! — Znowu patrzył na króla, chcąc go przestrzec, lecz na darmo. Bolesław nie słyszał, trząsł się z wściekłości, oczy mu latały. Drżącą ręką wyciągnął miecz i szedł ku biskupowi. Wszyscy nieraz patrzyli na kaźń i śmierć, lecz teraz czuli, że tu coś więcej niż życie ludzkie jest w grze. Groza zaparła im oddech.

Ciężkim krokiem Bolesław przystąpił do klęczącego. Nie myślał o ucieczce wojsk, o buncie, o zamachach na swoje życie, o usiłowaniu pozbawienia go korony, pomny jeno swej znieważonej godności męskiej i oplwanej jedynej miłości swojego życia. Płomień miał w żyłach, żar w głowie. Mignął w słońcu miecz, jakby iskra płomienna, i ugodził w czaszkę biskupa.

Bryznąła krew i mózg. Jak rozjadła sfora psów na obalonego przez łowcę zwierza, na leżące ciało rzucili się Strzemieńczyki, siekąc i kłując. Mścili się swoich małych uraz i wlekli po ziemi ciało biskupa, przemienione w krwawy, bezkształtny łachman, czerwono znaczący drogę. Doszedłszy do częstokołu rozkołysali je i przerzucili na skalisty stok wzgórza, ku Wiśle. Potem ręce ziemią wycierali, gwarząc między sobą z prześmiewkami:

— Nam odkazywał, a jego psi zjedzą.

— Nie zjedzą, boby się potruły.

— Łacniej — powściekały, jak on.

Ustek, który przez częstokół spozierał na ciało, rzeki:

— Psi go nie zjedzą, bo leży na stromiźnie, że żaden nie dojdzie; chyba koty.

— Koty ścierwa nie lubią ani kości nie zgryzą.

— Ryby go oskubią, bo się splezie do Wisły, jeno niech deszcz z wiatrem zawieje — odparł Ustek.

— Najśnadniej ptacy się pożywią. Już się zwiedziały — Czasław wskazywał na krążące wysoko ptaki.

— Krucy!

— Jastrzębie!

— Bies z nimi! Niech im idzie na zdrowie.

Strzemińczyki zbierali się do dworca; podniecenie zająciem mijało. Po wczorajszej pijatyce ogarniała ich senność i znużenie.

Gdy weszli w podwórzec, wesołość ich przygasła. Gród jakby zaraza wymiotła. Choć słońce już wzbilo się wysoko, nigdzie żadnego ruchu. Dopiero co tłum był i gwar, teraz pusto wszędzie. Jeno szepty trwożne po wszystkich kątach.

XXX. ZŁOWRÓŻBNY WSTRZĄS

Okna pozasłaniaj, spróbuję usnąć.

Doman pozaciągał zasłony. Zalaną słońcem komnatę ogarnął półmrok, jeno tu i ówdzie przedzierała się smuzka światła. Bolesław zwałił się na łożo i odwrócił do ściany. Zdał się już zasypiać i Doman skierował się ku wyjściu, gdy król nie odwracając się rzekł:

— Nie odchodź nigdzie. Zbudź mnie na odwieczarz, na noc ruszamy.

— Do Bużenina? — Doman westchnął.

— Gdzie by?!

— Teraz?

Król zerwał się z posłania.

— Właśnie teraz, gdym głowę ściał zdrady i buntu!

Rozległo się ciche pukanie.

— Wejść! — krzyknął król.

Do komnaty wszedł Nawój. Bolesław gniewnie rzucił się na łożo i odwrócił plecami do Nawoja, który stanął nad nim. Mówił, jakby nie zauważył niechęci: róla, której przyczyny się domyślał:

— Kanonicy wynieśli się na Skalkę,

— Licho z nimi! — odburknął król.

— Ludzie szepcą, że jasność biła od Stanisława, dyście go zarzynali.

— Niech szepcą. Nie ma go kto wskrzesić, jako on 'ietrka — zaśmiał się szyderczo. — A gdyby zmarwychwstał, zarzną go po raz drugi.

— Żywy mniej był niebezpieczny niż zmarły. A ni-
(nie nic mu już nie uczynicie. Pozwólcie go przynaj-
mniej pogrześć.

— Ty co?! Znowu za nim obstajesz! Jakom wyrok
ogłosił, tak będzie.

— Albo nie.

— Kto się go waży pogrześć, łeb utnę.

— Wiele można zdziałać mieczem, ale nie wszyst-
ko. Coś by trzeba uradzić.

— Ciebie nie pytam o radę. Precz!

Nawój wzruszył ramionami i wyszedł. Postanowił
mieć sprawy na oku. U wrót do kapitulnego refektar-
za dognał go Doman, by wracał do króla.

— Jak myślisz, co będzie? — spytał Doman Nawo-
ja, gdy wracali razem.

— Gorzej będzie niż było. Już się ludzie na biskupa
boczyli, jemu przypisując zamachy na króla i podże-
ganie do buntów. Niejeden się obruszał na bezecne
zarzuty, jakie na króla miotano, na zuchwalstwo Sta-
nislawa i zamęt, jaki wywołał. Teraz się wszystko od-
wrócić może. Sieciech ostał, a chytrności mu nie brak.
Wstrząsnęła ludźmi ta sprawa. Sama królowa włosy
rwie z przerażenia, ochłonać nie mogąc z powodu
przekleństwa, którego się boi dla syna. Niewiele trze-
ba, by ludzie mówić poczęli, że biskup był praw,
a król świętokradztwo popełnił. Już gadają, że orły
ciała strzegą, bo się parę sępów pęta, od których inne
ptactwo ucieka.

— A może iście pilnują?!

— Widzisz! I ty byś wnet uwierzył.

Ale Doman nawet nie zauważył szyderstwa. W sko-
łatanej bezsennością i napięciem ostatnich czasów gło-
wie zamęt powstawał, wśród którego jedna tylko myśl
świdrowała jak kolec, że teraz nie wiadomo, kiedy
Bietkę ujrzy. Lisy otwarcie już stali przeciw królowi,
ani się Domatiowi pokazać im na oczy. Byle choć ma-
cierz ostawili w pokoju. Niedawno jeszcze żywił na-
dzieję, że się sprawy jakoś uładzą, gdyby król prze-
mógł lub ugodził się z biskupem: Lis uzna ważność

zawartego małżeństwa lub biskup na kościelną benedykcję się zgodzi. Jenó serce się w nim kurczyło na myśl o doli Bietki, która jak zhańbiona nierządnicą wrócić do dom musiała. Czeká tam na niego jak na zbawienie, a on jechać nie może. Zatopił się w myślach i nie słyszał, jak Nawój mówił:

— Chciał się król pozbyć biskupa, wygnać czy do lochu schować było. Ale król chciał, by każdy wiedział o dokonanej pomście; po prawdzie za Krystynę, się mścił i za te brednie, co o nim rozpowiadano. A tego, już pewnikiem biskup nie puszczał, jeno Wolkmai, jak go znałem! Jak się król rozwścieślił, to już wszystko szło na karb biskupa, prawda i nieprawda, a o te obelgi trudno go było wołać do sprawy. Nawet przy sądzie Bolesław o nich nie napomknął, choć pewnikiem o nich myślał najwięcej i dlatego jeno żądał, by jego pomście Stanisława wydać.

Ręką machnął i weszli do komnaty. Król siedział na łożu. Nie patrząc na nich, rozkazywał:

— Pojedziesz, Nawój, do węgierskiego Władysława. Pomoc ma mi dać, jako powinien. A ty, Doman — do Michała Awdańca, zawiadomić go o tym, co zaszło. Jeśli sam przyjechać nie może, wojów ma mi przysłać z Gniezna, Poznania i Giecza. Swojaków niech przyśle, bym ich pewny mógł być i... wypać się raz.

Zapadłe, krwią nabiegłe oczy króla latały niespokojnie. Widocznym było, że istotnie potrzebuje wypoczynku. Po przerwie dorzucił:

— Radwan przy mnie służbę obejmie, Żegota — przełożenie nad strażą. Przysłać ich i zbierać się nie mieszkając!

Gród wcześniej niż zwykle zatonął w ciszy i ciemności. Nawet straż nie obwoływały się, nawet okna komnaty Bolesława, zazwyczaj świecące do późna w noc, pogrążone były w mroku. Król, wyczerpany do cna, usnął głęboko.

Zerwał się jednak zaraz, jeno spoczęła na nim nieśmiała ręka Radwana. Sięgnął do miecza i syknął!:

— Co zaś?

— Światło widać! — Głos Radwana był drżący, ręce mu latały. Wskazywał na okno wychodzące na Stok nad Wisłą.

Król odmruknął:

— Padlinę zepchnąć do Wisły. Obaczym, czy w wodzie świecić będzie.

Patrzył z wymuszonym uśmiechem na drżącego Radwana.

— Nie tobie każę. Strzemińczyki to zrobią!

— Może lepiej nie za dnia. Ludzie i tak gadają..

Król machnął ręką:

— We dnie świecić nie będzie. Niech zrobią zaraz. Teraz zaś spokój mi daj, choćby Wisła w tył zaczęła płynąć. Nie chcę wiedzieć o niczym; chcę spać!

Radwan nie budził króla, choć ogarniał go coraz większy niepokój. We dworze rozprzęgło się wszystko. Strzemińczyki i Jastrzębce jedynie, którzy nic sobie nie robili ze sprawy, a chcąc nie chcąc ostać już musieli p*rzy królu, pili w izbie strażniczej. Darma ich usiłował Żegota hamować. Najmniej pijani Ustek i Czaśław długą żerdzią zepchnęli ciało Stanisława do Wisły i wrócili pić, klnąc Żegotę i wyśmiewając, gdy wyganiał ich na straż. Wyszedł więc sam na wał i stał strapiony; gdyby teraz Sieciech ze swymi nadciągnął, ani się nie spostrzegą, jak gród weźmie. Zatroskany postanowił udać się do miecznika Mirosława Odrowąża, by z nim się naradzić. Odwrócił się, odejść, gdy Radwan stanął przy nim,

— Król śpi od południa. Budzić się zakazał, a boję się, czy nie zasłabł.

— Znużony musi być. Prawdę powiedzieć, nam wszystkim zdałby się wypoczynek. Jak myślisz, przyśleli Michał wojów i prędko będą?

Ale Radwan nie odpowiadał, jeno patrzył na Wisłę. Lśniąca czerń wody odbijała od szarego mroku brzegów. W jednym miejscu zabłysło niepewne światło-

ko, które nasilało się i posuwało z prądem, kierując ku prawemu brzegowi. Po marszczącej wiatrem i prądem płaszczyźnie wody jeły skakać błyski.

— Światło na wodzie! — ze zdumieniem zakrzyknął Żegota.

— Stanisławowe ciało! — szepnął Radwan drżącymi wargami.

Patrzyli w milczeniu. Nagle okrągłe okienka kościołka Św. Michała i Aniołów zapłonęły blaskiem, a ciemne jego zarysy wynurzyły się z cienia.

Radwan bez słowa zeskoczył z wału i popędził. Bez namysłu wtargnął do komnaty króla.

Król zerwał się. Czego?! — wrzasnął. Ciało biskupa świeciło w wodzie, a teraz w kościele na Skałce!

— Precz! — krzyknął król.

Radwan wypadł jak z procy i popędził z powrotem na wał. Światło już gasło, z Wisły wstawał opar, który otulił zarysy kościołka na Skałce.

Przez chwilę jeszcze jaśniejsza plama zdradzała miejsce, gdzie stoi, potem świat cały zanurzył się w mroku.

Niedaleko było do świtu, gdy ruch powstał koło stajen, ale nie było zwyczajnego gwaru. Nawój i Doman stali już, gotowi do drogi.

— Żegnaj! — rzucił Nawój doskakując konia. — Może się jeszcze obaczymy. Niech jeno mnie nie stanie, wnet się tu cuda poczną i Bóg jeden wie, co zajdzie. A Żegota tych opojów trzymać nic wydoli. Taka to i straż będzie!

Machnął ręką i ruszył ku południowej bramie, a Doman ku północnej.

Nawój, jeno się przeprawił za Wisłę, wraz zauważył, że są na jego tropie; bystre oczy już przy moście na -i Stradomiu dostrzegły w mroku ludzi wyglądających z postaci na wojaków. Potem, gdy zanurzył się w las, słyszał za sobą tupot koni, ilekroć orszak jego zwolnił na miękkiej drodze.

Postanowił zgubić pogoń. Gdy jeno natrafił na dłuższy odcinek piaszczystego gościńca, puścił konie w cwał, po czym ze szlaku uskoczył i przedzierał się lasem, trzymając się jeno południowego kierunku, pewny, że odnajdzie drogę.

Nie był natomiast pewny, czy przejedzie. Przemknięcie się samopięt nie przedstawiałoby większych trudności, gdyby Sieciechowi nie byli przestrzeżeni. Jeśli czyhają na niego, trudno będzie, zwłaszcza za dnia. Nie mógł brnąć bezdrożami, bo ani spyży dla ludzi i koni, ani czasu nie było zbyt wiele. A szlaki obsadzone muszą być wszystkie; na przedarcie się siłą też nie liczył. Było o czym myśleć.

Myślał także o Domanie. Może zdoła dobić się do Awdai. Czy jednak wojewoda pomoc da, nie było pewne. Pomorzanie i Prusy wraz się zwiedzą o wypadkach i nie omieszkają ich wyzyskać. Walka papieża z cesarzem chwilowo przycichła, a nawet Henryk i Rudolf zgodzili się na papieskie rozjemstwo; przycichł tedy i zamęt w Niemczech i liczyć się należało, że zarówno cesarz, jak Wratysław skorzystają ze sposobności, by pozbyć się na zawsze niebezpiecznego wroga, a Grzegorza oraz saskich biskupów pozbawić poparcia, jakiego udzielał im Bolesław. Sieciechowym niewiele było potrzeba, by uzyskać przewagę, przynajmniej na południu i wschodzie kraju. Herman się nie ruszy, bo się boi Bolesława, choćby król sam pozostał, ale Sieciechowi nie brak męstwa ni zawziętości. A Bolesław nie chce tego zrozumieć albo już nie może. Poczyna sobie jak szalony. Nawój nie lękał się, że król zawróci z drogi, że poty karał będzie każdy objaw sprzeciwu swej woli, póki ostatni ludzie, zniechęceni podejrzliwością a wystraszeni coraz widoczniejszą przewagą wielmożów, nie przejdą do buntu lub nie zbiegną, by przeczekać burzę. O siebie Nawój się nie troskał, ale los Domana leżał mu na sercu. On nie potrafi zacząć życia na nowo, bez Bietki. A odzyskać może ją jedynie w razie zwycięstwa Bolesława.

Zmierzchało już, gdy Nawój z towarzyszami trafił na leśną drożynę. Posuwali się szybciej i wkrótce szczekanie psów oznajmiło im osadę. Musiało też mieszkańcom zdradzić przybycie obcych, bo we drzwiach domostwa, przed którym się zatrzymali, zjawił się człowiek w kozuchu, z oszczepem w ręku. Policzył oczyma postacie konnych i zapytał szorstko:

— Co za jedni?

— Królewscy — odparł Nawój zeskakując z konia.

— Jedźcie dalej! Stanu ni podwody nie damy, a jest nas tyle, że siłą nie weźmiecie.

— Ale dachu podróżnym użyczycie. A co zjemy i wypijem, zapłacę.

Chłop cofnął się w głąb i wrócił mówiąc:

— Wejdźcie! Konie do szopy wam odwioda.

Opatrywał ciekawie, ale niezyczliwie przybyłych.

Nawój z towarzyszami weszli do obszernej świetlicy. Pusta była. Dopiero po chwili wszedł starzec, na pozdrowienie coś odmruknął i ręką wskazał, by usiedli. Zrzucili kozuchy i odłożyli broń; stary patrzył na nich podejrzliwie.

— Ktoś jest? — zapytał Nawoja, miarkując, że do wodzi przybyłymi.

— Skoro płacić każecie za gościnę jak w gospodzie, nic wam do tego, od kogo weźmiecie zapłatę — odparł Nawój.

— Coś rzekł? — zapytał stary groźnie.

— To, co mi wasz swojak zapowiedział. Abyście spokojnie spali, tu macie pieniądze za strawę i paszę... i nocleg.

Nawój sięgnął do trzosa. W tej chwili wszedł tamten, który konie odwoził do szopy. Stary ostro zapytał:

— Prawda to, żeś za gościnę płacić kazał?

— Nijak! Jenó rzekłem, że królewskim stanu ni podwody nie damy, jako świętobliwy biskup zakazał, za co go król umęczył.

Nawój spojrział bystro. Już wieść doszła i do tej zapadłej osady. I widno ubarwiona, jak wrogom królewskim potrzeba. Nawój jednak zaśmiał się z przy-musem.

— Jeśli stanu nie dacie, a zapłaty nie chcecie przy-jąć, tedy żegnajcie.

Zrobił ruch, jakby się zbierał do wyjścia.

— Stój! — krzyknął stary — stanu nie damy, ale gościny nie obyczaj odmówić.

— Wždy świątobliwy biskup nowe obyczaje wpro-wadzał. Skoro wam jego nakaz ważniejszy niż kró-lewskie prawo i stary obyczaj, tośmy wrogci. Jeszcze byście nas po śpiączku porznęli. Bezpieczniej międ/y zwierzem w lesie.

Stary zaczerwienił się po białka oczu.

— Nie praw byle czego. Siadajcie i wraz wam nie-wiasty strawę przyniosą. Takie czasy, że nikt me wie, czego się trzymać. Był tu rankiem duchowny, który opowiadał, jako król biskupa za to, że się za ludem ujmował, ćwiartować kazał i psom na pożarcie ciało rozrzucił; ale się zrosło, a anieli je do swego kościoła na Skalkę przenieśli, gdzie je pobożni kano-nicy pochowali, zaś oprawcom ręce poschły. Mo wił, że wielki święty powstał, a króla Bóg szaleństwem pokarał.

Nawoja ogarnęło wielkie zniechęcenie. Wrogowie bez zwłoki umieją wyciągać korzyści, a król co Od-sypia znużenie, pewny, że głowę ściał buntu. A gdy się wyśpi, zacznie znowu łby ścinać. Nawój przewi-dywał, co się stać może, i przestrzegał. Po raz pierw-szy opadły mu ręce. Poczul się bezradny i zniechę-cony. Milczał; inni też znużeni nie zabieraj głosu.

Gospodarz ciągnął dalej:

— Wadził się król z biskupem, jeden na drugiego obelgi miotał, zgadnij, kto praw. A jedno pewne, że bezład na prostym narodzie się skrupia, jako juz raz było. Nie wróg ja wam, ale i nie przyjaciel; nie ni-sze sprawy. A zaś gościna inna rzecz. Tej nie godz|

się odmówić. Jeno że i óó naród dawniej z dobrej woli i serca ku swym książętom dawał, to sobie nie pozmięli na powinność i jak należność ściągają. Od Ryksy się to poczęło.

Tak więc myśli lud, na który król przecież w ostateczności liczył. Czym byłby król bez ludu? Niczym. I oto jest bez ludu. Dlaczego? W zmęczonej głowie Nawój nie znajdował rozwiązania.

Starzec patrzył na Nawoja, jakby czekając odpowiedzi.

— Nie rozmownyś! — rzekł. — Ale imię swoje możesz mi wyjawić. Chcesz tajemnicy, nie zdam go nikomu. Gościnność święta rzecz.

— Jam Nawój Sreniawita. Widzę, że obyczaj przestzegacie, tedy wierzę wam. Nikt wiedzieć nie powinien, żem tędy przejeżdżał. Ścigają mnie.

— Spokojny bądź. Spać możesz na oba oczy, pókiś pod moim dachem.

— Tedy pozwólcie, że zaraz na spoczynek pójdziemy. Przd świtem nam ruszać.

Układli się, żegnani życzeniem dobrej nocy, i znużeni posnęli głęboko. Przez sen słyszał Nawój szczekanie psów, lecz nim się ocknął, poczuł, że trąca go ktoś,

— Wstawaj! — posłyszał głos starego.

Z trudem wyrwali się z nieświadomości. Psy ujadły, od lasu rozległy się szczekania innych psów. Zerwał się i zbierał szybko, przypasując miecz. Towa-t | rzysze zerwali się również. Nim zdążyli broń przypasać, dokoła domu rozległy się głosy. Nawój rozróżnił niemieckie i czeskie słowa. Rzucił się ku drzwiom. Stary chwycił go za rękę:

— Pójdź za mną — szepnął.

Nawój spojrział na towarzyszy; stary zrozumiał spojrzenie i rzekł:

— Jednego mogę schować, więcej nie. Pójdź!

Powiódł go przez ciemną sionkę. Otworzył drzwi wychodzące na tylny podwórzec i wyrzwał; nie było na nim nikogo. Syknął na Nawoja.

— Tutaj parsk * na ziarno. Zagrzeb się w nie, nie znajdują. Będzie czas, to cię wypuszczę,

Zawalił za Nawojem jamę kamieniem. Na woja dochodziły głosy walki, jakby z wielkiej oddali. Potem zaległa cisza zupełna. Ciemno i duszno było jak w grobie, jeno woń ziarna przypominała, że jama żywym służy.

Czas dłużył się Nawojowi, lecz cierpliwość na próbę miała być wystawiona. Przez drobne szczeliny przesączać się zaczęły ślady światła. Nawój zrozumiał, że wypadnie mu czekać długo i nie wyjdzie przed nocą. W nocy zaś winien podążać z powrotem; poselstwo jego skończone, a król musi o tym wiedzieć. Nawój starał się zasnąć, by zebrać siły, których pewnikiem będzie potrzeba.

Zbudził go chłodny powiew. Poczuł, że kamień odwalono, lecz ciemno było zupełnie. W otworze rozległ się szepc:

— Wychodź!i Nawój wyszedł i odetchnął głęboko,

— Co z moimi? — zapytał.

— Pobrali ich.

— A konie?

— Jeden ostał. Myśleli, że nasz, bo uprząż była po tym, co królewscy na podwodę zabrali. Bierz go i jed*. Lepiej, by nie wiadano, żeśmy cię uchowali. Spieszno musisz zawiadomić króla. Sieciechowi pomoc od Niemców i Czechów dostali.

— To wy królowi życzyście?

— Komu życzę, to życzę. Ale bić się już za nikogo nie będziem.

Nawój pokiwał głową. Teraz już nie czas przekonywać, że kto nie walczy, przegrywa. Nie łudził się, że ostatnie oparcie, na które król liczył, zawiedzie.

— Może wam kiedy odwzięczę za pomoc. Tymczasem żegnajcie.

¹ p a r s k — jama

Dosiadł konia i ruszył w ciemność. Na rano trzeba być w Krakowie, jeśli już nie za późno

Domanowi nie lepiej się poszczęściło niż Nawojowi. Spozrzegłszy się jednak, że jest na oku, szybkości konia zawierzył i pędził, aż zdało mu się, że zmylił pogoń. Zwolnił wówczas i przed wieczorem dotarł do małej osady opodal źródeł Warty. Staął, by konie przetrzeć i napoić, zmuszony czekać aż ochłona, by ieu aie zmarnować. Tymczasem słońce zaszło i mrok zapadł.

Choć towarzysze upierali się nocować, ostrożny Doman wolał ruszyć na noc, by pościg, jeśli będzie, zgubić i raczej nad ranem gdzieś stanąć na wypoczynek.

Ruszyli stępa, by koni oszczędzać. Jechali w milczeniu nasłuchując pilnie, czy w ciszy nocnej nie posłyszają za sobą pościgu. Ale i las milczał, zwierając nad nimi ciemną sieć bezlistnych konarów. Jaśniejszy od ścian boru ścielił się przed nimi piaszczysty gościńiec, który głużył odgłosy kopyt. Kołysał ich jednostajny ruch koni, a usypiało znużenie. Doman bronił się, jak mógł, lecz chwilami chwycił się na drzemce. Myślał już, czy nie bezpieczniej byłoby stanąć i przespać się w lesie, straż wystawiwszy, ale pa namyśle postanowił zdążać dalej, aż trafią na gospodę. Wilgotny chłód, ciągnący od boru, nie zachęcał <k snu w lesie, a niejedna jeszcze noc przed nimi. Wątpił, by na gościńcu mógł napotkać Sieciechowe straże.

Zdrzemnął się znowu, choć zdało mu się, że jeno oczy znużone zmrużył. Gdy je otworzył, dostrzegł jakieś cienie na jaśniejszym tle gościńca. Nie ujechał ni kilku kroków, gdy ruszyły naprzeciw niego. Groźny głos, który echem odbił się w ciszy, zawołał:

— Kto jedzie?

Na zbójów nie wyglądali, królewscy nic nie mieli do szukania na drodze o tej porze. Doman przekreślił ;

pas z mieczem i bez słowa jechał dalej, aż stojący na przedzie za uzdę konia uchwycił.

— Głuchys? Coś za jeden?

— Nie mnie się sprawiać. Wy coście za jedni?

— Z polecenia wojewody piñujem, by się królewscy nie włóczyli. Zsiadaj i ze mną!

Doman zdarł konia, tak że trzymający uzdę zachwiał się na siodle; bez słowa wyrwał miecz i ciął przez rękę napastnika. Ryk ranionego zmieszał się, z głosem Domaną:

— Bij!

Nie patrząc za siebie, skoczył. Otoczyli go, lecz szybszy od nich strącił stojących mu w drodze i nie oglądając się popędził. Za nim brzmiały wrzaski. Leżąc na końskiej grzywie wpijał ostrogi w boki ruma-ka. Poczuł, jak strzała musnęła mu policzek i koń się rzucił, jak ugodzony. Nie zważał i gnał dalej. Nagle koń potknął się raz i drugi i zwałił się na ziemię. Doman migiem zerwał się i uskoczył w las. Po chwili usłyszał klątwy i krzyki oraz trzaski łamanych gałęzi. Biegł, aż odgłosy pogoni umilkły. Był sam. Ruszył przed siebie, lecz raz za razem potykał się w ciemności, wreszcie legł jak długi.

— Wypocznę — pomyślał.

Nie wiedział nawet, kiedy chwycił go twardy seł.

XXXI. ZRYW

Król bezzwłocznie sam ujął sprawy na grodzie żelazną ręką, ściągnął z podgradzi i dworców drużynę, na nowo przysięgę wierności odebrał, majątności odstępców porozdawał i gotował się do oblężenia. Królową z synem wysłał do Oświęcimia, niewiasty usunął z grodu, zostawiając jedynie starą księżnę, która wyjazdu odmówiła. Ściągał żywność i karność przywrócił.

Królewska sprawność i pewność siebie udzieliła się wojom. Z zapalem i ochotą gotowali się do obrony, pewni, że król zamknąć się postanowił w Krakowie, by posiłków doczekać od Awdańca lub z Węgier. Wiadomość o tym niezwłocznie doszła do Sieciechowych. On sam wyjechał do Hermana z wieścią o wypadkach. Sądził, że skłonić zdoła królewskiego brata, by otwarcie wystąpił jako prawowity następca wyklętego i pozbawionego korony króla, co by rozruchowi powagi i pozorów słuszności dodało. Nakazał wprawdzie nic nie poczynać, póki nie wróci, i baczyć jeno, by król się nie wymknął, lecz Sulisław, zastępca

Sieciecha, sądził, że zanim król przygotowania pokończy, pora uderzyć, dufny, że Sieciech ni Herman gniewać się nie będą, gdyby się udało. Drobnymi oddziałami Sieciechowych zwolenników poobstawiał Kraków dookoła, sam zaś ze starszyzną radził w Morawicy, gdzie zebrały się główne siły, obozem stojąc na błoniach ku Wiśle.

Między przywódcami zdania były podzielone. Młodszy i zuchwalsi parli, by zaraz poczynać, nie czekając powrotu Sieciecha. Starsi, rozważniejsi, radzili czekać na wynik rozmów z Hermanem. Król zawsze walczył na śmierć i życie, a teraz, gdy mu się do gardła dobierano, wszystkich sił dobędzie, by zwyciężyć. Nie brakło trwożliwych, którzy znając go drżeli na myśl, co się stanie, gdyby zwyciężył, i nabierali wymowy, by się niewczesnym zamiarom przeciwstawić. Jedno niepowodzenie może jeszcze szaleć na stronę króla przeważać. Woleli, by Sieciech sam postanowił. On nie bał się króla, mimo że stawiał najwięcej, i nie stracił pewności siebie, gdy do otwartej walki przeciw Bolesławowi przyjdzie.

Toteż narady przewlokły się w późną noc i znużenie już zaczynało przemagać. Obóz ucichł, ognie pogasły, jeno obszerne dwór świecił jeszcze oknami w ciemności chmurnej, kwietniowej nocy. Chwilami deszcz bębnił po gontach dachów, nie zachęcając do wyruszenia, ruszać zaś należałoby zaraz, jeśli uderzyć mają przed świtem. Widoczne już tedy było, że dzisiaj nie ruszą, i ten i ów ziewając oglądał się za kątem do spania. W bezlistnych drzewach szemrał i szumiał porywisty wiatr i milej było w ciepłej izbie przy miodzie, niż na koniu w noc ciemną.

— Spać chyba pójdziem — rzekł przeciągając się Grot z Jakuszowic. — Sieciech wziął na swój rozum, niech on sianowi.

— Gdyby był tutaj, pewnikiem kazałby uderzać, nie czekając aż się król umocni — odparł Sulisław.

— Co tam będziesz cudzym rozumem rządził. Sieciech wiedział, gdzie ważniejsza sprawa, skoro sam pojechał. A niech nam się nie uda, to popsujemy jerni

dział. Herman boi się brata, że na samą myśl o nim w portki popuszcza. Cóż, gdyby król Sieciecha i nas zmógł! Sam by Herman przeciwko nam się zwrócił

by się w Bolesławowe łaski wkupić. — Cichajcie! — mruknął stary Fałek, który najmniej dotychczas głos zabierał.

Myśleli, że chce coś rzec, i spojrzeli na niego. Ale on nasłuchiwał z napięciem. I inni przez szum silniejszego uderzenia wiatru posłyszeli jakieś zamieszać nie i głosy.

— W obozie się swarzą, czy co? — rzucił Swircz.

Odpowiedź przyszła w tejże chwili. Ze wszystkich stron zabrzmiały wrzaski, łomot wywalanych bram i trzask częstokołów. Rzucili się jak jeden do broni, ale nim ją w zamieszaniu znaleźli, tupot licznych nóg, szczęk oręża i głosy były tuż. Przez wywalone okna zajrzały twarze w hełmach, sień napelniła się zbrojnymi, którzy wtargnęli do świetlicy.

Obecni zbili się w jednym kącie i dwie gromady stały naprzeciw siebie, bez głosu, grożąc sobie oczyma i jakby czekając hasła do walki.

W ciszy, jaka zapanowała, wyraźnie rozległ się tupot kopyt, potem szczęk pancerza i twarde kroki w sieni. Przez gromadę napastników przecisnęła się wyniosła postać w połocistej zbroi i stanęła w blasku bużującego na kominie ognia. Wszyscy poznali króla.

Stał przez chwilę, patrząc na gromadę swych wrogów. Wolnym, twardym krokiem ruszył ku nim. Nie miał broni w ręku, jeno zimną zaciekłość w oczach, którymi zdał się ich przebijać. Żaden nie pomyślał, że król bezbronny, że ubić go można, zanim po broń zdoła sięgnąć lub nim kto skoczy na pomoc. Zbuntowanym nogi drżały, niektórzy przyklękli.

— Wiązać! — nakazał król, wskazując na gromadę.

Zaskoczony w obozie pod namiotami zbrojny lud Sieciechowy ani chwili nie dał oporu. Bez zbroi i koni ratowali się ucieczką w ciemności, lecz ścigał ich blask płonącego gródka i królewska zawziętość; *twarda* i nieustępliwa jak skała.

Ostrożny Nawój Wisłę przebył brodem poniżej Krakowa i okrążając bagna od wschodu podsuwał się pod gród, osad unikając. Nie był pewny kto tam jest pa-

nem. Ułatwiała mu sprawę gęsta mgła, stojąca w całej dolinie Wisły. Słońce już wzejść musiało, ale świat tonął jeszcze w białawym półmroku, w którym ni śladu nie było grodu i zabudowań, choć Nawój podsunął się już tak blisko, że winien był słyszeć odgłosy dziennego gwaru. Cisza niepokoiła go. Przy tań się i czekał.

Światło nie nasilało się, a nawet mrok jakby poszarzał i siąpić zaczynał drobny deszcz, lecz jednocześnie mgła unosić się jeła w górę jak strzępiasta zasłona, odkrywając zrazu podnóże, potem stok i ostrokoły, wreszcie budynki i samą wieżę, nad którą zawisła po to, by strugami coraz przybierającego deszczu związać się z ziemią. Mimo to widoczność polepszała się i Nawój wysilał oczy, by dojrzeć jakiegoś człeka, po którym poznać by mógł, kto władnie grodem. Nie widać jednak było nikogo, co dziwiło Nawoja; choćby i Sieciech gród ubiegi, przecie strażę wystawić winien. Może pochowały się przed deszczem. Nawój podsunął się bliżej. Coś jeszcze niezwykłego uderzało go, lecz zrazu myślał, że to zasłona deszczu zamazuje szczerbatą linię zewnętrznego częstokołu. ■

Gdy się jednak zbliżył, pewien już był, że wzrok go nie zwodzi. Miast ostrych grotów pojedynczych pali widział wyraźnie okrągłe zakończenia. Przynął siQ jeszcze bliżej i zrozumiał.

Śmiało ruszył pod górę. Przed częstokołem przystanął i puściwszy konia szedł wzdłuż wału, patrząc na zatknięte na palach ścięte głowy. Grozą ciągnęło od nich. Niedawno je widno zasadzono, gdyż ptactwo nie ruszyło żadnej. Niejedna jeszcze była powalana ' krwią, której ściekający po twarzach deszcz zmyć nie zdołał, oblepiając je mokrymi włosami, tak że nie będą rozeznac było można; niektóre miały wyraz t.: spokojny, jakby spały z zamkniętymi oczyma, inne szczerzyły zęby w zamarłej wściekłości, lub wytrzeszczały zasze już bielmem oczy, w strasliwym przerażeniu. .

Nawój szedł i patrzył uważnie; szukał Sieciecha.

Nie było go, ale zastanawiać się musiał, kogo z wielmożów, którzy z Sieciechem trzymali, brak jeszcze w tym niemym wiecu ściętych głów.

Patrzył spokojnymi oczyma, dopiero tia widok jasnej głowy Radosława Odrowąża westchnął. Nie tak to dawno, jak królowi życie ocalił. Odszedł, bo mu stryj kazał. Oczy błękitne miał półprzymknięte, po twarzy spływały krople dżdżu, jakby płakał za młodym życiem i owdowiałą Unisławą. Taka piękna i dobra niewiasta; ni roku jeszcze, jak ją pojął. Nawój otrząsnął się; przemoczone szaty przejmowały go chłodem. Kopać jął bramę, by dostać się do dworca.

Król spał po nocnym wypadzie i kaźni. Nawój jednak natychmiast kazał go budzić i oznajmić swoje przybycie. Wpuszczono go zaraz.

W komnacie półmrok panował. Król spod okrywającej go skóry zapytał obojętnym, znużonym głosem:

— Wróciłeś?

Ubrany był, jeno zbroję zrzucił. Na bladej twarzy zaschnięte miał skrzeple bryzgi krwi, oczy błyszcząły gorętwą.

— Wróciłem — odparł Nawój. — Dopadli mnie. Pilnują. Siłą by przedzierać się trzeba.

— Nie trzeba. Obędę się bez pomocy. Sieciechowych wyrznięłem. Myślał, że poczekam tutaj na niego. A jam ni dziesięciu luda na grodzie nie ostawił, a jegom w samym gnieździe poszukał.

— Ale jęgoście nie dostali?

— Nie. Ale dostanę. Jeno ludzie spoczną trochę, ruszamy.

— Znowu gród ostawicie bez obrony? Nawet teraz straży na wałach nie było.

— Nie widziałeś, jako Sieciechowi grodu pilnują?! — Król zaśmiał się z przymusem.

— Widziałem. Prawie żadnego ze znaczniejszych rodów nie brakuje. Mścić się będą.

— Mścić, mówisz? Byle jeno zdążyli. Żebym do ostatniej nogi miał ich wyrznać, nie spoczną, póki się czołgać przede mną nie będą, wyjąc o miłosierdzie.

Król w rozdrażnieniu usiadł na łożu.
Nawój ramionami wzruszył. Bolesław zapytał ostro.:
— Nie podoba ci się, com uczynił?
— Prawdę powiedzieć, nie. Komuż będziecie królować, gdy wytniecie wszystkich?
— Lud ostanie.
— Z tym, co wygra. Nie czas dziś o niego zabiegać. Sieciech od Niemców i Czechów pomoc dostał.
Nawój opowiedział, co mu się w drodze przygodziło, i zakończył:
— Nie wiem, czy Doman pomoc przywiedzie, choćby się przedarł, bo Awdaniec sam ma roboty dość. A nie przywiedzie, to przegracie. Wtedy srogość przeciw wam się obróci.
— Boisz się?! — zapytał Bolesław drwiąco. — Żałujesz, żeś nie odszedł?! Pilnowałbyś teraz i ty bramy.
— Wiem, że nie wybaczacie nikomu, jako i Radosławowi, choć ocalił wam życie. Ale gdybym ja odszedł, nie wiada, czyje głowy pilnowałyby grodu.
— Możesz odejść choćby dziś, jeśli cię głowa swędzi na karku. Tymczasem chcę spocząć. Na wieczór ruszamy.
— Dokąd?
— Do Bużenina. A po drodze rozbijemy, co się da. Zdrajców żywił nie będę, choćbyś mi krakał jak całe stado kruków.
Nawój wyszedł. Król wstał i chodzić jął po komnacie. Czuł, że słuszność po Nawoja stronie, ale mu przez myśl nie przeszło, by ustąpić i poszukać drogi porozumienia. Od chwili, gdy pojął, że wewnętrzny bunt złamał mu w rękę miecz, którym nadzieję miał pradiada przewyższyć, żył w bezustannej wściekłości, nie pozwalającej mu na spokojne rozważenie spraw i szukanie wyjścia z wytworzonego położenia. Przy tym jakaś słabość zaczynała drażnić ciało. Gwałtowne bóle głowy już od pobytu w Kijowie ćmiły mu chwilami przytomność. Trzymał się, by jeszcze i tej słabości nie zdradzić, lecz widział, że zaczyna to prze-

rastać jego siły. Runął na łożo, ściskając skronie rękoma. Byle do wieczora przeszło. Nie ugnie się przed nikim i niczym. Zmącona myśl z niezrozumiałym uporem wracała do jedynej istoty, którą umiłował na prawdę. Wbrew rozsądkowi ciągnęło go jedyne miejsce na ziemi, w którym spodziewał się znaleźć ukojenie.

XXXII. KLĘSKA

Przysłane przez Wratysława posiłki, po pogromie Sieciechowych stronników, okazały się niewystarczające, by zadać Bolesławowi od razu ostateczny cios. Większych zaś czeski król przysłać nie mógł, wciąż jeszcze zawikłany w wewnętrzne sprawy niemieckie; polskie dojrzewały same; gdy nadejdzie czas, wystarczy lekko drzewem potrząsnąć, a owoc wpadnie w rękę. Wratysław obiecywał sobie, że skoro tylko w domu sprawy uładzi, nie omieszka ciałą siłą wystąpić.

Rok jednak dobiegał od śmierci Stanisława, a miast uspokojenia czas przynosił jeno coraz większy zamęt i nawet ludzie Bolesławowi przychylni, widząc, że opanować położenia nie zdoła, a jeno zaciętością swą przedłuży bezzład, usuwać się poczęli od niego lub nawet do przeciwników przechodzić. Zasięg, w którym król jeszcze rzeczywistą władzę mógł wykonywać, kurczył się, malały zasoby, widoczne już było, że nie utrzyma się w kraju lub życie straci. Nieliczni z najwierniejszych, którzy wytrwali przy nim, z dawna doradzali, by usunął się na Węgry i wyczekawszy chwili sposobnej z pomocą Władysława powrócił do kraju. Bolesław rady zbywał ponurym milczeniem, odpowiadając na nie wypadami przeciw buntownikom; bezcelowość tych walk równa była ich zuchwałstwu. Sieciech* nie trzymał sił w pobliżu Krakowa.

Patrzył nań jeno z dala jak na legowisko rannego dra-
pieznika, kiedy osłabnie na tyle, by dobić go można bez
trudu. Odciał Bolesława od północy i zachodu jego
państwa, wieści nawet nie przepuszczając, sam zaś,
opanowawszy środek kraju, bez trudu utrzymywał
łącność z Czechami, licząc na obiecane posiłki dla
zadania ostatecznego ciosu.

Pewnego zimowego wieczoru przyszły wreszcie wie-
ści do Krakowa, które w zamęt wprawiły zaczajony
i milczący pod grubą pokrywą śniegu gród. Wynędz-
niały i obdarty, z wychudzoną i zarośniętą twarzą,
wrócił Doman, którego dawno za przypadłego uwa-
żano. Przywiódł go podjazd Żegoty. Gdy Doman sta-
nął przed królem, choć dawno nie widziana radość
zaświeciła w ponurych oczach Bolesława, tak go król
przywitał:

— Gdzieżeś bywał? Myślałem, że cię kupili.

Domanowi oczy zaszkliły się i nie odpowiedział,
obecny jednak przy tym Nawój, hamując wzburzenie,
zgrzytnął:

— Widno taniej jeszcze niż wy zapłacić musieli,
bo nie spał się.

A zwracając się do Domana dodał z goryczą:

— Po cóżeś wracał? Chyba nie po tę podziękę?!

My tu jeno czekamy, kiedy nas dorzną. Im mniej nas
będzie, tym lepiej.

— Mówiłem ci — rzekł Bolesław z drwiną — że
możesz odejść.

— A ja nie odejdę! — odparł Nawój.

Patrzyli na siebie prawie wrogo. Doman stał zmie-
szany. Król pohamował się i powtórnie zapytał Do-
mana:

— Gdzieżeś bywał?

— W lochu na płockim grodzie. Pojmali mnie, gdym
sam uchodził, bo mi podjazd rozbili. Po Hermanowym
weselu Sieciech, który całym panem jest w Płocku,
wydał mnie Ostaszowi, myśląc, że mnie na śmierć wy-
daje, o Bietkę, wiecie. Ale on mnie puścił i kazał wam
rzec...

— Po jakim zaś weselu? — przerwał król ze zdumieniem.

— To jeszcze nie wiecie? Judytę Wratysławównę Włodzisław pojął zaraz po Godach. Śląsk i Wiślan przyrzekł teściowi oddać w zamian za pomoc przeciwko wam.

— Ożenili ciemiegę — Bolesław zaśmiał się groźnie. — Posag i wiano mają sobie wypłacić z mojego, jeno mnie o zgodę pytać zapomnieli.

— Pozwólcie rzec Domanowi, co zlecił mu Ustasz — przerwał Nawój niecierpliwie.

— Juści, ważne poselstwo. Słucham!

— Wszystko dziś ważne. Gadajże! — zwrócił się? Nawój do Doman.

— Kazał wam rzec, byście z kraju uchodzili, bo Herman z Sieciechem, tylko patrzeć, jak ruszą na was, jeno czekają na wieść o wejściu Wratysława na Śląsk. Gdy nadejdzie, odetną was; uchodzić będzie za późno.

— Ostasz, zdrajca, dobrze radzi, ale dla Włodzisława. Juści chciałoby się im bez walki kraj zagarnąć, Dziewierz już kosztował mojego miecza, może pocze-kać, brat jeszcze nie i choć mu nie spieszo, pokosztuje właśnie.

— Ostasz, czestny człek, daremnemu przelewowi swojackiej krwi chce zapobiec — wtrącił Nawój.

— Czestny człek — przyświadczył Doman. — Nie lże. A wy co? Za zdrajcą obstawać będziecie?

Nawój ramionami wzruszył, a Doman odparł

— Sam widziałem pod Skrzynnem, jak wojska obozem zaległy i jeszcze ściągają, a mówili, że reszta stoi w Czersku z Sieciechem i Włodzisławem i co ino się ich spodziewano.

— Tedy czekać nie będziemy, aż się zbiorą. Naprzeciw ruszymy — rzekł król.

— Z czym? — zapytał Nawój.

— Ze wszystkim, co jest. Starszyznę zawiadomić.

po drodze załogi ściągniem z grodów. Jeszcze obaczym, czy mi ten ciastoch dostoi.

— A niech już będzie wóz albo przewóz — westchnął Nawój.

Wyszli razem z Domanem. Nawój zapytał:

— Więcej jakowychś wieści nie przywiozłeś? Król nawet nie wypyta, jakby mu za jedno było już.

— Z ważniejszych chyba to, że chcieli pojmać Bogumiła, ale przytaił się gdzieś. U Hermana już siedzi opat weltenburski, Henryk, któremu gnieźnieńska metropolia przyrzeczona. Klątwę rzucił na wszystkich, co z królem trzymają, a odpustu udzielił tym, co z Hermanem.

Nawój po chwili milczenia ozwał się:

— A o Bietce nie gadał z tobą?

Doman odwrócił twarz; po chwili odpowiedział:

— Tyle mi jeno rzekł, że nie u rodzica bawi i że bezpieczna.

Milczeli dłuższą chwilę.

— Nie sumuj się — rzekł Nawój, — Lepiej, że spokojnie przesiedzi, póki z nami nie będzie na tę albo lia tę stronę.

— A jakoże myślisz?

Cień nadziei zadrżał w głosie Domana.

— Jako rzekłem — odparł Nawój szorstko. — Albo nas wytną, albo uchodzić będziemy musieli. A ujdziemy, nie wiada, czy i kiedy wrócimy.

Weszli do gospody Nawoja, który na podgrodzie się ściągnął. Doman usiadł, a Nawój podawać kazał posiłek. Jedli w milczeniu, po czym Nawój wstał mówiąc:

— Pójdę starszyźnie zapowiedzieć, że wyprawa rusza, a ty się wywczasuj, póki można, bo widzę, żeś się zmamił. Jak króla znam, za dzień, dwa ruszymy. Nie takie drzewiej wyprawy gotował, choć nigdy nie grał tak zuchwale jak ninie.

— Może chce lec. I mnie by tak było najlepiej. Bietka by się mogła za Ostasza wydać. Szczęśliwsza będzie. ,

Nawój zachnął się, jakby chciał coś odpalić, ale ulitował się zgnębieniu druha. Nie rzekł mu, by się nie łudził, że Bietka będzie czekała, bo i czekać nie ma na co.

Nocny napad króla na obóz pod Skrzynnem mniej był spodziewany niż grom z szarego, zimowego nieba, obwisłego od lutowej zawiei, którą niósł północny, krew w żyłach mrozący wicher. Nim bezsilny dzień rozproszyć zdołał mrok, zaświeciły krwawo płonące, podgrodzia, lecz w tejże chwili uderzyła zadymka, przez którą słabo przezierało różowe światło targanych wicherą płomieni. Nie zdołano policzyć ledwo widocznych w zawiei napastników, a już obóz był rozbity, powywracane namioty, kto zaś nie zdążył schronić się za tynami grodu lub nie przytulił w śniegu, szedł pod miecz. Wycie wichru głużyło rozkazy starszyzny, wrzask napastników i krzyki ginących. Któż konia dopaść zdołał lub pieszo wyrwać się ze skrzętu, darł przed siebie, by skryć się za śniegową zasłonę. Niesamowita była ta rzeź, której odgłosy wchłaniała wichura, trupy, zda się, bez krwi, bo nim skrępnąć zdołała, niknęła pod śnieżnym całunem; ciała przez chwilę jeno czerniały na śniegowej bieli, wstyśdliwie zacierającej ślady bratobójczej walki.

Klęska Hermanowych zdała się zupełną i nawet Niwój, czarno patrzący na sprawy, sądził przez chwilę; że powodzenie wypadu, którego odradzali wszyscy przyniesie odwrócenie biegu zdarzeń. Przez mgnienie oka odzyskał dawny podziw dla króla; nawet lekko*,'myślne, jak mniemał, zostawienie pieszych wojsk i uderzenie samą jazdą, wyczerpaną całonocnym pochodem na mrozie, nie zdołało przeszkodzić zwycięstwu; od postanowienia do natarcia upłynął tak krótki czas, że żaden goniec dobiec nie zdołał z przestrzeżeniem; zaskoczenie było zupełne, opór słaby, bitwa krótka.

Nie dłuższa była radość ze zwycięstwa i nie mniejsze zaskoczenie, gdy przez tuman śnieżny zaczęło coś od północnej strony, jakby krze nagle wyrosłe.

reno że sunęło z wiatrem, szybsze od niego i ponad ego wycie nagły wrzask tysiąca piersi uderzył w uszy Bolesławoiwych.

Nie było czaisu stanąć w sprawie; popłoch spadł na mużoną drużynę jak wichur. Sam jeno król, którego jlos zginał w powszechnym zamęcie, spał konia i pu;cił się naprzeciw. Na białej, w zamieci niemal niewi-locznej klaczy zdał się płynąć śniegową rzeką pod >rad wichury. Doman i Jędrzej z obu stron ułapili tonią za uzdę, krzycząc coś niezrozumiale.

— Puszczaj! — ryknął król i mieczem się zamierzył, ecz Nawój, nadążający z tyłu, za rękę go uchwycił, nni zawrócili królewskiego konia i pognali z wiatrem. <ról nie dawał już oporu. Raz w raz 'mijali ucieka-ących, którym konie ustawać zaczynały. Król patrzył la nich z bladym, gorzkim uśmiechem. Po raz pierw-;zy w życiu drużyna opuściła go w bitwie. Nie popro-wadzi jej więcej do boju.

Koło króla zgromadziło się kilkudziesięciu jezdnych posuwali się za nim w milczeniu. Nie było o czym nówić. Wyczerpanie wzięło zresztą górę nad troską. Na szczęście wichura przepędziła chmury i ustała, i ciepłe promienie lutowego słońca grzały prze-narzniętych. Jednocześnie na nieskazitelnej bieli inieźnej znaczył się za orszakiem wyraźny ślad, który po nocy odnaleźć było łatwo. Nawój patrzył na niego ' zatroskaniem. Wraz z Domanem przyzostali z tyłu,)glądając się za siebie co chwila. Król jechał samotny la czele.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Doman, miarkując ; kierunku, że nie na Kraków wracają.

— Ani chybi, do Bużenina — odparł Nawój. — Od imierci Stanisława wciąż się tam król wybierał.

— Nie był tam jeszcze? — zapytał Doman.

— Nie był. Teraz jedzie, gdy nic już nie ma do ofiarowania, a zgubić może Krystynę w ostatku. Mu-siałby Sieciech głupi być, a nie jest, gdyby króla nie ścigał. Jeżeli król ujdzie, wrócić jeszcze może. A spod ziemi się nie wraca.

ITmiZfcfi; gdyż dojeżdżali do osady, ledwie widocznej pod śniegiem, jeno zdradziły ją błękitnawe dymy, wznoszące się wśród okrytych okiścią drzew w przejrzystym powietrzu. Król, bez słowa, zeskoczył z konia i wszedł do pierwszej z kraju chaty. Gwar zapanował po sennej ciszy, ryk rżniętego bydła, szczekanie psów, skrzypienie żurawi i krzyki ludzkie. Znużeni, zmarznięci i wygłodzeni woje nie żalowali sobie niczego i brali jak swoje. I im było już za jedno, gotowi opór stawić, gdyby król sprzeciwił się samowoli.

Nie rzekł ni słowa. Gdy przyniesiono mu posiłek, jadł w milczeniu, po czym skinieniem ręki nakazał wyjść wszystkim. Nie rozbierając się legi na narach. Czy spał, nikt nie wiedział. Nawój widząc, że król nie troszczy się o nic, wydał potrzebne zarządzenia, strażę wystawił i również jak stał ułożył się do snu, pewny, że długo nie będzie wypoczywał. Noc jednak minęła bez żadnych zdarzeń. Dociągnęło jeszcze kilku wojów, którzy jednak nie widzieli nieprzyjaciela. O różowym świcie orszak ruszył dalej, niewątpliwie już na Bużenin.

Od urodzin dziedzica Bużenin jakby odżył na nowo. Krystyna z umiejętnością niespodziewaną i kamienną wytrzymałością wzięła się do gospodarki. Zapełniły się znowu komory i spichrze, lasy oddawały nowe przestrzenie pod uprawę, które zakupieńcami obsadzała; na gródku zapanował dawny porządek i ład. Poprawiano stare budynki, zaniedbane od śmierci Wszeborra, wznoszono nowe, nadsypywano rozmyte wały, uzupełniano szczyby w częstokołach, przywracając dawną obronność gródka, która w niespokojnym czasie wabiła okolicznych osadników, szukających przytułku. w Bużeninie, błogosławiących Krystynę za dach nad głową i ochronę, wygodniejszą i pewniejszą, niż krycie się z mieniem po lasach.

Stara Zasława rada, że nowe życie wstąpiło w jej wychowankę, nie czując już sił ni potrzeby zajmowa-

nia się gospodarstwem ani sprawami gródka, zajęła się małym Krystynem, dla którego-wszystkie te świetności zdała się matka gotować. Trapiła się Zasława jeno, że mały wątyły był i słabowity, ale miłowała go i rozpieszczała, tym bardziej że Krystyna niewiele czasu mogła dziecku poświęcać.

Od ostatniego pobytu Bolesława upływały miesiące, potem lata i Zasława pomiarkowawszy, że między królem a Krystyną wszystko zerwane, zrazu zaczęła namawiać, by się między ludzi ruszyła, a wreszcie ośmieliła się napomknąć, że młodość trwa krótko, a samotna starość dłuży się, że niejeden z zamożniejszych nie pogardziłby ręką Krystyny. Spojrzenie, jakie otrzymała, było wymowniejsze od słów. Stara dała za wygraną i więcej sprawy nie poruszała. Martwiła się też, że Krystyna nie oszczędza sił, od rana do wieczora, a nieraz i do później nocy spędzając czas na doglądaniu wszystkiego i objazdach, prawie zawsze samotnych, a ostatnio niezbyt bezpiecznych, ale nawet Zasława nie ważyła się nic mówić, wiedząc, że to na próżno. Dawna samowola Krystyny zmieniła się w wolę stanowczą, przed którą ustępowali wszyscy. Zresztą równa była i spokojna i gdyby nie jakiś surowy smutek na wychudłej nieco od trudów twarzy, Zasława myślałaby, że Krystyna, przeszedłszy okres burz, zadowolona jest z życia.

Nieraz w niepewnych czasach, jakie nastąpiły, spokojny tok życia w Bużeninie przerywały wałęsające się gromady wywołańców i swawolników lub oddziały stronników Sieciechowych, uważających majątności wyjętej spod prawa królewskiej miłośnicy za łatwy łup. Wrychle się przekonywali o omyłce. Gródek obronniejszy był ninie niż nawet za czasów Wszebo-ra, który jeno dla swego dostojęństwa i podniesienia znaczenia za wałami i częstokołem siedział, gdyż nikt nie ważyłby się go ruszyć. Teraz za schronienie służył Bużenin ludziom i zasobom, z okolicznych ziem tu pościągany. Ład i karność broniły go nie gorzej niż obronne — z natury :i dzięki ludzkiej sztuce

położenie i ćwiczona, A liczniejszo niż kiedykolwiek zatoga.

W rękę trzymała wszystko Krystyna, która nie przestała na samej obronie, lecz na czele wybranych ludzi objeżdżając okolicę, gdy jeno wieść przyszła, że na ziemiach jej pokazały się jakieś gromady zbrojnych, zniosła ich kilka i od dłuższego czasu nie było wieści o nowych, Dlatego dźwięk strażniczego rogu,, który rozległ się pewnego dnia, gdy skośne promienie słońca grały już opalem na śniegowych czapach' wyniosłych drzew, wprawił gródek w podniecenie, zwłaszcza że pora nie była do napadu sposobna. Zaroiło się od zbrojnych, biegnących na swe stanowiska przy częstokole, różowe iskry zagrały na zbrojach i broni, zaszczekały psy i senny na pozór gródek stanął w sprawie, gotów na wszystko.

Z dworca wyszła Krystyna, w kozuchu i futrzanej kierei, i szybkim krokiem szła ku furcie od rzeki. Przy strażniku stał już stary towarzysz Wszeborowych bojów i daleki krewniak, Tomisław Drużyna, i coś sobie wzajem pokazywali. Gdy Krystyna wstąpiła na wyżkę, ozwał się:

— Skryli się za oną kępą drzew, ale wraz się ukaza. Niewiele ich jest, sami konni. Nie myślę, by napad był, boby się za dnia nie ukazywali. Kto zaś to może być?

Jakoż wynurzyli się zaraz na obszerniejszą płaszczynę zamarniętego bagna; jeszcze leżało na niej słońce, które zamigotało na zbrojach i broni. Na czele, na białym koniu jechał mąż jaśniej niż inni świecący pozłocistym pancerzem. Krystyna powiedziała zmienionym głosem:

— Król!

Odwróciła się i odeszła. Tomisław ze strażnikiem spojrzeli po sobie. Tomisław mruknął:

— Wolej by napad był niż tacy goście.

Odszedł, by kazać bramę otworzyć, przez którą za chwilę wjeżdżał zbrojny orszak. Stary wojak nie potrzebował pytać, by od jednego rzutu oka poznać, że

z bitwy wracając Byle jak szmatami poowijane rany i porąbane pancerze świadczyły o tym aż nazbyt wyraźnie. Kłaniał się panu i prosił do dworca, lecz patrzył jeno, by znajomka spostrzec i wypytać. Na końcu orszaku jechał Nawój. Tomisław zwrócił się do niego:

— Z boju wracacie? Reszta wojsk gdzie?
Nawój uśmiechnął się dziwnie i odpowiedział zapytaniem:

— Mało wam gości? Byście wrychle więcej nie mieli; jeszcze mniej niż my pożądaných.

Stary zrozumiał. Zapytał spokojnie:

— Ścigają was?

— Ani chybi. Sieciech ni Włodzisław nigdy swego pewni nie będą, póki król żywię. Nie trafi **im** się drugi raz taka sposobność.

Tomisław nic nie odrzekł, jeno skierował się ku budynkom. Za chwilę dziesięciu konnych wyjeżdżało bramą. Zapadał już mroźny wieczór, ale ślad królewskiego orszaku widoczny był wyraźnie. Oddziałek puścił się na wschód. Zdwojone stráže tupały nogami na wałach, bo mróz brał siarczysty. Gromady wyrostków wynosiły pęki pocisków, napełniano kadzie wodą od pożaru, zakładano bramy kłodami, warzono smołę i wrzątek do zlewania oblegających, jakby napad miał już nastąpić. W ruchu było wszystko, jeno król siedział w świetlicy przed kominem, nie [^]roszcząc się o nic. Od czasu do czasu wstawał i chodził po komnacie. Na czole miał zmarszczkę gniewnego zniecierpliwienia. Po dłuższej chwili stanowczym krokiem skierował się ku wyjściu, gdy w drzwiach ukazała się Krystyna. Stali pitrząc na siebie, jakby dostrzec chcieli w sobie zmiany. Nie widzieli się trzy lata.

Król wyciągnął ręce, Krystyna jednak skłoniła się jeno i rzekła:

— Wybaczcie, panie, zem nie wyszła was zaraz powitać, ale przybrać się musiałam i zarządzić, co trzeba, na przyjęcie wasze... a może i tych, co za wami przybędą. Obyście bezpiecznie przespać mogli pod moim dachem. Wraz wam wieczerzę przyniosę.

Król ręką machnął niecierpliwie, mówiąc:

— Nie o tym mi praw. Od dawna wybierałem się do ciebie, by ci rzec, że oszczercę własną ukarałem ręką. Wcześniej przyjechać nie mogłem, a... później...

— Nie żądałam kary. Zabić można oszczercę, nie oszczerstwo — odparła siłąc się na obojętność. — Ale co *Wpn*, wy ważniejsze dziś sprawy macie.

— Nie mam już ważniejszych — niemal krzyknął. — Najwierniejsi już jeno umieli przeszkodzić mi, bym nie legł, jak żyłem, miast ze mną lec. Reszta mnie opuściła — zaśmiał się gorzko.

— Ocalili was, bo sprawa wasza nie skończona. Macie jeszcze syna.

— Mam dwóch synów, Krystyno — rzekł miękko. — Pomnisz, coś mi powiedziała, gdyśmy się ostatnim razem widzieli?

Spuściła oczy i odparła cicho:

— Nie pora teraz mówić o tym.

Zaciął zęby, lecz zmusił się do uśmiechu:

— Spodziewałem się tego. Cóż ci dziś z uznania

Krystyna, gdy jutro Herman panem będzie?! Nie mam guz czym zapłacić za twoje miłowanie, Zaśmiał się szyderczo.

Pobladała, ale odparła spokojnie:

— Zelżywością płaciliście i zelżywością płacicie.

— Nie miłowałaś mnie nigdy! — krzyknął.

— Miłowałam w was to, żeście nigdy przed niczym nie ustąpili. Gdy wrócicie jako zwycięzca, może i ja wrócę do was.

— Gdy wrócę jako zwycięzca, miłować mnie będzie każda, na którą jako na sukę gwizdnę.

— Ale wy ich miłować nie będziecie — odparła spokojnie. — Tedy miast takich, umińcie tę, która z wami los podzieli — odparła cicho i dodała:

— Późno już. Spocznijcie, panie, bo nie wiadomo, co noc przyniesie, a znużeni jesteście; mnie zaś czekają inne sprawy.

— Możesz odejść! — rzekł z wymuszoną wyniosłością

Odwróciła się bez słowa. Uczynił ruch, jakby ją chciał zatrzymać, ale nie widziała już tego. Wyszła na wały i stanęła koło Tomisława, który pilnie spoglądał na wschód.

— Nie widać ich — rzekł. — Wracać kazałem, co koń wyskoczy, gdy jeno wroga spostrzegą, ale nie wcześniej. Może noc będziemy mieli spokojną, a

— To lepiej. Trzydziestu dwóch konnych co najtęższych przygotować i sanie w cztery konie. I wy się sposobić do drogi musicie.

— Dokąd mi jechać? — zapytał ze zdumieniem. — Wždy napad każdej chwili może nastąpić.

— Ludzi powiedzicie, których daję królowi. A dwóch aiajzaufańszych odwiezie Krystka do Bogumiła. Koło Dobrowa nad Nerem się przy taił. Niech mi dziecko przechowa, póki się czas nie uspokoi... lub pokieruje nim, gdyby mnie nie stało.

— Nie pojedziesz z Krystkiem? — zdziwił się.

— Tu ostanę. Nie pójdę na wygnanie. Zasława go odwiezie. Bardziej do niej niż do mnie przywiązany. Nie stało czasu pieścić synaczka, nie nawykł do mnie. Ani mnie wspomni.

Żal zadrgał w głosie Krystyny. Tomisław ujął jej dłoń i rzekł:

— Pozwól i mnie zostać, Krystyno. Jam za stary, by na wygnanie iść i rzucić wszystko, co jeszcze miłuję.

Patrzyli na siebie rozumiejąc się wzajem. Uśmiechnęła się boleśnie.

— Możesz ostać... ale tylko pod jednym warunkiem, że mnie żywą nie oddasz w Sieciechów[©] ręce. Wiesz, jako karzą wszetecznicę.

Skinął głową i odparł:

— Trzeba będzie, pomrzemy razem. Uśmiechnął się do tej myśli.

— Twoja wola — dodał — ale i szkoda tych ludzi dla króla, i tu potrzebniejsi być mogą. Bez nich ani marzyć, byśmy się utrzymali.

— Nic już więcej nie mogę dla niego uczynić —

odparła głucho. — A życie ciężkie było, cięższe jeszcze się kroi... i puste. Zadość będzie.

— On ci je zmarnił — niemal krzyknął Tomisław, wzburzony.

— Niechaj! Miłował tylko mnie jedną... jak umiał.' Dość o tym! Idź, ludzi pobudź. Ja pójdę dziecko pożegnać i wyprawie.

Niebo lekko dopiero różowić się zaczynało na wschodzie, gdy ruch się zaczął w podwórcach. Karmiono i pojono konie, ładowano zapasy w luby. Kto zostać miał, wylęgał też, patrząc z niepokojem na przygotowania do wyjścia niemal wszystkich doświadczonych wojów, którzy stanowić mieli ochronę. Ten i ów zbierać się zaczynał, myśląc, że niedługo w lesie bezpieczniej być może niż na gródku. Krystyna stała przy furcie od zachodniej strony, doglądając ładowania w sanie zasobów i zapasów. Czekali już jeno na nadejście Zaslawy z Krystkiem. Dziecko, obudzone o niezwyklej porze, marudziło, zaniepokojone i spłoszone ruchem, jaki zapanował na dworze. Zaslawa uspokajała chłopca, usiłując daremnie skłonić, by zjadł ciepłą strawę. Wreszcie owinęła go w kożuch, bo mróz był trzaskający, i wyszła ku saniom.

Zapłakana była i wystraszona, co jeszcze bardziej niepokoiło chłopca. Gdy Krystyna ucałować go chciała na pożegnanie, rzucił się, garnąc do piastunki.

Matule ucałuj, kto wie, kiedy ją ujrzysz — rzekł Zaslawa do dziecka i rozpląkała się znowu.

— Jedźcie już, a skoro. Nie czas na pieszczoty! — rzuciła Krystyna twardo.

Otuliła Zastawę wraz z dzieckiem w niedźwiedzie futro i krzyknęła na woźnicę:

— Ruszaj! A koni nie żałuj.

Szarpnęły z miejsca, płozy zaskrzypiały po zmarzniętym śniegu i sanie pomknęły wichrem po pochyłości. Krystyna usiłowała patrzeć za nimi, ale darmo mrugała powiekami. Oczy łzawiły jej od mrozu. Od-

wróciła się i weszła przez furtę na dziedziniec. Koło niej biegł Tomisław wołając:

— Król już odjeżdża!

Gdy doszła do furty w południowej bramie, wychodzili już ostatni. Na czele długiego węża jechał Bolesław na białym rumaku. Nie obejrzał się, nie widział nawet, że orszak jego powiększył się o trzydzieści ludzi. Gdy zanurzyli się w bór i wjechali na gościniec, puścił konia w cwał i leciał. Jakby uciekał przed czymś. Może minąć chciał jak najprędzej miejsce, gdzie czaiło się *wspomnienie* tej jedynej chwili która jak gwiazda spadająca w letnią noc przecięła burzliwe niebo jego życia.

WXIII. NA WYGNANIE

Szczupły i niezbyt obronny był oświęcimski gródek nad Sołą i na wypadek spodziewanego czeskiego napaadu ogarnięty być mógł od jednego zamachu. Nieliczna i przepłoszona załoga niepewna była i *Skarbmir* nalegał, by gródek bez zapowiedzi opuścić z najzauważalszymi jeno i do wojewody Michała przekraść się, który dość jeszcze silny był, by dać ochronę królewskiej rodzinie. Wiedziano już, że Bolesław z resztą drużyny wyszedł z Krakowa przeciw Hermanowi, Stary wojak jednak nie wierzył, by król przechylić zdołał szalę zwycięstwa na swoją stronę. Darmo jednak przekonywał. Wyszczława odrzekła, że jeśli gródek opuścić trzeba, wrócić może jeno do Krakowa, gdzie

król co wypadnie, zarządzi, a nawet gdyby go nie było, pozostała stara księżna, z którą się naradzi.

— Może ona tam siedzieć, mogę i ja — zakończyła.
— Dobrogniewie ni od syna, ni od zięcia nic nie grozi — odparł Awdaniec. — Z wami zaś, zwłaszcza z królewiczem, inna sprawa. Jeśli król klęskę ponieśie a zda mi się, że tego mie uniknie, na Węgry musi uchodzić, jeśli zdoła. Zima luta, przez góry iść trzeba, bo szlaki będą strzeżone. Nie dla niewiasty ni wyrostka to podróż.

— Co Bóg da! Nie wiem, co .nas czeka, ale wiem com powinna. Jeśli tu ostać nie można, tylko przy nim .moje miejsce. A Mieszko dość żrały już, by do trudów nawykać. Nielekkie ściele mu się życie

Skarbimir, któremu nieobce było rozpaczliwe przy wiązanie królowej do Mieszka, poznał, że skoro waży się syna narazić, niczym już jej nie przekona. Zaraz też przygotowania czynić jął do wyjazdu w skrytości, bo nie ufał dowódcy grodu. Zawiadomił go o odjeździe, gdy wszystko już było gotowe, i z ostatnim blaskiem zorzy szczupły orszak wyjeżdżał z grodu drogą nad Wisłą zmierzając ku Krakowowi.

Pełnia była i noc jasna jak dzień. Bezlistne drzewa rzucały błękitną siatkę cienia na zasypaną szklącą się w blasku księżycy sypkim śniegiem drogę, której kie runek zdradzały jeno drzewa, nie przetarta bowiem była od ostatniej zawiei. Dawno nikt nie jeździł ze Śląska. Posuwali się szybko, w milczeniu, tylko chrzęst płóz i głuchy tupot kopyt mały ciszę zimo wej nocy. Na czele orszaku, w odległości kilkidzie sięciu kroków, jechał Skarbimir z małym Mieszkiem. Rozglądali się pilnie, jakby już groziło niebezpieczeństwo.

Spokój jednak był wszędzie, a nadwiślańskie łągi leżały przed nimi gładkie i lśniące. Najmniejszy ruch tutaj nie mógł się utaić; na kilka stajañ spostrzegli nawet lisa, który wybrał się na łowy w mroźną noc. I on dostrzegł ich widocznie i popędził ku Wiśle. Długo sunęła ciemna plamka po śniegu, aż roztopiła się w bieli.

Wkrótce wjechali w las, gdzie mniejsza była wi doczność i łatwiej o niespodziewane spotkanie. Skarbimir kazał Mieszkowi trzymać się sań, którymi jechała królowa, sam zaś z jednym towarzyszem wysporował się naprzód i na długi czas orszak stracił go z oczu, bo droga była kręta. Księżyc pochylił się ku zachodowi i pomroczniało. Potem las uciał się nagle i ujrzeli stojącego przy drodze Skarbimira.

Orszak zatrzymał się bez rozkazu. Skarbimir podszedł do sań i rzekł półgłosem:

— Wojsko jakoweś weszło nam w drogę; najmniej kilkadziesiąt koni.

Wskazał na stratowany śnieg, wyraźnie widoczny mimo rzucanego przez las cienia.

— A dlaczego stanęliśmy? — zapytała królowa.

— Zdałoby się wiedzieć, kto? Z północy nadciągnęli. Śnieg sypki, trudno poznać, kiedy przeszli, ale nie dawniej niż z wieczora, bo o zachodzie wiatr ustał, a ślad nie zawiany.

— Róbcie, co uważacie. Na was się zdaję.

— Pojadę naprzód. Nie myślę, by to byli Czesi, ale mogą być Sieciechowi... mogą być i nasi, może sam król.

— Pojadę z wami — rzekł Mieszko.

Mimo sprzeciwu matki i Skarbimira, zaciął się. Skarbimir ustąpił, mówiąc:

- Szkoda stać na mrozie. Jedźcie, miłościwa pani, wolno, my pognamy konie. Jeśli do zachodu księżycy nie wrócimy, pospieszcie i wy, by nie przystać za nadto.

Puścili konie w cwał i oczy królowej długo ścigały ich cienie, a usta jej poruszały się modlitwą. Orszak ruszył z wolna, a na czoło wysunął się komornik królowej, Siemian Nagrodzie, bacznie się rozglądając

Księżyc zaszedł wkrótce i ruszyli żwawiej. Biel śniegu poszarzała, a później mgiełką zaczęła się zamazywać i pocieplało. Widno zbliżali się do oparzelisk, gdyż mgła gęstniała z każdą chwilą, zacierając cienie przedmiotów, a konie i ludzie okrywali się sędzieliną. Znienacka rozległ się przed nimi głuchy tupot kopyt, a z oparu wypadł jeździec i osadził konia.

— Gdzie Mieszko? — krzyknęła Wyszestawa, poznając Skarbimira.

— Spokojną bądźcie, pani. Został przy ołcu.

Królowa odetchnęła i przeżegnała się. Serce jej biło jak młot.

W nędznej chacie rybackiej drzemał Doman siedząc na pieńku przy palenisku. Od czasu do czasu dorztał

suszu na żar i wówczas blask płomienia rozjaśniał wnętrze. Rozjaśniał, ale nie oświetlał, dym bowiem pełznął pod niskim pułapem, pomiędzy rozwieszonymi sieciami, ku otworowi w powale, tworząc nieprzebitą dla oka zasłonę. Dołem stał nieruchomo, ale rzadszy, tak że gdy podsycane ognisko buchało płomieniem, rozeznąć można było jakąś postać leżącą na niskich narach, zbitych z desek.

Ktoś z cicha zapukał. Doman poskoczył do drzwi by zapobiec obudzeniu króla, który usnął dopiero przed chwilą. Przybyli z wieczora i Jędrzej z Nawojem ledwie zdołali nakłonić Bolesława, by sam spoczął a do Krakowa podjazd wysłał, wy badać położenie.

Gród, prawie pozbawiony załogi, łatwo mógł stać się łupem nieprzyjaciela, a król mimo całej zaciętości musiał przyznać, że dobywanie go ze szczupłym oddziałkiem jazdy byłoby czystym szaleństwem. Może by i nie ustąpił, ale przeważyło przedstawienie Nawoja, że wysłać trzeba po królową i Mieszka, którzy na wypadek rozbicia resztki sił królewskich na oczy--wista zgubę zostaliby wystawieni. Zbierał się właśnie po królewską rodzinę jechać do Oświęcimia, gdy doniesiono mu, że królewicz nadjechał ze Skarbimirem, a królowa ciągnie za nimi. Przynajmniej ta troska spadła z Nawoja i zakrzętał się, by jaki taki nocleg dla pani w nędznej osadzie przygotować. Mieszko, jak stał, pobiegł do ojca.

Doman nie poznał królewicza w ciemnej sieni i rzucił gniewnym szepem:

— Pan dopiero usnął, osławcież go w spokoju.

— Jeno spojrzeć chciałbym na oćca — również szepem odparł Mieszko i wcisnął się do izdebki.

Z wyraźną przykrością rozejrzał się po nędznym wnętrzu i dostrzegłszy króla zbliżył się cicho i klękł przy barłogu. Doman przyrzucił trzasek i w blasku płomienia Mieszko patrzył z bliska w ojcową twarz.

Bolesław czoło miał jak dawniej białe i gładkie, okolone zmierzwionym teraz włosom; chwilami jed-

nak marszczyło się, jakby przebiegała przez nie fala Świeciły na nim drobne kropelki potu. Od wpadniętych oczu, pokrytych sinawymi powiekami, wybiegała drobna siatka zmarszczek, których niedawno jeszcze nie było. Spod obwisłych wąsów widniały spękane usta o bolesnym wyrazie. Oddychał nierówno, choć głęboko. W układzie i postawie był bezwład i martwa bezzsilność.

— Jeno go nie zbudźcie — ledwo dosłyszalnie szepnął Doman. — Wypoczynku królowi trzeba jak nigdy, a prawie nie sypia i budzi go byle co.

Mieszko skinął jeno głową, mrużąc oczy, które piekły go od dymu. Pod powiekami miał obraz ojca w dniu koronacji. W jego dziecięcej wyobraźni był *zawsze* uosobieniem potęgi, wspaniałości i piękna, nawet wtedy, gdy w chłopięcym sercu żal się budzić zaczynał za matkę. Teraz bał się oczy otworzyć, by nie patrzeć, oo z ojcem uczyniono. Kto się ważył i kto potrafił tego bohatera w koronie obalić na nędzny barłóg, na którym spoczywał?! Zarazem myśl chłopca zaczynała pracować gorączkowo, jak mógłby pomóc ojcu. Mimo zmian, które dostrzegł w nim, tak wielkich że czyniły go obcym, czuł mu się bliższy niż kiedykolwiek.

Posłyszał szmer otwieranych i zamykanych ostrożnie drzwi. Widocznie Doman wyszedł. Królewicz ujrzał utkwione w siebie, powiększone, niemal czarne źrenice ojcowskich oczu. Przez chwilę patrzyli w milczeniu. Król rzekł sennym, ochryplym głosem

— Tyżeś, synaczku!

Mieszko uczynił ruch, jakby się rzucić chciał ojcu w ramiona, gdy król nagle usiadł na łożu.

— Doman! — krzyknął gniewnie.

Doman, który na spoczynek w sionce się ułożył wpadł zaraz.

— Kto ci zwolił puszczać go do mnie?!

Doman zmieszał się, lecz Mieszko odparł zduszonym głosem:

m

— Jam winien. Samochcąc wszedłem, choć zaka
zywał. Nie widziałem was tak dawno!

Król nie patrzył na syna, ale umilkł. Skinieniem!
ręki odprawił Domana i leżał z powrotem, przymkną-
szy oczy. Mieszko przysunął się. Ręce same mu się
wyciągały, by pogłodzić jasne włosy ojca, jak to czy-
nił za dziecięcych lat, lecz powściągnął się. Zdało mu
się, iż rozumie wybuch króla. Nie chce on, by bezsil-
nym i zwyciężonym widział go syn, wzrastający
w przekonaniu, że nie masz na świecie nikogo, co by
rodzicowi dorównał.

Nie wiedział Mieszko, że ojciec przeżywa krwawy
wstyd: przedać usiłował przyszłość syna za miłość
Krystyny. Nie kupił jej. Zdradził i syna, i siebie, po-
to jeno, by dostrzec głębię swego upadku. Cierpiało
w nim wszystko, co cierpieć może w człowieku: duma
królewska, męska pewność siebie, miłość do Krysty-
ny, miłość do syna i miłość własna. Nie mogło zrozu-
mieć dziesięcioletnie, choć nad wiek rozwinięte
i w cierpieniu przedwcześnie dojrzałe chłopię, tej bu-
rzy rozpacz, na mogile wszystkiego, czym żył, w mę-
żu, który będąc ledwie u schyłku młodości, stał już
u kresu nadużywanych nieustannie sił. Zaczął Mieszko
cicho:

— Nie trąpcie się. Dziada też wygnali, a wrócił.

Wrogów pobił, kraj odebrał. Tymczasem dorosnę, po-
mogę wam.

W ciemnych jamach oczodołów króla zaświecił od-
blask płomienia; gasł i zapalał się, jakby król mru-
gał oczyma. Potem dwa światełka wypęły z cienia
i sunęły po twarzy. Mieszko odwrócił oczy. Nie chciał
by ojciec wiedział, że widzi jego łzy. Ledwo dosły-
szalny doszedł do jego uszu szept:

— Ja nie wrócę.

— Pozdrowiejecie. A węgierski król z waszych rąk
ma koronę; pomóc wam winien.

Król głową skinął, ale nie rzekł nic, jeno rękę do
syna wyciągnął, który twarz przytulił do niej. Długo
panowała cisza. Mieszko, znużony, zasypiał z głową

na ojcowej dłoni. Ognisko zaczęło przygasać. Król ostrożnie dźwignął się i ramieniem objął syna. Ostatnia miłość, jaka mu została na ziemi! I nadzieja, już nie dla siebie. Ale iskrę jej tłumilo wspomnienie przekleństwa, którym z za grobu jeszcze ścigał Stanisław swego mordercę. Niedoсяżny już, zwycięski i nieubłagany!

W ciszy nocnej gdzieś głucho zatętniły kopyta, potem zabrzmiały głosy. Za chwilę skrzyp zmarzniętego śniegu rozległ się kolo chaty, zgrzyt otwieranych drzwi i szepty w sionce. Ktoś chciał wejść, a Doman nie puszczał. Bolesław dźwignął się ostrożnie, by nie obudzić syna, i otworzył drzwi.

Kto zaś? — zapytał w ciemności stłumiony głosem.

— Jędrzej z podjazdu wrócił — odpowiedział Nawój, — W Krakowie Herman z Czechami. Uchodźć nam trzeba.

— Ognia rozniecić! — nakazał król spokojnie i wejdźcie!

Cofnął się w głąb izby i syna nakrył derą, po głowę. Sam usiadł na ławie i patrzył, jak Doman rozdmuchiwał ognisko. Z twarzy Bolesława nie można było nic poznać. Gdy Nawój naglić zaczął do pośpiechu, król odparł:

— Mieszko śpi. Pojedziemy, gdy on się wśuje. Królową proś do mnie.

Nawój wyszedł, syknąwszy coś przez zęby. Król siedział nieporuszony, jakby nie widział Jastrzębca, nie pytał go już o nic. Po dłuższej chwili królowa nadeszła z Nawojem. Wiedziała już, co zaszło, ale twarz miała spokojną i wyraz stanowczości w postaci. Na jej widok król wstał i głosem, który widocznie starał się uczynić obojętnym, powiedział:

— Zarazem witać nam i żegnać się przychodzi. Tak się sprawy ułożyły, że muszę jechać na Węgry, gdzie Władysław jako lennik pomoc mi dać winien. Kiedy powrócę, nie wiem, ale jechać muszę zaraz. Was Na-

wój odwiezie do Michała. Nie dla niewiasty to droga zimą luta przez góry.

Królowa spojrzała na obecnych mówiąc:

— O tym co nas dotyczy, sami mówić musimy.

— Wyjdźcie! — rozkazał Bolesław towarzyszom.

Patrzył na Wyszestawę w oczekiwaniu. Królowa.

milczała przez chwilę, zbierając odwagę. Czuła, że jeśli ją ona zawiedzie, przepadnie na zawsze wszystko, czym żyć jeszcze może. Ale głos miała spokojny, gdy zaczęła:

— Dawno nie mówiliśmy z sobą. Teraz już nas **nie** dzieli, a ostało to, co nas łączy.

Wskazała na leżącego Mieszka.

Król milczał. Jakimś znużonym, nieświadomym ruchem ujął w ręce głowę. Jasne, dawno nie strzyżone, włosy opadły mu na twarz. Ogromna litość ogarnęła Wyszestawę nad losem tego człowieka, który zdał się

być stworzony do wielkości, a obaliły go własna i cudza pycha i bezwzględność. Wiedziała jednak, że oka-

zać litości nie wolno. Bolesław nie przyjmie nic od nikogo, a już najmniej litości od niej. Przynęła się i mówiła półgłosem:

— Związała nas dola, darmo ją przeklinać. Choć mnie nie miłujecie, pozwólcie mi iść przy sobie, ile jeszcze drogi przed nami.

Król milczał, jeno głowę niżej opuścił a Wyszestawa ciągnęła:

— Mówicie, że nie dla mnie ta podróż przez góry.

Cóż mnie gorszego spotkać może niż śmierć? I cóż mi życie lepszego obiecuje niż wam? Nie będę ciężarem bom gotowa na wszystko, ni wyrzucem, bo żalu do was nie żywię. Ot, jeden koń więcej w orszaku i jedna istota, na którą liczyć możecie... bo ja nie tylko Mieszka miłuję. Ja was rozumiem, zrozumcie i wy, mnie!

Łagodnie i nieśmiało objęła głowę męża dłońmi.

Odetchnął głęboko, nie odtrącił jej. Czekala z bijącym sercem. Zaczął mówić:

— Nie! Nie rozumiesz. Nikt nie może zrozumieć. Ja

sam, gdy myślą o tym, zda mi się, że zmora dusi mnie .
we śnie. W głowie się mąci... znowu.

Wyszesława gładzić jęła *głową męża, lecz on wyprostował się, niespokojnie mówiąc do siebie:*

— Chce pomsty? Daję mu siebie. Ciało i duszę na zatracenie. Niech się jego klątwa spełni na mnie. Ale on chce krwi dziecka, jak strzyga.

Wyszesława modlić się zaczęła pobladłymi wargami, a Bolesław ciągnął przejmującym szeptem:

— Zabrał mi wszystko, mało mu. Nie nasyci go niczym. Sam muszę ostać upiorem. Wtedy go zduszę.

Królowa upadła na kolana. Słowa modlitwy zamarły na jej wargach. Pojmowała, że męża chwytą szaleństwo. Ale wiedziała już: ona przy mężu zostanie. Choć niewinna, podzieli się z nim Stanisławowym przekleństwem. Może zadość będzie dwóch ofiar...

Nadludzki trud zimowej przeprawy przez puszcze i góry, nogą ludzką nie tknięte, zdał się przywracać Bolesławowi siły. Walczył z nieprzyjaznym żywiołem z zaciętością, którą chyba tylko śmierć złamać mogła.

Walka to była prawdziwa. Dzień za dniem kości trzeszczały od trudu, burzliwe noce pod lichymi szalamsami, a często pod gołym niebem, nie zawsze przy ognisku, nie niosły wypoczynku. Zapasy się wyczerpały, strawa była skąpa i jałowa, nie było czym sił pokrzepić.

Pościg, jaki zrazu tylna straż czuła za sobą, przepadł gdzieś. Widno wróg osądził, że szkoda wysiłku by ścigać garstkę szaleńców; zagładę zgotują im złe moce. Czyhać zdały się zewsząd, spychając na śmiałków lawiny, zrzucając ze skalistych urwisk na czerniejącą w dole gromadkę pnie i kamienie. Gdy po nieustannym gwarze żywiołów orszak wjeżdżał w wą wóz, zalegającej go ciszy nikt szeptem nawet prze-rwać się, tnie ważył, by nie zbudzić czegoś, co czaić się

zdało za każdym zakrętem, za każdym występem skalnym.

Mimo że w rękę króla pozostał sam hartowny i twardy grot potężnej niegdyś broni, jaką była drużyna, serca zaczynały upadać. Nie śmierć ich przerażała, która kosić zaczęła tę szczupłą gromadkę, jeno bezsilność.

Pierwsze odpadać jęły konie. Pasza dla nich skończyła się szybko; po dziennym trudzie sił nie miały wygrzebać zeszłorocznych traw i mchów spod śnieżnych zasp. Mięso ich służyć musiało za pożywienie ludziom, wkrótce niemal jedyne. Co jeszcze z żywności ostało, chowano dla królowej i Mieszka, co z paszy — dla biednej klaczy królewskiej. Król sam wodę grzał jej do pojenia i zaprawiał resztkami soli, której skąpiono ludziom. Toteż, choć stara już, sił miała dosyć, by nieść króla, gdy trafiały się równiejsze i odkryte odcinki bezdroży. Siedząc na niej jechał na czele zwyczajem swym nie oglądając się na resztę orszaku. Często niknął z oczu towarzyszom.

Po okresie burz nastąpiła pogoda szklista i bezwietrzna. Nocami mróz jeszcze brał siarczysty, ale dotkliwy w spokojnym powietrzu. We dnie ciała zlewały się potem pod gorącymi promieniami jaskrawego słońca, a wzrok leciał w dal nieskończoną. Gdyby nie czarniawe opary stojące nad dolinami, zdało się, że krakowski gród można by jeszcze obaczyć. Tajacy śnieg ścinał się w szreń, coraz grubsza, że utrzymać już mogła ciężar człowieka. Jeno konie łamały je jeszcze, kalecząc pęciny. Wszyscy lżej oddychali. Najgorsze już było za nimi. Lada dzień stoki pochyłą się południe, strumyki pobiegną do Wagu, naprzeciw wyjdzie wcześniejsza wiosna i pomoc króla Władysława. Kto przeżył, krzepić się zaczynał nadzieją, że nie zostawi swych kości pod zwałami śniegu lub w skalistych szczelinach.

W słoneczny dzień Doman ciągnął swego siwka za śladarni królewskiego konia, granią ku przełęczy. Spodziewał się, że z niej zobaczą już węgierskie rów-

niny. Zmęczony, przystanął i obejrzał się za resztą orszaku. Nadciągali pieszo, jeno dwa konie szły z jeźdźcami: królowej i Mieszka.

Doman spojrzął przed siebie. Droga ku przełęczy prawie odkryta była, lecz nigdzie nie dostrzegł króla. Zaniepokojony, puścił siwka i co prędzej drzeć się począł pod górę. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków zdrętwiał. Nawiany zachodnim wiatrem nawis wyrwę miał w jednym miejscu i tam kończył się ślad królewskiego konia. Doman poskoczył i spojrzął w dół. Odetchnął.

Na dnie niezbyt głębokiej, lecz stromej rozpadliny ujrzał na śnieżnej bieli czerwien kapy królewskiej klaczy, niemal niewidocznej na śniegu. Obok stał Bolesław. Doman, bez namysłu, zsunął się w dół i do-skoczył do króla.

Cały był, ale spalona wichrami twarz była niemal szara. Nie spojrzął na Domana. Oczy jego utkwione były w leżącym koniu, który dźwigając głowę wykręcał ją i patrzył czarnymi, sarnimi oczyma na swego pana. W oczach tych malowała się niemal ludzka głębia bólu i żalu.

Doman przystąpił bliżej i dostrzegł, że obie przednie nogi konia złamane są powyżej pęcín, aż kości powychodziły przez skórę. Powne już było, że kotlinka będzie jego grobem.

Doman nie rzekł ni słowa i mozolnie pięć się począł z powrotem w górę. Gdy dotarł na grań, orszak nadjeżdżał właśnie. Królowa, widząc stojącego, zapytała;

— Gdzie pan?

Doman bez słowa wskazał w dół. Królowa stłumiła okrzyk. Stała patrząc z góry na męża. Pomału dociągali inni i zatrzymywali się. Nawój kazał im odejść na przełęcz i tam czekać na postoj. Sam z Domanem pozostali przy królowej i Mieszku, patrząc na Bolesława. Milczenie zapanowało, ale wszyscy bez słów wiedzieli, co król przeżywa tam w dole.

Tuliły się niegdyś pieszczotą policzki Krystyny do jedwabistej szyi, na głowę konia spływały łzy jej

rozpaczy, gdy go król ofiarował w weselnym podarunku. Boki zbryzgane bywały krwią wielu bitew. Sprężyste nogi niosły króla do Kijowa. Śnieżna biel lśniła w słońcu, gdy w blaskach korony wracał z gnieźnieńskiej katedry. Wizerunek klaczy wraz z królewską głową zdobi pieniądz, który król bić kazał sobie i jej na chwałę. Okaleczone nozdrza noszą ślad ręki, która wznosić zda się z mieczem pomsty nad wszystkim, co król umiłował, I gdy król opuścić ma granice swego kraju, klacz zwała się, by nie dźwignąć się więcej. Bolesław klęczał przy niej i obejmując za szyję tulił ją do siebie. Zarżała żałośnie i usiłowała powstać, lecz opadła znowu. Wszyscy widzieli, jak jedną ręką gładził ją po szyi, w drugiej zaś kołysał miecz, ten sam, który iskrami sypnął ze Złotej Bramy. W jaskrawym słońcu zaiskrzył znowu. Klacz przewaliła się na grzbiet, zatrzepała w powietrzu kopytami i spłaszczyła się na śniegu. Tam, gdzie przed chwilą była jej głowa, ukazała się jaskrawa plama, czerwieńsza od wypłowiałej purpury kropieża, i rozszerzała się, znacząc kres drogi.

XXXIV. SMUTNE WESELE

Wyświecony od mrozu księżyc przejrzał wszystkie kąty grodu, lecz nie znalazł ni śladu życia. Gród jakby zaraza wymiotła, przeraźliwa cisza dzwoniła w uszach*. Potem wiatr ruszył z zachodu i zaszeleścił w bezlistnych gałęziach, a księżyc przywdział lisią czapę, by po chwili schować się *za* wełniste chmurki, nadpływające coraz gęściejszymi stadami. Z mroku wybił się żółtawy poblask okienka w południow ym skrzydle zamku, zdradzając, że ktoś jest na grodzie i czuwa.

— Spać idźcie, pani. Darmo już widno wieści czekać. Będzie, co Bóg da.

Dobrogniewa klęczała przed krucyfiksem, przy którym dopalała się świeca. Od wyjazdu Bolesława spędzała tak całe dni i większą część nocy, co chwilę ulegając złudzeniu, że słyszy tętent kopyt, i wbrew wszystkiemu spodziewając się gońca od syna, z wieścią o zwycięstwie. Wierna Sądysława tyle lazy już trudziła stare kości, wybiegając na dziedziniec zobaczyć, czy nie nadjechał kto, że teraz na odezwanie się księżny, iż słyhać jakieś głosy, jeno odparła:

— Zda się wam, pani. Może zresztą ze straży kto wyszedł albo wiatr gontami szeleści.

Ale księżna podniosła rękę, nasłuchując. Tupot kopyt był już wyraźny, zmarznięta ziemia oddawała

dźwiękliwie. Ktoś musiał przyjechać, bo na grodzie konia ni jednego nie było, wszystkie zabrał król z sobą.

Księżna zerwała się z kłęcznika i z bijącym sercem słuchała głosów dochodzących od bramy na wewnętrznym dziedzińcu, a potem przeraźliwego skrzyku zmarzniętych wierzei, który dreszczem jej przebiegł po grzbiecie. Stała czekając jak na wyrok. Sądysława, z niezwykłą w jej wieku żywością, wybiegła. I jej dojadło już czekanie, rada była pozbyć się niepewności.

W mętym świetle żółtego płomyka, na ciemnym tle otwartych drzwi stanął ktoś. Księżna, z bijącym sercem, zapytała:

— Wieści od króla?

— Nie. Od księcia Włodzisława — odpowiedział poważny, męski głos.

Ostasz Odrowąż postąpił na środek komnaty i skłonił się księżnie, która rękoma uchwyciła się za piersi, głosu nie mogąc wydobyć. Widząc jej wzruszenie Ostasz dodał:

— Uspokójcie się, miłościwa pani. Król pobity, ale uszedł cało. Książę Włodzisław z Czechami tu ciągnie pokłonić się wam. Jam skoczył wcześniej uprzedzić was i prosić, byście bramy raczyli kazać otworzyć. Opór daremny, a krwi szkoda.

Księżna opanowała się już. Usiadła i odparła z godnością:

— Bodaj wam wcześniej krwi szkoda było. Ja takiego rozkazu, póki żyję, nie wydaję, by nie zasłaniał się Włodzisław moim przyzwoleniem, gdy go król do porachunku wezwie. A dowódca straży, co by rozkazu takiego usłuchał, miecza byłby wart, jako i wszyscy... zdrajcy!

Nawet przy wątłym blasku świecy widać było, jak Ostasz czerwienił się i bladł na przemian. Powiedział jednak spokojnie:

— W sumieniu czysty jestem. Zrobiłem, oo w mojej mocy, by sprawę do słusznej ugody doprowadzić.

Wy wiecie, zali z królem mówić było można. Nie ustąpił nigdy nikomu ni na piędź. Tedy ustąpić musiał całkiem. I czas był, bo co pod koniec czynił, to już szaleństwo. Wszak ci i księżę Włodzisław wasz syn, a Bolesław, wiercie mi, nie wróci...

— Pięcioro dzieci miałam, ostało mi jedno, najlichsze. Ale wam najlepsze, bo można nim kręcić jak %ola. O prawa wasze się upominacie, myślicie, że dojdziecie do nich łatwiej pod Włodzisławem! Sieciech wam pokaże, w czyim ręku będzie ta kukła, wówczas pożałujecie prawego pana. A strach to wam obiecuje, że nie wróci, bo głowy by trzeba oddać za to, co teraz Czynicie.

— Za siebie jeno mogę odrzec: wiem, że gdyby król wrócił, głowę trzeba by oddać, jako oddał mój umiłowany bratanek, choć życie królowi ocalił, Ale mi widno nie strach o swoją, skórom króla przez Domana przestrzegł, by uchodził, bo przemoc przeciw niemu, a nie chciałem, by Włodzisław ręce w bratniej krwi umazał. Dostyc już nieszczęścia i krwi przelewu.

Poważna mowa Ostasza zdała się czynić wrażenie na Dobrogniewie; głos jej złagodniał, gdy odparła:

— Możecie wy niewinni. Ale Włodzisław, który nie waha się z postronnymi wrogami przeciw bratu łączyć! Szczęście niosą do kraju? Nie krew będą roz- lewać?

— A Bolesław, jeśli, jako myślicie, wróci, to z kim? Z Węgrami. Pokój przyniesie?! Nie krew będzie rozlewał?

Dobrogniewa umilkła, zgnębiona, i zapanowała cłsza. Ostasz widział w półmroku, jak w oczach starej księżny zaświeciły łzy, potem twarz ukryła w dłoniach, widocznie hamując łkanie. Patrząc na nią ozwał się ze współczuciem:

— Krzepcie się, pani. Jest dla was i dla nas nadzieją we wnuku waszym, Mieszku. Wiele obiecuje to chłopię, a wygnanie może go nauczyć wybaczać, jako nauczyło w Bogu spoczywającego męża waszego. Tym

czasem znosić trzeba, co Bóg zsyła, bo nikt tu pono nie jest bez winy.

Na te słowa Dobrogniewa rozplakała się głośno i wyciągając rękę do Ostasza zawołała:

— Bóg wam zapać za pociechę. Bym to przed śmiercią ujrzała, ani się na smutną starość poskarżę. Jenó gnębi mnie Stanisławowe przekleństwo, które i nad tą głową niewinną zawisło. Z jego to poręki wszystko zło. Niech mu Bóg policzy.

— Nie przeklinajcie i wy, pani. Jeżeli zawinił, zapłacił krwią. A nie zda mi się, by przekleństwo niewinnej głowy dosięgnąć mogło.

Znowu zapadła cisza, którą jednak zakłóciły dochodzące z dworu coraz wyraźniejsze odgłosy, rychło wypełniając milczący dotąd gród. Ostasz skłonił się i ozwał:

— Żegnajcie, pani! Widzę, że bez waszego zezwolenia bramy otworzono. I dobrze się stało. Władysław matkę, a Wratysław świekrę uszanuje. Będę zaś potrzebny wam, ślijcie, pani, po mnie do Końskiego.

— Nie ostaniecie przy Władysławie? — zapytała księżna z niepokojem. — Tedy Sieciech księciem sam już owładnie, a boję się go.

— Nie ostanę, pani. Nieszczercze służyć nie umiem. Zresztą chwila spokoju teraz nadejdzie. Czas mi własnego szczęścia poszukać.

— Niech je Bóg wam da we wszystkim — rzekła Dobrogniewa, wyciągając rękę do Ostasza.

Wzruszenie widniało na jej twarzy, ale stwardniała dumą, gdy w przedsionku rozległy się głosy. Jeden z nich był głosem młodszego syna.

Na wale swego gródka nad Bzurą stał Gosław Liś i niecierpliwie spoglądał na drogę, którą nadjechać winni byli synowie, wysłani po Bietkę. Ostasz upart się, by swadziebne weselisko odbył się po obyczajny z drużbami i kołaczem.

Po obyczaju? Tedy młodzica miast Wianka w cho-
mącie winna by być wraz z matką, która jej upilno-
wać nie umiała. Jako para krów w sprzężaju! Ni po-
kładzin nie będzie, bo wiadomo, wianek dawno z wodą
popłynął. Stary zaśmiał się zgryźliwie, ale zaraz wy-
pogodził się. Dawne dzieje; wraz z Bietką zbędzie się
i wspomnienia o -nich i nareszcie będzie mógł o że-
niacze dla synów pomyśleć i sam spokojnie zażyć
starości. Król zbiegł i już nie wróci, synowie w łasce
są u Wratysława i Włodzisława. Czas im już także
ustalić się, gdy głowy mają szpakowate.

Czas im, ale nie kwapią się juchy. Pewnie gdzie
ulgnęli po drodze u krewniaków, choć stary nikogo
aa weselisko prosić nie kazał. Nie ma się czym chwa-
lić, lepiej nie przypominać ludziom tego, co było.
Ostasz chce, niech na niego ptacy biją i niechże sam
przed swojakami oczyma świeci za tę bzdurę. Star-
czyłoby, gdyby po nowym obyczaju byle duchowny
po cichu związek pobłogosławi! i do łożnicy!

Zakurzyło się na drodze. Stary przysłonił oczy
i patrzył bystro; upewniwszy się, że wracają oczeki-
wani, mruknął:

— Szczęście, że zdążyli przed Odrowążami. Ino co
ich nie widać.

Odwrócił się i odszedł do budynków. Może i poru-
szyło się co w zgorzkniałym sercu, ale nawet nie wie-
dział, jak Bietkę powitać. Czuł, że jechała z trwogą
j wstydem. Juści, ojcem nie był wyrozumiałym. Niech
ją matka naprzód powita, potem się sprawa jakoś
ułoży. Zresztą Bietka odjedzie zaraz i wreszcie zmora
spadnie mu z głowy. I Ostasz nie będzie chciał prze-
dłużać wesela, wystarczy mu pozór. Odczuł pewną
wdzięczność dla zięcia. Nawet o wiano nie zapytał,
a gdy Gosław sam o tym mówić zaczął, zbył go, jakby
lekce to sobie ważąc. Mniejsza z tymj Zda się mądry,
a głupi!

Gosław skierował się do niewieściego skrzydła bu-
dynków, gdzie rojno było i gwarno. Siedem bab zaję-

tych było wypiekaniem weselnych kołaczy z siedmiu ,
sit mąki z siedmioletniej pszenicy, siedmiu wiader ma
sła i siedmiu kóp jaj. Lały do ciasta miód, by chleb
był wesoły, i tańcząc koło dzieży śpiewały:

Kołaczu, kołaczu! Można by rzec śmieie:
Bez ciebie nijakie byłoby wesele.
Kół u wozu cztery, lecz wtedy wesoło,
Kiedy się potoczy twoje piąte koło!

Cztery mniejsze kołaczki, mające spocząć na cz
rech rogach weselnego stołu, czekały już gotowe, pią-
ty, najważniejszy, właśnie był w wypieku. Zajmie
środek stołu i stanowić będzie wraz z weselną różgą
jego najcenniejszą ozdobą. Prześcigały się też nie-
wiasty w sporządzaniu różnych kuciek z ciasta:
zwierząt, ptaków i ryb, gwiazd i kwiatów. Tylko gdy
jedna warkocz pleść zaczęła, otaczający zazwyczaj krę-
giem weselny kołacz, Godzisława szepnęła:

— Ostawcie!

Zrozumiały, lecz tym bardziej wysilały swe umie-
jętności, by braku nikt nie zauważył. Gdy skończyły,
włożyły w środek srebrny pieniążek i dwa całe jaja
by nowe stadło bogaciło się i pieniło. Potem okręciły
się wkoło trzy razy, by się ciasto wydarzyło, i ułożyw-
szy kołacz na sporządzonej na ten jedyny raz łopacie
przeznaczonej potem na złamanie, ze śpiewem brah
się wsadzać kołacz do pieca, gdy bez pukania wszed
Go sław.

Rzuciły się wyganiać go z krzykiem. Wiadomo, nie
wolno być chłopu przy pieczeniu, bo się ciasto nie
wydarzy. Ba! Chleb obrazić się może, jeśli grube sło-
wo przy nim powiedzieć; przecie święty jest!

Gosław cofnął się, mruknąwszy przekleństwo. Draż-
niły go jednak te uroczyste przygotowania.

— Z zakalcem indziej lepszy, niż będzie ten, choć-
byście go z samego miodu zrobiły — mruknął i cze-
kał, by wyszła która za nim, bo chciał oznajmić Go-
dzisławie przybycie Bietki.

Godziszława sama wyszła, zaczerwieniona od żaru bijącego z pieca, z rękoma jeszcze ciastem ubabranymi i zapytała:

— Pilnego co macie?

— Bietka przyjechała — burknął i odszedł ku dworcowi, a Godziszława ręce jeno w zapaskę otarłszy pobiegła co duchu.

Bietka bez słowa ręce matczyne całowała, a Godziszława również w milczeniu ścisnęła córkę i powiodła ją do swej izby, by się nią w samotności nacieszyć po długim niewidzeniu. Coraz patrzyła na Bietkę, jakby uwierzyć nie mogąc, że skończyła się jej troska, lecz martwiło ją, że ni śladu radości nie widziała u córki. Rzekła surowo:

— Ani się spodziewać było, że nieszczęścia twoje taki koniec wezmą. Bogu byś dziękowała, miast się smucić!

Bietka opuściwszy oczy pasowała się z sobą, by nie wybuchnąć łkaniem. Stara pogładziła ją po głowie z westchnieniem:

— Juści i mnie jego żal. Ten przeklętnik życie mu zmarnił. Ale co minęło — trawą zarosło. Ostaszowi zelżywość by była, gdybyś mu okazała, że za tamtym płaczesz. Wielkiej duszy to człek, że cię wziąć chce i we czci, jakby nie wiedział o niczym. Nie przypomina jże mu!

Westchnęła jeszcze raz i widząc, że słowa z Bietki nie wydobędzie, rzekła:

— Muszę już iść, bo wszystkiego dojrzeć trzeba, by takiego gościa godnie przyjąć. Niech widzi, że cenimy jego laskę. Zaś wieczorem zajdę do ciebie. Kapiel ci przyrządzę z dziewięciornika i kwiat kaliny na noc na serce przyłożę. Pomaga pono. Jutro wesołą twarz okazać musisz Ostaszowi.

Nie pomógł jednak dziewięciornik ni kalina, gdyż nazajutrz blada i smutna siedziała Bietka na dzieży zasłanej obrzędowym ręcznikiem, pod wiechami 7, żytnich snopków, gdy Ostasz przystąpił, by od brata młodej miejsce przy niej wykupić. Strojny był, aż

oczy rwało, i niejedna z dziewczek zajęłaby chętnie miejsce Bietki,

Targ z Klimuntem nis trwał długo jak zazwyczaj.

Ostasz zresztą tak hojnie zapłacił, aż się zadziwiono. Widno umyślnie chciał okazać, jak ceni miejsce przy młodzicy.

I reszta obrzędów przeleciała chyżo, może dlatego, by uszło uwadze, że nie wszystkich dopełniono. Nie było ni rozplecin, ni pokładzin, jeno zaraz zabrzmiały gęśliki, a młodzież do tanów się wzięła. Gwar zapanaował i wesołość, śpiewano pieśni o chmielu, popłynęły wina i miody i wkrótce zapomniano, że nie dla wszystkich było to wesele.

Skrzywili się jeno goście, gdy Ostasz jeszcze przed zachodem oznajmił, że pilne sprawy do dom go wzywają i wesołości życząc biesiadnikom, do Bietki posunął. Rzuciły się dziewczęta bronić, wedle obyczaju, ale Ostasz z uśmiechem rozdawać zaczął bogate podarki: tkaniny barwne, kolce, naszyjniki i pierścienie. Druhny zapomniały o obronie, wykrzykując z radości i sławiąc jego szczodroblivość. Or *i*, zaś ujął Bietkę za rękę i szepnął:

— Wnet się skończy twoja męka. Pożegnać jeszcze musisz wszystkich i wszystko, i w drogę nam.

Zarumieniła się, ale po raz pierwszy podniosła zaszkłone oczy i spojrzała na Ostasza z wdzięcznością Łatwiej jej będzie żyć, gdy Ostasz ją rozumie. Szepnęła nieśmiało:

— Nie mój ci to dom ni ognisko.

— Ale dla ludzkich oczu uchodzi. Może ci się nowe u mnie roznieci — odparł serdecznie. — Słońce już się chyli, na noc ruszyć trzeba wedle obyczaju. Miesiąc dziś pełny, będzie szczęściło.

Uśmiechnął się do niej, ale nie uzyskał wzajemnego uśmiechu. Tyle wspomnień łączyło się w niej z księżycowymi nocami. Aż lęk ją ogarnął. OścasMagodni ujął jej rękę i powiedział:

— Pójdźmy!

Z obrzędowymi pieśniami obchodziła Bietka **kąty**

domu, który jej nie chronił, pokłoniła się **prztiel** ogniem, który jej nie grzał, pożegnała krowy, które jej nie karmiły, i psy, które jej nie strzegły. Ucałowała kościstą dłoń ojca, co jeno karać umiała, nie bronić, i długo ścisnęły się z matką, jedyną istotą, której serca pewna była. A już umajone konie stały przed domem i gotowa do drogi Ostaszowa drużyna, a księżyc ociążale dźwigał się nad bory.

Weselnicy i domowi z pochodniami towarzyszyli wyjeżdżającym aż do gościńca. Jeszcze przez chwilę brzmiały za nimi pożegnalne okrzyki, potem już jeno skrzył wozów przerywał ciszę pogodnego wieczoru. Ładowne były, bo stary Gosław mimo wszystko przed Odrowążami chciał się pokazać i wyprawę dał nie byle jaką.

Ostasz przysunął się do Bietki pytając:

— Prześiądziesz się na kolasę? Bo jeśli nie, to skoczmy raźniej. Cni się wlec przy wozach.

Nic nie odparła, jeno skinęła głową i pokłusowali naprzód, koń przy koniu, aż ogarnęła ich cisza nocna. Długo jechali w milczeniu, jakby się bali ją spłoszyć. Pierwszy przemówił Ostasz:

— Wieści są, że Bolesław jako szaleniec na Węgrzech sobie poczynał, aż wszystkich przeciw sobie oburzył i uchodzić musiał samotrzeć przed zemstą obrażonych wielmożów.

Przerwał, ale Bietka wiedziała, kto mógł **królowi** towarzyszyć. Po chwili Ostasz podjął poważnie:

— Nie wiem, czy prawda, ale klnę się, że taką wieść przyniesiono, iż nie ma ich już między żyjącymi.

Choć ciemno było, widział, jak Bietka powstrzymała okrzyk. Po dłuższej przerwie Ostasz **zaczął** znowu:

— A ty nie lękaj się mnie, Bietko! Dzieckiem cię umiłowalem, którem ongiś na rękach nosił i nosić będę, póki sił starczy. Będzie, jako zechcesz, ale na tamtego już nie czekaj. Choćby i żył, wrócić nie może. I Kościół, i prawo imiona wszystkich, co **uszli z Bole-**

sławem, wymazały spośród żywych. Mienie ich zabrane, a każdy mocen ubić ich jako zwierza dzikiego, gdyby się który zjawił. Domanową matkę chciałem wziąć do siebie, ale serce ją zadusiło, gdy wyganiali ją z domu.

Przy księżycowej poświacie widział, jak lśniły jej oczy. Przygarnął żonę serdecznie:

— Wypłacz się, Bietko. Wiem ci ja, jak serce boleć potrafi. Nie lękaj się, że mnie dotkniesz. Juści, wolałbym, byś nowe życie nie od łez zaczynała, ale wiem, że stare musiało skończyć się łzami. Szczęścia ci nie wrócę, bo nie w mojej to mocy, ale spokój zapewnić ci wydolę. Zaufaj mi, jako ja ufam tobie.

Silnymi ramionami objął płaczącą i przed sobą na koniu posadził. Gdy uspokoiła się wreszcie, szepnął:

— Mówią doświadczone niewiasty, że każda białka miłuje swe dziatki, choćby nie miłowała ich rodzica. A gdzież szczęście, jeśli nie w spokoju i miłowaniu"

XXXV. NA OBCEJ ZIEMI

Gusna, ban graniczącej z Polską Nitry, z dawna wiedział, co się w Polsce dzieje. Zaskoczyła go wieść o przybyciu Bolesława na ziemię węgierską jeno dlatego, że nie sądził, by król zdołał ująć buntownikom i zimową porą przez góry się przedrzeć.

Gusna wiedział o braterskiej życzliwości swego króla dla polskiego wygnańca i niemal synowskim do niego przywiązaniu, ale uczuć tych nie podzielał. Krewniak Arpadów, cieszący się w kraju ogromną powagą z powodu dzikiego męstwa i zwierzęcej chytrłości, nie mógł bez upokorzenia wspomnieć gościny na polskim dworze ni wyniosłej dobrotliwości Bolesława, jaką darzył jego pana, zdając się na dostojników węgierskich nie zwracać większej uwagi niż na psy, którym również nie żałowano pożywienia z królewskiej misy. Teraz z kolei wygnaniec od niego będzie zależny. Gusna zatarł suche jak szpony ręce i zadumał się.

Urażona pycha parła do odwetu, rozum nakazywał powściągliwość. Przyjaźń potężnego władcy, który rozdawał trony, trzeba było znosić taką, jaką była. Z upadłym należy postępować ostrożnie. Może się jeszcze kiedyś przydać, może i zaszkodzić. Wrogów ma wszędzie. Nie będą patrzeć przychylnie na tych, co wygnańcowi i wyklętemu udzielą pomocy. Nie ma się z nią po co kwapić, mimo królewskiej woli.

Od czasu bowiem, gdy węgierski Władysław **siedział**

na krakowskim dworze, czekając na koronę z łaski pociotka, zmieniło się wiele. Most, jaki stanowiły Węgry między Rzymem a Polską, z jednej strony już zawisł w powietrzu. Włodzisław zależny jest od cesarza i Wratysława, Grzegorzowych wrogów. Kościół polski, oddany w zależność niemieckim biskupom, za pana swego uznaje antypapę Wigberta z Rawenny¹. Ponośna klątwa, rzucona na cesarza Henryka, nie znalazła już w Niemczech oddźwięku. W jednym dniu Henryk pokonał w krwawej bitwie nad Elsterą Rudolfa Szwabskiego, który zmarł z odniesionych ran, a zwolennicy Grzegorza, z margrabiną tokańską Matyldą na czele, ponieśli klęskę pod Voltum. Łada chwila i rzymski przyczółek mostu znaleźć się może w powietrzu, a wówczas cesarz łatwo sobie przypomni, z czyjej poręki Władysław otrzymał tron węgierski i kto wygnał cesarskiego dziewierza Salomona. Niemaló upokorzeń sam Guma znieść musiał od pysznego Polaka, których nie zapomni.

Gusna wiedział, że Bolesław nie nada się na niczyje narzędzie. Syna za to król polski ma nieletniego, którym łatwiej zagrać będzie można. Ban zadumał się łak, że czarny jak krucze skrzydło kosmyk włosów z ogolonego łba opadł mu na skośne oczy. Myśleć musi za Władysława, który w swym przywiązaniu i wielkoduszności pamiętać gotów jedynie o otrzymanych dobrodziejstwach, a zapomnieć o własnych sprawach. Kazał przyjmować wygnańca jak zaprzyjaźnionego monarchę, udzielić mu wszelkiej żądanej pomocy i o przybyciu jego zaraz sobie przysłać wiadomość, by mógł wyruszyć naprzeciw krewniaka i dobroczyńcy.

Po namyśle ban Nitry postanowił spełnić jeno ostatnie żądanie swego króla. Przybycia Bolesława i tak ukryć się nie da. A na pomoc i królewskie honory może wygnaniec poczekać. Miększy będzie.

Gusna wymierzył dobrze. Bolesław potrzebował ko-

¹ Wybrany 25 VII1080 na synodzie w Botlten pod imieniem Klemensa III.

ni, które niemal wszystkie utracił. Resztę skarbu ukrył w Krakowie przed wyruszeniem na Sieciecha. Zapasy wyczerpały się do cna, a płacić nie było czym. Musiał brać choćby siłą, a gdyby nawet chciał zakazać, zu chwale a wynędzniałe wojaki nie posłuchałyby już Brali tedy, ale po paru dniach osady na swej drodze napotykać zaczęli puste, a pasące się na wczesnej runi stada schodziły im daleko z drogi. Cierpieli nadal niedostatek, tyle jeno, że noce spędzali pod dachem, a konie pasły się do syta na stepach, z których ciepłe wiatry starty już śnieg. Ciągnęli w głąb kraju ku Albie, gdzie spodziewali się zastać Władysława. Dziwili się, że przystawów nie wysłał, jak był powinien. Bolesław się zaciął i zuł w milczeniu przedsmak upokorzeń wygnania. Rozjątrzona klęskami duma drażliwszą była niż kiedykolwiek. Narastało w nim rozdrażnienie i gniew.

Dowiedziawszy się, że Bolesław pociągnął wprost na południe, ku Dunajowi, a Władysław wyruszył na przeciw gościa, Gusna zerwał się, rozgniewany tym jawnym dowodem lekceważenia swej osoby, i pognał w kilka koni do Władysława, by spotkanie krewniaków uprzędzić. Mniemał też, że podburzyć zdoła innych możnowładców, by zapobiec nadmiernej gościnności wobec przybysza. Wiedział, że posłowie Hermana byli już u Władysława, i znając Sieciecha nie wątpił, że gruntu dla jego zamierzeń nie omieszkali przygotować. Nieprzezorność Bolesława pozwała żywić nadzieję, że wpadnie we własne sidła.

Bolesław, gdy doczekał się wreszcie przystawów królewskich, przyjął ich wyniośle, ostrymi słowy skarcił za spóźnienie, przez które w węgierskim królestwie, będąc jego zwierzchnim panem, znosić musi niedostatek. Do Władysława zaś pchnął posłów z zawiadomieniem, że oczekiwać go będzie u przeprawy przez Dunaj pod Ostrzychomiem.

Gdy królowa dowiedziała się od Nawoja, jak król Przyjął Władysławowych posłańców, aż ręce załamała. i natychmiast chciała biec do męża, by go do umiar*

kowania nakłonić. Nawój jednak mówił, zniechęcony:

— Ostawcie, pani! Słów tracić szkoda. Gdym rzekł panu, by nie nadużywał Władysławowej wdzięczności, bo jako kwiat, zdeptana w błoto się zmienia, odparł mi, że płaszczenie się takim jak ja ostawia, a on królem będzie, jak był, choćby sam jeden pozostał. Szaleństwo to prawdziwe i iście widzę, że zostanie sam, bo wszystko robi, by tak było. Nam już jeno dbać, by królewicowi opiekę Władysława zapewnić.

Królowa rękę położyła na dłoni Nawoja i patrząc mu w oczy powiedziała:

— Nie ostanie sam jeden. Wy go nie opuście! Teraz, gdy zawiodło go wszystko, nawet on sam siebie! Uczyńcie to dla mnie.

Nawój zacisnął zęby.

Dowódca grodu w Ostrzychomiu, **Kocel**, miał już rozkazy królewskie w sprawie przyjęcia polskich wygnańców. Gdy orszak Bolesława nadciągnął, sam czekał u przeprawy, z gołą głową i pieszo, imieniem pana swego w gościnę prosząc na gród. Bolesław oschle odmówił zaproszeniu, wyrażając niezadowolenie, iż mimo zawiadomienia sam król nie przybył go witać. Stał w osadzie na lewym brzegu i oświadczył, że tam czekać będzie na przyjazd węgierskiego króla. Między Węgrami zawrzało, a w samym orszaku Bolesława wszczęły się szemrania, że ostatniego przyjaciela sobie zraża, los własny i wszystkich wystawiając na niebezpieczeństwo. Na czynione wyrzuty z drwiną odparł, że nie trzyma nikogo i każdy może odejść, lizać się, komu zechce. Wyszelsława modliła się jeno, widząc, że małżonek rozsądkiem swym już nie władnie albo los wyzywa, zguby szukając. Drżała tylko jeszcze o dolę syna, na którym zemścić się mogła drażniąca Węgrów pycha przez Bolesława okazywana. Prosiła Boga, by Władysław przybył jak najprędzej, zanim powszechne oburzenie uniemożliwi spotkanie między monarchami. Ale drżała także przed tym

spotkaniem, które w obecnym usposobieniu króla mogło się skończyć jak najgorzej.

W jasny i słoneczny marcowy dzień bystre oczy Domaną spostrzegły na przeciwległym brzegu szeroko rozlanego Dunaju jakiś ruch i błyski. Potem od brzegu oderwały się liczne łodzie i szybko przecinać jeły lśniąca płaszczynę wody, zmierzając ku osadzie. Doman pognął do króla, ale widno i inni spostrzegli przybywający orszak. Przybierano się na gwałt i siodłano konie, gotując się na powitanie.

Król zbierał się również, ale bez pośpiechu. Wyszedł przed dom i dosiadł Domanowego siwka. Od brzegu widać było pędzących, świetnie przybranych trzech jeźdźców. Na kilkadziesiąt kroków przed Bolesławem osadzili konie i pieszo szli naprzeciw króla. Czarne kosmyki włosów lśniły w słońcu na odkrytych głowach, krótkie kaftany, bogato złotem wyszywane i zarzucone na ramiona, powiewały na wietrze jak skrzydła ptaków kroczących z namaszczonej i dostojną powagą. Zatrzymali się przed królewskim orszakiem, bijąc pokłony w pas. W idącym na czele poznano Władysławów ego piastuna Wachę, który lata całe przesiedział wraz z nim na Bolesławowym dworze. Biegle też po polsku zaczął:

— Jako z prawa przystoi, pan mój wita swego króla na swojej ziemi. Ile radości ze spotkania z krewniakiem i dobroczyńcą, tyle żalu i gniewu przeciw niegodnym zdrajcom, którzy niepomni świętych obowiązków ni nawet węzłów najbliższego pokrewieństwa, nie tylko broń przeciwko waszemu uświęconemu majestatowi wazyli się podnieść, ale od pana mego — sądząc go na podobieństwo swoje — chcieli uzyskać poparcie swych bezecnych poczynań, do złamania zaprzysiężonej wam wiary namawiając i zyskiem skuścić usiłując. Tym król jawną i wszem widoczną da odpowiedź, pieszo naprzeciw wam wychodząc, by zamienić z wami braterski pocałunek. Prosi przeto, byście nawzajem życzliwość swą i braterską miłość mu okazali, rów&ym sjni odplacając.

Wacha skłonił się i czekał odpowiedzi. Król widocznie gotową miał, gdyż odparł bez namysłu:

— Dość długo pan wasz czekać mi dał na należne przyjęcie. W Polsce go wychowałem jako ucznia i jako króla osadziłem na waszym tronie. Nie godzi się, bym jako równemu cześć okazywał, lecz siedząc na koniu oddam mu pocałunek, jak któremukolwiek z książąt!

Obecni pobledli. Wacha jeno nic po sobie nie pokazał. Skłonił się lekko i odparł sztywno:

— Pozostaje mi jeno odpowiedź waszą panu powtórzyć. Myślałem, że miłe wam przynoszę poselstwo. Widno moja wina, że źle zostałem zrozumiany lub źlena was rozumiał.

Skłonił się i odszedł wraz z towarzyszami. Nawój nie pytając skoczył za nim. Widać było jak na dłoni Władysława, który w otoczeniu dostojników szedł naprzeciw. Gdy posłowie dojechali, koło króla krąg się uczynił i do Polaków doszedł gwar wzburzonych głosów. Potem orszak Władysława zawrócił do promów. Bolesław zsiadł z konia i wszedł do dworca, nie rzekłszy ni słowa.

Wyszesławie zdało się, że zgasła ostatnia nadzieja pomocy i ochrony. Przez Bolesławowe szaleństwo, bez środków znaleźli się w obcym, a ninie wzburzonym przeciw Bolesławowi kraju. Król wyraźnie pchał do zguby siebie i wszystkich swoich. Gdy Nawój powrócił, pospieszyła ku niemu, za ręce go chwytając, jakby w nim ocalenie widziała.

Łagodnie cofnął swe dłonie, a królowa zarumieniła się. Opowiedział spokojnie:

— Władysław pokłonić się wam kazał, pani, i braterskie pozdrowienia dla Mieszka przysłał. Zapomniał o obrazie, która go spotkała, bo pamięta o dobrodziejstwach. Wszystkim nakazał posługi pełnić naszemu królowi, jakoby jemu samemu.

Wyszesała mocowała się ze łzami. Przez zaciśnięte gardło szepnęła:

— Wam to zawdzięczamy!

— Nie mnie, jeno Władysławowi — odparł Nawój. — Gusna głośno radził schwytać króla i Hermanowi wydać. Ani chybi, dotarło tu już Sieciechowe złoto, a małżonek wasz jeno pozór daje, by wrogom ułatwić sprawę. Szlachetny jest Władysław i wielkoduszny, ale i on przeciw wszystkim rządzić nie zdoła. To tylko naszemu panu zda się, że sam walczyć może ze wszystkimi.

— Biedny ón! — szepnęła Wyszesała. — Pójdźmy do króla. Może uda się nam nakłonić go, by wyciągniętej ręki krewniaka nie odrzucał.

— Ja nie pójdę — rzucił Nawój szorstko.—Za rady król zniewagami płaci.

— Ja pójdę. Mnie zniewagi nie dziwne.

Nawój zmieszał się i rzekł:

— Wybaczcie, pani! Gorzko mi jako i wam, ale zniósłbym jeszcze, gdybym nie wiedział, że na przekór zrobi temu, co poradzę.

— Jeno wdzięczność wam winnam. Pójdę sama, może mnie wysłucha. Cóż mam do stracenia?

Bolesław, po odejściu króla węgierskiego, zamknął się w swej gospodzie. Ku zdumieniu królowej, a zarazem uldze, jeno weszła stroskana, sam zaczął:

— Nie przeklinajcie mnie za to, com uczynił. Chciałem umrzeć, gdy mnie ten zdrajca zwyciężył. Pokonany, żyć nie potrafię. Wiem, że Władysław czestny przyjaciel i swojak. Ale i jemu na myśl by nie przyszło żądać, bym go jak równego witał, gdyby mnie zdradą nie obalono. Wkrótce każdy pacholek za równego mnie uważać się będzie.

Zacisnął pięści i wpatrzył się ponuro w ziemię. Na twarzy jego malowała się taka udręka, że Wyszesała, choć z dawna odwykła od poufałości z mężem,

Ujęła go nieśmiało za ramiona i przytulając *W»rz do Jego pochylonej głowy szepnęła:

— Jeno dla mnie zawsze będziecie tym samym, któregom umiłowała.

Zerwał się, rozdrażniony.

— Nie chcę! Nie chcę nic od nikogo! Chcę umrzeć, zanim sam siebie będę miał w pogardzie.

— Uspokójcie się •— rzekła łagodnie. — Bóg jest miłosierny. Zło minie. Wróćcie jeszcze w chwale na swoją stolicę.

Zaśmiał się gorzko:

— Ze mnie proch będzie! Czuję, jako wisi nade mną tamto przekleństwo. Sami jedźcie do Władysława. Niech Mieszkowi udzieli schronienia i pomocy. Mnie ono już na nic. Chcę ostać sam.

Wyszesława pobladła. Wiedziała już, że darmo pocieszać j przekonywać. Nie miała i nie ma mocy nad nim. Fala gorzocy zalała jej serce. Zapytała przez ściśnięte gardło:

— Ja dla Mieszka muszę skorzystać z Władysławowej wspaniałomyślności. Cóż wy z sobą uczynicie?

— Nie wiem. To już nieważne. Może do Grzegorza się udam. Cesarz na Rzym idzie. Jeszcze tam poczuje moje ramię. W tym była moja siła, żem nigdy nie dbał o życie. Dziś ciężarem ono tylko i mnie, i wam.

Hamując płacz, królowa odparła:

— Czyńcie, jak wam lepiej. Jeno za wszystko, com zniosła, na miłość syna was błagam: odwieźcie jeszcze Mieszka Władysławowi i sami zdajcie mu nad nim pieczę. Za obrazę musiałby poczytać, gdybyście jeszcze raz wzgardą mu odpłacili jego wielkoduszności A potem niech się dzieje wola Boża.

Poczęło się jednak układać jak najlepiej. W grobach i osadach, przez które ciągnęli, dostarczano wszystkiego. Na milę przed Warażdynem czekał na gości z orszakiem Wacha, którego Bolesław *tym* ra-

zem uprzejmie powitał. Połączone orszaki, wspoimając starą znajomość z krakowskiego dworu, w zgodził przybyły do Waraždyna, gdzie Władysław przyjął króla, jakby nic nie zaszło. Zaraz też postanowił wydać ucztę ku czci Bolesława, mówiąc Wysesławie, że pewna niechęć, jaka mogła powstać na skutek nieporozumienia, najłatwiej utknie w węgierskim winie, nad które nie masz lepszego napoju na świecie, chyba — polski miód. Do dziś dnia go pamięta i nadzieję żywi pokosztować jeszcze, gdy wspólnymi siłami wygnają przywłaszczyciela.

Oczy królowej pełne były łez\ulgi. Może dlatego nie widziała chmurnych twarzy Władysławowego otoczenia i nie słyszała pomruku niechęci, której przyczyn należało szukać nie tylko w postępowaniu Bolesława. Bolesław z jednakową obojętnością słuchał serdeczności Władysława i pomruku jego dworzan.

Na ucztę przyszedł niemal ze wszystkimi swoimi wojami. Nie było ich zbyt wielu. Królowa usprawiedliwiła własną i Mieszka nieobecność zmęczeniem po przejściach długiej podróży. Wcześniej udała się na spoczynek i po raz pierwszy od dawna usypiając spokojnie, miała pod powiekami postać męża przybranego na ucztę. Nie dostrzegła jeno przyćmienia świetlistych oczu, które urzekły ją niegdyś. Zdał się spokojny, pełen powagi i dostojeństwa. Serdeczniej niż zazwyczaj nie tylko Mieszka, lecz i ją pożegnał.

Uczta zrazu zaczęła się dość sztywno, w miarę jednak jak wino rozgrzewało głowy, napięcie rozluźniło się. Pierwsi przełamali je Strzemińczyki, którzy hulakami będąc, najwięcej między Węgrami poczynili w Krakowie pijackich znajomości. Wraz z winem do głów napływały wspomnienia wspólnych swawoli, zacierając świeże urazy. Wszczywał się gwar i śmiech, słowa padały coraz swobodniejsze. Zdało się, że wesołość i zbratanie powszechne rozpędzą niechęć. Władysław, siedzący po prawicy Bolesława, którego posadził na najwyższym miejscu, uśmiechał się łaskawi do pijących już bez miary wojaków i sam popijał gę-

sto, zwracając się do swego gościa. Po drugiej stronie siedział Gusna, jako królewski krewniak i potężny wielmoża. Tego Nawój starał się rozruszać, a przynajmniej wybadać, widział bowiem, jak groźnymi spojrzzeniami powściągał węgierskich biesiadników. Niejeden śmiech umilkł, zgłuszony jego czarnymi, przenikliwymi oczyma. Może i Władysław spostrzegł, że Gusna hamuje wesołość, jaka ogarniała uczujących, gdyż kilkakroć przypijał do niego, wzrokiem jakby prosząc o coś. Tylko Bolesław ni jednym słowem sąsiada nie zaszczylił, a rozmawiając z Władysławem jakby umyślnie odwracał się do Gusny plecyma, co Nawój chytrze, ale bezskutecznie starał się zacierać. Pomiarkował wkrótce, że Gusna przejednać się nie da. Czarne oczy rzucały ponure błyski, Nawojowi zrazu odpowiadał oziębłe, potem udawać zaczął, że słów jego nie słyszy. Nawojowi serce podniosło się do gardła, ale panował nad sobą, jeno rad byłby skończyć już uctowanie. Pochylił się nad stołem i rzekł do węgierskiego króla:

— Dłużej z szlachetnej gościny waszej korzystać nam przyjdzie, tedy niejedną pewnie jeszcze beczkę słodkiego wina waszego wspólnie wypijemy, nim znowu wspólnie krew będziemy przelewać. Ale ninie długa i ciężka podróż za nami i sam pan nasz, widzę, o chcie już nadążyć nie może. Tedy pozwólcie, że wam za łaskę i gościnę dziś podziękujemy, by ucieszyć się z niej kiedyś znowu świeżym sercem i umysłem. Władysław głową przytaknął, polecił podczaszemu, by mu puchar napęlił, po czym powstał, skinieniem ręki głosy uciszając:

— Z miłymi gośćmi naszymi przelewaliśmy niegdyś krew czerwoną; dziś wino lejem złociste. Zmienne są losy człowieka, niezmienną przyjaźń prawdziwą. Z radością widzę, że chmurka, jaka na chwilę ją zaćmiła, rozeszła się od słońca, dającego słodycz winu, które pijemy. Nim udamy się na spoczynek, piję na pomyślność i cześć króla mojego i brata, któremu tron swój zawdzięczam. Niecił każdy szczerą chęcią puchar ten

do ostatniej kropli wychyli, na znak przyjaźni i braterstwa.

Gusna powstał. Kubek swój odwrócił, wylewając wino, i z hałasem postawił go na stole. Wszystkie oczy skierowały się ku niemu, a on rzekł donośnie, po węgiersku, lecz zrozumieli wszyscy:

— Kto ten puchar wychyli, wrogiem moim będzie — zwracając się zaś do króla ciągnął po polsku:

— Starsza korona świętego Szczepana niż Bolesława; Bóg i naród węgierski rozsądzą, na czyjej spocząć ma głowie. Obelga to dla nas, by ten, co ją nosi, panem swym głosił wygnańca, co władnąc tylko kilkudziesięciu obdartymi wojami, uznać nie raczy, że od szat, które ma na grzbiecie, do wina, które rau widno w głowie zawróciło, wszystko nam zawdzięcza.

Władysław pobladł, a Gusna chciał mówić dalej. Nawój dźwignął się jakby w przeczuciu tego, co nastąpi. Jak piorun spadła prawica Bolesława na twarz Gusny. Ban Nitry upadł przewracając stół. Przez ułamek chwili zapanowało osłupienie, potem wrzask straszliwy targnął powietrzem. Zabłyły szable i noże. Gusna dźwignął się z trudem, trzymając ręce na zakrwawionej twarzy. Nawój wraz z Domamem chwycili króla i ciągnąc go wypadli z komnaty. Nie stawił oporu i szedł obojętny.

Rzucili się za nim węgierscy woje, lecz król Władysław stanął w drzwiach, ręce na piersiach założywszy. Rozjuszeni, zatrzymali się przed swym królem; żaden nie ważył się przejść.

— Pod moim dachem nie tknie go nikt. Gdy wino wam z łbów wywietrzeje, o sprawie uradzim — powiedział stanowego Władysław.

XXXVI. ŚMIERĆ

Zwodniczy wiosenny dzień przybladł ku zachodowi. Zimne podmuchy lecącego z północy wiatru stawały się coraz częstsze i zanosily niebo strzępiastymi, szarymi chmurami, które zbijały się w gromady. Słońce obejrzało się jeszcze, pozłociło badyle zeszlórocznych traw i skryło się za nieboskłonem.

Wicher ciągnący górą przypadł do ziemi. W gęstniejącym z każdą chwilą mroku pędził przed sobą bryzgi zimnego deszczu, którego szelest głuszył chwilami szum wichury.

Nagle wiatr natrafić musiał na jakąś przeszkodę, gdyż zawył i z wściekłością zatargał ciemnymi kształtami, które chylać się poczęły z jękiem. Wśród piekielnej wrzawy zaledwo rozróżnić można było słowa:

— Pójdziem chyba do chaty. W taką noc nikt nas ścigał nie będzie. Darmo nam moknąć, a konarem obe-rwać można w ciemności, jeżeli nawet drzewa nie wywali.

— Wiatr skoro chmury rozpędzi, a miesiąc już musiał zejść. Gusna się zaklął, że pomści obrazę, i ściga nas, ani chybi.

— Tedy jeden niech ostanie, a drugi zgotuje wie-czerzę i spocznie. Na zmianę czuwać będziemy, bo sił nam zbraknie. Idź ty pierwszy, może króla łacniej nakłonisz, by spożył co i spoczął. Ciebie prędzej znie-i sie i może wydusisz z ctiego słowo jakie, co nam czy-nić.

— Pójdę! — odparł Doman.

Wszedł do niskiej sieni, pochylając głowę, i namacał drzwi do kurnej izby, tym łatwiej, że przez szpary w deskach przeświecał blask ognia. Zwrócił się na migi do siedzących przy kamiennym palenisku gospodarzy chaty, by przygotowali coś do zjedzenia, wskazując, że zapłaci.

Milczący chłop o dzikim wejrzeniu, spłoszony widocznie niespodziewanym przybyciem pod noc trzech obcych, zbrojnych mężów, ani się nie poruszył, lecz żona, jego, czy to przez niewieścią litość, czy z obawy, wskazała na wiszący nad ogniem kociołek i połę w ciemnym kącie, coś mówiąc po węgiersku. Doman wziąwszy misę z półki napełnił ją kaszą z kotła w której pływały kawałki żrebięcego mięsa, i ruszył do świetlicy. Przeszedł sieni i domacał się drzwi,

W izbie ciemno było zupełnie. Doman ostrożnie po omacku misę postawił na stole, mówiąc:

— Posilcie się, miłościwy panie; wraz światło przyniosę.

Nikt nie odpowiedział. Doman pomyślał, że Bole sław może zasnął, lecz mimo to skoczył po łuczywo i wróciwszy zatknął zapaloną drzazgę w szparze przy kominie. W drgającym, czerwonym świetle, jakie Rozjaśniło ciemności, dostrzegł, że król siedzi na ławie i oczy ma otwarte. Powtórzył:

— Posilcie się, miłościwy panie. Może nam rychło dalej jechać przyjdzie, a w tej pustaci nieczęsto trafi się osada.

Odpowiedziało mu milczenie. Król siedział, jakby nie słyszał, co do niego mówiono. Oczy miał wpadnięte, pod brwiami leżały wielkie plamy cienia, w których głębi świeciły wpatrzone w dal źrenice. Czoło nad brwiami drgało, jakby z jakiegoś wysiłku lub bólu.

Doman westchnął, strapiony, lecz woń stawy przypomniła mu, że sam dawno nie jadł i być może nieprędko jeść będzie. Biorąc misę ze stołu, gdyż nie śmiał usiąść przy królu bez zezwolenia rzekł:

— Tedy pozwólcie, że ja się pożywię. - Usiadł w cieniu pod kominem i jadł, nasłuchując, eiy wśród wycia wichury nie odezwie się hasło Najoja, oznajmiające niebezpieczeństwo.

Miał tego zdało mu się, że słyszy szept króla. Mówił coś, jakby do siebie. Doman wstał, by objaśnić, łuczyno, i wówczas wyraźnie usłyszał głos Bolesława ł dojrzał zwrócone na siebie oczy.

— Doman!

W głosie było coś tak niezwykłego, że Doman za-drżał, lecz odparł zaraz:

— Słucham was, panie.

— Pójdź tu.

Doman zbliżył się i stanął naprzeciw Bolesława.

Król zabrał leżący na ławie miecz i położywszy go na stole wskazał Domanowi miejsce obok siebie, mówiąc:

— Siadaj tutaj. Coś ci chcę zawierzyć, nim umrę.

Zdziwiony i wzruszony Doman odparł:

— Co zaś prawicie! Co wam jest?

— Siadaj! — rzucił Bolesław niecierpliwie.

Doman usiadł jakby urzeczony, a król patrząc przed-
iiebie ciągnął:

— Myślisz, jak oni, że szalony lub że mnie gorę-
łwa bierze. Zdrow jestem. I dlatego wiem, że nie
zdzierzę sam przeciw całemu światu. Myślałem, że do-
trę do Grzegorza, pomogę mu zwyciężyć cesarza i wró-
fcę pokarać zdrajców i ład wprowadzić. Nie dotrę,

— To do Italii jedziemy? Czemu zaś myślicie, że
has naścigną? Posilcie się jeno i prześpijcie, przed
świttem ruszymy, nie dognają nas.

— Nie myślę, jeno wiem. Ale nie o tym chciałem
gada i Możesz już odejść.

Doman patrzył nie rozumiejąc. Król powtórzył:

— Mówię, że wolno ci iść, gdzie chcesz.

— Jakoże? Wždy zawsze mogłem

Król uśmiechnął się jakoś dziwnie, z przymusem i
zapytał:

— Czemużeś nie odszedł jako dructag?

— **Ja? krzyknął** Doman. — Wiecie, że was miłuję

Król **uczynił** ruch, jakby rękę na głowie Domana chciał położyć, lecz się powstrzymał i zduszonym głosem szepnął:

— Widzisz! Dlatego nie mogłeś opuścić mnie... Ty jeden! A teraz już możesz.

— Nie rozumiem, panie! Wždy nic się nie zmieniło. Nie ostawię was samych. Zresztą jest i Nawój. On także was nie opuści.

— Nawój! — Król wzruszył ramionami. — Za służby swoje miał dostojęstwa i bogactwa. Choćby go razem ze mną pogrzebli, nie będzie mu krzywdy.

— niesprawiedliwi jesteście dla niego, panie! Król zachnął się. Jakiś czas pasował się z sobą, potem spuścił oczy i odparł cicho:

— niesprawiedliwy byłem tylko dla ciebie. I tylko od ciebie chcę wybaczenia... jeśli mi wybaczyć potrafisz.

— Co prawicie?! — wykrzyknął Doman, chwytając w zmieszaniu rękę królewską. — Wy mnie chcecie prosić o wybaczenie?!

— Nie mów nic! Słuchaj. Nie chcę twego wybaczenia, zanim poznasz winę. Nie chcę, bo może byś mnie kłął, kiedy sam zrozumiesz. Na to jedno przekleństwom zasłużył, na inne pi wam.

Nieprzytomny gniew zaiskrzył się w oczach króla na jakieś wspomnienie, lecz zмагаł się z nim, aż kropelki potu zabłysły na jego czole w świetle łuczywa. Doman, zmieszany i drżący, wstał i by coś uczynić, zapalił susz na kominie. W izbie pojaśniało. Gdy odwrócił się do króla, Bolesław twarz miał bladą, lecz już spokojną, jeno czoło mu drgało. Zaczął cicho:

— Pamiętajsz, jakośmy się raz pierwszy ujrzeli? Nie wiedziałeś, kim jestem, a z oczu twych poznałem, żeś już mój.

— Pamiętajm, jako dziś. Prawda! — szepnął Doman.

— Nie dziwne mi to było. Nie ty jeden. Myślałem, że tak będzie zawždy i na zawsze. Alem jeno władaę

odziedziczył, wryehle spostrzegłem się, że ludzie sa-
v mych siebie we mnie miłują; swoje nadzieje bogactw,
dostojenstw, władzy i znaczenia. Wtedy zrozumiałem,
Żeś ty jeden inny niż drudzy.

Doman zaczerwienił się, lecz milczał. Król ciągnął:

— Wtedy też postanowiłem, że nic ode mnie za
miłość swą mieć nie będziesz, bo pewny być chcę, że
miłujesz mnie dla mnie samego. Może myślałeś, że
skapy?

— Gdzie zaś! Nawet wrogi Szczodrym was zowią.
Nie miałem, mówicie, nic! Miałem miłość waszą.

Król opuścił oczy i milczał tak długo, że Doman za-
czął się niepokoić:

— Co wam jest? — zapytał.

Bolesław odetchnął głęboko, jak przed wielkim
wysiłkiem, i zaczął mówić szybko, zdyszany gło-
sem:

— Nie miałeś mojej miłości. Lubilem cię jak psa,
którego się głaszcze nie dlatego, że go się miłuje, lecz
że człeku to miłe. I jak psa trzymałem przy sobie,
choć wiedziałem, że nieraz serce ciągnęło cię gdzie
indziej. Mogłem ci pomóc, byś znalazł swoje szczę-
ście, ale nie pomogłem. Po prawdzie... przeszkodzi-
łem. Chciałem, byś był tylko mój i dla mnie samego.

Król umilkł i dyszał. Doman siedział poblady i pot
ocierał z czoła. Panowało milczenie, jeno wicher był
na dworze i deszcz bębnił po okiennych błonach do
dzikiego wtóru.

— Słuchaj! Jesteś pomszczony. Jedyna miłość mo-
jego życia rozsypała mi się w ręku... jeno przez wła-
sną moją nieufność... i pychę.

— Krystyna! — szepnął Doman, jakby do siebie.

— Krystyna! — powtórzył król.

Domana dreszcz przeszedł. Znał głos Bolesława od
dawna. Słyszał go, gdy odjeżdżał od Krystyny na zaw-
sze, lecz nigdy mu na myśl nie przyszło, że głos króla
brzmieć może takim bólem i taką rozpaczą. Doman
skurczył się w sobie.

Król ręce wpił we włosy i kręcił głową, jakby

otrząsnąć się chciał z jakiejś myśli, która żarem świdrowała mu mózg.

— Wždy miłowaliście się — szepnął Doman.

Bolesław znieńacka wybuchnął straszliwym śmiechem, zanosił się nim i trząsał. Doman zerwał się bezradny i patrzył na króla z przerażeniem. Wreszcie w porywie zuchwalstwa rozpaczy uchwycił króla za ramiona.

— Na miłość Boga! Pohamujcie się, panie!

Król stracił ręce Domana, lecz uspokoił się. Cza? jakiś wstrząsały nim jeszcze jakby odchodzące łkania, potem rzekł ochryplym głosem:

— Nie o Krystynie miałem mówić. Tefyaz, gdy wiesz wszystko, rzeknij mi, ale szczerze: możesz mi wybaczyć? ' *

Doman rzucił się na kolana.

— Wybaczyć? Przecie was miłują!

— Miłujesz mnie? — szeptał król. — Nic ci już dać nie mogę. Może syn mój kiedyś wróci... powiesz mu, żem kazał ci odwdzińczyć... lepiej niż ja za mego rodzica.

Doman chciał coś rzec, zakłąć się, że nie opuści króla, gdy nagle obaj zerwali się i chwycili za miecze. Wicher na polu przycichł i wyraźnie usłyszeli krzyki i jakby odgłosy walki. Widno Nawój znużony zadrzemał i napadli go znieńacka.

— Uchodź! Chcę zostać sam! — krzyknął Bolesław i ruszył ku drzwiom.

— Nigdy!

Doman zastąpił mu drogę.

Wrzaski zabrzmiały w sieni, nie czas już było.

Drzwi rozwarły się. Doman zamierzył się do ciosu, gdy nagle ból jak płomień chwycił jego prawą dłoń i zgasł wraz ze świadomością.

W izbie zakotłowało się.

XXXVII. ROZSTAJE

Jesień już złociła stopy koło Warażdynu, gdy Doman odzyskał wreszcie siły. Rana na głowie była powierzchowna i zagoiła się szybko, lecz z obciętej dłoni skrwawił się tak, że życie jego wisiało na pajęczej nitce, cienkiej jak babie lato, które ciągnęło już z powiewem wiatru na południe. Doman siadywał dniami całymi pod starą lipą, u której stóp kilka kopczyków porosłych już trawą kryło owoce ostatniej walki Bolesława. Największy krył samego króla. Znalazł w nim spokój, którego nie zaznał w ciągu całego życia.

Spokój ten ogarnął także Domana. W ciepłe popołudnia ścigał oczyma białe nitki sunące nad stepem. Może która z nich płynęła tak z dalekiego kraju, cichutko i bez pośpiechu, jak niegdyś — strasznie dawno — życie Domana, gdy jeszcze był dzieckiem. Może któraś zatrzymała się na chwilę w ciemnych włosach Bietki. Czy jak ongiś dziewczyna pomyślała, że uciepiona do niej popłynąć może z wietrzykiem daleko na południe, do niego? Skończyły się bajki dziecinne, skończyła się bajka o królewiczu, ale w sercu Domana, słabego jeszcze jak dziecko, wstawała wątpliwość, jak te nici pajęczce, nadzieja, że może coś odnajdzie z dawno życia, gdy obecne skończyło się bez reszty. Nie ma już o co walczyć, a choćby było, on już walczyć nie będzie. Prawa ręka bez dłoni nie ujmie już miecza. Doman pogodził się z tym. Może jeszcze żyć jak drzewo z obłamanym konarem, byle swoje niebo mieć

nad głową. Tęsknota nachodziła Doman. Jenó wracać! Wkrótce już. Patrzył ku północy, skąd ptactwo ciągnąć zaczynało.

Nawój, który podczas choroby pielęgnował go jak brata, włóczył się teraz całymi dniami. Niewiele mówili z sobą. Obaj czuli, że skończyła się wspólna droga, którą ramię przy ramieniu, szli przez większą część życia. Rozstaje się u tego kopczyka.

Nie zdziwił się Doman, gdy posłyszał kroki Nawójka, choć słońce wysoko jeszcze stało nad nieboskłonem. Doman czuł, że zbliża się pożegnanie, koniec jeszcze jednego okresu.

Nawój usiadł koło niego i milczeli przez chwilę. Potem rzekł:

— Czas nam iść w swoją drogę; ty dokąd pójdziesz?

— Do kraju wróć.

— Czekają tam ciebie!

Drwiną pokrywał współczucie.

— Pójdź ze mną — dorzucił, lecz widno sam nie wierzył, by Doman go posłuchał. Zapatrzone na północ oczy Domana aż nadto wymownie wskazywały, co widzi przed sobą.

Nawój westchnął nieznacznie. Doman nawet mu nie odpowiedział, a przecie wracać nie ma po co. Ni zagrody, ni Bietki nie odzyszcze, nawet imienia, bo przyznać się nie może, kim jest. Wszystkich, którzy uszli z królem, wywołańcami ogłoszono. Gdyby nie kalectwo nieszczęsne, mógłby żyć jak łązega, pod nowym imieniem. Ale nieznanego człeka z obciętą prawą dłonią za złoczyncę brać będą, sądem pokaranego. Ni gościny, ni pomocy nie udzieli mu nikt. Nie siał szczęścia Bolesław.

Nawój wiedział, że to królewski cios okaleczył Domaną w szale walki, który zawsze ślepił oczy króla. Ocalił mu tym wprawdzie życie, bo nieprzytomnego i skrwawionego Domana ostawiono, jak leżał, aż po odejściu Gusnowych niedobitków powrócił Nawój; ale po to jeno(ji)); Doman gorzyc życia wychylił do dom

Z oczu druha wyzierała taka tęsknota, że Nawój nie próbował już namawiać i przekonywać. Rzekł:

— Ja idę do Rzymu!

— Po co? — Doman rzucił pytanie, widocznie, roz-targniony.

Nawój zaśmiał się nieszczerze.

— Pokutować idę.

— Pokutować?! — w głosie Domana zabrzmiało oburzenie.

— Za to, zem trzymał z tym, co przegrał. Ninie służyć chcę temu, co wygra. Grzegorzowi czy Wigbertowi, który się mocniejszy okaże. Wolny jestem.

Na twarzy Domana zjawił się gniew, lecz zaraz przygasł; łagodnie powiedział:

— Potrafisz drwić nawet z siebie, a służyłeś wicznie królowi i mnie druham byłeś najlepszym.

— Nie drwię. Służyłem, bo chciałem wygrać. Przegrałem, trzeba zaczynać na nowo. Na Sieciecha się zaczaję. Potrafię to nie gorzej niż on. Biskupem chcę ostać, bo taki czas idzie, że biskup więcej będzie zna-czył od księcia, zaś przez Rzym droga najkrótsza. A druham nie byłem niczym. Ale miłować co, to jeno niewola. Wyrwij, co masz w sercu, i jedź ze mną.

— -Nie wydolę! Wiesz, czemu chcę wracać — rzekł Doman żałośnie.

— Wiem. Szkoda słów. Zawždy byłeś głupi, może i dlatego cię lubił. Tedy żegnaj. Chcę jeszcze przed zmrokiem dobić do gościńca.

Wstał, lecz jakby się dla czegoś zawahał. W jego szpetnej twarzy widać było ukrywane wzruszenie. Chrząknął i jakby sam siebie chciał przekonać, powtó-rzył:

— Wolny jestem. No, żegnaj. Rażniej byłoby we dwóch, ale nie dziwne mi samemu. Tobie gorzej będzie, a wszystko jeno przez to, żeś macierz miał, co cię miłowała.

Odwrócił się i odszedł nie oglądając się. Doman patrzył za nim. Z dała widział, jak wyprowadził ko-nia, dociągał popręg i coś mówił do gospodarzy. Po-

tem doskoczył -rumaka i zaraz zniknął w wysokich burzanach. Domanostał sam.

Ciężar południowego, sierpniowego słońca zdał się przyginać ku ziemi wlokącego się drogą wędrowca, przygarbiając jego wyniosłą postać. Twarz szara od kurzu nie pozwalała odgadnąć wieku. Ociężałe ruchy można jednak było przypisać znużeniu, niestary bowiem być musiał. Na odkrytej głowie świecił bujny, jasny jak len włos, opadający kędziorami na szerokie barki, kosmyki jeno zasunięte na czoło przyciemnione były od pyłu i zlepione potem, strużkami spływającym na oczy i żłobiącym jaśniejsze pasma na twarzy.

Droga była pusta i cisza panowała dokoła. Miejscami jeno stada wróbli robiły harmider w krzaczach przydrożnych lub tytlały się w pyłe leżącym grubą warstwą na drodze. Gdy wędrowiec nadchodził, stad zrywały się z ćwierkaniem, przelatowały kilkadziesiąt kroków i obsiadały nowy krzak lub drzewo[^] wracając do przerwanego sejmiku.

Dzikie gołębie, czujniejsze i płochliwsze, zrywały się już z dala z rosnących rzadko przy drodze starych drzew, resztek dawno wykarczowanego lasu, który odsunięty od drogi, majaczył na widnokręgu, ciemnym pasmem obramiając zielone łągi i świecące już ściernią rzyska.

W pewnej chwili wędrowiec przystanął, przetarł zalane potem, zaczerwienione od kurzu jasnoszare oczy i rozejrzał się z westchnieniem po okolicy.

W odległości kilku stajął na obłym wzniesieniu widniały zabudowania okazałego dworzyszczca. Widocznie były celem jego drogi, gdyż wyprostował się i ruszył raźniejszym krokiem. Nawet przygasłe oczy zaświeciły żywiej, jakby nadzieją niedalekiego już wypoczynku.

Gdy dotarł jednak do krańca schodzącego ku drodze sadu, zawahał się i usiadł w rowie przydrożnym; rów pełen był pokrzyw, łopianu i innych zielsk, na wale zaś otaczającym sad żywopłot z jeżyny i dzikiej

rozy tworzył niemal tuczożyty gąszcz. rtoje owaaauw , i barwnych motyli uwijały się nad nim, a zapach dojrzałego owocu stał nad sadem w nieruchomym, drgającym od żaru powietrzu.

Podróżny skurczył się znowu i zmrużył oczy znużone od blasku. Długi czas siedział nieruchomo; może spał.

Słońce tymczasem zeszło z południa i lekki powiew, niosący wilgotny zapach stawów, poruszył spiekle powietrze. Wędrowiec odetchnął głębiej i otworzył oczy. Nie ruszył się jednak, widno nie było mu pilno; dopiero gdy głosy ludzkie i tętent koni posłyszał na drodze, zerwał się z niespodzianą żywością i nie bacząc na kolce, które chwytaly za szaty i kaleczyły skórę, przedarł się przez gąszcz żywopłotu. Słuchał czujnie, jak za zasłoną krzów przejeżdżały konie. Gdy umilkły odgłosy, usiadł, a po chwili rozciągnął się w cieniu żywopłotu. Czekał czy czaił się na kogo, nie wiadomo.

Sierpniowy dzień miał się ku schyłkowi; cienie wydłużały się, upał sfołgował; od dworskich budynków słyszać było żywy ruch i głosy. Jeden z nich znany być musiał wędrowcowi, gdyż poderwał się nagle, niby zgnięty ostrogą, i bez namysłu zagwizdał jak wilga, hasłem z dawnych lat. Potem, jakby się sam uląkł własnego zuchwalstwa, wcisnął się w gęstwą krzów, skulił i czekał.

Nie czekał długo. Na ścieżce wzdłuż żywopłotu rozległy się szybkie i lekkie kroki, a po chwili, odsuwając nawisie nisko gałęzie owocowych drzew, ukazała się młoda niewiasta. Niemal biegła na odgłos Domanowego hasła, a na jej pięknej twarzy malowało się graniczące z przerażeniem zaskoczenie.

Gdy dobiegła, Doman wstał i zastąpił jej drogę. Wydała stłumiony okrzyk. Stali naprzeciw siebie milcząc. Raz jeno drgnęły jej ramiona, jakby ręce ku niemu wyciągnąć chciała, potem opuściła oczy i nie patrząc na niego szepnęła:

— Żyjesz...

Gdy nie odpowiedział, podniosła znowu oczy. Patrzyli na siebie. Dostrzegła jego kalectwo. W jej oczach zaświecił żal i strach, lecz wyczytała widocznie w jego źrenicach lata tęsknoty i męki, krzywd, poniewierki i rozpaczy, gdyż nagle bezradnym ruchem zasłoniła twarz rękami i głosem rwanym przez tłumione łkanie mówiła:

— Myślałam, że nie żyjesz, i jeno już z*.duszę twą się modliłam. Już przebolełam, a teraz... '

Urwała i zanosła się płaczem. Czekał, aż przycichła. Ozwał się stłumionym głosem:

— Żyję, więc przyszedłem. A ty przyrzekałaś czekać...

— Na co czekać miałam? I czy rządę sobą? Ojciec wydał mnie za Ostasza. Gdybym jeno powiedzieć śmiała, żem tobie czekać przyrzekła, rodzic ubiłby mnie. A jeśli nas teraz najdą razem, ubiją oboje. Wszak ognia ni wody podać nie wolno wyklętemu!

— Niech ubiją! — rzekł cicho. — Połączymy się znowu w ziemi, kiedy nie szło inaczej.

— Nie! — krzyknęła. — Mam dziecko, które Kocham. I boję się... — dodała ciszej.

Oczy znowu zasłoniła rękoma.

— Dziecko masz? — szepnął. — Mogło być nasze.

Ledwo zrozumiała wśród łkań odparła:

— Nasze? Po to, by twoją klątwę dźwigało? By nas przekłęło, jako ja przeklinam swoich rodziców? Bogu i ludziom obrzydliście za tę zbrodnię waszą, co tyle ściągnęła nieszczęść...

Urwała. Stali milcząc. Czas płynął. Słońce schyliło się już nad lasy, cienie pod drzewami zwały się i pościemniało w sadzie. Przetarła oczy i rzekła spokojnie:

— Jeśli ci pomóc w czym mogę, mów prędko. Wezmę ten grzech na siebie, może mi Bóg wybaczy. A może wybaczy i tobie, boś zgrzeszył jeno z miłości do tego wszeteczника — głos jej zadrgał. — I może znajdziesz spokój, jako ja, kiedy nam szczęścia znaleźć nie było dane.

Mroczyło się i nie dostrzegła, że gniew mignął

w oczach Doraana, Chmurnie odrzucił:

— Nie trzeba mi pomocy ni wybaczenia! Sam udźwignę swoje grzechy. Niedaleko już...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, w tej chwili jednak w sędzie rozległo się wołanie. Mimo woli wyciągnęła ku niemu rękę, lecz stał nieporuszony, nawet gdy kroki jej już ucichły w oddali.

Zapadał zmrok. Doman przecisnął się przez, krzaki i wyszedł na drogę. Jaśniejszym pasmem odcinała się od okolicy, gubiąc się w oddali. Ciemno było, gdy stał jeszcze.

Przed nim nie było już drogi...